P 2390-2

TWÓRCZOŚĆ

12

GRUDZIEŃ

ROK VIII 1952

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 12

WARSZAWA, GRUDZIEŃ 1952 ROK

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 4900 z dn. 4.11.52 r. Nakład 6 000. Druk ukończono 12.12.52 r. 3-B-26583

ZBIGNIEW SZYMAŃSKI

TOWARZYSZOM Z 361 PUŁKU PIECHOTY ARMII RADZIECKIEJ

Gwardyjski pułk piechoty. Zima.
Na podmoskiewskich polach śnieg.
Front pod Warszawą się zatrzymał —
Patrzę na mapę — przed oczyma
Widzę, jak wojska prą na brzeg.
I mapa w gród się znany zmienia,
Co w płaszczu dymu i płomienia
Pod gradem bomb strzaskany legł.

No cóż? I doszliśmy — stolica!
Z uśmiechem sierżant Kaszin rzekł.
Ognista teraz „mietielica"
Hula tam pewnie po ulicach
I tak jak tutaj wali śnieg.
Za oknem koszarowej sali
Ogniki papierosów palił
Batalion, który z ćwiczeń wbiegł.

Na dworze ośnieżony, niski
Wartownik stał. I haubic rząd
Ciemnozielone szczerzył pyski
Złowrogim stali lśniąc połyskiem,
Na którą kładł się srebrny szron.
Bój się o moje miasto toczył
Daleko stąd. I hucząc pociąg,
Z transportem czołgów szedł na front.

MIASTO I CZŁOWIEK

I

W ruinach hulał wiatr i pył
Rdzawo-czerwone krył żelazo,
Chwiały się szczyty rannych drzew,
Kolein wąskich ślad się wił
Pośród martwego krajobrazu.

Cisza. Nie zabrzmi krzyk, ni śmiech,
A tylko siną wstęgą dym,
Znad hałd olbrzymich pełznie gruzu.

W powietrzu węże rdzawych lin
Kołyszą się w obłokach kurzu
I potrzaskany czyha gzyms —
Świadek niedawno przeszłej burzy.

Czołg ulicami Gdańska przebiegł
Stalową piersią krusząc gruz.
Czołgisto! dziś poznałem Ciebie,
Jakżeś traktorem cegły wiózł
Pod łukiem starych, gdańskich bram,
Wśród nowych i radosnych ulic,
Jakżeś spychaczem zgarniał szlam,
A z nim odłamki bomb i kule!

Czas nasz nie tylko miasta zmienia
Strojąc je w marmur, w baszty z cegieł.
Tam, gdzie nie było i kamienia,
Gdzie ruin zrąb ulicy brzegiem
Ciągnął się szary, gdzie płomieni
Wybuchał kłąb jak jęk rozpaczy,
Tam domy stoją wśród zieleni,
Tam trymer uczy się po pracy
Niełatwych kreśleń i obliczeń,
Wzorów Cremony czy Eulera.
Kipi nieznane dotąd życie,
Gdy czas odwieczną krzywdę ściera!

II

Wieczorem gwarem tętnią place,
Wśród lip kwitnących okna błyszczą,
Których wciąż więcej jest — inaczej
Wygląda miasto dziś i wszystko
Co wroga ręka starła w gruz,
Co ogniem swoich dział strzaskała,
Gdyż w walce człowiek i gród rósł,
Aż stężał w granitową skałę.

W ulicach hula wiatr i pył
Pokrywa krętych szyn żelazo,
Gdzie alej nowych wąż się wwił
W zarys gdańskiego krajobrazu.

Zbigniew Szymański

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

POCHWAŁA PRACY DRUKARSKIEJ

Poeto, czas pochwalić geniusz Gutenberga:
on, cień, twej pracy wierny jest towarzysz
i kiedy słowa ciężko ważysz,
i kiedyś wszystko w całość zebrał.

Poeto, czas pochwalić bratni trud zecera:
on twojej pracy zawsze towarzyszy:
gdy ty skupiony w ciszy
kreślisz i lepszych słów dobierasz,
on da ci milion ust,
on da ci milion oczu,
on da ci milion uszu.

On twe marzenia gra na linotypie,
albo wyciąga z kaszt
nie czcionki, lecz tysiące gwiazd,
co na firmament matryc się wysypią,
by później słów twych konstelacje
szły błyskawicznie przez rotację.

Pochwal więc pracę odlewacza,
pochwal więc pracę maszynisty —
cóż twoje wiersze bez nich znaczą?
— bez adresata listy.

Ci bezimienni towarzysze
w świat ślą twe sny i anatemy,
to oni wiersze twoje piszą.
Ty bez nich byłbyś niemy.

NA MOŚCIE

Ty za wodą, ja za wodą,
jakoż ja ci rękę podam?
Most przez rzeczkę drogę prości,
wabi nas do siebie w gości.

Oprzyj się o poręcz, miła,
patrz, jak woda się zalśniła,
gwiazdy w głąb się jej zakradły
i do naszych nóg upadły.

Chylę głowę ku twej twarzy,
w niej się też gwiazd dwoje żarzy
i jak tamte lśnią w Uherce,
te odbija moje serce.

Znów rozdzieli nas ta rzeka,
chociaż droga niedaleka:
ja za wodę, ty za wodę
przez rzuconą w poprzek kłodę.

Ale staną trwałe mosty:
żywot jasny, żywot prosty.
Jeden brzeg się z drugim scali,
już nas rzeczka nie oddali.

Kazimierz Andrzej Jaworski

JAN HUSZCZA

PIEŚŃ O DRZEWACH

I

Cóż to za droga, gdy bez brzozy,
kiedy nie szpera wiatr w wierzbinie?
Z kim drabiniastym gadać wozom,
dla kogo obłok nisko płynie?

Cóż to za lasek, gdy przy dębie
nie świeci drobna jarzębina?
Gdy dalej pójdziesz, to tam w głębi
nad śpiącą wodą gra olszyna...

Gdy ujrzysz Wisłę, wtedy topól
rozmowy słuchasz, nie chcesz odejść...
Gdy śnieg spłoszony i roztopy,
masz świętokrzyskich poszum jodeł...

Jak wiersz o żalu, krzew kaliny
coś szepcze stawom, po kimś biada.
Nie klon czy kasztan, lecz buczyna
najpiękniej jesień opowiada...

II

Chwalić też lasy, w których rządzi
leśniczych ręka gospodarna...
Gdzie niby w mieście, nikt nie zbłądzi,
choć mu przebiega drogę sarna.

Gdzie troska, żeby rosły wyżej
masztowe sosny, pni strzeliste,
co dzwonią tak jak złomy spiżu,
gdy w nie uderza młot artysty.

Gdzie rosną drzewa, tam posuchą
niszczące wiatry nie przewieją
i szumu zbóż tam czule słuchać
bez trwogi w sercu, a z nadzieją.

Piękniejcie nam, ojczyste strony!
Nie głusze śpiewać i mokradła
— lecz beton z brzozą pogodzony,
odbity w spławnych wód zwierciadłach!

*

* *

Bukowy lesie,
pełen paproci!
Na wargach jesień
kroplą wilgoci.

Miła, przez jesień
chodźmy bez żalu.
To jarzębinie
zbrakło koralu.

Lecz ile piękna
na bukach jeszcze!
Z ich ramion srebra
nie zmyją deszcze.

Nie smutek, ale
oczarowanie.
Pozwól powtórzyć
sprzed lat wyznanie.

Pachnący mchami,
dzień gdzieś ucieka.
Nad polem mgłami
płynie jak rzeka.

*

* *

Ten wieczór dla sanek,
dla sanek przez las.
Odwiedźcie polanę,
gdzie biały gra czas.

Jak pięknie młodości!
W dzwoneczkach jej głos.
Kopyta, roznoście
śnieg chrupki jak szkło.

W tym śniegu, wśród imion
od oczu aż blask.
O, sanki z młodymi,
zabierzcie i nas!

Jan Huszcza

ADAM FRANCISZEK KIRŁO-NOWACZYK

RANO NA WSI SPÓŁDZIELCZEJ

Gdzieś studzienny żuraw skrzypi,
dzban na płocie się kołysze.
W trawie świerszczyk wiejski skrzypek
pieśnią swą przerywa ciszę.

Z progów oczy oddal śledzą,
ktoś „dzień dobry" w sadzie woła.
Za ostatnią w polu miedzą
w czarny grunt się traktor worał.

Bitą drogą środkiem wioski
wraca bydło od strumienia.
I czubate gdaczą nioski
w pobielonych wapnem sieniach.

Nad dachami dymków pasmo
w górę siwym mknie obłokiem.
Grupa dziewcząt w chustkach jasnych
rusza w pole żwawym krokiem.

A na strudze młyńskie koła
trud codzienny z ludźmi dzielą.
Na świąteczny, czerstwy kołacz
plon spółdzielczy raźno mielą.

LIRYK JESIENNY

W jesiennym zmierzchu sady się złocą,
wiatr mota nici babiego lata.
Ostatnie wozy schodzą przed nocą
z pól, pierwsze ognie błysnęły w chatach.

Struga za wioską pluszcze bezgłośnie,
czernieją w mroku kontury leszczyn.
Ostatnie nutki lecą po rosie
w czystych jak źródło sopranach dziewczyn.

I noc okrakiem siadła na wzgórzu
i mgła nad wodą dźwiga się lekka.
Księżyc ogromny z chmur się wynurzył
i po strzelistych toczy się świerkach.

Za ciszę, która zalega sioła,
za świerszcze w szparach grające swojsko —
za młodość naszych dzieci wesołą
dzięki ci, Polsko!

Adam Franciszek Kirło-Nowaczyk

STANISŁAW ZIELIŃSKI

RODACY*)

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Willę Ceresików pod miastem otaczały sosny, tuje i srebrne świerki. Przy domu rosły bzy okryte jasną zielenią nie rozwiniętych jeszcze pąków. Na tarasie, z którego stroskany kupiec oglądał burzenie Warszawy, drzemał teraz Barton wyciągnięty wygodnie w leżaku. Pogrążony w zamyśleniu Anglik chmurniał coraz bardziej nie dostrzegając rozświergotanej wiosny. Niełatwym sprawom poświęcał czas i przywykł do trudności, niecierpiał jednak nici splątanych i rwących się co chwila.

Spotkanie z pułkownikiem Kusiakiem, na które nalegał tak Kelly, odbyło się poza miastem w ustronnym miejscu wybranym po długim namyśle. Kusiak stawił się sam, lecz reprezentował poglądy całej grupy.

— Sprawa nasza ma szanse powodzenia — mówił pułkownik do Bartona. — Odsunąć partię od wojska, to cel wielu starannie przemyślanych posunięć personalnych. Gdy wreszcie zabraknie Jedlickiego, zaczniemy poczynać śmielej, odetchniemy szerzej. Wtedy...

— Bardzo słusznie. Nie odmówimy pomocy. Pośpiech wydaje się wskazany — Barton nie wspomniał o wiadomościach z Czechosłowacji. Były złe. Spisek stał się tam publiczną tajemnicą i lada chwila należało spodziewać się aresztowań. Kusiak zapewne wiedział o tym, ale Barton nie musiał powtarzać rzeczy powszechnie znanych.

W dalszym ciągu rozmowy wynikła dość drażliwa kwestia. Zadowolić Kusiaka i innych nie było trudno, lecz co u licha obiecać Polakom? Barton nie od razu znalazł właściwą odpowiedź. Przypomniał więc słowa Napoleona, bowiem Polacy lubią takie rzeczy, że jeśli Rosja zagarnie Polskę, to Anglia straci Indie. Napomknął również, że w lipcu 1861 roku, co prawda stare dzieje, lecz jak wiadomo historia uczy życia, dyskutowano w parlamencie o losach Polski. Wtedy niejaki p. Hennessey stwierdził w przemówieniu, że do czasu wcielenia Polski do Rosji budżet wojny zmniejszał się corocznie. Po tym wcieleniu budżet wojny jak i marynarki zaczął wzrastać nie tylko w Anglii, ale i w całej Europie. Stąd wniosek prosty: Anglia myślała i myśli. Co przyrzeka teraz? Ba! Ziemie zachodnie trzeba zwrócić Niemcom, Lwów przypadnie „Wolnej Ukrainie", Wilno „Wolnej Litwie"... Kopalnie wolnym spół-

---

*) Patrz Twórczość nr poprzedni.

kom, ziemia uwolnionym dziedzicom. Monopole rozdzielone, fabryki rozdane... Nagle olśniła Bartona myśl genialna.

— Pułkowniku! Obiecaj rodakom wolność! Wolność i kropka. O wolności napisano bardzo dużo, lecz brak komentarzy nadaje słowu większy powab, bowiem każdy wypełni je najmilszą dla siebie treścią. Poprzestańmy więc na wolności. Mogę jedynie zalecić, byście wolność przez nas obiecaną pisali z dużej litery. Zatem Wolność. Mam nadzieję, że zmianą nie dotkniemy uczuć narodowych i nie obalimy zwyczajów przyjętych w pisowni.

Utarło się mniemanie, że rząd angielski przeciwko słabemu gotów interweniować nawet w złej sprawie i w niewłaściwym czasie. Przeciwko silnemu zaś nie poważy się interweniować choćby w najlepszej sprawie i w najdogodniejszym czasie. Oczywiście, jest to przekonanie od początku do końca fałszywe. Rząd angielski wówczas interweniuje, kiedy widzi, że to przyniesie pożytek i wtenczas wyraża się w formie najodpowiedniejszej położeniu rzeczy. A kiedy wie z góry, że nie będą rad jego słuchać, że w takim razie musiałby z zimną krwią znieść odmowę, to roztropność, a nawet dobro tego, za kim miałby się ujmować, nakazują nie drażnić tego, kogo nie można przekonać.

— Muszę wyznać — Barton przybrał smutną minę — że nie panuje u nas usposobienie, które skłoniłoby Anglików do pójścia na wojnę o sprawę polską. Nie znaczy to jednak, by współczucie okazywane pańskim rodakom i uwielbienie dla ich charakteru, były gołosłowne, a troska papierowa. Właśnie dobiegła końca poufna konferencja, której przewodniczył pułkownik Kelly. Panowie Daumme i Mayer z jednej strony, a Kit z Podlipskim z drugiej, radzili wspólnie nad ratunkiem kraju. Ci ostatni z emigracji, wykazali rozsądek godny podziwu. — Barton nie określił bliżej rozsądku Kita i Podlipskiego. Kusiak zaś nie pytał, więc Anglik mówił dalej. — Będzie to piękny gest, nieomal bratni, gdy pomoc przyniosą wam dywizje odrodzonych, rzecz jasna, moralnie hitlerowców. Dlatego też, w akcji przeciwko Jedlickiemu nie będziecie osamotnieni. Nasz człowiek weźmie w niej udział.

— Teren wybrano, poczyniono przygotowania. Najpewniej w ciągu tygodnia Jedlicki wyjedzie na inspekcję. A wtedy... — Kusiak uśmiechnął się do swoich planów. — Wtedy...

— Troskę o przyszłość zostawcie nam, drogi pułkowniku. Nie przeciążajcie głowy — dokończył dobrotliwie Barton.

Krótką chwilę poświęcono Bizuniowi. Dzielny ten człowiek dał się pochwycić w lasach pszczyńskich i został osadzony w więzieniu krakow-

kim. Barton przyrzekł pięć tysięcy dolarów i jednocześnie wyraził po-
ląd, że znaczna kwota przywróci najpewniej Bizuniowi wolność.
— W zasadzie powinien odpowiadać z wolnej stopy.
Na tym rozmowę zakończono. Obydwaj panowie powrócili do czeka-
ących samochodów i rozjechali się, każdy w swoją stronę.
— Już mędrkują! Co to będzie potem! — myślał Barton krzywiąc się
a hałasy sygnału, którym kierowca spędzał wozy jadące środkiem szo-
y. — Nigdy nie umieli rządzić się sami, a teraz nabrali ochoty? Tak to
est z Polakami. Kelly ma rację. Tylko to co człowiek robi sam, dobrze
ię robi. Pisany musi słuchać Beckmanna, Kusiak i reszta — mnie. No
Kellego.
Jeżeli spisek weźmie w łeb, bo z tym należy również liczyć się, po-
ostanie misterna jak przędza siatka w wojsku. Trudno narażać Angli-
ów na polskie więzienia, a informacje są potrzebne. — Barton skrzy-
vił się. — Ciężko się wcisnąć cudzoziemcowi. Porobili ciasne drzwi. —
Naraz przypomniał sobie Lipowicza i rozmowę z nim w Clementino.
Prawie roześmiał się. — Podobno myśli o wyjeździe. I jemu zaczyna być
uszno... Ma zasługi, niech sobie wraca. Jeżeli wpadnie, niewielkie
martwienie. Coż on wie? Mało, prawie nic... A gdyby Lipowicz wpadł
naprawdę?... — Barton usiadł, wreszcie wstał i zaczął przechadzać się po
arasie. — Na razie za wcześnie, bo Dahomejski jest nam potrzebny...
Tak, Lipowicz może pociągnąć za sobą Wypęską, a ją osłania Mayer.
Tak, tak, zaczekamy nieco... Lecz o cóż właściwie chodzi? Człowiek,
tóry wskaże Lipowicza i odkryje władzom jego działalność, zjedna
hyba zaufanie. Czy Lipowicz m u s i złożyć zeznania? Oczywiście
ie! A zatem, pomyślimy nad tym... Postaramy się uchronić Lipowicza
d przewlekłego śledztwa i nużącego pobytu w więzieniu...
Słońce zsunęło się poza świerki i ogród wionął chłodem. Anglik otulił
ę szlafrokiem i wrócił do mieszkania. Dzień był jeszcze krótki
zmierzch zapadał wcześnie. Gdy mrok zaczął gęstnieć, Barton wsiadł
o samochodu. Popielaty wóz pomknął na południe.
Było zupełnie ciemno. Noc matowa, bez gwiazd i odblasku księżyca
a śniegu zaścielającym jeszcze pola. Barton kazał zgasić światła i czas
ewien czekali na bocznej drodze, z dala od głównej szosy. Wreszcie po-
yszeli. Samolot zbliżał się z północnego zachodu. Przeleciał i znów za-
zumiał, zniżywszy lot, nadlatując z południa. Barton zaniepokoił się.
zy nawigator odnajdzie miejsce bez pomocy radia? Skakał kiedyś ze
padochronem, więc doskonale rozumiał, co przeżywa Beckmann schy-
ony nad otwartą klapą.
...Mroźne powietrze wdarło się już do wnętrza i wypełniło kabinę prze-

nikliwym chłodem. Huk silników ogłuszał jak przy starcie. W prostokątnym otworze przewijała się taśma ziemi upstrzona łatami śniegu i głęboką czernią lasów. Pojawiły się i nikły, jakby uniesione nagłym falowaniem ziemi, mdłe światełka osiedli. Raptem maszyna przechyliła się na skrzydło i zatoczyła koło. Nawigator odnalazł miejsce. Zabłysło zielone światełko. Oficer położył dłoń na ramieniu skoczka. Czerwone światło!

— *Go!* Skok!

Pęd okręcający głowę wiatrem. Niesamowita cisza po kilku godzinnym huku motorów. Nagłe szarpnięcie i błogi spokój pod czarną czaszą spadochronu. Wiatr kołysze silnie, więc trzeba zająć się linkami i opanować ruch zdradliwy przy zetknięciu z ziemią. Ciemne szeregi drzew zbiegające się pod ostrym kątem są coraz bliżej. To skrzyżowanie szos. Już zabłysły tam reflektory oświetlając pnie długą, jaskrawą smugą. Zgasły i znów zalśniły w nocy. Potem ostatnia myśl: śnieg myli odległość. Ziemia jest blisko! Uwaga, ziemia...

Stało się tak, jak zdarza się często. Uczciwy człowiek pośliznie się na pestce i złamie nogę na równej drodze, a kanalia zrzucona z samolotu, przeleci kilometr w powietrzu i nie rozbije łba, choć drzew na polu dużo.

Więc i Beckmann wstał o własnych siłach. Zwinął spadochron i lekko kulejąc, poszedł w stronę szosy. Dwaj ludzie wyszli na spotkanie, ujęli pod ręce i pomogli wsiąść. Spadochron wetknięto do bagażnika. Barton zasłonił firanki. Wóz ruszył.

— Mimo wszystko, nie znajduję przyjemności w skokach, choć jest to sport prawdziwie męski — powiedział Beckmann rozcierając kolano. Anglik podsunął termos z herbatą i koniakiem.

Droga powrotna minęła w milczeniu. Beckmann rozkoszował się jednostajnym, ledwie dosłyszalnym buczeniem motoru. Zwalniali przed sennymi posterunkami milicji, by w chwilę później nadrobić czas na pustej szosie. Cudzoziemska banderka i litery CD uwalniały od pytań i wglądu w papiery. Po kilku godzinach samochód zatrzymał się. Barton wysiadł, otworzył drzwiczki i rzekł wskazując willę pogrążoną w mroku:

— *My house is my castle.*

— Doskonałe powietrze! Jak pan wytępił tubylczy smród? Podziwiam! — Beckmann klepnął Anglika w plecy i śmiejąc się głośno poszedł przez ogród.

Świt zastał obydwu w zacisznym gabinecie nad szklankami niezastąpionej whisky. Beckmann, odprowadzając wzrokiem kółka dymu, które pod sufitem łączyły się w niebieskawą chmurkę, mówił:

— Osiągnęliśmy porozumienie i jesteśmy zupełnie zadowoleni z wyników konferencji. Panowie Kit i Podlipski stanęli na stanowisku, które umożliwiło rozsądną współpracę.

— Tu sprawy graniczne są kwestią drażliwą — wtrącił Barton.

— Tam nie odczuwaliśmy tego. Podlipski powołał się na poglądy jakiegoś Augusta, który podobno już w roku 1917 nie obstawał przy Gdańsku i Śląsku.

— August? Ah, tak, przypominam sobie. Był taki. Urzędował w Londynie jako delegat Rady Stanu. Teraz też tam siedzi. Czy nie premier? Może prezydent?

— Następnie — mówił dalej Beckman — okazało się z rozmowy, że Podlipski był przed wojną w Berlinie i miał szczęście gościć Hitlera w swojej ambasadzie. Wódz przybył na przyjęcie urządzone z okazji odnowienia gmachu. — „Panie kanclerzu, to wszystko zostało zrobione rękami niemieckich robotników!" — powiedział Podlipski na powitanie. A na to Hitler, zwracając się do ministra pracy: — „Widzisz, jakiego mamy teraz posła? Odnawia budynek rękami niemieckich robotników! Nadzwyczajne!" Być może, Podlipski łże, chcąc pochlebnym zdaniem Hitlera zjednać naszą sympatię.

— Wątpię. Podlipski przez cały czas swego urzędowania zapewniał Warszawę o pokojowych zamiarach Hitlera.

— I były pokojowe! Czyż narzucona wojna przekreśla pragnienie pokoju?

— Zostawmy spory filozofom. A Kit nie mówił nic? Pamiętam go z Włoch.

— A jakże! Przypomniał słowa Napoleona o Polsce, Rosji i o Indiach!

— Co? — Barton skrzywił się z niesmakiem. — Cóż na to Kelly?

— Powiedział: nic nie szkodzi! Jeśli Anglia traci, to na rzecz Ameryki!

— Hm. Zawsze lubował się w błyskotliwych powiedzonkach. Jeszcze kropelkę? — Barton napełnił szklanki zapominając o wodzie sodowej.

— Mayer prosi o posłanie kwiatów pani Wypęskiej. Zbliża się ich rocznica, o której, jako dżentelmen nie chciałby zapomnieć.

— A pan? Bardzo chętnie?

— Raczej nie. Gdyby zdołała odszukać psa, to proszę go przygarnąć i poczynić starania, by wrócił do Niemiec. Moja znajomość z panią Monik ą miała charakter wybitnie służbowy. Mayer co innego. On bez sentymentalnych gestów nie przeżyje dnia.

— Czy chciałby sprowadzić Monikę do siebie?

— Mój Boże! Po co?! — wykrzyknął szczerze ubawiony Beckmann — Sentyment i obłęd, to dwie różne rzeczy. Lecz porzućmy żartobliwy ton... Daumme chce uczcić pamięć brata wydaniem książki poświęconej jego życiu. Może uda się zdobyć fotografie z procesu, pamiątki z więzienia? Słowem to wszystko, co związane jest z ostatnimi chwilami nieodżałowanego pułkownika Maksa Daumme. Sprawa jest pilna, wydawcy wołają o rękopis.

Barton skinął głową.

— Rozumiem. Książka, to piękny hołd. — Barton odsunął szklanki i położył na stoliku mapę. — Można? Czy woli pan już udać się na spoczynek?

— Proszę. Lepiej wszystko na raz.

— Pojedzie pan z kolumną amerykańskich ciężarówek wiozącą dary dla szpitali. Pańskie miejsce w ostatnim wozie. — Barton wiódł ołówkiem po czerwonych liniach szos. — Tu napadną was ludzie pułkownika Pisanego. Spotka pan wśród nich wielu rodaków, tak że nie będzie trudności z językiem. A przepraszam, zapomniałem, że pan świetnie włada polskim. Proszę zanotować numery skrzyń. Dopiero po przeładowaniu na wozy, zaczniecie hałaśliwą strzelaninę. Co dalej, to pan już wie. Po wykonaniu zadania — powrót. Proszę wierzyć, nie zostawimy pana w górach. Wszystko opracowane dokładnie, jak gdyby szło o Anglika... *Sorry*... — bąknął Barton.

— Nie dziwię się — odrzekł pogodnie Beckmann. — Współpraca z Polakami usprawiedliwia pana w zupełności.

— Służba w koloniach też zrobiła swoje. Nie zatrzymuję dłużej, bo ruszacie jutro. W ogrodzie już prawie dzień, tylko my przetrzymujemy noc, nie gasząc światła.

— Jutro? Więc sprawa nagła... Dobrze. Za trzy godziny poproszę o kąpiel.

...Kolumna wyruszyła po południu, gdy ruch był największy. Wozy sunęły wolno i Beckmann miał możność przypatrzeć się Warszawie. Zdumienie rychło zmieniło się w złość silniejszą ponad wszystko. Jak śmie żyć miasto skazane przez Hitlera na rolę pastwiska? Wściekłość krwią uderzyła do oczu. Wyskoczyć z dobrym automatem i siec kulami nienawistny tłum. Z chodników spędzić w piwnice i wtedy — granatami! Budują domy...?! Zawezwać stukasy i miotacze ognia!

Auta stanęły przed skrzyżowaniem. Na wprost szyby pojawiła się twarz milicjanta. Beckmann zacisnął szczęki i odruchowo spojrzał na swój mundur. Odetchnął z ulgą: sukno zielone, a na rękawie znaczek czerwonego krzyża.

Tuż o parę kroków, przewijali się ludzie niekończącym strumieniem. ążyli w różne strony, odmienne nosili ubrania, lecz wszyscy pędzili ım i sam, dotknięci gorączką pośpiechu. Jak gdyby spraw wciąż było ınóstwo, a życia wszystkiego pięć minut. Na samochody patrzyli obojętie, bez życzliwości i bez złości. Widać przyzwyczaili się już do widoku udzoziemskich kolumn przeciągających ulicami miasta.

Milicjant podniósł rękę i wykonał zwrot. Samochody pojechały dalej, stronę krakowskiej szosy. W pobliżu dworca kolumna zatrzymała się onownie. Beckmann zdążył ochłonąć z wrażenia i spokojnie wyglądał szoferki. Nie poznał i nie przeczuł chłopca z Krasnych Gajów w młoym sierżancie, który wysiadł z tramwaju i przecisnął się między woımi. Zresztą nie pamiętał drobnego epizodu z przydługiej wojny. ndrzej zaś nie miał właściwości słonia, by wykryć krzywdziciela przed wielu lat. Gdyby nie dziadek, poszedłby prosto na dworzec, lecz ok przystanął.

— Czekaj, popatrzę na Amerykanów. Naładowali, aż przysiadły woy... Co mówicie ludzie? Żywność? Ha, coś mi apteką tutaj zalatuje na rzemian z mydlarnią. Lekarstwa chyba?

— E, tam z nimi! Jedną ręką dźgają, a drugą plaster podają. Dziadek, wieczora będziemy stać? Niecałe dwie godziny zostało do odjazdu! udzie teraz jeżdżą, aż wagony puchną.

— Bo to wojna tak naród rozhuśtała. Święto, nie święto, każdy się cha, jakby kolej dla niego była zbudowana... — burczał Ksawery osłaiając koszyk z domowym prowiantem. — Ludziom się wydaje, że kolej ez nich nie przeżyje dnia! Pasażerów na pięć lat wystarczy! Tylko łopot z nimi i obraza starszych! — ryknął rozzłoszczony, bo go ktoś alnął wypchaną walizą.

W ostatniej chwili, gdy konduktorzy zatrzaskiwali drzwi i pociąg iał już ruszać, Andrzej zobaczył dziewczynę. Krzyknął z całej siły:

— Panno Cesiu! Cesia! Ceśka!...

W rozgwarze pożegnań i wołań, okrzyk zabrzmiał nie głośniej od eptu. Najpierw kobieta z tobołem, potem mężczyzna z walizką, wreszie żołnierz z workiem i ot, tłum zasłonił dziewczynę i poniósł do wyjia. Nic już dojrzeć nie było można.

Cok szedł aż do końca peronu.

— A nie daj mi się tym...!

Andrzej uśmiechnął się dziarsko, lecz bodaj pierwszy raz z goryczą omyślał o służbie. Jak długo jeszcze?

Cok stał na peronie, aż znikły tarcze ostatniego wozu. Powracał eszo, chcąc szybkim marszem uspokoić żałość.

— Ckni mu się do dziewczyn... Ha, człowiek do krowy przecież nie podobny. Bydlątko też porykuje na wiosnę... Ha, każdy swoje odwojować musi. Byle szczęśliwie...

Szedł coraz prędzej. Zamyślony nie patrzył na boki. O zmierzchu dotarł do Gajów. Odsapnął chwilę i rzekł do Wiktorii:

— Wiesz matka? Pojechał.

— Ej, stary, stary! Tobie już tylko witkę i kulawą gęś, bo zdrowej nie dojrzysz! Po coście chodzili na kolej? — Cokowa podparła się pod boki. — Powiedz? Lokomotywę próbować?

— Wołał Andrzejek za jakąś dziewczyną. Widać znajoma. Tu nam nic nie mówił.

— Czekaj, może ta lekarka?

— Iii, nie. Chyba panna.

— A to dobrze, bo mężatka przed drogą, to przykrość na nowym miejscu.

— Jedzie na stare, już tam był przecież.

— Ej, co ty tam wiesz... Widziałeś ją? Ładna?

— Będzie ładna!

— Andrzej czarniutki, to ona pewnie blondyna?

— A, pasowałoby tak, ale tego już nie powiem, bom jej nie widział.

— Matko Święta, zgłupiał mi chłop na starość! To skąd wiesz, że ładna?

— Bo głośno za nią wołał. Nie pamiętasz matka jakiej Cesi? Bo tej właśnie Cesia...

— Czekaj, była w Kalinkach Cesia, bratanica Andersów, ale umarła na nogi niedługo po naszym ślubie.

— To chyba nie ta.

Cokowa odwróciła się bez słowa. Dopiero zapalając lampę odezwała się znowu.

— I dziś Wincenty nie przyjechał.

— Robota go trzyma za kark jak Szwedowa naszego Stefana.

— Zachciało mu się Gdańska, to go teraz ma. Do domu nie może dojechać. Popraw lampę, filuje.

Coraz więcej świateł pojawiało się w mroku. Niby świętojańskie robaczki błyskały wzdłuż szosy i prowadziły wzrok pod same miasto. Nad Warszawą zbierała się łuna, uboższa i mniej barwna, lecz po dawnemu drżąca i jak dawniej żywa. Wieczorny oddech miasta odbijający się o niebo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

— Patrz — Isia wspięła się na palce — czy widzisz? Potrafisz tylko krakać. Policz samochody, zważ skrzynie i zapamiętaj: pomagają!

— Naturalnie, oczywiście... Ale powiem ci szczerze: gdy widzę trolejbus, fiński domek, transport ziarna lub kaszy, to wiem, co to jest i do czego służy. A skrzynie, jak to skrzynie, przypominają mi zaraz pudełko dla dzieci. Pamiętasz, były kiedyś takie zabawki. Chcesz powąchać kwiatek, a tu diabełek hyc i szpilką kłuje w nos.

— Przecież wyraźnie napisane: jajka w proszku i kura w kruchym cieście. Innych napisów nie mogę odczytać, ale tych jestem pewna. Znam angielski, wiesz?

— Oj, Isiu, Isiu... Na płotach też piszą różne rzeczy, ale czy zawsze prawdę?

— Roman! Prosiłam tyle razy!

— Przepraszam, już nie będę, ale nie zmieniam zdania. Napis sobie, a treść sobie. Uważaj, Isiu, żeby nie mówiono o tobie: *smotrit w knigu, widit figu*. Ale chodźmy, bo inni też chcą popatrzeć. Nie zasłaniajmy Ameryki.

— Zrobiłeś się strasznie uszczypliwy. Nie jestem wysoka i nie jestem niska. Wzrost w sam raz jak na moje lata.

Spacerowali aż do zmierzchu.

— Właśnie wieczorem Warszawa jest najładniejsza. Rano, zanim tramwaje wyruszą do pracy, pustka wygania z ulic. Jezdnie stają się wąskie, a żywe domy giną w tłumie ruin. Brr.... Stuk własnych kroków budzi chęć ucieczki. A teraz, popatrz, jest pięknie. Ile światła!

— Ja lubię ranek, lecz o godzinę starszy od twojego.

— Tego się spodziewałam. Wiem, o czym myślisz. Tam huk, tu warkot, gdzie indziej chrobot i skrzypienie, słowem początek pracy na budowach. Zgiełk, rwetes... Musisz wszędzie postawić kropkę.

— To nie ja, miła Isiu. To życie.

— Aha. Cóż to jest życie w takim razie?

— Isiuniu, nie bądź idiotką.

— Znów coś nowego. Proszę pozostań raczej przy starej wariatce. Znośniejsze dla ucha.

— Dąsy?

— O, na pewno nie.

Po chwili powiedziała:

— Odprowadź. Nie nauczyłam się nocować poza domem.

W dzielnicy, gdzie mieszkała Isia, nie paliły się latarnie. Powyginane

słupy pochylały się nad chodnikiem przypominając żałosnym wyglądem drzewa zniszczone przez burzę.

— Tęsknię do świateł ulicznych lamp. Nie tylko dlatego, że pozwalają ominąć kałużę i wrócić spokojnie do domu, lecz koją nerwy. Ulice wydarte ciemnościom napawają otuchą. Niemal przemawiają słowami: patrz! znowu żyjesz! — Jakby to nazwać? Oczywiście nie wiem. Po prostu cieszę się, że nie ma zaciemnienia, że nie pożary lecz latarnie oświetlają drogę. Z każdym dniem więcej światła! Ciekawe, czy w innym kraju zerwana sieć przywodzi na myśl tyle wspomnień. Chyba nie. Pewnie wzywają pogotowie elektrowni — i na tym koniec.

— Jesteśmy kwita.

— Nie rozumiem?

— Teraz ty postawiłaś kropkę. Wielką kropę, kochana Isiu.

— Dopiero zrozumiałeś? O, jakiś ty śmieszny.

Umilkła. Rozmowa przytłumiła niepokój i nie była już potrzebna. Szli po nieoświetlonych schodach. Mury tchnęły wilgotną świeżością.

— Tu. Poświeć. Nie mogę znaleźć klucza.

Przetrząsając torebkę znalazła zmięty blankiet nie wysłanej depeszy. Nie pamiętała prawie, po co i kiedy miała iść na pocztę. Więc jeszcze bardziej zgniotła papier. Drgnęła i postanowiła szybko: — Napiszę list. To będzie nawet właściwsze od depeszy.

— O, już mam — podała Tańskiemu klucz — Otwórz...

— Masz nawet radio.

— Pożyczone od sąsiadów. Dali, żebym nie odczuwała tak bardzo samotności. Nie śmiej się. Dopóki nie sprowadzę dzieci, jestem sama... Romku, dlaczego było tak jak było? To takie wszystko głupie... A jednak czułam zawsze, że trafisz do mnie. Choćby na krótko. Chodź, muszę ci coś powiedzieć...

A później:

— Ah, jak może być pięknie.

...— Wolałaś brnąć i grzęznąć coraz głębiej zamiast powiedzieć prosto: zrobiłam głupstwo i nie dam rady udźwignąć następstw błędu. Nie zrobiłaś tego i dużo zmarnowałaś życia.

— Mylisz się. Dałam radę. Przyznaję się, było mi ciężko nie raz, nie dwa, lecz nikt nie wiedział o tym.

— Pozostałaś wierna wychowaniu, ale jakim kosztem...! Powiedziałaś „Choćby na krótko". Dlaczego, przecież nareszcie jesteśmy razem i zostaniemy, bo nam tak dobrze ze sobą.

— Nic nie wiem. Nic nie obiecuję.

— Isiu?

— Czy musisz ciągle mówić?

Spała opierając policzek na ramieniu. Tański pochylił się nad radiem i kręcąc gałką szukał muzyki. Natrafił na urywek dziennika porannego.

— ...szybka i skuteczna interwencja oddziału pod dowództwem oficera Pugańca, zmusiła bandę do odwrotu. Bandyci spalili jeden z samochodów i zniszczyli ogniem pewną część ładunku. Pozostałe wozy kolumny amerykańskiej znajdują się w drodze do szpitala, dla którego przeznaczone są dary. Pościg za bandą Pisanego trwa...

— Zamknij radio...!

Roman obejrzał się. Isia usiadła w łóżku i przytrzymując palcami kołdrę, starała się zakryć ramiona.

— O, Boże, znowu Jacek! Widzę go, jak gdyby wszystko działo się wczoraj...

— Widziałaś Jacka? — powtórzył za nią — Kiedy? Isiu...!

— Pracowałam z Utrechtem. Pewnie słyszałeś o morderstwie w szpitalu. To także Jacek.

— Ah, tak. Stąd pewnie siwe włosy?

— Oczywiście, zauważyłeś dopiero dziś. Pięknie. Czy widzisz także zmarszczki?

— Siwizna ginie w popielatym tle. Masz dawny odcień włosów — powiedział dotknięty oschłym tonem.

— Odwróć się.

Ubierała się z pośpiechem skrępowana obecnością Romana. Tański snuł plany. Mówił o przyszłości ulegając złudzeniu, że idzie za nim i razem oglądają rozległe widoki. Isia puszczała wszystko mimo uszu. Pochłonięta własnymi myślami wtrącała czasem parę słów, by pokryć roztargnienie:

— Proszę? Słucham? Tak jest. Tak jest...

...Na przekór wszystkim znowu związaliśmy losy. O, nie! — poprawiła się z miejsca. — Nasze losy zetknęliśmy na krótką chwilę. Po latach zamknęłam krąg dawnych pragnień. Mam znów Romana. Mogę być dumna: chciałam, więc mam. A na jak długo, zobaczę później... Cierpiałam, tęskniłam i dla Romana uwikłałam się z Jackiem. Wszystko dla niego, choć nawet nie wie o tym. Teraz wystarczy odwrócić się od lustra i jednym zdaniem wyrównać rachunek. Mogę powiedzieć obojętnym tonem: — Wiesz, to, co się stało, wpłynie dodatnio na moje pożycie z mężem. Nie było najlepsze ostatnimi laty. Wysłałam wczoraj depeszę do niego.

...Ba, a jeśli to naprawdę miłość? Co mogę zrobić dla Romana? Prawie nic. Nie jestem już zdolna do poświęceń. Wrócić do łóżka? Nie, bo spóź-

nię się do pracy. Więc, to nie miłość chyba... Więc co? Zaspokojenie podrażnionej ambicji, poczucia krzywdy? Nie wiem, nie wiem, nic już nie mogę wymyślić. On mówi... Aha...

— Słucham.

— Są kobiety, które kochają, nie wiedząc, że kochają. Nie wierząc sobie, nie ufają innym. I wiesz, co robią wtedy? Starają się wzbudzić zazdrość i w niej szukają odbicia własnych uczuć. Prawdziwe czy ułudne? Stąd obojętność, chłód i oschłość głosu. Wreszcie — skostniałe serce i lodowate ciało. Przyznasz, jest w tym trochę racji, jeśli naturalnie, mówimy o miłości, a nie o wzajemnej bladze zaczętej z nudów dla odmiany wrażeń.

— Tak jest.

— Nie trudno postawić jeden krok za dużo poza łatwo przekraczalne granice. Wtedy najprawdziwsza miłość odchodzi uprowadzając za sobą szacunek. Zostają puste słowa, dzwony z wydartym sercem. Uczynki — klocki, z których nie ułoży się ani jednej godziny szczęścia.

— Roman, co ty wygadujesz?

Zdziwiony podniósł głowę. Odłożył gazetę i lekko ruszył ramionami.

— Ja? Nie mówiłem nic. Już gotowa?

— Ah, tak... Jeszcze chwilkę.

Podszedł.

— Isiu, wyglądasz świetnie, ale oczy! Słuchaj, powiedz wreszcie, co ci dolega? Dzieci nie rozbiją nam szczęścia, przecież wiesz dobrze... Co cię gryzie, Isiu...!

Wysunęła się z objęcia. Roman opuścił ręce. Czekał.

— Sumienie! — odpowiedziała Znamięcka.

Zdumienie Tańskiego było tak szczere, że Isia dodała szybko:

— Co robisz po południu? Bo ja właściwie nie mam planów, ani na dziś, ani na jutro... Może dopiero na pojutrze... Już bardzo późno. Muszę iść.

...Następnego dnia Isia i Roman spotkali się jak zwykle i razem jedli obiad w zacisznej knajpce wśród zakochanych par. Rozmawiali z codziennym ożywieniem i wyobraźnią wyprzedzając czas, tęsknili do czułych wieczorów i wspólnych nocy.

Ale po nocach — ranki były złe. I on, i ona, wiedzieli już na pewno, że wybuchami namiętności nie usuną dzielącej ich przegrody. Znamięcka wielokrotnie zaczynała rozmowę i nigdy nie doprowadziła jej do końca. Prawie słyszała własne słowa: mąż żyje i razem z dziećmi jest w Krakowie. Cofała się od progu prawdy. — Powiem mu później. Kiedyś, byle nie dziś... — Przemilczała wszystko, co należało powie-

ieć o Jacku i — o Utrechcie. Zwlekała tak długo, aż urlop Romana zechylił się ku wyjazdowi.

Tański domyślał się, że Isia nie jest szczera. Dotknięty — nie zadawał tań. Zanosiło się na rozstanie, podobne do pożegnania przygodnych chanków, którzy o garść wrażeń bogatsi, wracają każdy do swojego cia. A przecież wierzyli w miłość, więcej, żyli nią przez długi czas.

— Jak mnie to przeraźliwie męczy. Mam nerwy roztrzęsione i nie ajduję wyjścia. O, nie, nie idzie mi o dzieci. Tak, muszę ci dziś poiedzieć wszystko, wszystko...! Bo, jednak chyba kocham ciebie. Dlago właśnie trzeba znać całą prawdę. Tak dalej być nie może. To męka.

Tański milczał. Pomyślał tylko: cóż za ironia losu. Całe życie marzym o drobnej blondynce z okrągłą buzią, o dziewczynie przytulającej ę miekko do ramienia, płochliwej jak wiewiórka i rzucającej tkliwe, rnie spojrzenia... Czy Isia była kiedyś taką dziewczyną? Kochałem , to pewne. I również pewne, że miłość znajdywałem w ramionach biet zupełnie niepodobnych do wymarzonej blondyneczki. Więc...?

Isia odczuła nastrój. Obróciła w żart słowa wypowiedziane dramacznym tonem:

— Nie bój się. Prawda nie będzie bardzo straszna. Zresztą, dałam wszystko, na co mnie było stać. Ty dobrze o tym wiesz. Czy kochasz? owiedz.

Powiedział:

— Kocham.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

„...i to jeszcze, że lekarkę, co mnie leczyła u Tulików, spotkałem, ale ówiłem z nią mało, bo służbowo jeździłem do szpitala. Nic z tej jazdy obrego nie wynikło. Przyjdzie jednak odmiana i kto ma w łeb doać — dostanie. Urlop mi się kończy i czas wracać. Ojca nie widziałem domu, bo buduje statki i nie zagląda do dziadków. Babcia wyrzeka, lichy z niego majster. Inny — mówi — dawno dorobiłby się prywatnej dki przy państwowym statku i mógłby po fajrancie przypłynąć do omu z dalekiego Gdańska. Trzeba napisać, że Babcia jest wczorajsza, my, Wuju, już nie. Przeto nie gniewamy się na nią.

Dziadusiowie mówią mi właśnie, żebym pozdrowienia od nich przeał dla Wuja i za opiekę nade mną dziękował. Myślą sami wyprawić ę w podróż i raz jeszcze zobaczyć Gajówkę, Kalinki i pysowski dwór. a razie nie mogą. Muszą czekać na Tusię. Przysłała wiadomość, że

wraca z emigracji do Polski. Dziadek zapytuje, jak zdrowie Wuja i czy woda zrobiła wam duże szkody, bo tu przybór był wielki. Pyta też Dziadek o Tulika, jakże on radzi sobie, bo przecież to człowiek nowy, niecałe dwadzieścia lat pracuje w lesie.

Teraz jadę znów do wojska, powrócę zdrowo. Ojciec radby zobaczyć mnie w stoczni, ale jaki fach obiorę, sam nie wiem. Życie ciągnie mnie mocno, to pewne. Dziadkowie na dniach sami list napiszą, bo już głośno mówią o tym. Przeto czekajcie, Wuju. Pozdrawiam Wuja i Tulików przed innymi znajomymi. Jak nasza Fizylierka? Nie pisałem wcześniej, ale Wuj wie dobrze, że go szanuje

Andrzej Kieszek, siostrzeniec i sierżant Jednostki Wojskowej".

Jaskółka zdjął szkła i gołym okiem przypatrzył się pismu. Starannie wygładził papier i schował do koperty.

— Wypowiada się gładko i pismo ma równe. Nie przynosi ujmy nauczycielowi i nie trza go z powrotem do klas posyłać. Co z tą doktorką Znamięcką, tego nie napisał jasno. Zrozumieć trudno, kto i za co dostanie po łbie i od kogo. Zawiozę list Tulikom. Niech wiedzą, jakiego partyzanta chowali u siebie! Wyrósł na sierżanta. Oj, sypią teraz szarżami... Nie to co za mojej wojny... Ano, musi być zdolny.

List nakłonił Jaskółkę do wcześniejszego wyjazdu. Wprost z gajówki miał jechać do Bradczyc. Myślał o zebraniu niechętnie i często kręcił głową. Nic dobrego nie przywiózł z Krakowa. Tyle zyskał, że wydał pieniądze na drogę. Całą sprawę mógł wyjaśnić bez jednego słowa. Wystarczyło pokazać towarzyszom puste dłonie! A jeździł wołać o pieniądze.

Szło o to, że od trzech miesięcy ludzie w Pysowach nie dostali grosza. W Krakowie odpowiedziano:

— Państwo nie ma pieniędzy. Musicie czekać, bo z czego wam damy? Nie ma i już.

Nie tylko zaległe wypłaty, ale i cała gospodarka budziła rozgoryczenie. Z samego początku, jak PNZ objęły Pysowy, postanowiono, że majątek dawać będzie elitarne ziarno. Choć było dość koni, przysłano traktory. Nie można powiedzieć, zapowiadało się dobrze, ale radość nie trwała za długo.

Zaczęło się od pszenicy. Przywieziono ją po siewach i wszyscy myśleli, że to ordynaria, więc bez wahania rozdzielono ludziom. Aż nagle okólnik: pszenica na siew! Ledwie awantura przycichła, nadeszło nowe pismo z rozkazem, by kartofle sadzeniaki odstawić do Bradczyc.

— To już głos z tamtego świata! — szeptali ludzie, lecz załadowali

wozy i powieźli kartofle. Przepalono sadzeniaki na spirytus w bradczyckiej gorzelni.

Na koniec nowe polecenie: szykować grunta pod buraki! Chłopi za głowy się brali. Strach oblatywał na widok takiej głupoty. Jak okolica okolicą, buraki nie szły i liche były w całym powiecie.

— A teraz będą! — roześmiał się krakowski dyrektor.

— Pod buraki — rzekł tłumiąc gniew Jaskółka — ziemię trzeba przygotować jesienią. Posadzić można, ale zaoramy wszystko, bo nic innego z takiej roboty wyjść nie może.

— Widzicie okólnik? Umiecie czytać? Okólnik z Centralnego Zarządu!

Jaskółka nałożył okulary i zajrzał do pisma. Milczał, więc dyrektor zapytał:

— Są buraki?

— Ano, są. Na papierze.

Buraki, to nie było wszystko. Zamiast trzody chlewnej nakazano Pysowom hodowlę górskich owiec.

— To jak to, proszę pana? Owce z gór u nas?! Prawda, mamy szmat łąki sławnej na cały powiat, ale reszta kwaśna! Owce poginą, bo to stworzenie delikatne i łatwo choruje na śmierć.

— Jest okólnik?

Jaskółka znów pochylił głowę. Czytał, a dyrektor postukiwał palcem.

— Są owce?

— Ano, na papierze.

Dyrektor odgadł bez trudu, co się w chłopie dzieje. Jaskółka napinał mięśnie, aż kurtka trzeszczała na szwach. Bliski był jakiegoś głupstwa.

— Panie Jaskółka — rzekł wtedy dyrektor — my nic nie poradzimy. Musimy wykonać, czy mądre, czy nie. Nam też to w gardle stoi. Takiej głupoty nie można przełknąć. Widzicie, mówimy tak samo jak wy.

— Jak dwóch mówi to samo, to wcale nie jest to samo — burknął Jaskółka. Popatrzył spode łba i powrócił z niczym. Zamiast pieniędzy wymościli mu głowę okólnikami.

W bogatym Kusaczu chałupy trzęsły się od śmiechu. Gospodarze urągali na głos:

— Mata, głupie, nową gospodarkę! Na naszym zbożu państwo dzisiaj stoi, a wy — sadźta, kopta! Tyle z tej roboty, co gnoju po psie.

Jaskółka rozeźlił się nagle.

— A pojadę, choćby do samej Warszawy! Psia para, muszą mnie puścić do naczelnego dyrektora! Trzeba dopominać się o krzywdę ziemi! Okólników nie przemielą na chleb. Człowiek nie mysz, żeby papier zeżarł. Rzecz w tym, by mi pozwolili na jeszcze jedną podróż. W partii

zrozumieją, że ktoś nam gospodarkę psuje. Jak Kusacz wesoły, to domyśleć się łatwo, czyja to robota.

Nie tylko w Kusaczu, ale i w Kalinkach podnosiły się głosy niechętne i przenosiły wrogość na całkiem inne sprawy.

Koła grzęzły w rozmiękłej drodze; lepkie błoto chwytało jak smoła, wóz ledwie, ledwie posuwał się naprzód. Z pysowskiej szkoły wychodziły dzieci. Jaskółka odszukał wzrokiem Olka Rosika, przywołał do siebie, zatrzymując konia.

— Olek, jak to było z drzewem? Ciąłeś?

— A skąd, panie Jaskółka!

— No, z lasu. Ciąłeś? Przecież widzieli cię?

— Leśny ma złość do matki, to gada. Anim ruszał. Jakbym brał, to by mnie nie widział.

Jaskółka cmoknął na konia i podjechał pod chatę Rosikowej. Gospodarowała z córką na trzech hektarach. Posądzenie rzucił leśny Klimek. Oskarżył Olka o ścięcie dziesięciu drzew na 36 szyjtów grubości, co przeliczone na pieniądze wyniosło równe 108 złotych. Klimek przyciśnięty do muru, powołał się na świadka, którym okazał się jego teść Bryś. Wiedzieli wszyscy, że Bryś koty darł z Rosikiem, a po jego śmierci złość przelał na wdowę. No, Bryś też wojował, ale przed wyborami, za PSL-em. Zapytany wprost, powiedział wykrętnie, że widzieć nie widział, ale słyszał. Sprawa w Gminnej Radzie Narodowej toczyła się pod nieobecność Jaskółki. Buraki i owce przechyliły szalę. Dano wiarę Klimkowi, a Rosikowej kazano płacić, jak ma syna złodzieja.

Kobieta podeszła do wozu. Ładna była jeszcze i trzymała się prosto. Jaskółka zagadnął o tym i o owym, wreszcie spytał o karę.

— Nie zapłaciłam i nie zapłacę, bo zełgane od początku do końca. Muszę kupić metr żyta, a nie wyrzucać pieniądze. Tyle zobaczą z tych pieniędzy! Wiecie? Ano!

— A z Radą jak będzie? — Jaskółka uśmiechnął się na widok dosadnego gestu. — Przecież uchwalili karę.

— A tak. Partyjni mówili za mną, ale nie przemogli reszty. Zostało przy karze. Na koniec tak mi powiedział Bryś: — Jeśli nawet wasza krzywda i Olek nie złodziej, to Pan Bóg rzecz osądzi i wynagrodzi was innym razem.

— Ha, psia jego mać. Dobrze wie, co w niebie myślą!

— Własne Brysia słowa. Więc im rzekłam, że takich spraw Pan Bóg nie sądzi, tylko ludzie na ziemi. A jak Pan Bóg będzie te sprawy sądził, to nam Rady Narodowej nie potrzeba, żeby była Rada na papierze tylko zapisana!

— Jadę do Bradczyc i będę dziś w partii. Partia rozważy i znajdzie prawiedliwość. Nie doznacie krzywdy.

— Iii, jestem spokojna. Wysłałam już list ekspressem do Obywatela Prezydenta!

— O! — Jaskółka spojrzał z podziwem. — A, tego, no... Czekajcie, dres podaliście dobry?

— Pewnie! „Do naszego Prezydenta w Warszawie". A znaczki przyepiłam domowym klajstrem, żeby nie odpadły i nie było zwrotu. Nakosztuje się Rada wstydu za moją krzywdę.

— Pisaliście, że mąż poległ pod Budziszynem?

— A jakże! Widzicie, że mogę spokojnie czekać na odpowiedź, a nie łuc głową przed Klimkiem, żeby cofnął skargę. Ot.

Jaskółka odjechał z mocnym postanowieniem: żeby nie wiedzieć co, otrę do Warszawy! Nie może tak zostać i marnować się dłużej! Tak był zajęty myślami, że nie dostrzegł śladów samochodowych opon na drodze do gajówki...

Ocknął się dopiero, gdy żołnierz zatrzymał wóz przed obejściem spytał kto i do kogo?

— Jeszcze wczoraj mieszkali Tulikowie tutaj, bo gajowego miejsce w gajówce, a nie na plebanii. Nie uczyli was o Jaskółce? Niedobrze! — Zaciął konia i wjechał na podwórze. Pod ścianą stał samochód. Kierowca leżał pod wozem i zawzięcie majstrował.

— Józiek! — Jaskółka pochylił się i zajrzał pod karoserię — Robi się wiosna...

— Michał?

— No... Co to, popsuła się wasza maszyna?

— Klapie w podwoziu. Nie mogę dojść, gdzie ten diabeł siedzi. Czekaj, tu jest trochę luzu. Dociągnę.

— Et, nie wydziwiaj. Droga nierówna i stąd blachy hałasują. Mój wóz też brzęczy, jak koń rusza kłusem.

— Michał...!

— No, już nic nie mówię. Rób swoje. Ja ci tylko daję znać, że wiosna, ty zimę wciągasz w krzyże.

— Gadanie. Wiesz przecież, że on nie lubi, jak w samochodzie kołaze, choćby całkiem cicho.

— Mówił?

— Nie, ale gotów pomyśleć, że nie znam się, albo nie dbam o maszynę. Ledwie zjechaliśmy z szosy brzęknęło raz, drugi. Widziałem, generał skrzywił się. Ze wstydu mało nie zacząłem trąbić, żeby te stuki zagłuszyć.

Nadszedł Tulik i Jaskółka wydobył list. Przeczytał nie wszystko, bowiem nie chciał urazić gajowego niezręcznym pytaniem starego Coka.

— Widzisz? — pokazał podpis — Sierżantem już jest! Jak nic pójdzie do szkoły i oficerem zostanie! Udał mi się chłopak, co? Nie ciągnij do izby, bo zaraz jadę dalej. Słyszałeś? Rosikowa wysłała list ekspressem do Prezydenta!

— Bryś ważny, bo daleko pluje. Odgraża się.

— Zobaczymy! A mnie znów czeka droga. Pojadę do Warszawy. Co ty na to?

— Ej, Michał, ciągle nadstawiasz otwartą gębę. Muchy już bzykają, może wlecieć która. Nie załatwiłeś sprawy w Krakowie. Skąd wiesz, że w Centralnym Zarządzie wysłuchają i przyznają rację?

Jaskółka obruszył się na takie gadanie.

— Jechać, nie jechać, pojadę! Dyrektor z Krakowa nie wart pieczonej wszy. W Warszawie inna sprawa. Muszą zrozumieć!

— Słusznie. Trzeba dopominać się o swoje! — rozległ się głos za nimi.

— Obywatelu generale, nie idzie o moje. Ziemi dzieje się krzywda. Jakże jej nie bronić?

— A czyje to wszystko? — generał ruchem ręki ogarnął okolicę — Wasze!

— Przeto nie myślę hodować górskich owiec... — mruknął Jaskółka i nagle wywalił wszystko, co miał na sercu. Nie pominął ani buraków, ani owiec, ani uśmieszków dyrektora z krakowskiego urzędu. Na ostatku użalił się na brak części do popsutego traktora. — Mamy w powiecie rędziny, to ziemia dobra i wdzięczna, jeśli ją szybko, czyli mechanicznie uprawiać. Traktor nie może stać! W sprawie zaś hodowli powiem tyle: każde dziecko wie u nas, że jak kaczki, to Pekiny, jak gęsi, to pomorskie, a z kur najlepiej chowają się leghorny i karmazyny. Były kiedyś próby, żeby wprowadzić zielononóżki. Okazało się jednak, że nie trzymają się w naszych stronach. Nawet krowy nie u wszystkich jednakowe. Tu zobaczycie tylko czerwone, a bliżej Jędrzejowa łaciate holenderki.

Generał zaciągał się dymem i uważnie patrzył w stroskaną twarz chłopa. Naraz zapytał:

— A wiecie, co to są gąsieniczniki?

Jaskółka poruszył się niespokojnie, chrząknął, lecz nie rzekł nic.

— To błonkoskrzydłe owady o wysmukłym ciele, ciekawe tym, że jajka swoje składają w gąsienicach motyli. Z jaj wyrastają poczwarki. Żyją, rosną i rozwijają się w liszce. A gdy nabiorą sił, wtedy rzucają

ię hurmem, przebijają skórę i wychodzą na zewnątrz. Gąsienica ginie... są ludzie podobni do tych owadów. Chcieliby postąpić z nami jak oczwarki z liszką motyla. Najpierw upaść brzuch na rewolucji, a potem ą zabić.

— Zaraz mi się wydało, że znam te gąsieniczniki...

— Będą części do traktorów i będą też ludzie na miejsce wrogów. budujemy potrzebne maszyny i wychowamy dyrektorów — generał mienił ton i zagadnął z uśmiechem. — Panie Jaskółka, a co myślicie sianokosach?

— Ano, świętego Jana nikt się nie bierze do siana.

— Szkoda, bo wcześniejsze siano więcej ma białka i lepsza z niego asza.

Jaskółka stropił się nieco, lecz odrzekł bez zwłoki.

— Nie nazywam się wilk i na owce nie dybię. Mają być, niech będą, yle w przydatnych na hodowlę stronach. Nie uciekam przed nowym nie tęsknię do sochy. Chłop przestał być głupi.

Owce, owszem, były i przed wojną. Pamiętam „negrety", „świnarki", rambujety", ale marniały szybko. Jeśli mają być teraz, to trzeba zazynać od pastwiska, czyli po kolei brać się do roboty. Tyle mego żalu.

Jaskółka wkrótce odjechał. Z nim Tulik. Generał stał w oknie odprovadzając wzrokiem wóz telepiący się ku miasteczku. Choć niedopałek ie dogasł jeszcze w popielniczce, Jedlicki sięgnął znów po papierosa. 'warz miał chmurną.

— Jak psują te pryszczate karły o przekonaniach pozwijanych rolki, żyjące etyką czerpaną z szaletu! Gotowi świństwo perfumovanym polakierować łajdactwem i każdej chwili zdolni są opiewać przymilnie uniesionym pyskiem. Idą...!

...w ręku oda,
Do Chrystusa, do Heroda,
A w zanadrzu wierszy trzysta,
To na przyjście Antychrysta!

To w oczy, a za plecami, kiedy myślą, że umknęli przed bystrym wzroiem ludu, pełzną bagnistą ścieżką, drążą, judzą, knują. Nienawidzą! Vciskają się w organizm ludowego państwa i prą kiszkami, żeby stozyć serce, partię. Jak złoszczą! O tym milczeć? Czekać?

Co stanie się ze sprawą Jaskółki? Kogo spotka w urzędzie, do którego ice jechać? Kto tam dyrektorem? — Jedlicki zmarszczył brwi. — , p a n Szopiski...! Tak, życie, to nie zabawka. Życie, to jest życie takim ono bywa niekiedy.

— Łukasz! Czy ty rozumu nie masz! — Katarzyna załamała ręce. — Papieros od papierosa!

Chwyciła papierośnicę i schowała za siebie. Nie mogła sobie darować, sama wyszukała „Machorkowe“ i kupiła parę tysięcy na zapas. Jedlicki palił tylko mocne papierosy. Palił dużo.

Generał drgnął.

— Kasiu, życie, to jest życie... Różne myśli przychodzą do głowy i nie wszystkie są dobre.

Dostrzegła ruch prawym ramieniem, nawyk i ślad po dawnej kontuzji. Zrozumiała: zdenerwowany. Położyła papierosy z powrotem na stole i poprosiła cicho:

— Łukasz, nie pal tak dużo. Przecież potrzebny jesteś nie tylko mnie... Musisz odpocząć.

Urlop? Kiedyż miał ostatni? Tak dawno, że prawie już zapomniał. Prawda, nie czuł się dobrzej tej wiosny. Przy grypie przyczepił się kaszel. Częste ataki zrywały piersi i szarpały serce.

— Wypijesz mleka z miodem?

Uśmiechnął się i czule pogładził włosy upięte z tyłu głowy. Jasne, lśniące, splecione według wiejskiej mody. Katarzyna twarz miała owalną i piękne kolory, jak owe dziewczęta z obrazów, gdzie na tle malw i słoneczników żyje naiwny flirt z przebarwnym ułanem.

— Zaraz będę kąpała małego.

Poszedł za żoną do sąsiedniej izby. Pochylił się nad łóżeczkiem i wziął syna na ręce. Twarz zajaśniała nagle i w przyciemną izbę padł odblask słońca, co świeciło generałowi pod niejednym niebem. Wiatr, choć ledwie muskał ściany i cichuteńko przygrywał na węgłach, jakby się wzmógł gwałtownie... Jakieś szelesty, szumy i poświsty zakołysały domem przynosząc z dalekich stron, od różnych pól, wspomnienia walki za jedną zawsze sprawę.

Jedlicki mówił do dziecka i do matki:

— Tylko patrzeć, jak wierzby pokryją się liśćmi i brzozy zamigocą młodziutką zielenią i zanim znudzi się wiosna, już nadejdzie lato. Już raz było, czy pamiętamy? Księżyc srebrny świecił, konik polny z kimś rozmawiał w zbożu, żabki sennie przekomarzały się w stawie, ptaszek jakiś we śnie zaświergotał ze strachu. Dobrze tak było i cicho, i blisko był cały świat. A teraz bujniej i szerzej zazielenią się pola i lasy, bo starsi jesteśmy, silniejsi o rok. Nawet siadamy sami i próbujemy chodzić i umiemy zawołać do mamusi cudnej... I święta razem spędzimy. Spodeczek zbijemy i szklankę zrzucimy ze stołu (tylko żeby ona nie

widziała!), uciekniemy do ogródka przed mamą, do babci się schowamy...

Tulikowa słuchała oparta o ścianę. Łykała wzruszenie i splecione dłonie coraz silniej cisnęła do piersi. Aż oczy wezbrały łzami, zawstydziła się wtedy i poszła grzać wodę na kąpiel dla dziecka.

— I choinka będzie ze świeczkami i drzewa ubrane w białe czapy z puchu. A dziadziuś zrobi saneczki, bo już nam obiecał. Prawda, babciu?

— Oj, zrobi, zrobi — odpowiedziała znów zaglądając do izby — już drapie się w głowę i co ruszy drewno, to mówi, że nie takie, o jakim pomyślał. Ale dopilnuję sama! A jak to patrzy, jak się śmieje! Eh... — Tulikowa westchnęła i głową pokręciła w podziwie.

— Potem, jak zupełnie dorośnie, to pójdzie Piotruś na służbę Ojczyźnie, do wojska i dobrym będzie żołnierzem... — mówił dalej Jedlicki, lecz spostrzegł nagłą troskę, która jak cień przemknęła po twarzy Kasi. Przygarnął żonę do siebie i żartobliwie grożąc palcem, upominał syna. — I przede wszystkim, całe życie najwięcej będzie kochał mamę, najlepszą, najcudniejszą z mam, jakie istnieją na świecie. A tatuś chciałby wszystko, co zostało w życiu, oddać synkowi i mamusi najukochańszej.

Dziecko zaczęło gaworzyć i kwilić po swojemu, dopominając się o matczyną opiekę.

— Wołaj, syneczku, wołaj. Ucz się, bo inaczej trudno będzie, gdy dorośniesz.

— Wiesz, Kachna — rzekł Jedlicki oddając syna — przychodzi myśl czasem natrętna i tym trudniejsza do odpędzenia, że otulona tęsknotą jak burką... Nie chcę więcej. Nie mogę żyć z dala od domu. Wystarczy. Myślę, że to nie tylko mój głos, lecz także tych wszystkich, co długo nie zaznawali spokoju.

— Łukasz, a powiedz sam, ileż się naprosiłam! Odpocznij, choćby krótko!

Zapalił i znów popadł w zadumę. Zapatrzony w las ciemniejący za oknem Jedlicki mrużył oczy. Zwichrzone myśli nie odstępowały głowy.

— Dzieją się rzeczy, działają ludzie, i to hamuje chęci. Tak, nie trzeba ich poruszać. Dom rośnie, lecz nie bieleją jeszcze ściany, nie kwitną nam kwiaty przed wejściem. Nie jedno lato przyjdzie przepracować, by ludzie poczuli się bezpieczni, syci, by uśmiechnięci i odziani budowali coraz lepsze życie. Widzisz, jak gadać o urlopie?

— Nie dmuchaj dymem! A jednak musisz nabrać sił. Chorowałeś przecież i trochę zmizerniałeś. — Katarzyna pocałowała dziecko i weszła do babki.

— Życie, to jest życie. Nie sztuka brodzić w płytkiej wodzie i zmarszczką byle fali dać się wypłoszyć na brzeg. Dowódca musi płynąć głównym nurtem polityki słusznej dla państwa i narodu. Co więcej, musi być tej polityki osłoną i ramieniem. Za wcześnie więc na odpoczynek. Kasiu, uciekam z papierosem, bo ci znów zadymię cały dom.

Na podwórze wjechał samochód. Kierowca, zadowolony, dawał znać, że nic nie stuka i już nic nie klapie. W porządku! Generał uśmiechnął się i wyszedł do szofera, towarzysza od lat, wiernego i oddanego.

W drugiej izbie pluskała woda. Katarzyna i babka zagadywały dziecko, bo kąpiel w tym wieku, to poważne przejście i o grymasy nie trudno. Pietrek, zwyczajem wszystkich dzieci, niechętnie poddawał się zabiegom, dąsał się wyraźnie, ale nie bronił się płaczem. Naraz, zaniósł się przeraźliwym szlochem przeradzającym się w krzyk pełen bólu.

— Matko Święta, co takiego! — babka struchlała. Wnuczek, to wnuczek, ale syn generała! Nie rozumiejąc powodu tak niespodziewanej, zmiany, wyszeptała blada z przerażenia. — Uroki ktoś rzucił! Na pewno uroki...! Ludzie gotowi na wszystko! Z kwiatami było akurat tak samo! Generał bodzie w oczy, więc ciskają podlece uroki!

Katarzyna chwyciła dziecko, lecz całusy i utulanie nie zdały się na nic. Mały darł się w niebogłosy. Babka nie traciła czasu. Krążyła już od kąta do kąta i suchą dłonią szczypała zioła. W kubku bełtała jakieś płyny i zamawiała, zamawiała...

— Co się stało, syneczku, co tobie się stało? — powtarzała matka nie mając odwagi powiedzieć nic więcej. Piotruś nie martwił się strachem, jaki napędził kobietom. Krzyczał coraz głośniej. Wiadomo, że krzykiem też można przywołać chorobę... Babka najmocniejsze mamrotała zaklęcia. Wreszcie szepnęła do córki.

— Już gotowe...Trzymaj dziecko niżej.

Obmyła chłopca dziwnie wonną cieczą, zdolną odpędzić najgorsze licho. Potem przetarła policzki, uszy i zwilżyła oczy. Piotruś chlipnął parę razy, kichnął i ucichł.

Kobiety, tknięte niedobrym przeczuciem, odwróciły się. Na progu stał Jedlicki i chmurnie przyglądał się gusłom. Milczał, tylko ramieniem zdradzał zdenerwowanie silniejsze niż zwykle. Nie powiedziawszy słowa, wykręcił się na pięcie.

Katarzynie krew uderzyła do głowy. Bezradnie spojrzała na matkę. Tulikowa patrzyła w kąt. Kubek trzymała za sobą.

— Popsułam wszystko... Pomyśli, że jestem głupia i dziecka nie wychowam.

Po kolacji, gdy Piotruś spał spokojnie, Katarzyna przemówiła ierwsza.

— Łukasz, muszę powiedzieć. To było głupie.

Pokiwał głową.

— Do czego to podobne, jakimś paskudztwem obmywać dziecko! Kasiu, sprawiłaś mi dzisiaj ból. Wiesz. Nie uprawiaj mi tych błazeństw a moim dziecku.

— Moja wina. Pietrkowi mydło trafiło do oka. Gdy matka przetarła, przestał płakać. — Katarzyna poczuła ulgę.

— Żebyś żadnych uroków nie odczyniała. Jak mogłaś dopuścić, żeby mydło kapnęło do oka! Takie małe dziecko! Powtórz to przy matce.

Babka dawno wymknęła się na podwórze i tam cichcem, by nie śmieszyć się wobec żołnierzy, odczyniała uroki przed gniewem zięcia.

Jedlicki podszedł do okna. Światło padało wąską smugą na twarzyczkę rumianą jak jabłko. Generał pochylił się i zupełnie cicho szepnął:

— Śpij, nadziejo ty moja jedyna.

Babka nie wracała. Jedlicki przeszedł się po izbie raz i drugi. Spojrzał spod oka na Kasię. Spytał:

— A matka?

— Pójdę po nią. — Katarzyna podniosła się od stołu.

Ogarnął go żal nagły. Cóż winna ta stara chłopka, po swojemu rozumiejąca nowe życie, oszałamiające, zapierające dech, jak podmuch gwałtownej wichury? Świętym obrazem żegnała dzieci uciekające za Wisłę do wojska... Nie wstrzymywała. Syn poległ.

— Wytłumacz matuli, że to było mydło, nie jakieś tam uroki. Wyjdę na chwilę.

Poza domem mrok już ścielił się gęsty. Tylko na zachodzie tliły się jeszcze głownie rzucone przez słońce za lasy. Bór szumiał, rozkołysany wiatrem nie dotykającym ziemi. Chłód ciągnął od pól. Gościńcem wozy jechały z turkotem...

— A, to ty moje dziecko... — Jedlicki poznał żołnierza osłony. — Masz dziewczynę w Warszawie? A jak jej?

— Kazimiera, obywatelu generale. Z Karolkowej ulicy.

— Kazimiera, to Ziuta. Ładnie. To ty znać musisz i sąsiednie ulice... Karczma tam była przed laty. Ot, mały szynk, parszywy prawdę mówiąc, ale robotnicy nie zaglądali do lepszych. Nazywaliśmy tę knajpę karczmą „Pod Cyckami", bo gospodarzyła w niej właścicielka z ogromnym brzuchem. Wielka beczka, a wyżej, dwa mniejsze antałki. Niby, że cycki właśnie. Nie trafisz teraz na taką.

— Nie ma czego żałować, obywatelu generale. Strach myśleć!

— Co ty tam wiesz... A, tobie zimno? Ściągnij płaszcz. Dam ci moją skórkę... — Jedlicki zdjął królicze futerko, które od czasu choroby nosił pod mundurem. — Kładź.

— Obywatelu generale! Przecież wasze zdrowie...

— A ty co? Lekarz może? Nie kłóć się, dziecko. Ja mam sweterek. Widzisz? Z dobrej wełny. Masz tu papierosy... Tylko ognia nie zaprószyć!

Zawrócił do izby. W ciemnej sieni czekała Katarzyna. Oplotła szyję ciepłymi ramionami.

— Gniewasz się?

— Na ciebie? Słyszysz, słowiki się odzywają...

— Łukasz, dopiero skowronki przyleciały...

— A mnie się zdaje, że to słowik...

Przytuliła się mocno i nie spierali się więcej, jaki to ptak o zmroku wypatruje wiosny.

Rano Jedlicki sięgnął po buty i nie znalazłszy ich na zwykłym miejscu podniósł zdziwiony wzrok na Kasię. Zrobiła niewyraźną minę i wymknęła się z izby, zanim zdążył zapytać. Wstał, by uchylić okno i wyjrzeć na ogród. Spod ściany doleciały go szepty. Wychylił się i ledwie powstrzymał od okrzyku. O parę kroków dalej siedziała Tulikowa i zawzięcie pucowała generalski but. Drugi, błyszczący jakby go pociągnięto lakierem, stał obok na zydlu.

W chwilę później Jedlicki usiadł przed gajówką i pogwizdując cichutko, zabrał się do czyszczenia niedzielnych trzewików babki. Za węgłem Tulikowa napierała na córkę.

— Kachna, weźmiesz, czy nie?

— Matulu, ani myślę.

— Kaśka, miej sumienie dla matki! Przecież może być akurat nieubrany! Nie uchodzi. Weź, Kasiuniu, postaw przy łóżku.

— Matuś, nic z tego.

— Ano tak — westchnęła Tulikowa. — Mądrze mówią ludzie, łatwiej owies odkupić od gęsi, jak się wdzięczności doczekać od rodzonej córki. Pamiętasz Jóźkę? Poszła za sekretarza komornika i od razu ogon w górę! Tyle jej starzy widzieli co nic. No, weź buty... Ja tam nie wiem, jak mają stać, a ty z wojskiem obyta. Nie bierzesz?! Czekaj, Kaśka!

Babka zła i naburmuszona ruszyła ostro do chaty. Co będzie, to będzie, postawię i tyle! Wielka mi rzecz generał! Najpierw zięć, a potem wojskowy! — Tak sobie dodając ducha doszła aż pod drzwi. Spojrzała — świat stanął na głowie!

Tulikowa zatrzepotała powiekami. Czy nie zwodzą oczy? Nie, generał siedzi na stołku i czyści trzewiki!

— Łukasz! Może kto zobaczyć! W spodniach z lampasami czyścić moje buty?!

— Czy ja tobie, matulu, czy ty mnie, to przecież jedno.

Babka porwała trzewiki i wbiegła do izby. Długo nie mogła się uspokoić i podczas śniadania nie odzywała się wcale. „Więc niby jak? I uroków nie odczyniać i nie czyścić butów? No, zięć zięciem, ale przecież generał!" Wkrótce zaczęto zbierać się do kościoła.

Tulik stał przy wozie poprawiając uprząż. Katarzyna przystanęła. Jechać? Zostać? Inaczej w mieście, inaczej na wsi. Trochę wstyd przed ludźmi.

— Łukasz? Może ty nie chcesz? Powiedz tylko?

Odpowiedział spokojnie.

— Ja ci nie bronię. Ja ci niczego nie zabraniam.

— Bo widzisz, ja nie wiem... A to, że nie wiem, czy Bóg jest, czy Boga nie ma, to przecież nie dowodzi, że Boga nie ma...?

Łukasz uśmiechnął się lekko.

— Miej swoją rację.

— A jak twoim zdaniem?

— Ja nie wierzę.

— Więc...?

— Jeżeli dla ciebie jest, to wierz.

Gdy odjechali, usiadł z książką. Przez uchylone drzwi widział łóżeczko syna. Piotruś spał. Jedlicki wyciągnął się wygodniej. Obracał w palcach nie zapalony papieros i zastanawiał się, czy postąpił właściwie. Uznał, że tak. Nie narzucając swego zdania zmuszał do myślenia. Chętnie dyskutował i starał się, by z dyskusji Kasia sama wysnuła prawidłowe wnioski. Oczywiście, było to słuszne w stosunku do Katarzyny, Tulików, nie zaś do Szopiskiego. Jedno nazwisko przywiodło inne. Sytuacja nasunęła porównanie. Kolumna doszła do rozwidlenia dróg. Trakt w lewo zwodzi pozornym skrótem, ale gościniec odbiegający w prawo nie wiedzie do celu marszu...

— A nasza droga biegnie prosto. — Jedlicki odłożył książkę i cicho, by nie zbudzić dziecka, wyszedł przed dom.

Tulikowie i Katarzyna zastali generała gotowego do drogi. Samochód stał poza obejściem. Dwaj żołnierze osłony dopalali papierosy.

— Łukasz, co się stało?

— Nie usiedzę dłużej. Trzeba jechać, choć żal, bo tu i ładnie, i cicho, i dobrze się wypoczywa.

— Zaczekaj. Muszę zapakować rzeczy i nakarmić małego przed jazdą.— Uniósł brwi. — Pojedziesz ze mną? A oni, rodzice?

Kasia wzruszyła ramionami.

— To takie proste. Znów będziesz palił na czczo. Jadę z tobą.

Wyjechali przy pięknym słońcu. Szosa była pusta. Dopiero dalej minęli się z kolumną ciężarówek pędzącą na południe.

Następnego dnia Jedlicki stawił się u zwierzchnika. Patrzyli na mapę słuchając raportu pułkownika Miecz-Kusiaka. Ten, zatykając chorągiewki, oznaczał położenie band według ostatnich meldunków.

— Oddziały Mełeszki, Putny, Pisanego ciągną na koncentrację, której spodziewamy się w tym mniej więcej rejonie... Jest wiadomość, że resztki esesmanów ukrywających się pod angielską nazwą Green-Cross dołączyły do Pisanego i działają pod jego komendą. Teren lesisty i trudno dostępny mnoży siły i przedłuża stan niepokoju. Nadto, wieś sprzyja bandom.

— Co to znaczy wieś?

— Pewne elementy wiejskie, obywatelu generale.

— Napad na kolumnę amerykańską kompromituje nas w oczach zachodu — powiedział zwierzchnik.

— Trafili pod własne kule — rzekł Jedlicki. Drażnił go głos stojącego obok dowódcy. Bezbarwny, rozwlekły, nużący namysłem nad każdym słowem.

Kusiak milczał. Skupiony, gotów każdej chwili przybrać odpowiednią do sytuacji postawę, poprawiał szpilki z barwymi papierkami.

— Pułkowniku, ile tego tam jest?

— Około tysiąca pięciuset ludzi, panie generale.

— Czas zrobić z tym raz na zawsze porządek. Młodzi dowódcy nie dają sobie rady. Trzeba mocnej ręki. Generale musicie pojechać tam sami.

— Kiedy? — Jedlicki poczuł obce mu dotąd znużenie. Pomyślał „Mam gorączkę".

— Samolot czeka. Lotnisko rozmiękło, ale „kukuruźniki" startują i lądują bez przeszkód. Świetne maszyny.

— A więc zaraz. Dobrze!

Po wyjściu Jedlickiego, pułkownik Kusiak pochylił się nad mapą i nieznacznie przestawił chorągiewki. Kilka ruchów starczy, by zmienić sytuację i nadać koncentracji obraz zgodny z prawdą. Faszyści gromadzili siły na południe od rozmiękłego lotniska, na którym miał lądować Jedlicki.

W domu Łukasz milczał. Na parokrotne pytania Katarzyny odpowiedział z trudem hamując pasję:

— Jak złoszczą! Eh... Kota — tak ją nazywał w chwilach największej czułości. — Życie, to jest życie... Jak złoszczą...!

Dopiero późnym wieczorem powiedział, że leci rano.

— Widzisz, Kota, jak dobrze się stało, że wróciliśmy wcześniej. Odpoczęłem sobie przed jutrzejszą podróżą. I dobrze, że przyjechałaś ze mną. Dziękuję ci.

— Lecisz bez adiutanta, bez Józia? Łukasz!

— Nie wsadzę ich na skrzydła — zażartował — a duże maszyny nie mogą tam jeszcze lądować, bo lotnisko rozmokło.

Chwilę przechadzał się po pokoju. Nagle zatrzymał się przed drzwiami i jakby słuchał, czy syn oddycha spokojnie. Nie odwracając głowy, spytał:

— Kota, powiedz mi jedno, czy zostawiłabyś komu Piotrusia?

— Łukasz, co tobie!

Podbiegła i chwyciła go za ramię. Jedlicki uśmiechnął się.

— Posłuchaj. Ja go tak bezgranicznie kocham. Ja... wariuję na punkcie tego malca — pokiwał głową nad własną, jak sądził, słabością. — Więc powiedz, czy zostawiłabyś go komu?

— Łukasz, czyż ja nie jestem jego matką? Co tobie dzisiaj!

— Kota, jestem żołnierzem i wierzę w zwycięstwo. I jak każdy żołnierz mogę się skończyć choćby jutro. To przecież walka.

...Wstał wcześnie. Ubierając się starannie tłumił kaszel najsilniej nękający rano. Żegnał się krótko, a sięgając po ciepły skórzany płaszcz, zawahał się.

— Płaszcz? Niech zostanie tutaj.

— Weź, kochany, noce takie chłodne. Weź, Łukaszu, ja cię proszę!

— A jak się rąbnę, to ci zginie. Jeszcze ci kto ukradnie... Ot, masz! Żartuję, a ona boi się i płacze.

Więc chwilę tulił ją w ramionach i ścierał łzy pocałunkami i pogodnym uśmiechem rozpraszał zły niepokój. W kilka minut później zszedł do samochodu.

— Generale, a my?!

Było to na lotnisku. Adiutant i kierowca myśleli jednakowo: z kukuruźnikiem chyba żart?

— Wy zostajecie.

Podeszli do wątłej maszyny. Pomogli wsiąść. Zajrzeli pilotowi w twarz i odetchnęli: najlepszy. Silnik zahuczał na pełnych obrotach, przycichł. Samolocik wykręcił się zgrabnie i potoczył po wstędze betonu.

Już leci. Po domowemu zabrzęczał nad zadartymi głowami i nagle wyprostowawszy lot, poleciał na południe. Patrzono za nim, jak maleje, niknie, roztapia się w pięknym nadwarszawskim niebie.

— Kochany człowiek — powiedział ktoś w grupie oficerów. — Wielki rewolucjonista.

— Wielkość, moi panowie, przychodzi dopiero po śmierci — odezwał się pułkownik Miecz-Kusiak wsiadając do swego samochodu.

— Czekaj, taki synu, żebyś pięć razy się topił, a szósty powiesił, też ci nie pomoże... — mruknął Józio. Adiutant dyskretnie splunął.

Inne maszyny huczały już nad lotniskiem. Adiutant i kierowca pojechali z powrotem do miasta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

W godzinę po wyruszeniu kolumny samochodowej Grzegorz Jaskółka położył się na tapczanie. Zgnębiony czterdziestoośmiokrotnym niepowodzeniem patrzył tępo na muchy błądzące po suficie. Sięgnął po gazetę. Widniało w niej wielkie ogłoszenie:

Jak szukać ludzi w Polsce?

Grzegorz cisnął pismo. W sobotę odnalazł czterdziestą ósmą Teodorę Kieszek. Pojechał pod wskazany przez pośrednika adres, lecz zamiast Tusi otworzył mu drzwi wąsaty tramwajarz. Poza nazwiskiem niewiele miał wspólnego z poszukiwaną dziewczyną. Jaskółka zbiegł po schodach i jeszcze w samochodzie klął:

— Humbug poliś pipul!

Ambitny plan znalezienia Tusi zawiódł na całej linii. Grzegorz wstał, podarł notes z adresami i zabrał się do pisania listu.

— Jej matka była z Kalinek! — To pamiętał dobrze. — Stryj musi wiedzieć.

Po namyśle postanowił wysłać depeszę z opłaconą odpowiedzią. Ubrał się i poszedł na pocztę. Napisał tak:

„Nazwisko Kieszek, imię Teodora. Matka z Kalinek. Podać telegraficznie adres albo wiadomość. Przyjadę na wieś za dwa tygodnie. Grzegorz Jaskółka".

Trzy dni chodził jak struty nie mogąc doczekać się odpowiedzi. W środę wieczorem zgłosił się do Grzegorza mr Operacz. Oznajmił, że wie o bezskutecznych poszukiwaniach i gotów choćby zaraz pokazać rodzinny dom Kieszków. Cena wiadomości jest śmiesznie niska i nie

arto o niej mówić. Wystarczy zapłacić z góry. Jaskółka po doświadczeniu z tramwajarzem łatwo tracił panowanie nad sobą. Nie czekając a szczegóły wypchnął Operacza za drzwi.

— Amerykanie!... Głupie pyski i nowe walizki! Zaraz poznać! — owiedział mr. Mietek i odszedł otrzepując spodnie.

Następnego dnia rano nadeszła odpowiedź z Kalinek. Stryj depeżował niezbyt jasno.

„Nic, sam, nieszczęście gotowe. Henryki Sznupy nie znamy. Przyjadę sobota — Michał Jaskółka".

Grzegorz pobladł i bez słowa schował blankiet do kieszeni. Po kilku minutach wyciągnął go znowu, lecz nie zmieniło się nic. Zamiast Tusi widniała jak byk obca Henryka Sznupa.

— Trzeba czekać do soboty — postanowił nie znajdując innego wyjścia. — Jeszcze dwa dni!

Do południa sterczał w amerykańskim garażu. Mechanicy sprawdzali samochód jednego z oficerów, który często odbywał dalekie podróże po Polsce. O dwunastej wóz był gotowy do drogi, lecz przyjechał właściciel i kazał zmienić opony.

— Dobrze — rzekł Jaskółka — zaraz wydam polecenie. To są zupełnie dobre gumy.

— Muszą być lepsze — powiedział blondynek. — Nie umiem jeździć wolno.

— *Well* — Grzegorz skinął głową — zabierajcie się do roboty, bo biad na karku. Prędzej, chłopcy.

Z powodu tych opon Jaskółka pojechał na obiad później niż zwykle. Miał zwyczaj zwalniać w Alejach i wśród młodych matek wypatrywać Tusi. Jadąc szybciej dopiero w ostatniej chwili zobaczył dwie kobiety wychodzące z parku. Popychały przed sobą dziecinne wózki i rozmawiały z ożywieniem. Nie widział twarzy, lecz poczuł od razu: to na pewno Tusia! O hamowaniu na miejscu nie było mowy. Tuż za jeepem uczał rozpędzony trolejbus.

Gdy zawrócił, o mało nie krzyknął z rozpaczy... Brunetka znikła! Grzegorz wyskoczył z jeepa i pobiegł do blondynki.

— Gdzie Tusia?! O, przepraszam...

Kobieta drgnęła. Amerykanin nie wyglądał na pijanego, choć mówił z trudem i nie mógł opanować rozlatanych rąk.

— Kto, proszę pana?

— Ta druga kobieta... Ciemne włosy, a ona taka nieduża... Teodora Kieszek... Jej matka była...

— Proszę pana, przed godziną spotkałyśmy się na ławce i to cała znajomość.

Grzegorz jęknął.

— Nic nie szkodzi. To musi być Tusia.

— Mogę panu powiedzieć, że kupiła dziś rano buciczki dla dziecka. Bardzo ładne! Z czerwonej skórki z białymi wypustkami. Naprawdę śliczne. Wiem, że mały nie lubi soku z marchwi i zaczął ząbkować mając sześć miesięcy.

— O, syn! Bardzo dobrze!

— Najpierw powiedział „mama" i nazywa się Grześ.

Jaskółka miał już łzy w oczach.

— Ona, ona!...

— Wrócili z zagranicy parę dni temu. Cóż jeszcze? Mały jest trochę starszy od mojego, ma rok i dwa miesiące. To wszystko. Niech pan sam zapyta o resztę... — dokończyła z uśmiechem.

— Jest? Gdzie?!

— Kupuje cukierki w kiosku. O, tam.

Grzegorz odwrócił się, ale nie zrobił kroku i z rezygnacją opuścił ramiona. Zupełnie obca kobieta pochylała się nad wózkiem i wtykała dziecku jaskrawy zielony karmelek. Nie, to na pewno nie Tusia, jak nie był nią również motorniczy poznany w sobotę. Powiedział więc smutno:

— Dziękuję pani. Bardzo przepraszam. Mnie już własne oczy okłamują, nie tylko ludzie. Ciągle jej szukam i ciągle nic. Czterdzieści osiem razy podano mi fałszywy adres. Może nie wróciła? Może umarła, może wydała się za innego?

— Ależ proszę pana! Dlaczego pan patrzy na ten kiosk? Tam dalej jest drugi! No, właśnie, właśnie!

Kobieta postała jeszcze chwilę, a potem popchnęła wózek i poszła w swoją stronę. Gdy obejrzała się, chudy dryblas całował dziewczynę i pokrzykiwał niezrozumiale. Przechodnie odwracali głowy. Zatrzymywali się, podchodzili coraz bliżej i zawierali znajomości dla wymienienia fachowych uwag. Wkrótce sporym tłumkiem otoczyli uszczęśliwioną trójkę i zupełnie zasłonili widok. Tylko Grześ jak kolorowa piłka wylatywał nad głowy i z głośnym zachwytem spadał w ramiona Grzegorza-taty. Tusia położyła kres akrobatycznym czułościom.

Jaskółka wziął syna na barana i usiadł za kierownicą. Zanim nacisnął starter, spytał nieśmiało:

— Tusia, może przyczepić ze dwie bańki do k a r y?

— Jedź! Skończyły się kowbojskie wygłupy. Jesteśmy w domu.

Grzegorz cicho westchnął i na krótko zatęsknił za Stanami. Eh, rzejechać z Tusią ulicami rodzinnego miasta Cicero... Pod kolorową blicą z napisem „Just Married!" ciągnąc za samochodem sto pięćziesiąt pustych blaszanek przepięknie hałasujących na gładkim asfale! Byłoby pięknie!

Na skrzyżowaniu ulic apetyczna milicjantka zatrzymała samochozik. Zdjęła Grzesia i posadziła na kolanach Tusi.

— Ile kosztuje? — Jaskółka sięgnął po pieniądze.

— Pierwszy raz darmo, a jutro podwójnie.

Potem już prosto pomknęli do Gajów.

Cokowa złapała się za serce i jak tylko grzeczność pozwoliła, wyknęła się do sadu. Dziadek oglądał pączkujące drzewka świeżo poelone wapnem.

— Ksawery...

— A co, Wikciu? Niby wszystko dobrze. Smyk jak grenadier. Mało i wąsów nie urwał. No, a Grzegorz też niczego sobie, choć niemrawy wyjęzyczyć się nie potrafi. Ale, musi być majster niezły, skoro Tusia k oczami strzela.

— To po nieboszczce Klarze. Też zagustowała w mechaniku.

— Ano, trzymają się nas ślusarze.

Cokowa krzywiła się, kręciła głową, widać było, że coś jej dolega. reszcie powiedziała.

— Nawet nie spłakałam się porządnie, a tu już masz! Znaleźli się gotowe.

— Od poniedziałku masz nos czerwony i oczy jak królik. Chyba arczy?

— Ojciec...! Przecież dziecko zrozumie, że płakałam z radości. A tez przyszła pora ulitować się nad Tuśką. Bo ta panna, sama samiuńka, dziecko malusieńkie, a ojca diabeł schował w świecie i gdzieś edzi biedaczek związany jak ten deszcz podczas spiekoty i dojechać do voich nie może...

Babka pociągnęła nosem i łzy rzęsistym trysnęły strumieniem. Ksaery podrapał się w głowę.

— No, ojciec siedzi w izbie.

— Właśnie... Takie szczęście... — westchnęła Cokowa i popłakiwała dośnie. — Kto by się spodziewał!

— Bo to, Wikciu, nie te same czasy. Dawniej młodzi wzdychali, arzy radzili, a jak nie uradzili, to zdechł pies i szkoda gadać! Nie

było tak w Kusaczu? Ano! Ksiądz czeka, goście czekają i krowa czeka, bo nie wie, do jakiej pójdzie obory. Dopiero w zakrystii ruszyło Idziaka sumienie i przyjął jałówkę. Teraz inaczej. O, inaczej...

— Ględzisz Ksawery! A te dawne dzieci, to skąd niby? Ze wzdychania?

— Ano, prawda. Zapomniałem.

— Pamiętaj z samego rana telegram wysłać do Wincentego i Andrzejka trzeba zawiadomić.

— Można by jeszcze dziś.

— Co ty, rozumu nie masz? Depesza gotowa przyjść w nocy i zamiast radości napędzi strachu!

— Zaś do Michała, to napiszemy list. Człowiek starszy i nie można go telegramem szarpać. Tak będzie lepiej. A teraz chodźmy do młodych, bo Grzegorz pomyśli, żeśmy Ameryki nie zwyczajni.

Zwrócili się w stronę domu. Ksawery przygładził wąsy i ruszył przodem. Pod oknem przystanął. Coś go widać tknęło, bo wykręcił się na pięcie i poszedł z powrotem do sadu. Babkę wyprawił do sklepu.

— Może mają papier. Andrzejek wypisał nam cały.

...Tusia mówiła do Grzegorza:

— Codziennie wysyłałam do ciebie list przez Misję. Czekałam w Paryżu, potem pojechałam do Niemiec. Ile się wycierpiałam przez ten twój urlop! Ja wiem, ty pisałeś... Teraz już wszystko wiem... Niedużo brakowało, żebym została żoną Orlika. Tak mnie namawiali, tak napędzali. A ja kochałam tylko ciebie.

Jaskółka zacisnął pięści.

— Orlik?

— Oh, to dawne dzieje. Jego spalili, wiesz? Był k a p o w koncentracyjnym obozie. Poznali i zemścili się. To wszystko trochę straszne, jak się pomyśli teraz. Bardzo dobrze, że jesteśmy razem. Prawda?

— O, prawda, prawda!

— Czasami przyznaję rację hitlerowcom. Straszą, że Hitler żyje i ja im wierzę.

— Nie. Gdyby żył, już by mi ojciec napisał o tym.

— Grzegorz, nie rozumiesz! Hitler żyje w wielu innych ludziach. Dlatego tyle łez i krzywdy. Zjedz jabłko. Prawda, jakie smaczne? Z ogrodu dziadka! — pogładziła zwichrzone włosy i pociągnęła Grzegorza za ucho. — Taki zwyczaj. To nowalijka. Nie jadłeś jeszcze takich jabłek.

— Ojciec ucieszy się.

— O, na pewno. Wyślemy do niego depeszę.

— Mój ojciec. Popłacze się, jak nas zobaczy u siebie.
— Gdzie?
— W Cicero.
— Co to jest?
— Miasto.
— W Ameryce?
— Tak — potwierdził z wyrzutem. — Duże miasto.

W kwadrans później Jaskółka pędził do Warszawy wyciskając ostatni ch z jeepa. Biura były puste, więc pognał za miasto do willi Bartona. m zastał oficera, któremu podlegał.

— Co to za jeden? — spytał Barton unosząc nieco głowę.
— Szef naszej kolumny samochodowej — odparł blondynek.
— Poproś go, by na przyszłość nie otwierał bramy zderzakiem mochodu. Poza tym wspaniały chłopiec.
— Za chwilę wrócę — mruknął blondynek i wyszedł do Jaskółki.
— Zostaję w Polsce. Jutro nie przychodzę do pracy.
— O! Z jaką szybkością jechałeś?
— 65 Mph.
— Zatem nie jesteś pijany. Pijak zabiłby się pięć razy.
— Słusznie.
— Jedź do lekarza. Niech cię zbada. Wariatów odsyłamy samolo- n do Stanów. Szumi ci w uszach?
— Nie.
— Oczy wychodzą na wierzch?
— Nie.
— Hm. Aha! Poczułeś się komunistą?
— Nie.
— Wiem. Jesteś agentem bolszewickim.
— Nie.
— Więc ona.
— Kto?!
— No, dziewczyna. Też nie? Dziwne. Ile wam płacą?
— Kto?
— Zaczekaj.
— Pięć minut.
— Okej.

Blondynek wrócił do Bartona. Uspokoił nerwy szklaneczką whisky apalił papierosa.

— On chce zostać w Polsce.

Barton wstał.

— Doskonale. Marzyłem o takiej okazji. Zawołaj go. Powiem, co ma robić.

— To nierozsądne. Pomówię sam.

— A więc... — Anglik przedstawił plan, który już zdążył obmyśleć dokładnie. Na zakończenie powiedział: — Nie targuj się. Chłopiec wart wysokiej ceny.

— Naturalnie.

Jaskółka wysłuchał spokojnie dziesięciominutowego przemówienia i nawet parę razy kiwnął głową. Blondynek był dobrej myśli. Klepnął Grzegorza i puścił wodze fantazji.

— Dostaniesz dużo pieniędzy. Urządzimy ci triumfalny wjazd do Cicero. Zobaczysz swoje nazwisko na wyżymaczkach, kaloszach, parasolach i patentowanych środkach przeciwko czkawce. Będziesz sławny!

— Ona nie zgodzi się.

— Dziewczyna?

— Tak.

— Dlaczego?

— Nie lubi takich spraw.

— A ty?

— Też nie.

— Więc czemuś kiwał głową? — krzyknął oficer wyprowadzony z równowagi.

— To po ojcu. Jak tata miał kogo bić, to najpierw kiwał głową. Dla taktu.

Gdy blondynek odzyskał przytomność, Barton podsunął mu szklankę i pokazał ślad opon biegnący przez środek trawnika.

— Zdarzają się rzeczy przykrzejsze — burknął Amerykanin.

— Zapewne. Mógł stratować róże — przyznał Barton. Udawał, że nie widzi sińca pod okiem gościa i skierował rozmowę na kwiaty najchętniej hodowane na wyspie. Amerykanin nie poznał się na angielskiej subtelności i poprosił o zimny okład. Pomyślał przy tym, że Barton to bezduszne bydlę. Dla Anglika wypadek był shocking, a blondyn pastuchem. Z tych więc przyczyn puszczał mimo uszu wymyślania pod adresem Jaskółki i dobrą miną pokrywał obrzydzenie.

Grzegorz już był w mieście. Wstawił wóz do garażu, spakował rzeczy i wyruszył na poszukiwanie taksówki. Przed wieczorem dojechał do Krasnych Gajów.

W izbie, choć mrok wychylał się z kątów i słońce gasło na szybach

e palono światła. Skupieni wokół stołu opowiadali, wspominali, dmu-
ali w żar przeżytych zdarzeń. Grześ od dawna spał.
— Dzień dobry, pradziadku — powiedział Grzegorz.
Cok schylał się właśnie, chcąc pomóc przy wnoszeniu bagaży.
— Co takiego? — krzyknął prostując się nagle.
— Dziadziu, tak wypada.... Grześ, to już prawnuczek — wtrąciła
isia.
— O, psiapara...! Ale zleciało, anim się obejrzał!
— Co ci tam znowu spadło? — fuknęła babka wychylając się na
vór.
— Ano, Wikciu, niby życie... — mruknął Cok zafrasowany odkry-
em. W chwilę później wziął Grzegorza na stronę.
— Grzegorz, o tym pradziadku — milczeć! Nikomu ani słowa!
oda?
— Zgoda, *great-grandfather!* — odparł Jaskółka skołowany mo-
ymi przeżyciami dnia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Wróciła z parku rozgrzana słońcem, uspokojona pogodną radością
ałego. Przebierając go po spacerze mówiła, że już wiosna i prędko
dą kwiaty. Przez okna otwarte na oścież płynął gwar. Pokój wypeł-
ał się ciepłym dniem, a jednak — kąty ziały chłodem i było tęsknie
sto.
Zadzwonił telefon. Zapowiedziano międzymiastową rozmowę, więc
ekała oparta o biurko, gotowa na pierwszy dźwięk wyciągnąć rękę
słuchawkę. Rumieńce rozpaliły policzki i ogniem spływały na szyję.
kryć, kochała miłością, jaka przychodzi raz jedyny w życiu.
Wreszcie. Mówił Łukasz.
— Doskonale się czuję. Jak ja się nadzwyczajnie czuję!
— ...
— Zjadłem nawet porządne śniadanie i wypiłem dwa kubki kawy.
vszysz mnie dobrze? Dwa kubki kawy!
— ...
— Stąd do Ciszowa, a z Ciszowa skoczymy do Balirza i pod Sangród.
— ...
— Jestem taki zmęczony. Jak teraz wrócę, to z dziesięć dni odpocznę.
— Łukasz! To nasz mały! Poznajesz?
— Głos ma zmieniony. Powiedz, nie choruje?

— Ah, nie! Byłam z nim w parku. Tak się cieszył...

Długo nie mogła otrząsnąć się z wrażenia. Słowom Łukasza towarzyszył dziwny nastrój. Tchnęły obcym dla Jedlickiego znużeniem. Katarzyna wielokrotnie powracała do tej rozmowy. Była dziwna, bardzo dziwna... Łukasz nigdy nie mówił o swych podróżach służbowych. Zmęczenie, do którego przyznał się otwarcie, tłumaczyło wiele, ale nie wszystko.

Przed domem zaszeleściły opony hamującego samochodu. Katarzyna podeszła do okna. Dahomejski wysiadł i pośpieszył na obiad. Zajmował apartament w tym samym budynku, lecz o piętro wyżej. Kasia opuściła firankę i zabrała się do codziennych zajęć. Bezwiednie przenosiła wzrok na fotografię Łukasza stojącą na biurku. Metalowa ramka lśniła odblaskiem słońca...

/

Terenowe opony, twarde i o grubym deseniu, chroboczą przy hamowaniu jak żwir przesypywany przez sito. Żołnierz posłyszał wołanie. Stanął. Zatrzymali się też cywile, którzy na odgłos pierwszego strzału zawrócili w kierunku chałup. Żołnierz biegł już do samochodu.

— Nie wolno straszyć ludzi! Dlaczego strzelaliście?

Jedlicki stał przed wozem z trudem powstrzymując gniew. Cywile postali jeszcze chwilę, potem poszli dalej oglądając się niespokojnie.

— Panie pułkowniku... — żołnierz, zdyszany i przestraszony ledwie wykrztusił meldunek. I wtedy dopiero poznał generała. Rozpłakał się. — Do zająca strzelałem...

— Siadajcie do samochodu.

Ruszyli w kierunku miasta. Jedlicki gryzł srebrną cygarniczkę. Żołnierzowi coraz silniej wilgotniały oczy.

— Skąd macie pistolet?

— Zdobyczny, spod Berlina.

— Hm. Od kiedy w wojsku?

— Od Sum, obywatelu generale.

— Dlaczego więc strzelasz na polu? — wybuchnął Jedlicki.

— Zając, żeby go...

— Ty mi tu nie klnij! Co ojciec?

— Fornal. My od Sokala jesteśmy.

— A teraz?

— Ojciec za Opolem.

— A ty?

— Po służbie chodzę do wieczorowej szkoły.

Żołnierz ze wstydu oblewał się potem i popłakiwał za plecami ge-
erała. Jedlicki nie odwracał głowy. Palił papierosa za papierosem,
yzł się i męczył. Ukarać trzeba.

— Zapamiętaj, nie wolno płoszyć ludzi. Dość było strzelaniny w na-
ym kraju. Ludzie potrzebują wytchnienia i chcieliby już zapomnieć
ciężkiej przeszłości. Wojsko jest po to, by zapewnić bezpieczeństwo.
apędziłeś strachu spokojnym przechodniom. Widziałeś, uciekali.
kimże ty jesteś, moje dziecko? Żołnierzem na usługach swego ojca,
atki, siostry. Wy jesteście płaszczem władzy ludowej. Macie osłaniać,
ronić od burz i wichury. Wam ludzi straszyć nie wolno.

Ten wypadek sprzed roku Jedlicki opowiedział żołnierzom wyru-
ającym z nim w teren. Stali uszykowani przed ciężarówkami goto-
ymi do drogi. Wszystko młode twarze. Ale nie tylko wiekiem był to
łnierz młody, lecz i doświadczeniem. Na kilka dni przed przyjazdem
nerała, starsze, ostrzelane roczniki posłano gdzieś w Białostockie.
abrano również pancerki. Okolica spokojna i senna zdawała się uspra-
iedliwiać nieznane Jedlickiemu rozkazy.

Na dalekich wzgórzach, gdzie nieraz noc w noc paliły się ognie-
gnały, leżał gęsty mrok. I dnie mijały bez alarmów, nie mącone
ołaniem o pomoc.

Bandy ustępowały na wschód. Spychane powolnym ruchem oddzia-
w przemykały się lasami odchodząc z dawnych terenów działania. Na
apie zarysowywał się już kocioł, którym chciano ogarnąć ostatki fa-
ystowskich watah. Lecz żołnierz młody podobny jest do trzciny. Ła-
o ulega podmuchom i gnie się pod naporem wiatru. Wtedy spogląda
dowódcę. Czasem stosowny gest lub słowo powiedziane w porę prze-
yla szalę jak ciężarek rzucony znienacka.

Wojsko ładowało się na maszyny. Jedlicki rozmawiał z oficerami.

— Żołnierz, jeśli ma głowę nadstawiać i bić się skutecznie, musi
zumieć, o co idzie walka i wierzyć w jej słuszność. Troska o uzbroje-
e ideowe nie może być ostatnią. To równie ważne jak dbałość o wy-
kolenie bojowe. Walka o wyzwolenie narodowe wtedy dopiero przy-
bsła zwycięstwo, gdy zbiegła się z walką o wyzwolenie społeczne, gdy
łnierz stał się rewolucjonistą. Pod tablicą zwycięstwa nie rozkłada-
się na beztroski biwak. Idziemy dalej. Im głębiej sięgnie uświado-
enie polityczne, tym szybszy i bezpieczniejszy będzie nasz marsz.
mia wyrosła z partii i musi partii dotrzymać kroku. Nad tym trzeba
acować. To nie tylko zadanie oficerów politycznych, ale i wszystkich
wódców.

Jedlicki dostrzegł młodego sierżanta i zawołał:

— Chodź, bracie, tutaj... W twoim plutonie kulał wczoraj żołnierz.

— Tak jest, obywatelu generale.

— Dawaj go szybko. Zobaczymy.

Gdy żołnierz zameldował się, Jedlicki kazał ściągnąć buty. Wsunął dłoń do środka i badał palcami, czy znowu nie sterczą źle przybite gwoździe.

— W porządku. Można maszerować boso, ale jak są buty, to muszą być wygodne. A ty — zwrócił się do sierżanta — choć partyzant, nie masz za dobrych oczu. Widzisz, życie, to jest życie. Przyjechał generał i ot — buty ogląda. Już pewnie i szewcy pogniewali się na mnie...

Ruszyły pierwsze wozy.

— Chodźmy — Jedlicki poszedł do samochodu. Ogarnął wzrokiem żołnierzy skupionych na platformie ciężarówki i wesoły błysk zamigotał mu w oczach.

— Oczy miej otwarte, bo ja mogę się zdrzemnąć — powiedział do sierżanta.

Pojechali. Jedlicki nie myślał o drzemce. Kraj, o którym przybysz z innych stron powiada bez wahania, że malowniczy jest i piękny, dla żołnierza jest trudny, bo mało przejrzysty. Każdy zakręt nowe odsłania widoki. Horyzonty są krótkie. Pełno wąwozów, krętych szczelin i gęstych zakrzaczeń, które od lasów podpełzają do samej szosy. Ta przeplata się z rzeczką przebiegając raz po raz mostki jaśniejącą świeżością budulca. Wzgórza coraz wyższe. Lasy pną się po stokach i ciemnym obramowaniem zwężają szmat nieba nad głową. W dole kamieniste pola rodzące późny owies i liche kartofle. Drewniane kapliczki lub murowane, bielone sino, murszeją wśród starych jesionów. Sczerniałe świątki o surowych obliczach chylą się nad drogą, zadumane nad ludzką biedą. Lecz one...

— Nie wyżywią ludzi. Tu trzeba fabryk, kombinatów i nowoczesnej hodowli. Ot, gdziekolwiek spojrzeć, wyłania się nowy krajobraz ojczyzny. Ale to jeszcze plany, więc iść trzeba prędzej.

Silniki postękiwały z wysiłku. Pagórki podbiegły bliżej i nagle ścieśniły dolinę. Wozy ubezpieczenia znikły z oczu.

Jedlicki przypomniał sobie przyjęcie w Warszawie. Siedział obok Poryjskiej. Pił, starając się nie słyszeć bezmyślnej paplaniny. W końcu Poryjska spytała obcesowo: — Panie generale, mówią, że pan jest Żydem. Czy to prawda? — A pani zna się na tym dobrze? Bo, jeśli tak, to spuszczę portki choćby tutaj... — odpowiedział przyjaciółce Dahomejskiego.

— Okazuje się, że też mają swoje zmartwienia. — Jedlicki zaklął. — myje mikołajczykowskie. Przylepili się do nas jak huba do dębu. A to zyb pasożytniczy...

Od telefonu minęło dwadzieścia cztery godziny. Jedlickim owładła tęsknota za domem, Kotą i małym.

— Zadzwonię z Balirza. — Spojrzał na zegarek. — Jeszcze pół goiny jazdy.

Ciężarówka poprzedzająca samochód zachwiała się jakby odpadło zednie koło. Skręciła w rów. Stanęła. Wozy hamowały gwałtownie.

— Złe rozpoznanie! Byli, ale nic nie zobaczyli! — Jedlicki wyskoył z szoferki.

Pociski darły już blachy samochodów. Padało wojsko wciągnięte zasadzkę. Zanim jęki rannych złączyły się z trzaskiem wystrzałów, nerał objął komendę.

Słońce przyświecało z ukosa, od zachodu.

Katarzyna schyliła głowę. Przylgnęła wzrokiem do czerwonej nitki zebiegającej zielone plamy lasów.

— Jest gdzieś tutaj... — powiedziała półgłosem.

To t u t a j było odcinkiem drugorzędnej szosy. Wszystkiego siemnaście kilometrów.

Kasia nie znała tamtych stron, więc wyobraźnią starała się odgadć, co widzi teraz Łukasz. Chciała usłyszeć szum podgórskiej rzeczki, zdzwonionej w kamienistym łożysku i warkot jadących szybko sabchodów.

— Zaraz zadzwoni do mnie...

Minęła godzina. Dwie. Telefon milczał.

Tak doczekała zmierzchu i świateł lamp ulicznych. Podniosła słuawkę. Odpowiedziała centrala. Aparat był w porządku.

Dłużej niż zwykle układała małego do snu. Może tkliwiej gładziła bkojną twarzyczkę i całowała goręcej, za siebie i za ojca.

— Śpij...

Potem włączyła radio i powróciła do biurka. Niepokój, niepokój. siące ukłuć i bardzo dużo bólu. Już nie patrzyła w zawiłe linie gór i nie badała skrętów drogi. Oparła łokcie na mapie i dłońmi snęła skronie. Nie czuła łez. Ściekały cicho po policzkach i padały na pryś tam kilometr szosy splecionej z rzeką w dwukolorowy warkocz.

Radio grało. Zmieniały się melodie i głosy. Katarzyna czekała.

Telefon odezwał się późno. Energicznie podniosła słuchawkę. Poznała głos Miry.

— A, to ty...

— Co mówiła Niwiejska? Aha, przyjedzie zaraz... To dobrze, to bardzo dobrze...

Tkwiła nieruchomo przy biurku. Myśli rozpierzchły się... Jak trudno je skupić i uspokoić serce zamierające z rozpaczy. A przecie, chciała zachować się tak, jakby tuż obok stał Łukasz i patrzył: co też ona robi?

— Najpierw położę słuchawkę. Wolno, spokojnie... — mówiła głośno, oszołomiona obcym brzmieniem głosu.

Przebiegła przeszłość i wydobyła z niej wszystko, co kiedykolwiek powiedział Łukasz. Wiele słów zrozumiała dopiero teraz.

— Przygotowywał do życia w samotności, bez niego. W samotności...? O, nie. Otworzył przede mną świat. Nie jestem sama.

Poszła do drugiego pokoju. Wzięła Piotrusia na ręce i zapaliła światło. Niech palą się wszystkie lampy i płoszą cienie snujące się pod ścianami.

Dziecko obudziło się. Szeroko rozwarło oczy i patrzyło na matkę zdziwione, senne, wpółprzytomne.

Pochyliła się. Przybliżyła twarz syna do fotografii stojącej na biurku. Czytała wolno, dobitnie, jakby ryła w młodziutkiej pamięci postać późniejszego wieku.

— Tobie, Kasieńko, matko jedynaka mojego, w ten dzień noworoczny, życzę Ci, abyś sama szczęścia trochę zaznała. Abyś wychowywała synka na dobrego Polaka, dobrego i śmiałego żołnierza Ludu Naszego. Abyś mu wpoiła odwagę bez granic i gotowość każdej chwili, gdy lud Polski zażąda i gdy to będzie potrzebne, zginąć i krwią przypieczętować jego — synka ukochanie i oddanie dla Ludu Naszego.

Dziecko wyciągnęło rączki i pierwszy raz bez przeinaczeń powiedziało:

— Tatuś.

O, teraz szybko...! Z trudem dobrnęła z powrotem. Ułożyła Piotrusia w łóżeczku, zgasiła światła, przymknęła drzwi... Na nic nie zdały się wybiegi, choć tak gorąco pragnęła oszukać własne serce. Jedno słowo obaliło tamy. Padły zapory wzniesione naprędce. Kota płakała, jeśli tak można nazwać szloch potrząsający ciałem i zrywający z ust okrzyki najstraszniejszej rozpaczy. Cisnęła głowę głęboko w poduszki i tamowała krzyk, by nie przestraszyć dziecka. Płynęły łzy, jakże obficie... Gorący, wierny strumień serca, kochanej i kochającej kobiety.

Widok Katarzyny obezwładnił Niwiejską. Poczuła nieporadność ów, z którymi przyszła, więc nie śpieszyła z nimi. W żałości Kasi wiziała jak w zwierciadle swój ból, ogromny, trudny... Słuchała lamentu rzmiącego oskarżeniem. Patrzcie, wy najbliżsi...! Gdzieście mieli oczy!

Kto w takich razach potrafi na chłodno tłumaczyć zawiłe prawdy alki?

Mira podniosła książkę. Leżała przy tapczanie na wpół otwarta. Wiać wysunęła się z ręki.

— Próbowała czytać... Wiersze...? — Mira zmarszczyła brwi odpęzając mgłę zasnuwającą oczy. — To nie poezja barykady... A jednak...

A kiedy mówię tak, nie pragnę wcale,
Aby lirniki ślepe świat wodziły,
Ale w powietrzu słyszę jakieś żale,
Nad zmarnowaniem wielkiej, żywej siły,
I widzę ludy bijące, jak fale,
O brzeg bagnisty życia i pochyły,
Widzę służalcze, ciemne, niskie dusze
I pytam...

Niwiejska zacięła usta. Położyła tom na biurku i zamyśliła się.

— Nad zmarnowaniem wielkiej, żywej siły...? No, nie! Słuszne to nie jest! Lecz reszta? Tak zbliża się czas, że zapytamy: kto?!

— Tobie na pewno wstyd, że ja tak płaczę... — Katarzyna usiadła zwróciła do przyjaciółki twarz błyszczącą łzami. — Nie mogę inaczej, ponad siły. Pomyśl sama, tak nagle. Wiem, że nie trzeba płakać

— Płacz tu nie hańbi, bo płaczesz po człowieku. Tylko po pojętnych dla ludu pomnikach, pustych w środku, nieruchomych, głunych, nie płacze nikt, kiedy padają strącone z postumentu. Jest po m płakać. — Niwiejska szamotała się ze słowami. Głos drżał. Niepopjące ciepło wzbierało pod powiekami. — Kota, to było prawdziwie iękne życie: robotnik-komunista-żołnierz. Rzecz tylko w tym, by takiego życia nie pozostały same łzy.

Katarzyna wyprostowana, nienaturalnie sztywna, gryzła wargi, ale iż nie płakała. Niwiejska mówiła ni to do siebie, ni to do niej.

— A płakać wolno... Wystygłe serca nie przebudują świata, bo im st wszystko jedno. Co z niego dla nas i dla tych, co po nas?

Kobiety drgnęły. Odezwało się radio. O Jedlickim nie mówiono jecze. Niwiejska podeszła do aparatu i przekręciła gałkę wzmacniając os. „Jeszcze Polska" uderzyła w ciszę.

— To jakby odpowiedź na moje pytanie... Że jest, że w niej żyjemy i mamy możność budować dalej Polskę, potężniejszą i szczęśliwszą. Dla jednych Polska szumiała łanami, w których chabrów i maków tyleż było prawie, co kłosów. Kwiaty zostawmy ogrodom. Od pól chcemy bujniejszych z każdym rokiem zbiorów. I po to stawiamy fabryki, by z każdym dniem było lepiej. Czerwień mamy w chorągwiach i one szeleszczą mi Polską, moją, naszą... Takie sztandary szumiały Łukaszowi. A właściwie przyszłam, by powiedzieć krótko: nie jesteś sama.

Chwilę milczały obie. Potem znów Niwiejska mówiła do Kasi:

— O to wszystko toczy się walka. Nie papierowa, więc padają ludzie i płyną łzy. Ale i pięści zaciskają się mocniej i celniej biją karabiny. Słyszysz? Na schodach kroki. Idą przyjaciele, towarzysze.

...Ktoś opowiadał o ostatniej walce generała. Niwiejska cofnęła się pod okno. Książką wziętą z biurka zasłoniła twarz.

Pióro też się może krwawić
I mieć łzy swoje i ból, i omdlewać
Jak ptak raniony, co już nie chce śpiewać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Umierał posępnie, więziony twardym życiem w szpitalnym łóżku strzeżonym przez wartownika. Przegrana walka, przegrany los, nic z życia dobiegającego mety. Lecz to nie było wszystko, co śmierć Pisanego zmieniło w mękę. Nie opuszczała go świadomość i ta jak błysk jaskrawy ukazywała całą prawdę.

Pod ścianą drzemał żołnierz. Znużony, senny, borykał się z głową ciążącą jak ołów. Rozpamiętywał po swojemu niedawną walkę i tym odpędzał pragnienie odpoczynku. Znów podniósł wzrok.

Pisany przymknął oczy... Pojawił się Lipowicz. Natrętnie towarzyszył od kilku godzin, zaglądał w twarz i przypominał... A śmierć — zwlekała pozostawiając jasność myśli.

Spotkali się w parę miesięcy po wojnie.

— Przyszedłem usprawiedliwić się, a ty, sądź mnie swoim prawem, jak sobie chcesz. Wtedy, pod Kalinkami, ktoś nas podsłuchał i wydał. O, tu ślad po kuli. Widzisz? Ząb strzelał do mnie, ale chybił.

Jacek milczał. Wiedział, co zrobić powinien, ale jeszcze czekał. Lipowicz nie okazał strachu, choć czuł, że idzie brzeżkiem i łatwo może runąć.

— Myślisz o prokuratorze pewnie? To ja ci też powiem, co o tym szystkim myślą ludzie. Pod Kalinkami dołączyłbym do was, a teraz ie. Nie jesteście z narodem. A ciebie też skończą, boś dla nowej władzy ni brat, ani swat, ot, przybłęda.

— Trzymaj pysk!... Wiesz, że jedno słowo i pójdziesz pod sąd! Nie rzeciągaj struny! Sam będę świadczył, żeś zdrajca!

— Zamykaj! Na co czekasz? Nawet broni nie wziąłem ze sobą. łuchaj, Jacek... — Lipowicz wymienił kilkanaście nazwisk. — Oni są ıtaj w lasach. Przecież, to nie potrwa roku. Nie strzelaj do dawnych olegów. Po co ci ich krew?

Pozwolił Lipowiczowi odejść. Nie obiecywał, nie przyrzekał, myślał...

Po pewnym czasie Justyn przypomniał się znowu. Przemawiał śmie- j przyjacielskim tonem.

— Co ciebie obchodzi to wszystko! Siedzisz na prowincji i o niczym ie wiesz. Ugrzęzłeś w niewdzięcznej robocie. Ani zadowolenia, ani ıszczytów. Nie zaprzeczaj, bo cię dobrze znam! Rozejrzyj się w woj- ku... Ilu starych, przedwojennych pułkowników, generałów!... Myślisz, oni tak raz dwa nasiąkli komunizmem? — Lipowicz roześmiał się. — ajki, wierutne bajki. Chcesz, to ci powiem którędy pójdziemy nie- ugo...

Tłumaczył wytrwale plan. Sypał nazwiskami, podkreślał tytuły stopnie. Napomykał, że to właśnie przyszłość... i to bardzo bliska. Ja- k milczał. Skoro nawet generałowie... Ha... Znał kilku. Nie zwykli rzykładać ręki do przegranej sprawy.

Po tej rozmowie zaczął oszczędzać bandy. Plutony uderzały w próż- ę. Ginęli żołnierze. Jacek uśmiechał się ironicznie. Lipowicz chodził góry, opalał się, zadowolony był z siebie. Przed powrotem do War- awy odwiedził Jacka.

— Mądrze robisz. Idzie wojna. Kto wlazł na wóz, już z niego skacze rążą o tobie plotki, że sprzyjasz leśnym ludziom za sowitym wyna- odzeniem. Oczywiście, to kawiarniane bujdy. Co jesteś winien, że andy tak silne? Chcesz, zostawię ci parę groszy? Bardzo chętnie! iesz, tęsknią za tobą w lesie. Przydałby się im prawdziwy oficer. Są olne etaty...

Tak się zaczęło i trwało czas jakiś. Potem nastąpiły znane wypadki. ówiono, że major Jacek wściekł się nagle. Prawdziwa przyczyna nie żała w szaleństwie.

Pisany drgnął. W ciszy szpitalnej rozległ się przenikliwy krzyk.

Żołnierz dźwignął głowę i też nasłuchiwał. Krzyk naraz ucichł. Zmienił się w płacz i znowu szarpnął nerwy nagłym wybuchem rozpaczy.

— Kto tak krzyczy?

Wartownik zdumiał się.

— Ale mocny... No, leczą, jak kogo dobrego. Dla sądu. Takie prawo — mruknął żołnierz. Zanim dał odpowiedź, nadeszła zmiana.

— Pyta, kto tak krzyczy — powiedział wartownik podnosząc się z krzesła.

Sierżant spojrzał na łóżko. Pisany szeroko otworzył oczy. Poznał.

— Tam płacze matka kapitana Pugańca — rzekł Andrzej.

— Przyjechała z daleka, od Warszawy. — Żołnierze rozmawiali półgłosem.

— Kapitan dawno nie był w domu...

— No i trafiła kobieta w sam raz. Żal słuchać.

— Kogo przeklina...

— Ciebie. Faszystów...!

...Więc nie z narodem. Pisany próbował bronić się pogardą, w jakiej wychowywano go w wojsku. „Nie trzeba nam od was uznania, ni waszych słów, ni waszych łez, już skończył się czas kołatania do waszych dusz..." Więc jednak nie po tej stronie. Zeszedł w podziemie i zamiast narodu zobaczył widma chrobotliwe, ziejące trupim chłodem i wilgocią grobu. Dlatego odchodzi żegnany przekleństwem.

Pisany nie pytał już o nic. Jeszcze ostatnia twarz pochyla się nad łóżkiem, wdziera się pod powieki... To nie Lipowicz, nie generałowie, lecz Gustaw Beckmann. I jego głos, obcy, rozkazujący, do końca huczy w uszach.

Andrzej cofnął się na korytarz. Zatrzymał przechodzącą zakonnicę.

— Proszę zawołać lekarza, siostro Apolonio. Zdaje się, że umarł.

Mówiono potem, że Pisany skorzystał z drzemki wartownika, wyrwał pistolet i strzałem w usta zakończył życie. Była to jednak plotka ukuta w kawiarni. Jacka Tańskiego zabiły własne myśli.

A Beckmann uszedł cało. Jechał wygodnie samochodem chroniony cudzoziemską banderą. Gdy posługacze wynieśli Pisanego i zdjęto niepotrzebny już posterunek, limuzyna dotarła do willi Bartona.

Odpoczynek trwał krótko. Innym samochodem ruszono w dalszą drogę. Prowadził blondynek z podbitym okiem. Wóz pomknął w stronę Warszawy.

Na skrzyżowaniu ulic stanęli zatrzymani zmianą kierunku ruchu. Beckmann spoglądał pogardliwie na tłum przesuwający się przed maską

muzyny. Kobiety, dzieci, mężczyźni... Dziewczyna z psem...! Pobladł szybko podniósł szybę.

Owczarek biegł spokojnie, trzymając się tuż przy nogach smukłej ziewczyny o jasnych włosach i okrągłej buzi. Nagle przystanął, podósł łeb i zjeżył sierść. Tknięty jakimś psim amokiem skoczył do saochodu. Opętany nie zrozumiałą dla przechodniów wściekłością, udeał łapami w drzwiczki i zdzierał pazurami piękny lakier. Nadbiegła ziewczyna i odciągnęła psa. Jeszcze z chodnika warczał odsłaniając ły.

— Nazwisko, obywatelko? — Milicjant wydobył notes.

— Zakrzewska Celina — odpowiedziała ze skruchą. Owczarek był ez kagańca. — Jak myślicie, trzeba będzie zapłacić za lakier?

— Kto ich wie? Bogaty nie daruje grosza.

Dziewczyna obejrzała się za samochodem. Już znikł za zakrętem.

— Co ci przyszło do głowy, ach ty psi baranie? — popatrzyła na psa wzruszyła ramionami. Owczarek przytulił pysk i delikatnie liznął toń. — No, dobrze, zapłacę, zapłacę...

Dwaj Amerykanie mijali już zabudowania przedmieścia. Blondyek spoglądał spod oka na hitlerowca i chichotał w duchu. Potem zazymał wóz na pustej szosie i podał towarzyszowi butelkę wódki. eckmann był prawie siny.

— Pij. Dobra. Co amerykańskie, to dobre. Nerwy zawiodły, co? A ja c. Dla mnie to mucha. W czwartek miałem wypadek, a dziś nic. Jadę kbym nigdy nie dostał po pysku. To jest Ameryka! No, pij! Nie chcesz? ie trzeba? Myślałeś, że pies z policji?

Amerykanin schował wódkę i zasiadł do kierownicy. Strzałka szybościomierza nie opadała poniżej setki. Gnali na północ, do portu. Beckann milczał. Amerykanin nie rozumiał zajścia. Nie strach potrząsnął tlerowcem, lecz złość! Własny pies! Szkolony tak starannie!

Dojechali za dnia. Pan Florczak stawił się natychmiast. Kręcił głoą i odradzał wyjazd kutrem.

— Wiatr zmienia się na zachodni. Fala rośnie. Kutry nie wychodzą morze. Może być sztorm.

Amerykanin zagryzł wargi. Za oknami groźnie szumiała zatoka. iatr rzeczywiście wzmagał się.

— Tak, o wodowaniu hydroplanu nie ma mowy. Rezygnujemy kutra. Panie Florczak, proszę myśleć.

— Angielski statek odpływa jutro.

— Tak, ale...?

Florczak wyciągnął ołówek i szybko liczył pokrywając pudełko papierosów kolumienką cyfr. Amerykanin zerknął i bez zwykłego skrzywienia twarzy, powiedział:

— Dobrze.

Następnego dnia przed południem statek przekroczył granicę wód terytorialnych. Beckmann wyszedł z ukrycia i resztę podróży spędził w kabinie kapitana. Odpoczywał, czytał i sporo pił. W porcie czekał na niego samochód, a na pobliskim lotnisku samolot. Po dwóch godzinach lotu wylądował na tym samym lotnisku, z którego startował do Polski.

Panowie Kelly, Daumme i Mayer krzyknęli radośnie. Beckmann zszedł po schodkach i zameldował się przełożonym...

W chwilę później, gdy siadał już do samochodu, podszedł do niego ktoś mało znajomy.

— W imieniu sekcji „Wolnej Europy" proszę do naszego studia. Pan mnie nie pamięta? Alfred Kit...

— Tak. Słucham, słucham! — Beckmann przemógł się i wyciągnął rękę na powitanie. — Czego pan chce? Jestem zmęczony. Prędzej!

— Krótki wywiadzik dla naszych słuchaczy. Pięciominutowe wrażenia z Polski opowiedziane na gorąco. Bardzo prosimy!

— Dobrze. Jedźmy.

Samochód ruszył omijając miasto. Po kilku minutach jazdy Beckmann zobaczył baraki otoczone potrójnym płotem z kolczastego drutu. Z wieżyczek wysuwały się lufy maszynowych karabinów, a nad bramą witała olbrzymia tablica z napisem WOLNA EUROPA. Wartownicy w czarnych mundurach sprezentowali broń, samochód zatrzymał się przed wejściem.

Kit podsunął kartkę. Beckmann spojrzał i wybuchnął śmiechem. Wrażenia opracowane zapewne przez Kellego zaczynały się wzruszająco:

— Kochani rodacy, w przebraniu staruszki, przemykając się lasami, od gajówki do gajówki, stanąłem wreszcie na wolnej ziemi nie znającej kazamatów i łagrów...

Gdy Beckmann płaczliwym tonem czytał „Wrażenia", Mayer siedział w biurze i rozszyfrowywał depesze Dahomejskiego. „Old Fellow" przekazał tym razem cenniejszy niż zwykle dokument. Wyjaśniał w komentarzu, że dokument podano do wiadomości kilkunastu zaledwie osobom. W krótkim tekście znajdowała się jedna liczba kończąca się siódemką.

Mayer siadł w samochód i pojechał do Kellego. Pułkownik rzucił
kiem i kazał sprawdzić liczbę.

— Nawiązać łączność z Dahomejskim jeszcze dziś. Siódemka nie
a sensu. Zwykle zaokrągla się dane tego typu. Powinno być zero lub
ątka na końcu.

Mayer wzruszył ramionami, ale rozkaz wykonał. Popłynęły sygnały.
rótkofalówka wzywała stację „Old Fellow"...

Dahomejski siedział za biurkiem przeglądając tekst przemówienia.
iał wygłosić je następnego dnia. Czytał rysując na szerokim margi-
esie przeróżne kwiatki i esy-floresy. Pióro nie czując nad sobą kon-
oli spłatało figla. Dahomejski spojrzał i drgnął. Spomiędzy zygzaków
krzywizn wyłaniała się duża siódemka. Zsunął brwi i dwiema kre-
kami zmienił 7 na Z. Jeszcze trzy kreski i z siódemki zrobiła się
vastyka, lecz nie hitlerowska, a szczęśliwa, obracająca się w lewo. Da-
omejski zamazał rysunek, odłożył pióro i wstał.

Spacerując wzdłuż biurka myślał o dokumencie. Coś było nie w po-
ądku... Ba, ale co? Wiedział, że w najsprytniejszej grze przychodzi
wila błędu. A z drugiej strony siódemka wróży szczęście!

— Eh, głupstwo! Czas pomyśleć o urlopie.

Poryjska bawiła już w górach.

— Pojadę do niej — postanowił.

Zadzwonił telefon. Dahomejski powrócił na fotel.

— Aha. Tak, tak, to ja. — Poznał po głosie Szopiskiego. — Co ty
ygadujesz! Nic nie rozumiem! Jaskółka? Aha, chłop Jaskółka. No, to
że był u ciebie? Przyjąłeś? Bardzo słusznie. Wyszedł bez słowa?...
m... Może wariat? Ahaaa... Rozumiem, z twego majątku. Tak, tak,
k. Dobrze. Postaram się. O, tak, bardzo. Pracuję, mój drogi. Nie, nie,
nie żarty. No, to... Co? Kto?

Dahomejski rozpiął kołnierzyk i rozluźnił krawat.

— Pułkownik Kusiak? Aresztowany? No, chwała Bogu. Nic, nic...
ówię, że nic nie wiedziałem o jego przeniesieniu ze sztabu. Nie mam
asu na zaglądanie do cudzych resortów. Tak, tak. Nie, w tym tygod-
u nie ma mowy. Może w sobotę. Ucałowanie rączek dla pani. Tak,
wi w Zakopanem.

— Kusiak usunięty ze sztabu... — powtórzył Dahomejski. — Dziw-
. Co to znaczy? Czyżby zaczęło się...? Cóż, Kusiak to nie ja. Ba!

Krążył po gabinecie. Szybciej, niż się spodziewał, odbiegła go wiara

w pomyślność dzięki wywróżonej siódemce. Poszedł po koniak do jas dalnego. Z butelką i kieliszkiem wrócił do gabinetu. Pił spacerując

— Nie pojadę w góry. Trzeba szukać, znaleźć i szybko błąd naprawić

Alkohol przyniósł spokój lub raczej zobojętnienie. Dahomejsk usiadł w fotelu i wygodnie wyciągnął nogi. Spędził tak kilka dobrych godzin.

Późno w nocy samochód zatrzymał się przed domem. Dahomejsk zerwał się. Pusta butelka potoczyła się pod biurko. Słuchał z zapartym oddechem...

Minęła długa chwila, zanim opamiętał się i poszedł spać. W łóżku mruknął pół przytomnie:

— Siódemka — szczęśliwa cyfra.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Słońce sunęło wyżej i już nie tak żwawo jak w pierwsze dni wiosny Jeszcze przed tygodniem o tej samej porze było hen za Wólką i ledwie migotało spoza drzew i lasków. A teraz zaglądało w okna i świeżo roz kwitłym pelargoniom przydawało krasy, choć to zwykłe o k r ą g l a k i jak mówi się w Gajach.

Cok przygładził wąsy i rzekł do żony:

— Nie wiesz, Wikciu, czasem, kiedyśmy to pisali ostatni raz do Ka linek? Psiakmać, nie pamiętam. Środa czy czwartek?

— We wtorek.

— Ej, czy nie czwartek?

— Wtorek...! Słyszysz, Ksawery? Jak dziś pamiętam, bo w piątek zaczęła się wojna.

— Ano, niby na nich kolej, bośmy odpowiedzi przecież nie dostali.

— Ksawery, a wojna?

— Tak... Trzeba napisać. Spytać, co tam u nich słychać i dać zna Michałowi, że Tusia z Grzegorzem i że mają dziecko. — Cok podszed do drzwi i zawołał — Stefan! Stefan! Siadaj, a ja ci powiem, co mas do nich pisać.

— A, z tym listem... Muszę iść, bo czekają na mnie. Ja nie sekre tarz. Niech ojciec sam pisze.

— List krótki.

— No i gdzie będę pisał? Na stole chleb, talerze... Nie ma miejsc Jak wrócę, to napiszę.

— Widzisz, matka, gamonia...? Nie sekretarz...! Chodzi tydzie

yle, co nic, wychodził. Nawet słupów nie przywieźli, tylko targują się, o ile ma dać.

Cok odsunął talerze, przetarł stół, wydobył kałamarz i pióro. Obejał stalówkę, spróbował paznokciem, usiadł i zaadresował kopertę.

— Ano, matka, teraz do roboty.

— Ojciec, ojciec, a gdzie ty masz papier?

— Prawda! Zajrzyj, Wikciu, na półkę. Nie ma? Przecież był!

— Andrzejek wypisał.

— W czwartek poszłaś do sklepu po papier.

— Kupiłam cukierków dla Grzesia, bo przywieźli świeże.

— Aleś szła po papier.

— A szłam.

— No, to gdzie ten papier?

— Ksawery, tyś chyba całkiem głuchy. Mówiłam, że Andrzej wysał.

— A ten z czwartku?

— Kupiłam cukierków.

— To papieru nie ma?

— Przecież mówię.

— Więc niby jak? Na desce mam pisać? Przyjdzie blat oderwać od ołu i posłać.

— Poczta nie przyjmie — roześmiała się Cokowa. — Napiszemy ıtro.

— Niedziela.

— To w poniedziałek.

— Tak wychodzi. Napisać trzeba, bo i podziękować wypada i zawiaomić. No i sam ciekaw jestem, co tam u nich słychać. Krzyknę za Stenem, niech wstąpi do sklepu i kupi ze dwa listy.

Cok wyszedł na drogę. Już otwierał usta, by huknąć donośnie, gdy baczył starszego mężczyznę zbliżającego się od szosy. Nieznajomy aszerował szybko i dziarsko postukiwał laską. Ksawery osłonił oczy. hrząknął raz i drugi, ale nie poznawał.

— Psiakmać... Idzie prosto do nas. Ciekawe, kto...

Stali chwilę mierząc się wzrokiem pełnym zdumienia i życzliwego litowania. Cok opamiętał się pierwszy. Wyciągnął ramiona.

— Michale, chyba to ty?

Jaskółka chwycił Ksawerego w objęcia i wycmoktał z hałasem.

— Wiesz... — mówił — wstyd powiedzieć, ale powiem tobie. Bałem ę, żeś wzrok całkiem stracił. Patrzysz, patrzysz, a nie widzisz. Aż

mnie ciarki przeszły! Ja szkieł używam tylko do czytania. W polu widzę dobrze. Poznałem cię od razu, bo po dawnemu odchylasz głowę, gdy spoglądasz pod słońce. No, i wąsy wyrosły ci większe.

— Ano, psiakmać, zleciało parę lat. Będzie tego dwadzieścia i rok. No, niecały!

— Ej, Ksawery, co to jest dla chłopa? Dla dziecka — dużo, ale dla nas? Pokaż-że swą Wikcię! Lubi zabawy, co? Pamiętam, że do tańca nie była ostatnia! O, nie!

— E, teraz to już mniej... Ano, idźmy. Spodziewaliśmy się ciebie w sobotę. Tak depesza mówiła.

— Depesza? — zdziwił się Jaskółka. — Jaka?

— Wikciu! Wikciu! Michał! Jaskółka!

Cokowa wychyliła się, spojrzała i zapytała też nie bardzo pewnie.

— Michał? Zaraz, bo nie mogę...

— Poślepli w tych Gajach...! — mruknął Jaskółka ubawiony widokiem Wiktusi. Cokowa zastygła z rękami przy głowie.

— Michał...! Rzeczywiście Michał!

Przy stole Jaskółka raz jeszcze zagadnął o depeszę. Cok wyjaśnił spokojnie.

— Pokazał nam Grzegorz. Pisałeś wyraźnie: sobota. Pewnieś zapomniał, co? Co prawda dziś też sobota, ale tydzień później.

— To Grzegorz był u was?

Cok zamiast odpowiedzi otworzył drzwi do sąsiedniej izby.

— Tu śpią oni, a tam mały.

Jaskółka zerwał się z krzesła.

— Jaki mały?

— Grześ. Mają na razie jednego, ale chłopak udany jak rzadko.

— Zaraz, czekajcie... Grześ to syn Grzegorza?

— No i Tusi. Sam by nie dał rady.

— Aha — Jaskółka ze zdenerwowania nałożył okulary. — Tusia... Rozumiem, tak wołacie na Henrykę Sznupę.

Cokowie spojrzeli po sobie i wymienili znaczące uśmiechy. „Ale zdziadział nam Michał, trzeźwy, a od rzeczy ględzi!"

— Michale... — przemówił Ksawery łagodnie. — Tobie nazwiska zmąciły się w głowie. W sprawie Henryki Sznupy powiedzieć nic nie możemy, bo jej nie znamy. A Tusia, to nasza Tusia. Wnuczka!

— Córka Wincentego Kieszka?

— ... i nieboszczki Klary! — dodał z irytacją Cok. — Na starość

chcesz dzieci sam rodzić? Wylatują ci kobiety z głowy jak gołębie z gołębnika!

Jaskółka usiadł i podparł głowę. Chwilę sapał gniewnie, potem rzekł sięgając po kieliszek. — I od razu syn! A, to dudek!

— Grześ nie dudek — poprawił spokojnie Cok. — Z nazwiska zaś jak i ty — Jaskółka, czyli że ptak, ale inny.

— Niech i tak będzie. Eh, psiapara... Natrę uszu! Gdzie oni?

— Poszli z Wincentym do Błażków. Pewnie wrócą razem, bo Wincenty zawsze po swojemu politykuje. Niby zgadzają się, ale jak co do czego, to Błażek tak, a Wincenty siak. Wiesz, że Klarę zabiła bomba? Ano, wojna, niech grom spali! Wikciu, napijesz się z nami? Michale, my tu wszystko wiemy, jakżeś ratował Andrzejka! Twoje zdrowie!

— A dajcie spokój! Toż to ludzka sprawa ratować człowieka!

— Iii, nie bardzo, bo zdarzają się ludzie złe jak wilki. Pamiętam jednego...

Tak gawędzili do zmroku, dziwiąc się sobie nawzajem, że tak czas ich nadgryzł. Cokowa wyczyściła szkło i zapaliła lampę. Jaskółka spytał:

— Elektryczności nie macie?

— Ano, była dawniej, ale zginęła na wojnie. Teraz radzimy w gminie, jak sieć odbudować. Sprawa stoi dobrze, bo ją popiera młody Ciągardlak w Warszawie. Jeno nie możemy się zgodzić, ile kto ma płacić. Ciągardlaki wołają, że wszyscy muszą dać równo, a my chcemy wedle majątku, jak podatek się płaci. Na razie trzymamy się mocno i nie dajemy Ciągardlakowi pierwszeństwa.

— A światła nie ma — wtrąciła Cokowa. — Będziesz se tą walką klasową przyświecał.

— Ej, Wikciu, to ostre krzesiwo! Lecą z niego iskry i nie jednego poparzą! Jeno czasu trzeba.

Jaskółka skrzywił się, jakby go naszły niemiłe jakieś wspomnienia.

— I ja w gromadzkiej sprawie przyjechałem tutaj. Zostanę do poniedziałku. Muszę się za noclegiem rozejrzeć...

— Ej, Michale...! A ładnie to mówić?

— O, widzicie! Już wydziwia po staremu!

— No, skoro prosicie, to rad skorzystam z gościny. W urzędzie dziś byłem. Krótko, ale com miał zobaczyć, tom widział. W poniedziałek zaś prosto do partii. Niech ratują.

— A ty, Michale, w jakiej jesteś partii?

Jaskółka podniósł mimo woli głos.

— W jakiej partii? Ksawery...!

— Ano pytam, Wincenty trzyma się PPS-u, Ciągardlak i Gołąb za PSL-em, Błażek przy PPR... Różne są partie. Nie pamiętam wszystkich.

Za oknem ozwał się pies. Cok posłuchał chwilę radosnego naszczekiwania i kiwnął głową.

— Andrzej wraca!

— Chodźże, smyku! — huknął Jaskółka. — Nie poznajesz wuja?

Cok zachwiał się na krześle.

— Wikciu, jak to jest właściwie? Wuj? Brat Klary? Wikciu! Może ty pamiętasz, bo ja nic przypomnieć sobie nie mogę!

— Myśmy krewni z wojny... — roześmiał się Jaskółka puszczając Andrzeja z objęć. — Udał się nam wojskowy, co?

— Ano, zaprzeczyć nie można.

— Tak... — rzekł Jaskółka. — A wiesz, Jędrek, nie poznałbyś teraz Kalinek... Zmieniło się dużo. Mamy elektryczność, aleję do pysowskiej szkoły będziemy brukować kamieniem. Nowości dużo, ale...

Jaskółka urwał i zasępił się nagle. Andrzej zaskoczony niespodziewaną odmianą nastroju, sięgnął po butelkę i resztę domowej nalewki wlał wujowi.

— Ale i płacz wielki. Tulikowa rozpacza jakby drugi raz traciła rodzonego syna. Nam też nie lekko. Ot, gadam, a ty przecież nie wiesz, że Fizylierka wydała się za generała. Ot, głowa kiepska... — Jaskółka zapalił i jął opowiadać o Łukaszu i Kachnie.

Zakończenie Andrzejowi przypadło w udziale. Cokowie, choć opowieść słyszeli nie raz, odsunęli się od stołu, kryjąc twarze w cieniu. Jaskółka mruknął:

— Mów — słuchał wyprostowany, coraz groźniej poruszając brwiami.

— ...żołnierze skaczą z wozów, ale tak nas ogień spłoszył, że mało kto chwyta za broń. Wszystko kładzie się pokotem. Nie poznasz: zabity czy ranny. Strzelają z góry w ciasny jar. Biją seriami z przodu i z tyłu. Popadliśmy w zasadzkę dobrze obmyśloną. Szarpię się z erkaemem i myślę sobie, ot, przyszedł koniec. Wystrzelają nas co do jednego. Gada się długo, ale to trwało krócej od minuty. Zanim oddałem pierwsze pociski, już zawołał generał:

— Do faszystów ognia!

— I na tę komendę ożyły nasze karabiny. Pod przewróconą ciężarówką radziści przypadli do radia i zaczynają wołać o pomoc. Wzywali oddział Pugańca, który jechał przodem.

— A on? Generał?

— Ani drgnął. Pochylił się lekko nade mną i zupełnie spokojnie powiedział: — Widzisz bandytę? Celnie strzelaj, moje dziecko... Ognia! Do faszystów — ognia! — Padł. Wtedy stała się rzecz dziwna. Ruszyliśmy naprzód z okrzykiem: „Bij faszystów!"... Potem nadciągnął Puganiec ze swoją kompanią i podparł natarcie od skrzydła. Rozbiliśmy bandę. Mełeszko zginął od bagnetu, Pisany żył jeszcze, lecz umarł w szpitalu. Jeden Putna wydostał się z walki i z garstką esesmanów uciekł pod osłoną nocy.

— Do faszystów ognia... — powtórzył Jaskółka. — Ano, to jakby całe życie zamknięte w jednym rozkazie. Lecz człowiek nie tylko rozkazami żyje, przeto jest ważne i to, com opowiedział przedtem.

Na podwórzu rozległy się głosy. Pies znów zaszczekał na powitanie. Szeroko otwarły się drzwi. Zaczęły się uściski, okrzyki i radosne płacze... Potem zasiedli razem i gwarzyli długo, aż lampa syknęła i zgasła wypaliwszy naftę.

Jaskółka obudził się wcześnie, lecz nie pierwszy. Andrzej ubrany i już ogolony czyścił przed domem buty.

— Do miasta od samego rana? — zdziwił się Michał.

— Aha.

Stary zsunął brwi i coś rozważając spod oka spoglądał na chłopca. Nagle pstryknął palcami i powiedział cicho:

— No, to pozdrów Cesię...!

Wystrzelił na ślepo, ale trafił celnie! Andrzej drgnął i aż obejrzał się wokół. Przebiegł wzrokiem zarośla i drogę szukając malinowej sukienki i jasnej czupryny...

— E, wuj zawsze chciałby mi dokuczyć... — bąknął zawstydzony odruchem. — Takie wuja żarty...

Jaskółka zmrużył oko. Andrzej poczerwieniał pod ciemną opalenizną, lecz nie wypierał się więcej.

Stary pokiwał głową. Wokół zieleniły się wierzby i brzozy. Pęczniały pąki na bzach. Sady tonęły w różowawym puchu. Wiosna rozsiadła się w Gajach, gwałtowna, upalna, przetykana latem.

— Ano, taki jest porządek rzeczy... — mruknął Jaskółka odprowadzając wzrokiem Andrzeja.

Gdy chłopiec znikł za drzewami, stary zszedł na brzeg popatrzeć na Wisłę. Jak staw spokojna płynęła bez zmarszczki fali, przybrana w barwy wznoszącego się coraz wyżej słońca.

Kwiecień 1952

Stanisław Zieliński

MIROSŁAW ŻUŁAWSKI

RZEKA CZERWONA *)

Major Forge ocknął się z krótkiego snu z uczuciem niepokoju. Zerwał się od razu i usiadł na łóżku, spuściwszy nogi na podłogę. Kładąc się nad ranem nie rozbierał się prawie, zdjął tylko spodnie i buty, aby być gotowym w razie alarmu. Siedząc trzeźwiał powoli. Niejasny niepokój nurtujący głucho gdzieś w głębi świadomości przebijał się powoli na jej powierzchnię i wybuchnął wreszcie jak raca.

Dong-Khe!

Major Forge zerwał się i chwycił za szorty.

— Suzaie! — zawołał.

Adiutant nie wyspany ale ogolony i w mundurze jak z igły ukazał się w drzwiach.

— Jestem, komendancie.

Forge zapinał szorty i wkładał buty.

— Dong-Khe?

— O świcie mieli ciężki atak. Viet obsadził kopiec na północ od cytadeli. Jest teraz wyżej od nich. Podają, że nie mogą podnieść głów, tak są przygwożdżeni ogniem.

— Kapitan Casanova?

Suzaie popatrzył na szefa ze zdziwieniem. Forge stał na środku izby z wybałuszonymi ślepiami, ale wyglądał, jakby nie widział nic.

— Pan wie przecież, komendancie. Kapitan Casanova zginął jeszcze wczoraj.

Forge nie odezwał się. Wczoraj było 25 maja. Rano, jak zwykle, kazał wejść w kontakt radiowy z Dong-Khe, bliźniaczą placówką położoną na tej samej drodze kolonialnej nr 4, o 35 kilometrów na południe. Co dzień mawiali sobie z Casanową „dzień dobry" i komunikowali obserwacje streszczające się zwykle do tego, że nikt nic nie widział i nic nie wie. Casanova siedział w Dong-Khe z dwiema kompaniami Marokańczyków, kompanią autochtonów i dwoma działami 105. Jego cytadela dominowała nad parszywym vietnamskim miasteczkiem z bambusu i błota. Nad jego cytadelą sterczały przeklęte tonkińskie kopce, wyrastające wprost z płaskiej niecki doliny, podobne do głów cukru ustawionych byle jak na stole. Po tych kopcach Vietminh łaził tam i z powrotem, jak chciał.

---

* Patrz Twórczość nr poprzedni.

Poprzedniego dnia, kiedy Forge wywołał Casanovę, usłyszał w głośniku bardziej niż zwykle bezbarwny głos radiotelegrafisty. Oni to mają wszyscy, ci radiotelegrafiści — im gorsze rzeczy mają do powiedzenia, tym głos ich staje się bardziej nijaki.

— Hallo Cao-Bang, mówi Dong-Khe, odpieramy od świtu ciężki atak przeważających sił Vietminhu. Nieprzyjaciel wprowadził do akcji co najmniej cztery bataliony oraz pięć dział kalibru 75. Od pierwszych salw poległ komendant fortu, a jedna z naszych 105-ek została rozbita. Dowództwo objął kapitan Brun. Hallo Cao-Bang, rozłączam się, mam wołać Lang-Son.

Casanova nie żyje! Stary druh i przyjaciel, kuty na cztery nogi wyjadacz kolonialny, z którym Forge z niejednego pieca chleb jadł. Major uwierzył już w tę śmierć, ale jej okoliczności nie mogły mu się pomieścić w głowie. Ten Brun nie przesadza czasem? Pięć dział 75? Skąd ten przeklęty Viet miałby je wziąć? Ładnie by wyglądały bambusowe wieże wartownicze, których w Cao-Bang Forge nastawiał okrągły tuzin, gdyby Viet nastąpił z artylerią! Wszystko zaczęłoby latać w powietrzu jak słoma.

— Suzaie — powiedział głośno — trzeba będzie zaryć się głębiej w ziemię.

Porucznik przybrał służbową postawę. Przeczekał chwilę, czy major nie zechce mówić dalej, po czym powiedział sucho:

— Po Dong-Khe przyjdzie kolej na nas. Każdy z naszych ludzi wie o tym.

Forge zasępił się. Siedział w Cao-Bang z taborem marokańskim, garścią artylerzystów i saperów oraz tysiącem pomocniczych wojsk vietnamskich. W mieście miał dwa tysiące tubylców, różnych Nungów i Meo, spędzonych z gór. Z całej tej masy ludzi wartość dla warowni przedstawiali tylko Marokańczycy, 800 chłopa. Z pięciuset cywilów można było jeszcze użyć jako kulisów. Oddziały autochtonów dobre były najwyżej do kopania rowów. Nigdy nie wiadomo, ilu Viet ma wśród nich swoich. Forge od dawna dopraszał się w Hanoi o ewakuację cywilów drogą lotniczą. Fort miał z dnia na dzień mniej oddechu. Jeszcze przed rokiem można było patrolować w promieniu jakich piętnastu kilometrów. Od paru miesięcy lepiej było nosa za rzekę nie wystawiać. Od października ubiegłego roku, odkąd ustały konwoje na odcinku Lang-Son — Dong-Khe — Cao-Bang, Forge otrzymywał zaopatrzenie z powietrza. Zdołał nawet urządzić małe lotnisko, między ruinami glinianych domów a rzeką. Forge był ostatnią placówką na drodze kolo-

nialnej nr 4, dalej już nie było nic aż po granicę chińską. Aż dziw, że Viet zaatakował najpierw Casanovę a nie jego.

Cały ubiegły dzień i większą część nocy Forge spędził przy radioodbiorniku, otoczony tuzinem swoich oficerów, przeżywając dramat Dong-Khe, godzina po godzinie. Wszyscy mieli tam przyjaciół i znajomych. Wszyscy wiedzieli, że śledząc tragedię sąsiada stają się zarazem świadkami swego przyszłego losu, że po Dong-Khe przyjdzie kolej na Cao-Bang.

— Jak sądzisz — spytał Forge adiutanta — Brun zdoła się obronić?

Suzaie wbił oczy w ziemię. Przez chwilę nie mówił nic. Forge lubił go za jego solidność i powagę. Suzaie miał w sobie coś z asystenta katedry.

— Będzie mu ciężko. Mà teraz Viet ponad głową.

Major Forge wiedział o tym. Wiedział z własnego doświadczenia, że aby móc się skutecznie bronić, trzeba by obsadzić i utrzymać wszystkie te przeklęte czuby, podszyte dżunglą, uwieńczone czerwonawą łysiną. A na to nigdy nie ma dość ludzi.

Forge machnął desperacko ręką i przeszedł do sąsiedniej izby. Radiotelegrafista spał w głębi ze słuchawkami na uszach. Forge zbudził go.

— Spróbuj dostać Dong-Khe.

Radiotelegrafista nachylił się nad aparatem.

— Hallo Dong-Khe, tu Cao-Bang... Hallo Dong-Khe, tu Cao-Bang.

Forge stanął w wąskim oknie, zasłoniętym moskitierą. Nad kotliną Cao-Bang wisiał opar, jak para nad garnkiem. Forteca i miasteczko leżały w widłach rzeki, osłonięte z trzech stron głębokim nurtem. O kilometr za rzeką wznosiły się wapienne kopce, pokryte dżunglą, łyse u wierzchołków. Tam już był Vietminh, niewidzialny ale obecny, czekający cierpliwie na sobie tylko wiadomą chwilę.

Radiotelegrafista włączył z trzaskiem głośnik.

— Dong-Khe, majorze, kapitan Brun.

Forge skoczył ku niemu.

— Brun, tu mówi Forge. Trzymasz się? Mów, trzymasz się?

Z głośnika dał się słyszeć zmieniony przez wzmacniacz głos Bruna.

— Trzymam się. Od świtu już nie atakują. Mamy przykry ogień nękający z kopców. Całą noc Viet używał 75-tek i moździerzy. Ma także łączność radiową. Odtąd będę nadawał tylko szyfrem. Życzę powodzenia, majorze Forge...

Radiotelegrafista rozłożył ręce i przekręcił wyłącznik. Forge zaklął ostro.

— Słyszałeś coś podobnego, Suzaie? Tego jeszcze brakowało! Jak po

wieczór Brun powie, że go atakują czołgami i samolotami, nie będę się dziwił.

Suzaie stał zamyślony. Na jego młodej twarzy malowało się zmieszanie.

— Obawiam się, komendancie, że wojna typu kolonialnego, wojna wież wartowniczych i zasieków z bambusu, należy do przeszłości. Szkoda, że Hanoi i Saigon nie chcą w to uwierzyć.

Forge prychnął niechętnie. Odniósł wrażenie, że to, co Suzaie mówił o wojnie typu kolonialnego, wymierzone było w niego. Miał już swoje lata, osiwiał w koloniach, nie lubił, kiedy byle młokos wypowiadał zdanie w sprawach, na których on zęby zjadł. Siedział w tym parszywym forcie od piętnastu miesięcy, znał w Cao-Bang każdą *nha-qué* i każde dziecko. Policzywszy wszystko dobrze, ze dwadzieścia lat spędził w tym kraju.

Zwrócił się opryskliwie do adiutanta.

— Gdzie meldunki patroli, Suzaie?

Adiutant podał mu kilka luźnych kartek. Forge przejrzał je uważnie. Dwa patrole przeszły rzekę, trzeci podjechał pod same kopce. Żadnych spostrzeżeń. Straże Vietminhu, nieruchome na skalistych czubach, widne zresztą i z Cao-Bang przez lornetkę. Nie wymieniono strzałów.

Zwrócił się do telegrafisty.

— Nadajcie do Lang-Son żądanie przeprowadzenia obserwacji lotniczej między That-Khe a nami. Niech zwłaszcza patrzą dobrze, czy nic się nie rusza na drodze z Nguyen Binh.

Radiotelegrafista wziął się do zaszyfrowywania depeszy. Forge wiedział, że i tak na nic się to nie zda. Dżungla dyszy oparami, nie będzie nic widać. Zresztą nawet w najjaśniejszy czas trudno coś zobaczyć. Viet porusza się tylko nocą, za dnia jest zamaskowany, wtopiony w otoczenie, jak zwierzęta i płazy. Nawet kiedy atakuje, to ma się wrażenie, że to dżungla idzie. Człowieka poznać tylko po tym, że ruszają się krzaki.

Forge zdjął z wieszaka korkowy hełm i skinął na adiutanta.

— Pojedziemy, Suzaie.

„Jeep" stał przed domem jak co dzień, gotowy do jazdy. Forge i Suzaie wsiedli weń wraz z szoferem i dwoma żołnierzami eskorty.

— Zaczniemy od wież strażniczych — zakomenderował Forge. Kiedy „jeep" ruszył, zdjął hełm i wytarł mokre czoło. Od samego rana było duszno i parno.

— Jedź od razu na całego — powiedział do szofera —im szybciej się jedzie w taki dzień, tym łatwiej oddychać.

Przejechali przez osadę, wzniecając tumany rudego kurzu. Na odgłos motoru wypadły spomiędzy chat gromady brunatnych, nagich dzieci i biegły czas jakiś za samochodem, wydając piskliwe okrzyki. Kilka starych kobiet siedziało u progów, łuszcząc ryż i kukurydzę. Większość mieszkańców pracowała już na polach wokół twierdzy.

Na krańcach płaskiej niecki, na dnie której leżało Cao-Bang, wznosiły się niewielkie pagórki, które Forge zamienił w prymitywne ale dobrze rozmieszczone forty. Przed fortami leżały pola ryżu i kukurydzy, świecące z dala kałużami stojącej wody. Wśród tych pól sterczały co kilkaset metrów wieże wartownicze z drzewa i bambusu, uwieńczone platformami umocnionymi workami z ziemią i nakryte trzcinowym dachem. Błotnista, tonąca w kałużach dróżka łączyła je ze sobą.

Samochód zatrzymał się przy najbliższej wieży, rozkraczonej pośród czerwonego kręgu ubitej ziemi. Forge i adiutant wysiedli i weszli po drewnianej drabince na platformę. Dwóch Marokańczyków wyprężyło się na baczność. Forge skinął im głową. Suzaie odsalutował skrupulatnie jak na mustrze i zakomenderował „spocznij".

— No jakże, chłopcy — spytał Forge — co widać?

— Nie widać nic, komendancie — odpowiedział żołnierz z naszywkami kaprala. — W nocy też nic słychać nie było.

Forge stęknął głucho i przeszedł po platformie. Stanął przy karabinie maszynowym i spojrzał ponad worki z piaskiem. Przed wieżą, w stronę kopców, leżał wąski pas ryżowych pól, podmokłych jak bajoro. Dalej las trzcin bambusowych, wysokich na dwa chłopa. Od wieży do wieży biegły zasieki z bambusa, wyglądające z daleka jak chłopski płotek. Forge liczył nie tyle na owe zasieki, ile na puszki po konserwach, przywiązane parami do łodyg bambusowego sitowia, ciągnącego się aż do podnóża kopców. Brnąc przez ten bambusowy las Viet musiałby poruszyć trzciny bambusów i wówczas blaszanki dzwoniłyby na alarm.

Forge rozejrzał się dokoła. Cao-Bang leżało jak na dłoni w samym środku niecki, objęte dwiema rzekami. Drogi idące przez dżunglę ze wschodu na zachód i z północy na południe krzyżowały się w środku osady. Bielone domy dowództwa błyszczały pod tym niebem z blachy, zakrywającym niewidoczne słońce, jakby promieniowały jakieś własne światło. Białe sylwetki tubylców pochylone nad brudną wodą pól ryżowych. Wapienne kopce, zamykające horyzont z czterech stron świata jak olbrzymie kopice siana, wyrastające prosto z płaskiego dna doliny. Tego krajobrazu z wody, mgły i błota pilnował Forge, leżąc na skrzy-

żowaniu dróg z nosem wystawionym ku dżungli, z nastroszonymi uszyma i palcem na cynglu.

Majorowi Forge strzeliła dziawaczna myśl do głowy. Zwrócił się do obu Marokańczyków, stojących na „spocznij".

— Odpowiedzcie — po co jesteśmy w Cao-Bang?

Żołnierze poderwali się na baczność. Ich brodate, drapieżne twarze nie wyrażały nic.

— Bo taki jest rozkaz, mój komendancie — odpowiedział ten z naszywkami kaprala.

Forge spojrzał na niego z zadowoleniem. Oczywiście, taki jest rozkaz, to wystarcza zarówno temu Marokańczykowi, jak i jemu, komendantowi Cao-Bang. Ale człowiek chciałby wiedzieć, chciałby mieć świadomość konieczności, celowości lub choćby użyteczności tej ofiary, jaką składa ze siebie od osiemnastu miesięcy każdy żołnierz i każdy oficer garnizonu, wymazanego z listy żyjących. Zwrócił się do adiutanta.

— Poruczniku, powiedzcie wy.

Suzaie wyprężył się lekko. Uśmiechnął się melancholijnie i począł mówić jak z nut.

— Jesteśmy w Cao-Bang dla czterech powodów. Po pierwsze: nasza obecność dyslokuje siły Vietminhu i nie pozwala mu na utworzenie i wyszkolenie masowej armii. Po drugie: blokujemy najważniejszy węzeł drogowy, uniemożliwiając transporty broni z Chin. Po trzecie: wypełniamy nasze zobowiązania międzynarodowe dotyczące poszanowania granicy, co miało ogromne znaczenie z chwilą zjawienia się na granicy rozbitych oddziałów nacjonalistów chińskich. Po czwarte, utrzymujemy przez naszą obecność w Cao-Bang jasny stan prawdy: wszystko, co po tej stronie granicy, jest wewnętrzną sprawą Unii Francuskiej. Wszystko, co by przyszło spoza granicy, byłoby zagadnieniem międzynarodowym.

Forge fuknął jak odyniec i podziękował skinieniem głowy. Trzymał hełm w ręku i patrzył w jego dno jak w studnię. Jego łysiejące ciemię pokrywało się kropelkami potu.

— Rozumiecie? — spytał krótko.

— Rozumiemy — odpowiedzieli razem Marokańczycy.

Forge popatrzył na nich groźnie. Wąsy zjeżyły mu się zaczepnie. Przez chwilę jego wzrok zetknął się ze wzrokiem żołnierzy.

— A ja rozumiem inaczej — burknął. — Podług mnie siedzimy tu dlatego, że nie ma jak stąd wyjść, chyba przez tę przeklętą drogę kolonialną nr 4, którą przyszliśmy tu, a na której nie widać nadchodzącej

śmierci. Siedzimy tu, bo lepiej jest widzieć, jak śmierć nadchodzi, — nie?

Marokańczycy nie odpowiedzieli nic, ale Forge widział po złagodnieniu służbistego wyrazu ich twarzy, że trafił w sedno. Wszystkich jego ludzi, którzy tu przyszli drogą kolonialną nr 4, nawiedzało jak senna mara wspomnienie tego marszu. Nie bali się dalszych miesięcy w odciętym forcie, nie bali się Vietminhu niewidocznego wśród kukurydzianego pola, bali się tej drogi męki i grozy, jaką stała się droga kolonialna nr 4. Forge widział ją z miejsca gdzie stał, jak przecinała Cao-Bang, biegła przez pola ryżowe, towarzyszyła rzece do podnóża kopców i ginęła w dżungli. Czerwonawa i błotnista jak wszystkie drogi w tym kraju, zarastała żarłoczną zielenią od czasu, kiedy skasowano konwoje między That-Khe a Cao-Bang. Tam na tej drodze, o 35 kilometrów stąd garnizon Dong-Khe przeżywał minuta za minutą swój los. Forge nie mógł mu nic pomóc, mógł tylko wisieć przy głośniku radioodbiornika, by nie przegapić ostatniej depeszy Bruna, jak ostatniego oddechu umierającego. Forge nastawił ucha. Nie słychać było nic.

— Czy w nocy słychać było działa z Dong-Khe? — spytał.

— Słabo, komendancie. Dżungla tłumi.

Forge'a zdjął nagły niepokój o Dong-Khe. Zapragnął wiedzieć, co się tam dzieje, zapragnął usłyszeć, że jeszcze żyją. Rozsądek i doświadczenie mówiły mu, że Viet nie zaatakuje przed zmrokiem, ale niepokój wychodził z głębi piersi, był sprawą nie rozsądku, lecz serca.

— Wracam do kwatery — rzekł adiutantowi. — Wy, poruczniku, zlustrujecie wszystkie wieże i zdacie mi raport.

Na linii pagórków Forge wysiadł zostawiając samochód adiutantowi i poszedł pieszo. Odwracał się często i przystawał, patrząc na umocnienia ziemne. Pięć siedemdziesiątek piątek Vietminhu pod Dong-Khe nie dawało mu spokoju. — Tu trzeba by betonu — myślał — betonu i prawdziwych zasieków z drutu kolczastego. Nie pomyślano o tym na czas, kiedy droga była jeszcze otwarta, a teraz już za późno. Musiałby to być ciężki konwój, dla przejścia którego trzeba by było zorganizować całą operację, zaangażować wszystkie placówki wzdłuż drogi, wszystkie rezerwy z delty Rzeki Czerwonej. Co za bzdura! Dawniej, kiedy trzeba było otwierać drogę dla każdego konwoju, garnizon Cao-Bang był po to, by otwierać drogę, która była potrzebna po to, by zaopatrywać garnizon. Błędne koło. Ale od czasu ustania konwojów Cao-Bang utrzymywano tylko ze strachu. W języku sztabu generalnego nazywało się to, że „sprawę ewentualnej ewakuacji Cao-Bang uważać należy za bardzo delikatną".

Ewakuacja Cao-Bang... Mówi się o tym od roku niemal, od pierwszych, śmiertelnych zasadzek na konwoje na przełęczy Long-Phai w czerwcu i wrześniu. Ten Suzaie dobry sobie... Mówi, jakby czytał z rozkazu naczelnego dowództwa: „blokujemy najważniejszy węzeł drogowy, uniemożliwiając transporty broni z Chin..." Za tymi kopcami Viet wybudował drogę omijającą Cao-Bang i kończy linię kolejową przez dżunglę! I kto tu kogo blokuje, on, Forge, rebeliantów, czy rebelianci jego? — Spojrzał za siebie, na szczerbatą linię kopców. Na każdym z nich wznoszą się nieruchome straże Vietminhu, nie spuszczając go z oka. Forge waruje tu jeszcze, może ugryźć, gdy mu nadeptać na chwost, ale nie może już się ruszyć, nie może skoczyć do gardła, ubiec niebezpieczeństwa, ani uchylić się przed nim.

Doszedłszy do kwatery Forge odprawił żołnierza eskorty i wszedł do środka. Radiotelegrafista zerwał się jak złapany na gorącym uczynku. Widać było, że spał.

— Masz coś? — spytał major.

Żołnierz podał mu ćwiartkę papieru. Forge przeczytał ją, stojąc na środku izby, z nogami rozstawionymi i pochylonym karkiem. Hanoi żąda zestawienia zużycia amunicji za ostatni kwartał. Podaje godziny zrzutów na dzień dzisiejszy.

— To wszystko?

Radiotelegrafista potwierdził.

— Nic z Dong-Khe?

— Nic. Ale rozmawiałem z kolegą, który nadawał depeszę z Hanoi. Nie wierzą tam w to, co podaje kapitan Brun.

Forge sapnął ciężko. On też zrazu nie wierzył. Podobnie nie wierzyli z pewnością sąsiedzi z That-Khe, Na-Cham, Dong-Dang i Lang-Son. Teraz oni już wierzą, ale nie wierzy Hanoi. Jak uwierzy Hanoi, nie będzie wierzył Saigon. Jak Saigon uwierzy, będzie już po wszystkim.

— Nie wiesz, że nie wolno prowadzić rozmów prywatnych? — zburczał radiotelegrafistę. — Daj mi That-Khe.

That-Khe było najbliższym sąsiadem Bruna od południowego wschodu. Obie placówki dzieliło nie więcej jak siedemnaście kilometrów, no i ta przeklęta przełęcz Long-Phai. Do That-Khe konwoje dochodziły normalnie, była to ostatnia placówka wysunięta ku północy na drodze kolonialnej nr 4, do której można było dojść i z której można było wyjść. Za nią było Dong-Khe, zakorkowane przez przełęcz Long-Phai, jeszcze dalej Cao-Bang. Poza Cao-Bang nie było już nic, tylko Vietminh i dżungla.

— That-Khe — powiedział radiotelegrafista.

Forge podszedł do aparatu i wziął słuchawkę.

— Woła Cao-Bang — powiedział — komendant placówki. Nie wiecie, co słychać u sąsiada?

W głośniku zachrypiało.

— Mówi That-Khe, oficer dyżurny. Całą noc u sąsiada gadały armaty, słyszeliśmy każdy wystrzał. Strzelała jedna 105-ka Bruna i co najmniej cztery siedemdziesiątki piątki. Wygląda to na masowe użycie artylerii przez Vietminh. Od rana jest cicho. Mamy się na baczności. A co u was?

— Na razie spokój. Są zbyt zajęci Brunem. Czy mówiliście z Hanoi? Trzeba potwierdzić użycie przez Viet artylerii, rozumiecie?

— Rozumiem. Zamelduję waszą sugestię komendantowi. Życzę powodzenia, majorze Forge.

Forge fuknął jak jeż. Wszystkie placówki wzdłuż drogi uważały go już po trosze za nieboszczyka. To już drugi z kolei życzy mu dziś powodzenia.

Wziął ołówek i napisał na kartce papieru:

„Przez całą noc słyszałem ogień kilku 75-ek pod Dong-Khe. W naszych warunkach jest to jednoznaczne z masowym użyciem artylerii przez przeciwnika. Jeśli nie zainterweniujecie natychmiast, Brun nie wytrzyma. Po nim wezmą diabli mnie".

Położył kartkę przed radiotelegrafistą.

— Nadaj to do Hanoi.

Annamicki służący stanął w drzwiach. Forge spojrzał pytająco. Annamitą skłonił głowę i złożył ręce na piersi.

— Pan nie jadł dziś śniadania. Jest już niemal południe.

Resztę dnia Forge spędził usiłując nadaremnie dogadać się z Hanoi i Dong-Khe. Jedni i drudzy byli zajęci czym innym. Forge odbył odprawę oficerów, zarządził wykonanie nowych prac ziemnych, rozesłał nowe patrole, zapędził wszystkich do roboty. Po południu odebrał wreszcie depeszę z Dong-Khe, w której Brun donosił, że zlokalizował dziesięć batalionów Vietminhu, biorących udział w natarciu. Forge pomyślał zrazu, że Brun istotnie postradał zmysły. Ale później przypomniał sobie zasadzki na konwoje w czerwcu i wrześniu na przełęczy Long-Phai gdzie Viet wprowadzał do akcji po dwa lub trzy tysiące ludzi, stosując zsynchronizowany ogień moździerzy i broni maszynowej. Od pewnego czasu wszystko było możliwe. Każda ewentualność wykluczona z góry przez sztab saigoński stawała się prawdopodobna.

Pod wieczór wybuchła gwałtowna strzelanina na piątym forcie. Wydarzało się to niemal co dnia, raz tu, raz tam. Ale od ubiegłego dnia nie

było już zdarzeń zwyczajnych wokół Cao-Bang. Forge kazał się połączyć natychmiast z fortem. Badał podejrzliwie wypadek, nie ufając długo uspokajającym zapewnieniom dowodzącego porucznika.

Wieczorem oficerowie zebrali się w messie. Posiłek upływał w ponurym nastroju. Wszyscy byli myślą przy tych z Dong-Khe. W oczach każdego można było czytać obawę, że zaatakowany sąsiad nie przetrzyma nocy. Radiotelegrafista nie odrywał się od aparatu, czekając, czy Dong-Khe nie zawoła.

Koło północy fort przemówił. Szyfrant siedział chwilę nad kodem, potem podał komendantowi depeszę. Brun nadał ją do wszystkich placówek na drodze kolonialnej nr 4, jakby chciał podzielić się z nimi swą dolą, jak chlebem.

„Viet podnosi się do ataku tysiącami. Ewakuuję cytadelę i po zniszczeniu urządzeń odrywam się w kierunku That-Khe. Do widzenia".

Forge przeczytał depeszę na głos, stojąc w kręgu otaczających go oficerów. Co Brun chciał powiedzieć przez to „do widzenia"? Forge widział go niemal, jak na czele swych śmiertelnie znużonych ludzi zagłębia się w zionącą strzałami ciemność, jak pochłania go dżungla i noc. Ci z That-Khe, choćby chcieli, nie mogą mu wyjść naprzeciw przed świtem. Odtąd los Bruna nie jest już związany z losem Dong-Khe. Bliźniacza placówka na drodze kolonialnej nr 4 stała się „kolumną Bruna", zagubioną w dżungli.

— Żeby dojść do That-Khe Brun musi przejść przez przełęcz Long-Phai — powiedział ktoś pośród milczenia.

Major Forge ściskał w palcach ostatnią depeszę z Dong-Khe.

— Dobranoc, panowie — powiedział. — Przed jutrem nie dowiemy się już niczego.

Oficerowie żegnali się i wychodzili jeden po drugim. Cao-Bang spało w dole pod wygwieżdżonym niebem, wtulone w widły rzeki. Na horyzoncie czerniała dżungla, zasnuta mgłą. Oficerowie wsiadali w „jeepy" po dwóch, po trzech, udając się na swoje posterunki. Po chwili przed kwaterą komendanta został tylko Suzaie. Przez czas jakiś słyszał jeszcze oddalający się coraz bardziej szum silników. Potem i to ucichło. Zrobiło się zupełnie cicho. Suzaie miał wrażenie, że mógłby teraz słyszeć działa z Dong-Khe. Nastawił uszu. Z daleka, z poza pól ryżowych i rzeki dochodzić począł niby cykanie świerszczy odległy zgiełk złożony z tysiąca pokrzyków, jęków, złorzeczeń, ryków gniewu i rozpaczy, skowytów, świstów i skomleń. Suzaie słuchał, dopalając papierosa. To dżungla rechotała nocą — olbrzymie żabowisko.

Zmiana obsady wież wartowniczych odbywała się raz na dobę, przed zmierzchem. Szara półtonówka z karabinem maszynowym rozkraczonym na dachu szoferki gramoliła się od wieży do wieży, kuśtykając poprzez kałuże. Za każdym przystankiem odbywał się ten sam rytuał. Oficer dyżurny wchodził ze świeżą obsadą po drabinie i po chwili schodził ze zluzowanymi ludźmi. Żołnierze już nawet nie słuchali jego sakramentalnego przypomnienia, że spanie na służbie oznacza sąd polowy i kulę w łeb ze strony swoich albo cios nożem lub podrzucenie odbezpieczonego granatu ze strony Vietminhu. Marokańczycy sypiali w swych gniazdach jak żbiki na żerdzi, budząc się za najlżejszym szelestem. Nocą słuch zastępował wzrok, a cały świat zamieniał się na dźwięki. Nie było po co wytrzeszczać oczu, nie było i tak nic widać. Można było trzymać straż z zamkniętymi oczyma, można było równie dobrze poobsadzać platformy ślepcami.

Mohamed Arab Arezki sprawdził, czy suwak u karabinu maszynowego chodzi lekko i czy zapalniki u granatów ręcznych dobrze są wkręcone. Później rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić znaną na pamięć topografię. W zapadającym zmierzchu, daleko, sąsiad z lewej majaczy wśród ryżowiska jak dziwaczny owad wspięty na długich odnóżach. Tafle brudnej wody lśnią na polach, odbijając resztkę dnia. Na wprost rozlewiska rzeki, bambusowe zarośla, dżungla u podnóża kopców. Sąsiad z prawej nachylony nad samym brzegiem jak rybak czatujący na rybę. Niebo dopalające się szybko po pożarze zachodu.

Mohamed zwrócił się do towarzysza, nabijającego rakietnicę.

— Jak myślisz, Marouf, będziemy chyba tej nocy spać na zmianę? Jeden musi dobrze nadstawiać uszu.

Marouf, czarny i brodaty, z zakrzywionym nosem i błyszczącym okiem, odłożył rakietnicę na parapet.

— Tej nocy nie będziemy spać — powiedział chrapliwie — ani ty, ani ja.

Mohamed wzruszył ramionami.

— Strach cię obleciał?

Marouf stał nieruchomy, patrząc w stronę rzeki. Dopiero po chwili odezwał się.

— Noc będzie dość ciemna.

Mohamed spojrzał ponad parapet. Noc zapadła nagle, bez zmierzchu, od razu czarna. Ryżowisko ledwie szarzało w dole. Na rzece drżał jeszcze leciutki odblask gwiazd. Ale od dżungli wstawał już siwy tuman, zacierając niebo na widnokręgu.

— Nie taka znów ciemna. Boisz się, że zaatakują?

Marouf nie od razu odpowiedział. Słychać było, jak wielkie żaby zaczynają stękać za rzeką.

— Nie, nie wydaje mi się, żeby mieli już tej nocy atakować.

Mohamed zbliżył się do niego. Marouf był starym żołnierzem, służył w Indochinach od początku wojny. O świecie wiedział więcej niż ktokolwiek w kompanii. Mohamed nauczył się ufać mu, przekonawszy się nieraz, że kapral Marouf wie, co mówi.

— To dlaczego nie chcesz pospać, skoro nie spodziewasz się ataku?

Marouf wlepił w niego oczy.

— Pamiętasz Nguyen-Binh?

Mohamed pamiętał. Była to ostatnia akcja pacyfikacyjna garnizonu. Patrol wysłany na samochodzie pancernym w stronę Nguyen-Binh zniknął, jak połknięty przez dżunglę, nie zdążywszy wystrzelić rakiety. Podejrzenie dowództwa ześrodkowało się od razu na wiosce, uchodzącej dotąd za przyjazną, w której patrole zatrzymywały się często nie zachowując zbytniej ostrożności. Wieś musiała udzielić schronienia partyzantom lub sama stać się ogniskiem partyzantki. W dwa dni po wypadku kompania Marokańczyków wyszła z Cao-Bang i otoczyła wioskę. Żołnierze wiedzieli, czego się trzymać. Od razu zaczęła się dzika rzeź. Pociskami zapalającymi pozapalano chaty z bambusu. Marokańczycy stali na ryżowiskach wokół wsi i strzelali jak na obławie. Mohamed strzelał też, mierząc uważnie. Pięciu kolegów zginęło w zdradzieckiej wiosce, jutro mogło to samo spotkać jego samego. Opowiadano, że chłopi vietnamscy pozwalają długo umierać schwytanym jeńcom.

Marouf zapalił krzywą fajkę, ostrożnie zakrywając płomień. Pyknął parę razy, zaniosło od niego gorzkim dymem.

— Stałem koło porucznika Kerrola. Mieliśmy jeszcze podpalić ryż na pniu. W pewnej chwili z płonącej chaty wybiegła kobieta z dzieckiem na ręku. Była tak blisko, że widziałem przerażenie w jej oczach. Dziecko krzyczało. Chłopcy zawahali się, kilku strzeliło panu Bogu w okna. Kobieta przebiegła między nami i skoczyła w kukurydzę. Porucznik chwycił mnie za ramię. „Strzelaj Marouf!" — wiedział bestia, że strzelam dobrze.

Znów począł pykać fajkę. Mohamed stał przy nim oparty o worki z piaskiem i patrzył pytająco. Marouf wyjął fajkę z ust.

— Dopiero kiedy strzeliłem, stanął mi w oczach jedyny obraz, jaki zapamiętałem z dzieciństwa. Moja matka, biegnąca ze mną na ręku przez zburzoną, kamienną wioskę i senegalski strzelec mierzący w nią z karabinu. Byłem tak przerażony, że nawet nie krzyczałem. Zapamię-

tałem francuskiego oficera z rewolwerem w ręku, wskazującego nas Senegalczykowi.

Znowu przerwał i wziął się do fajki. Mohamed patrzył nań podejrzliwie. Od dżungli dochodziły wrzaski, jakby piekło wyrzuciło na ziemię całą swą zawartość. Marouf mówił dalej.

— Wtedy zrozumiałem. Zrozumiałem w jednej chwili wszystko. I to, co mi chodziło po głowie, i to, co mówili towarzysze w dokach, o imperializmie, ucisku kolonialnym, międzynarodowej solidarności proletariatu. Jakbym odzyskał nagle słuch i wzrok. Ujrzałem po raz pierwszy siebie, uciekającą kobietę i oficera. To była ta sama kobieta, to samo dziecko, ten sam strzelający żołnierz, ten sam oficer. Rozumiesz, Mohamed? Moja matka uciekała, niosąc mnie na ręku, a ja stałem obok francuskiego oficera i strzelałem do niej i do siebie. Rozumiesz?

Potrząsnął go za ramiona. Mohamed lekko odsunął jego ręce.

— Co cię napadło, Marouf? — zapytał z niepokojem.

Marouf patrzył na niego płonącymi oczyma.

— Tej nocy idę do Vietu — powiedział krótko.

Mohamed drgnął. Teraz on z kolei chwycił Maroufa za ręce.

— Marouf, oszalałeś? Ty, kapral — chcesz dezerterować?

Marouf przyciągnął go do siebie i ucałował w oba policzki.

— Idę do nich. Nie namawiam cię, żebyś poszedł ze mną. To by była dezercja. Musisz sam wpierw zrozumieć. Bądź zdrów, Mohamed.

Wyzwolił się z jego uścisku i postąpił ku drabince. Mohamed skoczył za nim.

— Tchórzu! — ryknął — Chcesz zwiać! Boisz się, że zdechniesz, jak ci z Dong-Khe!

Marouf wzruszył tylko ramionami. Mohamed stał bezradnie na środku platformy i patrzył za nim.

— Stój! Nie mogę cię puścić, słyszysz Marouf? Za dezercję kula w łeb, tobie i mnie. Będę musiał strzelać!

Marouf odwrócił się.

— Wiesz, na co oni liczą, kiedy do nich strzelamy? Na to samo, na co liczyła moja matka. Że nam jednak przy strzale zadrży ręka.

Stał chwilę, czarny na tle gwiazd, zwalisty i wielki. Ruszył się powoli, jakby miał czas, objął ramieniem drabinkę i nagle znikł z oczu Mohameda, jakby wpadł w studnię.

— Marouf! — krzyknął Mohamed.

Rzucił się ku drabince, wychylił głowę i wołał.

— Marouf!

Usłyszał człapanie buciorów w ryżowisku po drugiej stronie wieży. Skoczył ku parapetowi i wbił oczy w ciemność.

— Marouf, wróć!

Wytężył słuch. Słychać było tylko daleki rechot dżungli. Mohamed sięgnął po rakietnicę, skierował lufę w niebo i pociągnął spust. Rozległ się suchy trzask kurka. Mohamed otworzył rakietnicę i wsunął palec w komorę. Była pusta.

— Marouf, wróć! Bo będę strzelał!

Nastawił ucha. Nic, tylko przeraźliwy chichot nocy za rzeką. Aż naraz od bambusowych zarośli dochodzić począł dźwięk metaliczny, lekki ale wyraźny, powtarzający się jak dzwonienie kierdela w górach.

Blaszanki!

Mohamed skoczył do karabinu maszynowego, przesunął zamek, pochylił się nad imadłem.

— Maaarouuuuf! — krzyknął z rozpaczą.

Skierował lufę tam, skąd dolatywało bębnienie blaszanek. Nacisnął spust.

Karabin plunął długą serię. Łuski posypały się jak groch i stukały, skacząc po belkowaniu. Mohamed przerwał ogień i nadsłuchiwał, podniósłszy głowę. Blaszanki zadźwięczały znów, jakby nieco dalej. Mohamed przywarł do kolby, poprawił na ślepo i przefastrygował zarośla gęstym ściegiem. Ramiona i plecy drżały mu od dygotania maszynki jak w dreszczach. Strzelał nie słysząc, że sąsiednie wieże, zaalarmowane jego ogniem, szyją na oślep sitowie smugowymi pociskami.

Dwie race wzbiły się niemal równocześnie z lewej i prawej, jak wznoszące się gwiazdy i oświetliły teren zimnym, magnezjowym blaskiem. Puste pole ryżowe z rzędami małych snopków, las bambusowy spokojny niby powierzchnia stawu, rzeka w strzępach stanioli. Mohamed oderwał palce od spustu i odepchnął kolbę. Sprawdzając mechanicznie suwak poczuł, że drżą mu ręce.

Porucznik Kerrol stał w „jeepie" z zadartą głową, wskazując palcem szczerbę pomiędzy kopcami, wypełnioną zbielałym od żaru niebem.

— Jest!

Mały Morrane, wyglądający z dala jak czapla, przeskoczył przełęcz, błysnął w słońcu, przechylając się na skrzydło i zaryczał w ostrym

wirażu. Pukanina dochodząca od kopców zrzedła. Kerrol śledził lot samolotu kręcąc głową.

— Co za sztuki ci piloci muszą wyprawiać, aby tu wylądować!

Sierżant i szofer odpowiedzieli wybuchem zadowolenia. Nie lubili lotników i nie mieli nic przeciwko temu, by któryś z nich skręcił kark.

Samolot zafurczał nad głowami, aż przysiedli. Sierżant zaklął brzydko. Morrane wykonał u samego krańca doliny nagły zwrot i zniżał się na zwolnionych obrotach. Dotknął kołami gruntu, podskoczył raz i drugi, wreszcie siadł. Zrobił się od razu sztywny i niezgrabny jak siedzący owad.

Porucznik Kerrol skinął szoferowi ręką. „Jeep" ruszył na przełaj skacząc po wybojach. Morrane wykręcał ku bambusowemu hangarowi gramoląc się ciężko, jakby mu krzyż przetrącono. Kerrol podjechał z boku.

Pilot zatrzymał motor, otworzył maskę kabiny i zeskoczył po skrzydle.

— Salut! — zawołał poznając porucznika.

Przywitali się serdecznie.

— Cali? — zapytał Kerrol.

Pilot roześmiał się zdejmując kask.

— Cali. Na szczęście Viet nie ma jeszcze OPL-u. Tylko tu u was wylądować... Prawdziwy cyrk.

Kerrol zerknął ku kabinie pasażera. Młody chłopak ściągał z siebie kombinezon pilota. Kerrol skrzywił się ironicznie na widok jego nowiuteńkiego munduru.

— Całkiem zielony, co? — zagadnął wskazując przez ramię kciukiem.

Pilot kiwnął głową.

— Prosto z Paryża. W oryginalnym opakowaniu. Ale nie miał pietra.

Kerrol wzruszył ramionami.

— Tacy nigdy nie mają pietra. Człowiek nie boi się nieznanego, tylko tego, co już zna.

Zwrócił się ku zeskakującemu z kabiny oficerowi i zasalutował.

— Porucznik Kerrol, zastępca dowódcy 2-ej kompanii 3-go tabor marokańskiego wita was z rozkazu komendanta placówki.

Nowoprzybyły odpowiedział, oddając ukłon.

— Porucznik de Théoliere w misji specjalnej. Bardzo mi miło poznać was, poruczniku Kerrol.

Uścisnęli sobie ręce.

— Mam rozkaz zawieść was na kwaterę — powiedział Kerrol. — Będziemy mieszkać razem. Wasz bagaż wam przywiozą. Proszę, siadajcie.

Zwrócił się do pilota, palącego na stronie papierosa.

— Was, sierżancie, chce zaraz widzieć porucznik Suzaie. Siadajcie, podwieziemy.

Pilot ruszył się wolno. W swym kombinezonie podobny był do ogromnej poczwarki jedwabnika.

— Chętnie, jeżeli tylko macie co pić w kantynie. Bez litra Beaujolais nie zdobędę się nigdy na to, aby was opuścić.

Spojrzał z udaną czułością na obu oficerów. Już siedząc w „jeepie" rozejrzał się wokoło. Droga pełna suchego kurzu, spękane lepianki osady, dalej niskie, czerwonawe wody rzeki. Wyszczerzone kły kopców pod niebem z roztopionego ołowiu. Splunął.

— Wszawa dziura — rzekł z obrzydzeniem.

— Wybredniś z was, sierżancie — odparł z ironią Kerrol — przylatujecie tu sobie raz na pół roku, pobędziecie parę godzin, wysuszycie nam kantynę i jeszcze sarkacie. Co my mamy gadać?

Théoliere przypatrzył mu się z ukosa. Kerrol był nieduży, ryży, ze śladami piegów pod grubą warstwą opalenizny. Miał na sobie mundurową koszulę, szorty i korkowy hełm. Jego kolana i nagie do łokci ręce były porośnięte rudym włosem.

— Jesteście Bretończykiem? — spytał.

— A jakże. Skąd wiecie?

— Nazwisko, no i wasz celtycki typ. Ja pochodzę z Nancy.

— A ja z Lyonu — wtrącił pilot. — Mieszkańcy Lyonu są znienawidzeni w całej Francji.

Powiedział to z taką dumą, że obaj oficerowie parsknęli śmiechem. Tylko siedzący obok szofera sierżant obejrzał się i spojrzał z zimną nienawiścią na pilota.

Po przybyciu na miejsce Kerrol zaprowadził gościa na kwaterę. Był to obszerny pokój w drewnianym domu należącym do chińskiego kupca. W oknach wisiały całe moskitiery, a podłoga wysłana była matą. W kącie stało polowe łóżko. Théoliere stanął na środku izby i brał w posiadanie te cztery ściany, które miały odtąd być jego domem. Kerrol kucnął na podłodze zwyczajem tubylców i gadał bez przerwy.

— Kwatera niczego sobie. Jadamy w messie. Sprząta i pierze *nha-qué*. Jest głupia jak gęś i zachowuje się w łóżku jak cielę, ale młoda i dość czysta. Najgorsze jest to, że przysłali nam asystentkę społeczną, rodzaj kobiety mającej czuwać nad moralnością wojska. Nie wystarcza jej podmywanie dzieci Nungów — odwiedza wszystkie *nha-qué*

w wieku poborowym i odbywa z nimi umoralniające rozmowy. Jedyną radą byłoby zerżnąć ją także, ale jest tak szpetna, że nikt nie ma na to odwagi. Chociaż, jak posiedzicie tu dłużej, zobaczycie sami, jak można się stęsknić za kawałkiem białego mięsa. Jesteście żonaty?

Théoliere uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Nie.

— To dobrze. W przeciwnym razie powstają zawsze niepotrzebne komplikacje. Tylko Senegalczycy mogą sobie na to pozwolić, by zabierać ze sobą do Afryki wszystkie dzieci, jakie tu narobili. Widywałem takich, którzy wieźli ich do domu po pół tuzina, każde od innej, choć jednakowo żółtej mamy. Opiekują się bachorami lepiej niż nasza asystentka społeczna. Nie mielibyście ochoty zrobić jej dziecka?

Théoliere zaprzeczył, zmieszany do szczętu.

— Szkoda. Miałaby wreszcie zajęcie i przestałaby zajmować się tym, kto z kim śpi. Pokazać wam naszą *nha-qué*? Możecie się z nią nie certolić.

Théoliere wybłagał odłożenie prezentacji na później. Na razie chciał się umyć i zmienić bieliznę.

— Jak sobie życzycie. Choć ona mogłaby was też umyć. Robi to bardzo dobrze. Jak wam na imię?

— Martin.

— Będziemy sobie mówić po imieniu, zgadzacie się? Mnie wszyscy mówią po prostu: Kerrol. Nikt prócz mnie nie wie tu, jak mi na imię. No to się już myj, Martin, tusz jest za kotarą.

Pokręcił się jeszcze, pozaglądał do waliz Martina, powąchał jego mydło i wyszedł prosząc, aby Martin zawołał, jak będzie gotów.

W pół godziny później Théoliere zameldował się u komendanta placówki. Major Forge przyjął go w cztery oczy, zerkając nieufnie. Poruczniczyna pachniał zbytnio sztabem i wodą kolońską. Forge burknął parę słów powitania i zaraz wyciągnął rękę.

— Macie instrukcje? Dawajcie!

Théoliere wydobył z kieszeni opieczętowaną kopertę i podał ją majorowi. Forge trzymał ją chwilę w palcach, zaskoczony. Była cienka cieniutka, nie zawierała więcej niż ćwiartkę papieru.

— To wszystko?

Porucznik potwierdził. Forge rozdarł kopertę i odczytał krótkie pismo. Nie ukrywając niezadowolenia zwrócił się do Théoliere'a.

— Wiecie, co tu jest napisane?

— Tak jest, komendancie.

Forge rzucił mu spode łba nieufne spojrzenie.

— Co?

— Że instrukcje naczelnego dowództwa przekaże komendantowi Cao-Bang porucznik de Théoliere ustnie.

Forge zamruczał z dezaprobatą. Théoliere stał przed nim w służbowej postawie, w pełnym mundurze, z krawatem, w długich spodniach. Forge machnął ręką.

— Siadajcie i mówcie.

Wskazał porucznikowi krzesło, sam usiadł ciężko, złożył ręce na brzuchu i przymknął powieki niczym ksiądz mający słuchać spowiedzi. Światło dnia mżyło przez spuszczone zasłony z maty i drżało drobnymi plamkami na ścianach. Théoliere zaczerpnął oddechu i począł mówić.

Dowódca naczelny podawał do wiadomości komendanta Cao-Bang, że na ostatnim posiedzeniu Komitetu Obrony Indochin w Paryżu zmieniono decyzję z czerwca ubiegłego roku upoważniającą Saigon do ewakuacji Cao-Bang w razie potrzeby. Obecnie postanowiono utrzymać za wszelką cenę Cao-Bang i to wbrew zaleceniom szefa sztabu, generała Reversa, który po podróży inspekcyjnej do Indochin wypowiedział się za koniecznością ewakuacji drogi kolonialnej nr 4. Ale generał Revers skompromitował się w międzyczasie, jego ultratajny raport o sytuacji wojskowej w Tonkinie dostał się do wiadomości Vietminhu. Rządowy Komitet Obrony Indochin miał podstawy do wniosku, że należy w każdym wypadku postępować odwrotnie, niż to zalecał w swym raporcie Revers. Z drugiej strony dowódca naczelny w Indochinach, generał Carpentier, przedstawił dostateczne argumenty za utrzymaniem Cao-Bang. Argumenty te są komendantowi Forge znane.

Recytując swój raport Théoliere obserwował majora. Forge wyglądał, jakby spał. Wąsy zwisały mu po obu stronach ust. Dolna warga poruszała się w takt równego oddechu. Théoliere przerwał.

Forge wytrzymał go tak chwilę. Ten młodzik recytuje dobrze swoją lekcję — myślał. Ładny chłopiec, jeden z tych, o których mawia się w rodzinie: ach, jak mu będzie do twarzy w mundurze! Woleli przysłać jego niż instrukcję na piśmie. Znowu ten obłędny strach dowództwa przed przeciekaniem tajnych dokumentów. Po tej historii z raportem Reversa musieli dostać zupełnego kręćka na tym punkcie. Niech im będzie. Więc tym razem nie ewakuują Cao-Bang. Uchwała Komitetu! Ha! Jakby od niej zależało to, co się tu dzieje i dziać będzie. Otworzył oczy.

— Mówcie dalej.

Théoliere kontynuował raport.

Dowództwo naczelne wyciągnęło wnioski z afery Dong-Khé. Spadochroniarze rzuceni zostali zbyt późno, aby ocalić Bruna, ale nie mniej odbili fort. Postanowiono wzmocnić najbardziej eksponowane placówki. Cao-Bang otrzyma natychmiast batalion Legii. Operacja doprowadzenia go drogą kolonialną nr 4 jest w trakcie montowania. Komendant placówki przygotuje się do przyjęcia batalionu w dniu oznaczonym literą H. Ma za zadanie otworzyć o świcie 10 km drogi w kierunku Dong-Khé. Tajemnica zupełna do ostatniej chwili...

Major Forge otworzył oczy i wbił natarczywe spojrzenie w porucznika. Batalion Legii! Mało im, że tabor marokański siedzi w potrzasku Cao-Bang, pakują weń jeszcze batalion Legii! Jeśli już koniecznie chcą go wzmocnić — to niechby przysłali raczej Senegalczyków, tych równie trudno wykurzyć z fortów, jak termity z gniazd. I nie ma z nimi kłopotów. Legioniści... znów zaczną się dezercje. Viet ma już całe drużyny dowodzone przez zbiegłych legionistów. I kto będzie całym tym garnizonem dowodził? Przecież nie on, komendant 3 taboru marokańskiego w stopniu majora!

— Co jeszcze? Ewakuacja cywilów...

— Dowódca naczelny nie widzi powodów. Ludność cywilna żywi się sama.

— Beton, zasieki?

— Naczelny dowódca nie widzi możliwości. Otwarcie drogi dla przepuszczenia ciężkiego i powolnego konwoju byłoby zbyt kosztowne jeśli nie niemożliwe. Dlatego tylko batalion Legii, obciążony do minimum, żadnych dział, żadnego ciężkiego sprzętu. Operacja będzie polegała na zaskoczeniu i musi zakończyć się całkowicie w ciągu doby. Batalion wyjdzie z That-Khé wieczorem w wigilię dnia H. Od świtu dnia następnego wszystkie placówki między That-Khé a Cao-Bang zaczną otwierać swe odcinki drogi. Przez cały dzień czynne będzie lotnictwo Operacja nosić będzie nazwę „impas w karo". Naczelne dowództwo jest pewne powodzenie, jeśli tylko zachowany zostanie moment zaskoczenia. Dlatego kładzie taki nacisk na absolutną tajność instrukcji

Major Forge znowu przymknął oczy. Walczył chwilę z sobą, wreszcie spytał bezbarwnie:

— Kto obejmuje Cao-Bang?

— Pułkownik Charton.

Forge pokiwał głową. Charton! Stary żołnierz, jeden z najlepszych, dlatego pakują go w ten burdel!

Spojrzał pytająco na Théoliere'a. Porucznik siedział trochę sztywno, wyglądał, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia. Pod spojrzeniem Forge'a wyprostował się jeszcze bardziej.

— Komendancie — powiedział — melduję wam posłusznie, że przydzielono mnie na własną prośbę do waszej dyspozycji. Zostaję w Cao-Bang.

Forge wysłuchał go bez zdziwienia. Dokąd sięgał pamięcią, wszyscy młodzi z Saint-Cyr byli tacy sami. Najpierw honor i sława wykołysane rodzinnymi bajdami w mieszkaniach pełnych marsowych portretów i starych szablisk. Jakaś niezbyt szczęśliwa miłostka — i skok w przygodę jak w rzekę. Później, o wiele później, zostanie z tego wszystkiego tylko chęć władzy i zawiść o awanse. Na razie wszystko mu jedno, gdzie go przydzielą i pod czyją komendę. Dopiero później zakłuje go jak giez, kiedy zwalą mu na głowę choćby samego Chartona...

— Macie jakieś szczególne życzenia?

Théoliere poruszył przecząco głową.

— Będę się starał stanąć na wysokości zadań, jakie zechce mi pan powierzyć, komendancie.

Forge sapnął ciężko. Nie miał wątpliwości, że ten młodzik stanie na wysokości każdego zadania, dopóki tylko będzie mógł stać na własnych nogach. Trzeba go będzie zaangażować w operacji otworzenia drogi dla Legii. W jeden dzień nauczy się na dziesięciu kilometrach drogi kolonialnej więcej niż przez wszystkie lata Saint-Cyr. Major wstał.

— Dziękuję wam, poruczniku.

Théoliere zerwał się i stanął w służbowej postawie. Forge uścisnął mu rękę. Coś w wyrazie twarzy porucznika kazało mu przetrzymać jego dłoń w swojej.

— Jeszcze coś?

Théoliere zawahał się. Teraz Forge był już pewien, że tamten chowa coś za pazuchą.

— Mówcie śmiało.

Théoliere podniósł na niego oczy.

— Nie wiem, czy nie przekraczam instrukcji, ale myślę, że powinienem to panu zameldować. Byłem na lotnisku w Hanoi, kiedy siedem-

naście Junkersów zrzucało spadochroniarzy na Dong-Khé. Oglądałem je po powrocie, jeden po drugim.

Forge nastroszył się jakby dla stawienia czoła przeciwności i puścił dłoń porucznika.

— Prawie wszystkie wróciły z dziurami od przeciwlotniczych karabinów maszynowych kalibru 12/7.

Forge patrzył gdzieś poprzez Théoliere'a jak przez szybę. Porucznik milczał chwilę, potem dodał jakby dla usprawiedliwienia:

— W instrukcji, którą miałem panu przekazać, nie było o tym ani słowa. Myślałem jednak... wobec tego, że Cao-Bang jest całkowicie zaopatrywane z powietrza, no i skoro jego garnizon ma się podwoić...

Major Forge zwrócił się w stronę biurka.

— W instrukcji — powiedział opryskliwie — nie było o tym wzmianki, bo to dotyczy lotnictwa, a nie mnie. Dziękuję wam, poruczniku.

Gdy Théoliere wyszedł, Forge stał chwilę nad biurkiem ze spuszczoną głową, wreszcie opadł na krzesło. Coś mu stęknęło w piersi jak przeciążony resor. Charton... Charton... Czy mógłby się kto dziwić, gdyby on, Forge, poprosił teraz o odwołanie z Cao-Bang? Wszyscy wzdłuż drogi kolonialnej nr 4, w całym Tonkinie i Hanoi, w Saigonie i Paryżu uznaliby to za zrozumiały odruch miłości własnej starego żołnierza, który nie chce być podwładnym na placówce dowodzonej przez siebie przez półtora roku. Niechby się Charton martwił resztą...

Forge wyciągnął rękę i wziął z biurka dużą fotografię w metalowej oprawie. Żona, której nie widział tyle miesięcy, jeszcze piękna.... dzieci dorastające z dala od niego, których dzieciństwo tracił bezpowrotnie dzień po dniu... Forge miał już swój piąty krzyżyk. W tym wieku rodzina znaczy więcej niż kiedykolwiek. Forge odczuwał rosnący ciężar samotności i miewał chwile, kiedy czuł namacalnie przesuwanie się pasma życia, jakby to był pasek telegrafu Morse'a wiotczejący pod palcami. Wystarczy, aby ktoś w Saigonie wziął w palce taki pasek z podyktowaną przez niego, Forge'a, depeszą. Wystarczy powziąć tę kuszącą decyzję, a wkrótce Cao-Bang, droga kolonialna, siedemdziesiątki piątki i przeciwlotnicze karabiny maszynowe Vietminhu przestaną być jego światem, jego życiem i troską, jego jawą i snem. Poczuł niemal przy piersi zapach sukni żony, a na wąsach twarde policzki córek.

Siedział chwilę zgarbiony patrząc, jak drobne punkciki światła sączącego się przez zasłony z mat migocą na szklanej tafli biurka. Potem odłożył fotografię, zdjął słuchawkę z widełek i kiedy usłyszał w niej głos Suzaie, zarządził odprawę korpusu oficerskiego na godzinę czwartą.

— Czego to bydlę tu szuka?

Za oknem wisiała gęsta firanka deszczu. „Whisky" patrzył przez szybę zmywaną strugami tropikalnej ulewy. Picot wstał od wielkiego stołu i zerknął ciekawie. Przez chwilę widział tylko smugi wody spływające po szkle. Ale w głębi jak ryba w akwarium poruszała się zamazana postać ludzka. Picot rozróżnił z trudem różową plamę: beret spadochroniarza.

— Co za diabeł? W Cao-Bang nie ma spadochroniarzy. Zrzucili go w ten psi czas?

„Whisky" odstąpił od okna. Dach grzmiał od burzy jak wodospad.

— Jak zobaczysz kto to, przestaniesz się głupio pytać.

Picot rozdziawił gębę i przywarł nosem do szyby. Wreszcie gwizdnął porozumiewawczo.

Drzwi wartowni rozwarły się zamaszyście, jakby je ktoś otwarł kopnięciem. Do izby wtoczył się spadochroniarz.

— *Herrgott!* — zaklął od progu — moglibyście choć drzwi otworzyć na przyjęcie.

Ociekał wodą, jakby przechodził w bród rzekę. Powiódł po wartowni spełzłymi oczyma.

— Ha! — zawołał — co widzę! Toż to starzy znajomi!

Picot uśmiechnął się z wylaniem. Zauważył naszywki adiutanta na rękawie przybyłego i nie wiedział — ma wyciągnąć łapę czy stawać na baczność?

— Hirsch! — powiedział z szacunkiem — nie widzieliśmy się kupę czasu!

Hirsch roześmiał się i klepnął go poufale po plecach.

— Nie spodziewałeś się mnie zobaczyć, co? W czasie pory deszczowej operacje ulegają zawieszeniu, nie? Tylko Hirsch włóczy się po dżungli jak zły duch.

Zaśmiał się znów i uderzył buciorami o podłogę. Strzepnął beret, cisnął go na stół, usiadł i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

— Mokre jak g.... — stwierdził ze wstrętem.

Rzucił paczkę w kąt i zwrócił się do „Whisky".

— Daj papierosa.

„Whisky" odpiął powoli kieszeń, pogrzebał w niej, wyjął papierosa i rzucił mu go przez stół. Hirsch nie ruszył się. Papieros spadł na stół, potoczył się i zleciał na podłogę. Hirsch czekał z ręką wyciągniętą.

— Daj papierosa — powtórzył.

Picot podskoczył z otworzoną paczką. Hirsch wyjął mu ją z rąk, wziął papierosa i zapalił. Paczkę położył przed sobą.

— A tobie co się stało? — zwrócił się w stronę „Whisky". — Nie wyglądasz na szczególnie zadowolonego ze spotkania starego kumpla. Nic o mnie nie słyszałeś przez ten cały czas?

„Whisky" patrzył na Niemca poprzez stół. Odzież Hirscha zaczynała parować. U jego nóg tworzyła się zwolna kałuża.

— Słyszałem. Nie masz się czym chwalić.

Hirsch uśmiechnął się zimno.

— Kiedyś w Marsylii przechwalałeś się, że tu dopiero pokażesz jak umiesz wojować. No i co? Jakoś tego twojego wojowania ani nie widać, ani nie słychać.

— Za to twoje widać i słychać. O ile oczywiście można nazwać wojowaniem podrzynanie gardła po nocy i palenie żywcem.

Hirsch wbił w niego zmrużone oczy.

— Robię to, po co tu jestem. Wojna jest po to, żeby zabijać, nie?

„Whisky" przyglądał mu się uważnie. Hirsch utył i ogorzał, zrobił się zwalisty, nabrał pewności siebie. Z każdego jego ruchu przebijało poczucie siły i znaczenia. Siedział rozwalony w krześle paląc papierosa i nie robiąc sobie nic z tego, że woda ścieka zeń jak z topielca. „Whisky" wiedział, że ma przed sobą jednego z najbardziej osławionych morderców Korpusu Ekspedycyjnego. Hirsch zrobił karierę. Odznaczył się w kilku pacyfikacyjnych akcjach spadochroniarskich. W czasie jednej z nich zdołał, odcięty od swoich, sformować oddział komandosów z członków plemienia Hoa-Hoa, których buddyzm poróżnił z Vietminhem. Umudurował ich na czarno i przeszkolił w najlepszym hitlerowskim stylu. Wkrótce zasłynął w całym Annamie i Tonkinie jako specjalista od trudnych zadań. Kiedy syn dowódcy północnego teatru wojennego wpadł ranny w ręce Vietminhu, zwrócono się do Hirscha. Hirsch zapadł w dżunglę i po kilku dniach wrócił z ciałem porucznika, który zmarł mu w czasie transportu. Odbił go ze szpitala polowego Vietu wyrżnąwszy w pień personel sanitarny i dobijając na miejscu rannych. Za odbicie ciała bohatera został odznaczony Krzyżem Wojennym przez samego dowódcę w czasie ceremonii uroczystego pogrzebu. Od tego czasu dowództwo tonkińskie traktowało go ze szczególnymi względami. Hirsch wykonywał zlecone mu zadania, ale w sposób podkreślający jego wyjątkową sytuację. Nie oddawał nigdy honorów wojskowych oficerom, patrzył im natomiast bezczelnie w oczy. Swych ludzi kwaterował po wsiach podejrzanych o sympatie dla Vietminhu

Wszystkie wsie w Tonkinie podejrzane były o sympatie dla Vietminhu. Hirsch miał ułatwiony wybór. Co jakiś czas ginął w dżungli, skąd wyłaniał się po kilku dniach i spędzał tubylców na mecz piłkarski, rozgrywany uciętymi głowami Vietnamczyków. Nigdy nie przyprowadzał jeńców, jedynie młode kobiety. Zdarzało się, że dowódcy okręgów uważający swe tereny za spacyfikowane usiłowali go mitygować. Wzruszał ramionami i odpowiadał:

— Wojna polega na zabijaniu, nie?

Ponieważ sztab był tego samego zdania, dawano mu spokój Był dla sztabu wart więcej niż wieśniacy, których zabijał.

Hirsch cisnął niedopałek na podłogę i wstał.

— No, dość tego! Gapicie się na mnie jak na raroga. Nie przyszedłem tu na pogwarki. Gdzie komendant placówki?

Picot wybałuszył na niego oczy.

— No, ruszże się! — wrzasnął Hirsch. — Zamelduj mnie u dyżurnego oficera. Nie po to mokłem przez całą noc w dżungli, żeby patrzeć na wasze gęby. Muszę zakwaterować ludzi.

Picot trzasnął obcasami i wybiegł z izby.

„Whisky" usiadł, podparł się i patrzył na Niemca. Hirsch przeszedł się parokrotnie po izbie. Buchała od niego para i kwaśny zapach łaźni. Podszedł do okna i patrzył, jak strugi wody spływają po szybie.

— Doczekałeś się swoich czasów — powiedział „Whisky".

Hirsch odwrócił się. Za jego plecami tajfun giął do ziemi korony drzew mangowych. Ściany domu trzeszczały jak rozsadzane przez pożar. Hirsch ziewnął.

— Słuchaj — odpowiedział — na wojnie potrzebni są prawdziwi żołnierze. Dlatego my, Niemcy, jesteśmy wszędzie, gdzie się wojuje, lub ma wojować. U Francuzów czy u Amerykanów. Ładnie byście wyglądali, gdyby nie my. Połowa Legii to Niemcy.

„Whisky" wzruszył ramionami.

— Połowa Legii to Niemcy, ale połowa Niemców w Legii to takie same frajery jak ja. Dali się nabrać, bo nie chcieli cierpieć niewoli albo bezrobocia. Mają tę wojnę tak samo w d.... jak ja.

Hirsch uśmiechnął się z pogardą.

— Tchórze i komuniści są wszędzie.

„Whisky" zerwał się na równe nogi.

— Ty mi będziesz od tchórzów i komunistów! Ty hyclu hitlerowski! Ja jestem żołnierz a nie rakarz, rozumiesz! Biłem się dobrze przeciwko wam, miałem o co. A tu się bić nie będę, rozumiesz? Nie będę!

Zrozumiałem to od razu, jak tylko zobaczyłem takich jak ty przy robocie. Nienawidzą nas w tym kraju, jak my nienawidziliśmy was. Wszyscy porządni ludzie na świecie są przeciw nam. Ja z tobą, hyclu, braterstwa broni nie chcę. Niech mnie powieszą. Pluję na to, pluję....

Dławiła go szewska pasja. Pochylił się do przodu i przez całą szerokość izby plunął celnie Hirschowi w twarz.

— *Kreutz!* — ryknął Hirsch.

Dotknął dłonią twarzy, schylił głowę jak byk i rzucił się na „Whisky".

Kopnięty przez obydwóch równocześnie stół poleciał w kąt i wywrócił się nogami do góry. Zderzyli się na środku izby, zbyt wściekli, by walczyć naprawdę. Po kilku niecelnych ciosach sczepili się ramionami i wodzili tam i z powrotem, sapiąc i klnąc. Pierwszy szarpnął się Hirsch, ale pośliznął się na mokrej podłodze i upadł, pociągając za sobą „Whisky". Tarzali się i przewracali po podłodze, kiedy drzwi się otwarły i wszedł przyprowadzony przez Picota porucznik Kerrol.

Kerrol przypatrywał się przez chwilę bójce, wreszcie otwarł drzwi i krzyknął w ulewę:

— Warta!

Czterech legionistów z karabinami w rękach wpadło do izby.

— Rozdzielić! — rozkazał Kerrol.

Żołnierze skoczyli żwawo, a widząc w opałach kolegę unieruchomili przede wszystkim nieznanego spadochroniarza. Hirsch wyrywał się klnąc. „Whisky" wstał sam, otrzepał mundur i łypnął porozumiewawczo okiem do kamratów trzymających Hirsza. Niemiec klął, na czym świat stoi.

— Stulcie pysk — powiedział Kerrol. — Chcę się dowiedzieć, co to wszystko znaczy.

— Napadł mnie — ryczał Hirsch — napadł mnie ten polski wieprz i obraził. Mnie, Hirscha, którego wasi generałowie na rękach noszą. Mnie, którego zna cały Korpus Ekspedycyjny!

Kerrol zwrócił się do „Whisky".

— Co macie do powiedzenia?

„Whisky" milczał patrząc przed siebie. Kerrol wyczekał długą chwilę.

— Nic?

Zwrócił się do Picota.

— Zabrać pas i odprowadzić na odwach.

Legioniści wzięli Polaka między siebie i wyszli. Za drzwiami Picot klepnął go po ramieniu.

— Aleś sobie piwa nawarzył. Posiedzisz teraz do usranej śmierci.

Po wyjściu żołnierzy Kerrol wyciągnął do Hirscha rękę.

— To wy jesteście Hirsch? Bardzo mi przyjemnie. Moje nazwisko Kerrol. Wiele o was słyszałem. Ale muszę wam powiedzieć, że prędzej diabła tu spodziewałem się ujrzeć niż was.

Hirsch mruknął coś niechętnie. Złość stygła w nim powoli. Doprowadził do porządku mundur i poprawił włosy.

— Jakżeście u licha dostali się do Cao-Bang?

Hirsch rozchmurzył się nieco. Popatrzył na Kerrola z pobłażaniem.

— Jak się nie używa drogi i nie czeka na słoneczko, to można dojść wszędzie.

Kerrol spojrzał mimo woli w okno. Tajfun przewalał się nad kotliną kładąc drzewa. Ulewa prała poziomo szumiąc po ścianach.

— Mieliście cholerne szczęście. Ale do Cao-Bang łatwiej wejść niż z niego wyjść. Można wiedzieć, co was tu sprowadza?

Hirsch obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

— Nie mógłbym powiedzieć tego wprost komendantowi Cao-Bang?

Kerrol zagryzł usta.

— Pułkownik Charton wydelegował mnie do przeprowadzenia z wami rozmowy.

Skłonił się lekko i zrobił gest w kierunku drzwi. Wychodząc przepuścił Hirscha przed sobą.

— Pozwólcie, przejdziemy do mnie.

Zaprowadziwszy Hirscha do pokoju oficera dyżurnego Kerrol kazał podać chińską wódkę. Hirsch wypił kilka kieliszków jeden po drugim. Twarz mu poczerwieniała i oczy stanęły w słup.

— Moi ludzie siedzą w dziurawej szopie na skraju drogi. Każcie ich jakoś rozkwaterować i dajcie im rumu z chininą.

— Ilu macie ze sobą ludzi?

— Czterdziestu. Resztę zostawiłem w Dong-Khe.

Kerrol podniósł słuchawkę telefonu i wydał odpowiednie polecenia.

— Długo u nas zamierzacie zostać?

— Ze dwa dni. Musimy wyschnąć i odpocząć. Nie zapominajcie, że wyjść stąd możemy tylko wtedy, kiedy będzie dobrze lało.

— Teraz co dzień dobrze leje. Pora deszczowa w pełni.

Kerrol znacząco spojrzał w sufit. Deszcz prał w trzcinowy dach z monotonnym szumem. Hirsch wypił jeszcze jedną wódkę.

— Nie wiem, co was tu sprowadza — ciągnął Kerrol — nie raczyliście jeszcze powiedzieć. Ale ja na waszym miejscu nie włóczyłbym się po dżungli w taki czas i w takiej okolicy.

Hirsch spojrzał spode łba.

— Tylko w taki czas można się do was dostać. Wolę, żeby mi padał na głowę deszcz niż ołów.

W oczach Kerrola zamigotało coś jakby podziw.

— Zyskaliście sobie ładną sławę, adiutancie Hirsch.

Hirsch uśmiechnął się kącikiem ust.

— Jestem z dobrej szkoły, poruczniku Kerrol.

Poryw huraganu uderzył znowu w dach. Deszcz lunął z ukosa w szyby, jakby kto chlusnął z wiadra.

— Byliście oficerem w wojsku niemieckim, prawda? — spytał Kerrol.

Hirsch nie odpowiedział, popatrzył tylko na Kerrola ciężkim wzrokiem.

— Czuje się w was oficera na sto kroków. Cieszę się, że was poznałem, kolego. Dobrze, że możemy teraz walczyć w jednym szeregu.

Wstali równocześnie i uścisnęli sobie ręce poprzez stół, trzasnąwszy obcasami.

— I ja o was słyszałem — powiedział Hirsch. — Nie macie opinii takiego, któremu na widok krwi robi się słabo. Nguyen-Binh to była dobra robota.

Kerrol skłonił głowę.

— To była konieczność wojenna. Na wojnie nie wybiera się zajęcia. Rzecz w tym, aby robić dobrze to, co ma być zrobione.

Hirsch położył na stole swoje wielkie łapy.

— Słuchajcie, Kerrol — powiedział poufale — potrzeba mi przewodników do Trung-Khanh-Phu. Podobno macie u siebie Meosów z gór. Pozwólcie mi z nimi pogadać.

Kerrol nie ukrywał zdumienia.

— Człowieku, po co wam przewodnicy do Trung-Khanh-Phu? Nie zamierzacie chyba tam leźć! To jedna z głównych baz Vietu!

W oczach Hirscha pojawił się wyraz nieufności.

— Wolałbym o tym nie mówić. Zlecane mi są misje, o których powodzeniu stanowi milczenie.

Kerrol rozłożył ręce.

— Jak sobie życzycie, ale w takim razie nic dla was nie mogę zrobić.

Badali się przez chwilę wzrokiem. Wreszcie Hirsch odwrócił spoczywające na stole dłonie, tak jakby wydawał coś niewidzialnego w ręce Kerrola.

— Dobrze — powiedział — więc słuchajcie. Viet ma pod Trung-Khanh-Phu zaporę wodną, z której korzysta dostarczając energii fabrykom broni. Zapora dostarcza równocześnie wody dla pól ryżowych w kotlinie. Wysadzenie tej zapory w powietrze likwiduje od jednego zamachu całą bazę Trung-Khanh-Phu. Fabryki nieczyne, pola ryżowe zniszczone powodzią, widmo głodowej śmierci dla wszystkich wsi aż po granicę chińską. Rozumiecie?

Kerrol patrzył na Hirscha z rosnącym podziwem.

— I wy chcielibyście...?

Hirsch zmrużył oczy jak kot.

— Potrzeba mi tylko przewodników. Macie w Cao-Bang górali, których ewakuowaliście z tamtych okolic.

Kerrol zerwał się z krzesła i począł nerwowo chodzić po pokoju.

— Czekajcie, czekajcie. Mamy górali ze szczepu Meo. Tylko jak ich skłonić do tego, by poszli z wami?

— Pozwólcie mi się tym zająć. Pójdą ze mną jak baranki.

— Uważajcie, Hirsch. Póki ich mamy w zasięgu maszynek, są łagodni jak dzieci. Ale nie ręczę, co będzie, gdy raz znajdą się w lesie. A jak was zaprowadzą wprost na placówki Vietu?

Hirsch pogładził się po brodzie. Niegolony od paru dni zarost zaszeleścił mu pod paznokciami.

— To moja rzecz. Dajcie mi wolną rękę, a będę miał tylu przewodników, ilu mi trzeba. Tchórze i kanalie są wszędzie. Dlaczego miałoby ich nie być wśród waszych Meo?

Kerrol chodził wielkimi krokami po pokoju, patrząc na podłogę.

— Zobaczymy, co zadecyduje komendant — powiedział wreszcie. — Sprawa nie jest prosta. Siedzimy tu jak na wulkanie. Odkąd przyszła Legia, stosunki z tubylcami psują się z dnia na dzień. Teraz wy chcecie wolnej ręki, to znaczy macie zamiar powiesić pierwszych dziesięciu, którzy wam odmówią. Bo jeśli dobrze was rozumiem, to sprawa tak właśnie stoi?

Hirsch skrzywił się z niezadowoleniem.

— Słuchajcie — powiedział — po co wam tu ci wszyscy cywile? Co wam na nich zależy? I tak będziecie musieli albo ich stąd ewakuować, albo wyrżnąć. Nie zostawicie ich przecież Vietminhowi!

Nalał sobie wódki i wypił. Uśmiechnął się słodkawo do Kerrola.

— Jeśli Francuzi chcą wygrać tę wojnę, powinni zabijać każdego, kto nie nosi ich munduru. Jeśli można zabić ręką tubylca, to należy zabić ręką tubylca. Zysk wtedy jest podwójny: jeden wróg mniej i jeden niewolnik więcej. Nikt nie będzie służył wierniej jak zdrajca.

Kerrol pokiwał z goryczą głową.

— Przeczytajcie paryskie gazety, Hirsch. Zobaczcie, jak na nas napadają za okrucieństwa. Jakby tę wojnę można było prowadzić w rękawiczkach. Ja też tu przyjechałem pełen złudzeń. Ech, co tu dużo gadać...

Machnął ręką i chodził dalej po pokoju, patrząc w ziemię.

— Macie za dużo komunistów, Kerrol. Z komunistami tej wojny nie wygracie. Powinniście zrobić porządek. Nie macie zbyt wiele czasu.

Patrzył na swoje ręce uśmiechając się dziwnie.

— Kiedy tu przybyłem, walczyło się łatwiej. Nieprzyjaciół było mniej i byli gorzej uzbrojeni. Za każdym rebeliantem uzbrojonym w automat szedł o dziesięć kroków inny, trzymając koniec sznurka przywiązanego do automatu. Kiedy pierwszy padł, drugi przyciągał broń do siebie i wołał trzeciego, by chwytał z kolei za sznurek. Dziś wszyscy trzej mają automaty. A trzeba wam było ich wystrzelać, zanim Viet miał dla nich broń. Trzeba ich było pozabijać, kiedy udawali jeszcze spokojnych wieśniaków. Gdybyście prowadzili tę wojnę od początku tak, jak ja ją w moim zakresie prowadzę, nie siedzielibyście teraz w Cao-Bang i nie robilibyście w portki ze strachu, że któregoś wieczoru Viet plunie wam w gęby z armat, jak tym z Dong-Khe.

Kerrol milczał, nie odrywając oczu od podłogi. Hirsch mówił dalej.

— Viet poluje na mnie jak na wściekłego psa. Ale mnie nie dostanie, bo zabijam pierwszy, zabijam każdego napotkanego w lesie czy na drodze. Podobno kręci się tu specjalnie na moją intencję jakiś zbiegły strzelec marokański na czele bandy żółtków. Jak go dostanę w ręce, dam sobie zrobić portfel z jego skóry. Nazywa się Marouf.

Kerrol podniósł głowę.

— Marouf? Zbiegł od nas zeszłej wiosny. Był najlepszym strzelcem w mojej kompanii. Choć ostatnio widziałem raz, jak chybił Uciekł z wieży wartowniczej. Jego towarzysz strzelał za nim, ale go nie trafił.

Hirsch pokiwał głową.

— Jak wam Marokańczycy zaczynają chybiać, to stawiajcie ich bez sądu pod ścianę. Coście zrobili z tym, który pozwolił Maroufowi uciec?

— Potrzymaliśmy go w pace, ale puściliśmy go. Zrobił, co mógł, by tamtego zatrzymać.

— Z tym wyjątkiem, że spudłował. Ja bym go rozwalił bez wahania.

Kerrol westchnął ponuro.

— Kim byśmy prowadzili tę wojnę, gdybyśmy rozwalali każdego, kto ma jej dość?

Hirsch zamruczał coś z niechęcią. Przez chwilę mełł w zębach niedopałek papierosa, wreszcie spytał:

— Z tym bydlakiem, który rzucił się na mnie, co zrobicie? Też go puścicie?

Kerrol stanął przed nim z lekka zniecierpliwiony.

— Złożycie zeznania o zajściu przed zastępcą dowódcy batalionu. Pozwólcie, że was teraz zaprowadzę na kwaterę. Jutro rano przekażę wam odpowiedź komendanta w sprawie przewodników.

Nie zauważyli, że deszcz przestał padać. Huragan ustał i drzewa wznosiły się spokojne, dymiąc w nieruchomym powietrzu. Słońce grzało przez dźwigające się opary, buchając wilgotnym żarem pralni.

Nazajutrz Kerrol przyjął Hirscha w znakomitym humorze. Z miejsca przystąpił do rzeczy.

— Komendant godzi się na waszą propozycję. Gra warta świeczki. Komendant nie życzy sobie jednak żadnych gwałtów. Nie jesteśmy barbarzyńcami. Nie wolno wam tknąć palcem nikogo. Ogłosicie po prostu, że macie rozkaz zniszczyć pola ryżowe wokół twierdzy, bo przeszkadzają w obronie. Możecie nawet przystąpić do roboty. Jak zaczną rozpaczać i błagać was, dacie się wzruszyć i obiecacie im wstrzymanie rozkazu w zamian za przewodników. Dadzą ich, bo zniszczenie pól ryżowych — to śmierć dla ich żon i dzieci, a pójście z wami — to śmierć tylko dla przewodników.

Hirsch uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Czyj to pomysł z tymi polami ryżowymi? — zapytał.

— Mój — odparł skromnie Kerrol. — Myślałem całą noc, co zrobić, żebyście nie musieli wieszać.

Generał Carpentier podniósł głowę znad rozłożonej na stole mapy. Dłonią przesunął po czole, jakby chciał zdjąć niewidzialną pajęczynę. Charton, Forge i Segrais wisieli oczyma na jego ustach.

— Tak — powiedział generał — sam fakt, że jako naczelny dowódca wojsk Unii Francuskiej w Indochinach uważałem za konieczne przy-

lecieć do Cao-Bang i omówić z panami szczegóły, wskazuje, że ani położenia ogólnego, ani operacji, którą mamy przeprowadzić, nie uważam za łatwe. Każdy z panów powinien żywić poczucie najcięższej odpowiedzialności za każdy szczegół w wykonaniu przedłożonego im planu. Prosiłem na tę naradę jedynie najwyższych oficerów, do których charakteru i kompetencji mam pełne zaufanie: Komendanta Cao-Bang pułkownika Charton, dowódcę 3 taboru marokańskiego majora Forge i dowódcę 3 batalionu 3 pułku Legii majora Segrais.

Generał przenosił kolejno wzrok na każdego z wymienianych oficerów. Charton, chudy i wysoki, o zgarbionych plecach kancelisty i zmęczonej twarzy paryżanina siedział kiwając się nad stołem, jak zaklinany muzyką wąż. Forge oparł się ciężko o poręcz krzesła i patrzył na generała, nastroszywszy wąsy. W jego wypukłych oczach czaiło się znużenie. Segrais, pulchny i czarnowłosy, o brzydkiej twarzy małpy, kręcił się niespokojnie, podnosił się z krzesła i znów siadał. Upał wdzierający się przez żaluzje do pokoju potęgował jeszcze jego wrodzoną nerwowość.

Carpentier opuścił wzrok na mapę. Jego gładko wygolona twarz lśniła od potu. Palcem wskazał punkt oznaczony czerwonym krzyżykiem.

— Zreasumujmy sytuację. 15 września Vietminh zaatakował po raz wtóry Dong-Khe i po czterdziesto-ośmiogodzinnej walce zmusił nasz garnizon do wycofania się. Odsiecz, która wyszła z That-Khe natknęła się na taki opór przeciwnika wzdłuż całego odcinka drogi kolonialnej, że nie mogła zrobić kroku naprzód. Wczoraj, 18-go byłem w Lang-Son i po zapoznaniu się z sytuacją wydałem rozkaz powrotu odsieczy do That-Khe. Panowie wiedzą, co to oznacza. Dlatego jestem dziś w Cao-Bang. Najdalej w ciągu dziesięciu dni musimy ewakuować garnizon. Jego utrzymanie stało się daleko kosztowniejsze w ludziach i materiale, niż korzyści płynące z trzymania Cao-Bang w naszych rękach. W obecnej sytuacji nie moglibyśmy zresztą żadnymi środkami zapewnić panom możności skutecznej obrony. Przed ewakuacją garnizonu drogą kolonialną — dokonamy ewakuacji ludności cywilnej drogą lotniczą, z wyjątkiem jakich pięciuset kulisów, którzy pójdą z kolumną jako tragarze.

Major Forge chrząknął, jakby mu coś uwięzło w gardle. Carpentier spojrzał na niego pytająco.

— Chce pan coś powiedzieć, majorze Forge?

Forge nie ruszył się. Opuścił tylko powieki patrząc na mapę.

— Ewakuacja ludności cywilnej samolotami — to kosztowna impreza. Viethminh ma na kopcach przeciwlotnicze karabiny maszynowe. Czy nie byłoby lepiej zostawić cywilów na miejscu? Vietminh nic im nie zrobi, uważa ich za swoich.

Carpentier zaprzeczył ruchem głowy.

— Ewakuacja ludności jest kosztowna i trudna, ale w ostatecznym rachunku opłaca się. Po pierwsze utwierdzi Vietminh w przekonaniu, że zamierzamy bronić Cao-Bang do ostatka. W ten sposób ewakuacja Cao-Bang odbędzie się w warunkach całkowitego zaskoczenia przeciwnika. Po drugie utwierdzi wszystkich tubylców w trzymanych przez nas miejscowościach w pewności, że odchodząc zabierzemy ich ze sobą. To wpłynie na ich stosunek do nas.

Forge wysunął dolną wargę.

— Obawiam się, generale, że stosunek ludności do nas jest już ustalony.

Carpentier zmarszczył brwi.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

Forge podniósł nieco obie ręce i opuścił je znów. Brzuch mu podskoczył od tego ruchu jak kalosz.

— Tylko tyle, że moim zdaniem, powinniśmy ewakuować samolotami nie ludność cywilną lecz garnizon.

Segrais podskoczył na krześle.

— Co pan mówi, drogi kolego — zawołał ze zgorszeniem — żeby ewakuować garnizon, trzeba by poświęcić tych, którzy by ochraniali ewakuację i lotnisko. Nie moglibyśmy ich już zabrać. Nie mówiąc o sprzęcie.

Carpentier skinął głową. Forge sapnął ponuro i rzekł do Chartona.

— Moim zdaniem, lepiej utracić straż tylną niż cały garnizon. Moim zdaniem, ewakuacja drogą kolonialną oznacza pewną katastrofę.

Charton zgarbił się jeszcze bardziej. Kiwał się dalej nad stołem jak pyton. Forge ciągnął wśród ogólnego milczenia:

— Moim zdaniem, zasilenie Cao-Bang batalionem Legii było błędem. Przypomnijcie sobie, panowie, jak łatwo Vietminh wpuścił Segrais do Cao-Bang. Myśmy byli skłonni kłaść to na karb zaskoczenia. Ale popatrzmy, jak odsiecz dla Dong-Khe nie mogła zrobić kroku. Jestem przekonany, że wpuszczenie Legii do nas było manewrem wytrawnych taktyków. Po prostu w oczach Vietminhu każdy żołnierz wpakowany do Cao-Bang jest żołnierzem wykreślonym z efektywów naczelnego wodza...

— To się dopiero pokaże — powiedział zimno Carpentier.

Forge położył dłoń na swej szerokiej piersi.

— Wybaczy mi pan szczerość, generale. Jestem starym żołnierzem i nie dyskutuję nad rozkazami. Ale zrozumiałem, że wezwał nas pan tu na naradę i przywiązuje pan wagę do zdania każdego z nas. Zapewniam pana, że moja osobista opinia nie wpłynie ani na jotę na dokładność, z jaką wykonam pańskie rozkazy.

Carpentier odwrócił głowę.

— Niech pan mówi— powiedział z goryczą.

Forge opuścił głowę na piersi. Myślał chwilę, wreszcie począł mówić poważnie, jakby chodziło o życie.

— Od osiemnastu miesięcy nie opuszczam tego kretowiska. Półtora roku samotności, odpowiedzialności i dżungli, to dużo, generale. Można przez ten czas wiele przemyśleć i wiele zrozumieć. Mnie, generale, przez te półtora roku nie opuszczała ani na chwilę myśl o losie Cao-Bang. Myślałem o tym w dzień i w nocy, jedząc i śpiąc. Rozmawiałem z moimi ludźmi, oficerami i żołnierzami. Cao-Bang to złe miejsce, generale. Cała ta droga kolonialna kończąca się na Cao-Bang, jak droga krzyżowa na Golgocie, jest zła. Nie można stąd wyjść. Można jeszcze z pewnym ryzykiem próbować stąd wylecieć. Można tu także zostać, i to byłoby chyba najlepsze, ale...

Przerwał na chwilę, jakby mu zabrakło oddechu, i dokończył podnosząc nagle głos.

— ...ale tylko wtedy, jeśli rząd rozpocznie natychmiast rokowania o zawieszenie broni.

Carpentier obrzucił majora zdumionym wzrokiem. Charton przestał się kiwać jak zaczarowany wąż i zawisł nad stołem, spuściwszy oczy. Segrais zerwał się z krzesła i wyrzucił obie ręce w górę.

— Cóż za defetyzm!

Forge dmuchnął przez nos, jakby chciał odpędzić muchę.

— To nie jest defetyzm, kolego. To owoc moich niedospanych nocy. Tej wojny nie można wygrać. Ta wojna jest jak nasza droga kolonialna: można na niej utopić w krwi i błocie honor i armię.

Carpentier sięgnął po chustkę i otarł twarz z potu.

— Nie do nas należy decydować o polityce kraju — powiedział sucho. — My mamy rozwiązać problem taktyczny: jak wyprowadzić garnizon z Cao-Bang? Decyzja strategiczna o opuszczeniu Cao-Bang zapadła już na najwyższym szczeblu dowództwa. Proponuję, abyśmy wrócili do rzeczy.

Spojrzał przenikliwie na oficerów, jakby chciał opanować sytuację, która poczynała mu się wymykać z rąk. Wstał i oparł się dłońmi o mapę.

— Major Forge przedstawił swój punkt widzenia. Panowie pozwolą, że zaznajomię ich do końca z moim.

Popatrzył krótko między swe dłonie. Na tym pokreślonym kolorowymi znakami kawałku sztabowej mapy, w jego rękach, spoczywał los kilku tysięcy ludzi.

— Kolumna Chartona — 1.600 ludzi 3-go batalionu Legii i 3-go taboru marokańskiego, plus elementy saperów i artylerii, plus tysiąc ludzi pomocniczych oddziałów tubylczych, plus pięciuset kulisów — wyruszy z Cao-Bang ostatniego września w nocy. Myślałem o wcześniejszej dacie, ale ulewne deszcze musiały zamienić drogę w bagno. Trzeba jej dać podeschnąć.

Przesunął dłoń w dół mapy.

— Kolumna Chartona ma za zadanie wycofanie się na That-Khe. Gdyby ją jednak pozostawić własnemu losowi, mogłaby zostać łatwo zaryglowana przez przeciwnika na drodze kolonialnej, zanim by zdołała dotrzeć do wyznaczonego miejsca. Dlatego druga kolumna, sformowana w That-Khe pod dowództwem pułkownika Lepage będzie jej oczekiwać na wysokości Dong-Khe. W skład kolumny Lepage'a wejdą następujące elementy: 1-szy i 11-ty tabor marokański, 1-szy batalion 8-go pułku strzelców marokańskich, 1-szy batalion spadochroniarzy Legii, saperzy, dwa działa 75 i 16 moździerzy — razem 3.200 ludzi.

Zatrzymał się i rzucił Forge'owi triumfujące spojrzenie. Forge nachylił się nad mapą. Twarz mu pociemniała od wysiłku. Kroplisty pot wystąpił na łysiejącym ciemieniu. Z przyciśniętej do stołu piersi wydobywał się świszczący oddech.

Carpentier zauważył, że Charton podniósł głowę i poszukał wzrokiem oczu Forge'a.

— Co takiego? — zwrócił się wprost do Chartona.

Pułkownik przejechał ręką po twarzy z wyrazem zakłopotania.

— To przechodzi nasze oczekiwania — powiedział. — Wolno zapytać, generale, skąd weźmie pan tych 3.200 ludzi stanowiących kolumnę Lepage'a? Jeszcze nigdy w lokalnej akcji nie zostały zaangażowane tak duże i wyborowe siły.

Generał stukał kolejno palcem w czerwone punkty na mapie wzdłuż drogi kolonialnej nr 4.

— Biorę najlepsze oddziały z garnizonów That-Khe i Lang-Son. To są, obok waszego, najmocniejsze garnizony na całej drodze kolonialnej.

— Z tymi efektywami rozbijemy Viet w puch! — zawołał Segrais. — Niech spróbują wejść nam w drogę.

Charton rzucił mu niespokojne spojrzenie. Forge siedział z przy mkniętymi powiekami. Wyglądał, jakby zasnął.

Carpentier wyczuł niepokój Chartona. To był ten sam niepokój który i jemu skoczył nagle do gardła jak przyczajony brytan. Charton wysunął wąską dłoń o chłodnych palcach i położył ją na mapie między Cao-Bang a That-Khe.

— To znaczy — powiedział ciągnąc niemiłosiernie każde słowo — że chcecie, generale, zaangażować na pięćdziesięciu kilometrach drogi kolonialnej najlepsze efektywy, jakie posiadamy na całej tej drodze.

Patrzył pytająco w oczy dowódcy. Carpentier wysunął ku niemu swą końską szczękę.

— Więcej nawet — powiedział wyzywająco — nie tylko najlepsze, ale niemal wszystkie efektywy!

— To jest jedyna szansa powodzenia — dodał wśród ogólnego milczenia — maksymalna koncentracja środków. Pamiętacie, panowie, Clausewitza...

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Charton począł znów chwiać się nad stołem. Segrais nerwowo dopalał papierosa. Forge siedział bez ruchu z głową spuszczoną i przymkniętymi oczyma.

Carpentier pierwszy przerwał milczenie.

— Rozumiem pańskie obawy, pułkowniku Charton. Pomyślał pan sobie: a co będzie, jeśli operacja się nie uda? Co będzie, jeśli kolumna Chartona i kolumna Lepage'a zostaną rozbite? Odpowiem panu na to pytanie.

Uderzył dłonią w mapę, jakby chciał z niej coś strzepnąć i powiedział z brutalną szczerością.

— Wtedy nie będzie czym bronić drogi kolonialnej nr 4. Wtedy cały nasz front zwinie się za jednym zamachem o sto kilometrów na południowy zachód, w deltę Rzeki Czerwonej. Nie muszę panów przekonywać, że równałoby się to klęsce, jakiej Francja jeszcze nie poniosła w koloniach.

Usiadł i otarł chusteczką kark. Sięgnął po papierosa, przypalił od zapalniczki, którą mu podał Segrais i gonił spojrzeniem siwe kółka dymu ulatujące ku sufitowi.

— Jeśli mimo to zdecydowałem się na tę operację, to dlatego, że jestem zupełnie pewien jej powodzenia. Na odcinku drogi kolonialnej na której znamy każdy wybój, angażujemy pięć tysięcy naszych na

lepszych wojsk, nie licząc posiłkowych oddziałów tubylczych. Angażujemy w operacji całe rozporządzalne lotnictwo. Prócz tego, aby odwrócić uwagę przeciwnika od Cao-Bang wykonujemy kombinowany atak siłami garnizonów znad Rzeki Jasnej na Thai-Nguyen. Powinniście odczuć odciążające działanie tej dywersji w stopniu maksymalnym. To są, ogólnie rzecz biorąc, pozytywa wniesione przez dowództwo naczelne do warunków, w jakich odbywać się będzie operacja. Jakie są negatywa?

Zastawił się wyciągniętą dłonią, jakby chciał uprzedzić odpowiedź.

— Wiem, zły stan drogi. Dlatego też kolumna Chartona zniszczy za sobą cały ciężki sprzęt. Jej marsz musi być szybki. Według moich przewidywań kolumna Chartona, wyszedłszy w nocy powinna w ciągu następnego dnia połączyć się z kolumną Lepage'a. Na drugi, lub najdalej trzeci dzień obie połączone kolumny powinny osiągnąć That-Khe. W ten sposób całość operacji musi być ukończona w trzy dni. Zupełna tajemnica i absolutna szybkość wykonania są najważniejszym elementem powodzenia. Niech pan pamięta, pułkowniku Charton, musi pan pójść szybko!

Charton rozłożył ręce.

— W lecie i jesienią ubiegłego roku niektóre konwoje były w drodze do Cao-Bang pięć, dziesięć i piętnaście dni... Drogą kolonialną nie idzie się tak szybko, jak się chce.

— Wiem — odpowiedział generał — ale pan ma dojść tylko do That-Khe i to bez obciążenia. Na wysokości przełęczy Long-Phai oczekiwać pana będzie potężnie uzbrojona kolumna Lepage'a.

— Long-Phai to złe miejsce — powiedział jak przez sen Forge.

Segrais zamachał rękami, jakby go opadły moskity.

— Od That-Khe do Cao-Bang przeszedłem w czerwcu z moim batalionem w jedną dobę. Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy zrobić tego samego we wrześniu?

Forge otworzył oczy. Wlepił wzrok w Segrais i powiedział kwaśno:

— W 1948-ym konwoje pokonywały drogę z Lang-Son do Cao-Bang i z powrotem w ciągu jednego dnia. Dlaczego to jest niemożliwe w 1950-ym? Dlaczego od roku w ogóle skasowano konwoje?

Przeniósł wzrok z Segrais na Carpentiera.

— Dlatego, że w tym czasie w miejsce rebeliantów pojawiła się armia Vietminhu!

Segrais żachnął się.

— Przecenianie przeciwnika prowadzi do niewiary we własne siły. Nie zapominajcie, kolego, że mamy w garści wspaniałe narzędzie: naj-

lepsze wojsko, jakie Unia Francuska posiada. Czy Viet może się z nam równać?

Forge położył obie ręce na kolanach i pochylił się do przodu.

— Tak — wyrzucił z siebie — ale my mamy tylko Korpus Ekspedycyjny, podczas gdy Vietminh ma armię.

Carpentier udał zdziwienie.

— Jak pan to rozumie, majorze?

Forge wydał z siebie głuchy dźwięk.

— Tak — odpowiedział — że armia ma za plecami naród, a korpus ekspedycyjny statki ewakuacyjne.

Patrzył na generała, nastroszywszy wąsy. Carpentier pomyślał, że nie powinien go właściwie słuchać. Ale coś się w nim rozluźniło, od upału czy wyłupiastego spojrzenia Forge'a. Nim zdobył się na słowo Forge gadał dalej swoje.

— Mamy dobre wojsko, to prawda. Sami profesjonałowie. Ale zróbmy krótki rachunek. Kto jest przeciw nam? Wszyscy i wszystko. Naród vietnamski, krajobraz vietnamski, upał i deszcz, ziemia, niebo i ludzie tego kraju. A kto jesteśmy my? Naród francuski? Wiemy dobrze, że nie. Naród francuski nie tylko nie prowadzi tej wojny, lecz prowadzi walkę przeciw niej. Więc kto? Jest nas tu 150 tysięcy zawodowych oficerów i żołnierzy, w tym około jedna trzecia Francuzów, 20 tysięcy legionistów, 25 tysięcy północnych Afrykańczyków, 15 tysięcy Senegalczyków i jakie 50 tysięcy autochtonów, których jesteśmy pewni tylko wtedy gdy zarobili u Vietminhu na miano zdrajców. Ot, weźmy choćby obie kolumny, które mają wykonać operację między Cao-Bang a That-Khe. Wchodzą w nie Marokańczycy i Legia Cudzoziemska! Więc kto jest z nami w tym kraju? Kupcy chińscy i annamiccy feudałowie. W kontrolowanej przez nas delcie Rzeki Czerwonej mieszka sześć milionów ludzi, a w kontrolowanych przez Viet górach dwa miliony. Dlaczego więc nie my atakujemy a oni? Mamy przecież nad nimi od pierwszej chwili konfliktu ogromną przewagę uzbrojenia i doświadczenia. Więc co? Jak można inaczej wytłumaczyć matnię Cao-Bang, jeśli nie tym, że po ich stronie wojnę prowadzi naród, a po naszej zaciężni fachowcy od zabijania? Sprawa Cao-Bang jest tylko wycinkiem tej wojny, ale podlega ona tym samym prawom. Ktoś powiedział, że prawa historii są silniejsze niż prawa artylerii.

Forge urwał. Generałowi przyszło na myśl, że powinien go właściwie przywołać do porządku. Zrobiłby to dawno w stosunku do każdego innego. Ale Forge był żywą historią ostatnich piętnastu lat „obecność

francuskiej" w Indochinach. Zachował się jak bohater w czasie japońskiego zamachu stanu, a od początku konfliktu był stale na pierwszej linii ognia. Powierzano mu najtrudniejsze zadania, najniebezpieczniejsze placówki. Nazwisko jego cytowane było jako wzór żołnierza i dowódcy. Carpentier pomyślał, że trzymano go zbyt długo w Cao-Bang. Forge zdziwaczał samotnie w puszczy.

Generał strzepnął niecierpliwie palcami.

— Majorze — powiedział niemal ciepło — chcę was i waszych ludzi wyprowadzić z Cao-Bang. O sytuacji ogólnej chętnie z wami podyskutuję potem, w Sajgonie lub Hanoi.

Pochylił się znów nad mapą. Oprawionym w srebro ołówkiem wskazał na smugę drogi kolonialnej, wijącą się wśród zielonych plam.

— Wyobrażam to sobie tak. Czoło kolumny utworzą Marokańczycy majora Forge i jednostka saperska. Środek sformujecie z tubylczych wojsk pomocniczych i kulisów. Straż tylną stanowić będzie, zgodnie z jej szczytnymi tradycjami, Legia Cudzoziemska...

Major Segrais począł skwapliwie kiwać głową. Pot ściekał mu kroplami po brzydkiej twarzy. Za oknami rósł upał w miarę jak dzień się posuwał i słońce stawało w zenicie.

Krótko po pierwszym brzasku kompania karna 3-go batalionu Legii była już nad rzeką. Dzień zapowiadał się ciężki. Nad dżunglą wschodziło bezrzęse, wróżące upał słońce. Głang płynął leniwie czerwonawy i dymiący. Żołnierze pozrzucali koszule i wzięli się do łopat. Poszerzano lotnisko między rzeką a lepiankami Cao-Bang.

„Whisky" pracował jakiś czas w milczeniu. Już po pierwszych ruchach szpadlem ciało mu oblał gorący pot. Brudno-białe kepi lepiło mu się do czoła. „Whisky" klął w duszy na czym świat stoi. Obok niego pracował nie wypuszczając fajki z ust żylasty olbrzym o zarośniętej piersi i jasnej brodzie. Obserwował Polaka spod oka, odwalając ziemię równymi uderzeniami, po których można było poznać starego praktyka.

— Nie spiesz się — powiedział — i tak zdążysz. Widać zaraz, że pierwszy raz jesteś w kompanii karnej.

„Whisky" zacisnął zęby.

— Pewnie, że pierwszy. Jak osiem lat służę w wojsku.

Legionista przesunął fajkę w kąt ust. Z rozmachem wbił kilof i od-
walił skibę ziemi.

— Ja jestem w Legii jedenasty rok. Nie pamiętam, ile razy i za co
byłem w kompanii karnej. Grunt to przyzwyczajenie.

Znowu wziął rozmach i równo uderzył kilofem.

— Za co się tu dostałeś, skoroś taki cnotliwy?

„Whisky" wbił rydel i oparł na nim stopę.

— Na tle politycznym. Plunąłem w pysk jednemu.

Legionista skrzywił się niechętnie.

— Ja mam politykę gdzieś. Całe nieszczęście w tym, że po wojnie
nawaliło się do Legii takich, co przez politykę. To największe dranie.
Ja sam jestem w Legii przez trudny charakter. Dwanaście lat temu
uścisnąłem za mocno dziwkę w Amsterdamie. Podobała mi się cholernie
miała bestia pieniądze. W kompanii karnej nie byłem ani razu za poli-
tykę. Ale takich jak ja już coraz mniej w Legii. To już nie dawna, stara
poczciwa Legia, co była mamą dla każdego, komu się nie poszczęściło
w życiu. Teraz w Legii pełno kanalii i durniów.

„Whisky" wyprostował się.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Legionista nie spieszył się z odpowiedzią.

— Nazywam się Van Hoven — powiedział.

Pykał przez chwilę zgasłą fajkę. Oparty na kilofie przyglądał się
ironicznie sąsiadowi.

— Ty zaliczasz się do durniów, jak przeważnie Polacy. Niemcy pół
na pół. Są wśród nich wyjątkowi zbóje. Był tu przed paru dniami tak
jeden. Hirsch się nazywa. Byłem z nim raz w akcji. Straciliśmy paru
ludzi w zasadzce. Spadochroniarze wzięli paru jeńców. Trzeba ich było
widzieć przy robocie. Jeden jeniec jeszcze w ostatniej chwili rzucił
granat. Hirsch własnoręcznie oderżnął mu laubzegą głowę. Zarzynany
kwiczał jak wieprz. Masz pojęcie, laubzegą! Nie rzygam po litrze chiń-
skiej wódki, ale wtedy zarzygałem pół Vietnamu.

Opodal rozległo się ciche gwizdnięcie. Van Hoven zamachnął się
szybko kilofem.

— Uważaj — szepnął — podoficer.

„Whisky" rozejrzał się ujmując rydel. Gémiani stał opodal i zna-
cząco walił się szpicrutą po cholewach. Legioniści pracowali długim
rzędem. Ich pochylone plecy lśniły od potu i słońca między rzeką a do-
mami osady.

Kiedy podoficer oddalił się, Van Hoven syknął:

— Też drań. Niech mi się tylko nawinie pod lufę w odpowiedniej chwili.

„Whisky" udał, że nie słyszy. Wolał z tym nie mieć nic wspólnego. Brodacz też nie upierał się przy swoim. Może nawet żałował, że to powiedział przy byle kim.

— Nie wiesz, co się stało z Hirschem? — zagadnął po chwili „Whisky".

— Nie wiem. Zabrał kilku przewodników Meo i tyle go widziano. Jak w deszcz przyszedł, tak w deszcz poszedł.

Gdzieś niedaleko zatrzeszczał karabin maszynowy, jakby ktoś darł grube płótno. Dało się słyszeć kilka głuchych wybuchów. Legioniści przerwali pracę i nasłuchiwali. Karabiny maszynowe zanosiły się od jazgotu.

Van Hoven machnął ręką.

— Viet musiał podsunąć się z moździerzem. Popierdzą trochę i przestaną.

Legioniści podejmowali przerwaną pracę. Ogień urwał się i słychać było tylko wrzask przestraszonego ptactwa za rzeką. „Whisky" czuł na plecach i karku żar wznoszącego się słońca.

— Nie wiesz, po co poszerzamy lotnisko? — spytał brodacza.

Van Hoven kiwnął głową.

— Wiem. Będzie się ewakuować ludność samolotami.

„Whisky" gwizdnął przeciągle.

— Ci mają szczęście!

— Nie takie znów, jak ci się zdaje. Woleliby zostać na swoich polach i przy swoich kozach. Ale na wojnie zawsze tak, ci co woleliby odejść — zostają, a ci co woleliby zostać — odchodzą.

— Jak sądzisz, Van Hoven, co to dla nas oznacza?

Van Hoven milczał chwilę.

— Mówi się, że to po to, abyśmy się mogli lepiej tu bronić. Mamy trzymać Cao-Bang, dopóki nie wyzdychamy. Ładnie będziemy wyglądać, jak nie zostawią w całym Cao-Bang ani jednej dziwki. To już, bracie, koniec. Myślisz, że stąd wyjdziesz żywy?

Podniósł głowę i rozejrzał się. Trawy słoniowe za rzeką wypalono do czysta, by Vietminh nie mógł zbliżać się pod ich osłoną, ale dżungla wydawała się dziwnie bliska.

Van Hoven zatoczył ramieniem koło.

— Już niczego więcej jak to nie zobaczysz. Byłem, powiadam ci,

wszędzie. W Afryce i we Włoszech, we Francji i w Niemczech, cała wojnę odbyłem. Ale muszę ci powiedzieć, że takiego pietra jak w tym zgniłym kraju jeszcze nie miałem. I to od pierwszej chwili, od samego lądowania. Ani jednego z mych starych kumpli nie ma już w kompanii. Zostali na tej przeklętej drodze kolonialnej, którą otwierałem tyle razy, że ani nie potrafię policzyć. Wiedziałem od razu, że gdzieś na niej położę kości.

Spochmurniał i wziął się z rozmachem do odwalania ziemi. Po chwili powiedział ponuro:

— Mój rachunek jest jasny. Prędzej czy później musiałbym zapłacić za tę dzieweczkę z Amsterdamu. Ale za co ty tu zdechniesz, bohaterze?

„Whisky" machał rydlem z szewską pasją. Nabierał na łopatę ziemię odwaloną przez Van Hovena i odrzucał w stronę rzeki.

— Wyglądasz już, jakbyś sobie grób kopał — zadrwił brodacz.

„Whisky" splunął resztką śliny.

— Mnie — powiedział — śmierć nie straszna. Dwadzieścia razy najmniej zdawało mi się, że już po mnie. Przyzwyczaiłem się. Obca ziemia też mi będzie lekka, nie bój się. Oswoiłem się z myślą, że cudza a nie swoja mnie przywali. Ale do czego nie mogę przywyknąć, to do myśli, że mogę leżeć między takimi dwoma bydlakami jak ty i Hirsch.

Van Hoven wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Hirsch jest daleko w dżungli — powiedział — ale sąsiedztwo ze mną cię nie minie, ty rybi cycu.

Legionista pracujący opodal zbliżył się z oskardem w ręku.

— Deladerriere — zawołał Van Hoven — powiedz temu paniczowi z morskiej pianki, dlaczego nastawiasz tu swój śliczny pysk!

Deladerriere machnął w podnieceniu ręką.

— Daj pokój. Lepiej popatrz...

Van Hoven przerwał mu hałaśliwie.

— Nasz przyjaciel Deladerriere poszedł do Legii na ochotnika. Zgłosił się dobrowolnie do Indochin. Też bohater jak ty. Był mistrzem Francji w biegu przez płotki, gazety o nim pisały, mogłeś oglądać jego fotografie w tygodnikach. Prawda, Deladerriere? Co za sława! Tylko dał się złapać na tym, jak w szatni obrabiał kieszenie ubrań kolegów. Skandal na cały świat! Kariera złamana! Teraz oczyszcza się chłopaczek na „brudnej wojnie". Ha, ha!

„Whisky" przypatrzył się legioniście. Był do połowy nagi, zlany potem i zabrudzony ziemią jak inni, ale cała jego sylwetka wyrażał

skończony wdzięk. Nosił małe wąsiki, dodające szczypty męskości jego dziewczęcej twarzy.

Deladerriere wyczekał, aż Van Hoven skończy rechotać. Patrzył na niego ironicznie, mrużąc wielkie oczy cherubina.

— Skończyłeś się wygłupiać? To popatrz na rzekę.

Van Hoven i „Whisky" odwrócili głowy w kierunku rzeki. Na oleistej powierzchni Giangu leżało poranne słońce. Blask bijący od wody oślepiał, ale i tak było widać wyraźnie, że rzeka niesie ciało ludzkie obrócone twarzą ku niebu.

— Żółty — powiedział Van Hoven — poznać po włosach. Musiał wpaść w wodę i utopił się.

Trup płynął wolno patrząc szeroko otwartymi oczyma w słońce. Legioniści zostawiali robotę i podchodzili do brzegu popatrzeć.

Van Hoven wzruszył ramionami.

— Jest na co patrzeć! Jakeśmy pacyfikowali Kambodżę, trupy płynęły bez przerwy. Nasze kanonierki na Mekongu strzelały do każdego *sampangu*, jaki pojawił się na rzece. Ciała płynęły dniami i nocami, nikt już na to nie zwracał uwagi. A tu cała kompania leci patrzeć na jednego topielca.

— Drugi, drugi! — poczęli wołać legioniści.

Drugie ciało płynęło z głową zanurzoną w wodzie. Bose stopy topielca wystawały nad jej powierzchnię.

— Co za diabeł? — powiedział Van Hoven. Odłożył kilof i podszedł nad sam brzeg.

Gémiani nadbiegł rycząc.

— Co się tam dzieje? Powariowaliście?

Deladerriere wskazał ręką na rzekę.

— Giang niesie ciała. Ja pierwszy zauważyłem.

Gémiani zamknął otwartą do krzyku gębę. Patrzył zdumiony na rzekę.

— Niby skąd? — powiedział jakby do siebie. — Przecież stąd w górę rzeki jest tylko Viet!

— Znowu, znowu! — wołali żołnierze, wskazując rękami.

Na Giangu błysnęło coś białego. Koszula na topielcu wzdęta wodą zalśniła w słońcu jak brzuch wielkiej ryby. Tuż za nią czyjś tyłek w spodniach khaki wystawał z rzeki jak brunatny grzbiet żółwia.

Gémiani opamiętał się.

— Ludzie — ryknął — stanowicie ładny cel dla Vietu. Jak wam

sypną z CKM-u od kopców, będziecie ładnie wyglądali! W tył zwrot! Każdy na swoje miejsce!

Legioniści poczęli odchodzić, ociągając się i oglądając za siebie. Coraz więcej ciał ukazywało się w górze rzeki.

— Deladerriere! — krzyknął Gémiani — tyś szybkobiegacz. Leć do fortu i zamelduj, coś widział.

Deladerriere oddalił się wciągając w biegu koszulę. Gémiani został na brzegu i patrzył. Van Hoven i „Whisky" pracowali leniwie opodal, zerkając na rzekę. Kilka ciał sczepionych jak spławiane drzewa przesuwało się z prądem.

Van Hoven strzepnął dłonią pot z czoła.

— Tym chłopaczkom już chłodno — zażartował. — Coś im się złego przydarzyło tej nocy.

Gémiani wyciągnął szyję. Podszedł do samego brzegu rzeki i patrzył niemal pod stopy. Van Hoven i „Whisky" stali zbyt daleko, by widzieć, co się dzieje na wodzie u samego brzegu. Gémiani przywołał ich gestem.

— Weź ze sobą kilof! — zawołał do Van Hovena.

„Whisky" cisnął łopatę i podbiegł ku rzece. Przy brzegu płynął powoli trup obrócony twarzą ku dnu. „Whisky" zobaczył mokry wiecheć jasnych włosów, rozgarniany prądem. Wielkie ciało w mundurze khaki, o rozrzuconych kończynach leżało w wodzie jak nieżywa żaba.

— Biały — powiedział Gémiani.

Van Hoven wszedł w wodę, sięgając kilofem. Zaczepił ciało i przyciągnął. Gémiani i „Whisky" chwycili je za nogi i wydobyli na brzeg Buchała od niego para i kwaśny zapach łaźni. Van Hoven odwrócił je na wznak uderzeniem nogi. Popatrzył w zsiniałą twarz nieboszczyka i powiedział:

— G.... zawsze wypłynie na wierzch.

Zwrócił się do „Whisky".

— Co się tak gapisz? Masz swojego Hirscha. Brakowało ci go do wspólnej mogiły.

Gémiani zdjął czapkę, przeżegnał się i nakrył umarłemu twarz chustką.

Mirosław Żuławski

(Dalszy ciąg nastąpi)

W. WIELICZKO

Wielki Wołgo-Don

10 marca 1939 roku rozpoczął się XVIII Zjazd WKP(b). Zjazd postanowił przystąpić do budowy Wołgo-Donu.

5 października 1952 roku rozpoczął się XIX Zjazd WKP(b), któremu naród radziecki, dumny ze swej ukochanej partii, zameldował:

— Wołgo-Don ukończony!

Wiele przeżyć wypełniło czas dzielący oba Zjazdy. Do kraju socjalizmu wdarł się przemocą okrutny, bezlitosny wróg. Po czterech latach walki wróg został odepchnięty, rozbity i zwyciężony. Nastąpił okres gojenia ciężkich ran. Lecz Wołgo-Don nie przestał żyć. Obecnie dzieło to, jedno z najwspanialszych w historii, istnieje i pracuje dla dobra ludu i kraju.

Wszystko, czego dokonali nasi ludzie w ciągu lat istnienia ustroju radzieckiego, wszystko to zajaśniało w tej pierwszej wielkiej budowli komunizmu — Wołgo-Donie — wielostronnie i na nowo, wzniosło się i przemówiło losami milionów. Nowa rzeczywistość komunistyczna stanęła przed nami w całym swym czarującym pięknie, w całej niezbitej prawdzie istotnego sensu życia. W tej porywającej rzeczywistości zawarta jest mądrość partii Lenina-Stalina i jej ofiarne trudy w imię szczęścia ludu.

1

Już wiosną 1918 roku Włodzimierz Lenin zaproponował rozpoczęcie badań nad wołgo-dońską drogą wodną. 14 maja 1918 roku odbyła się pod przewodnictwem Lenina konferencja Rady Komisarzy Ludowych, na której postanowiono rozpocząć badania nad Wołgo-Donem. Na owej historycznej konferencji Lenin powiedział, że kanał wołgo-doński stanie się potężną dźwignią, która dokona przewrotu w gospodarce południowego wschodu kraju. Wtedy to badacze wyruszyli w drogę, aby wyznaczyć trasę wołgo-dońskiego kanału spławnego. Sytuacja była trudna: na południowym wschodzie kraju dojrzewały wydarzenia wojenne, a wkrótce utworzył się front południowo-wschodni. Do Carycyna posłany został przez partię towarzysz Stalin. I tam, podczas bohaterskiej obrony miasta, towarzysz Stalin napisał prorocze słowa: „Kanał będzie przekopany...“

Wołgo-Don stał się dziedziną życia, którą ujęła w swe ręce partia, podtrzymując i jednocząc wysiłki rządu i ludu, wciągając do wykonania zadania społeczeństwo i najlepszych specjalistów kraju.

W marcu 1939 roku XVIII Zjazd Partii postanowił opracować schemat całościowej rekonstrukcji Wołgi i Donu oraz przystąpić do budowy połączenia obu rzek.

Plan miał charakter gospodarczy. Sam pomysł „składu surowca“ Wołgo-Donu był wyrazem troskliwego stosunku do bogactw ziemi, lasów i rzek. Niejednokrotnie Sergiusz Jakowlewicz Żuk wspominał, jak napełniano rybiński basen wodny. Od dawien dawna w zalewiskach rybińskich znajdowała schronienie przeróżna zwierzyna. Nie zakłóconą niczym swobodą cieszyły się tam łosie. Trzeba było starannie przemyśleć sposób przesiedlenia zwierząt. Okazało się, że zadanie to nie jest proste. Zbudowano ponad tysiąc obszernych, mocnych tratew i pozostawiono je w zalewisku;

przygotowano całą flotę specjalnie urządzonych kutrów holowniczych.

A tymczasem gdzie indziej przygotowywano rezerwaty — nowe „mieszkania“ dla zwierząt.

Takie masowe przesiedlenie dzikiego królestwa zwierzęcego przeprowadzono po raz pierwszy w historii cywilizacji. Był to wyraz nowego, komunistycznego stosunku człowieka do bogactw przyrody.

Nad zalewiskiem wisiały mgły.

Wśród mgieł cichutko sączyła się woda.

Basen wypełniał się powoli i spokojnie. I oto zakołysały się tratwy na wodzie. Zwierzęta domyśliły się, że można z nich skorzystać, gdy błądząc po rozlewającym się morzu poczuły, jak dno uchodzi im spod nóg. Cóż za przedziwny był to widok! To tu, to tam ukazywała się tratwa pędzona wiatrem przez morze bez brzegów, tratwa pełna pasażerów: łosi, wilków, zajęcy, lisów — wszystko to razem, obok siebie. Łosie stały zastygłe w napięciu, każdej chwili gotowe do skoku; wilki leżały rozciągnięte, ze stulonymi uszami, przywarłszy brzuchami do tratwy; lisy zaszyły się pomiędzy kloce; a zające — każdy gdzie indziej: i tuż nad wodą, i u nóg łosi, i obok lisów... Zamaskowany kuter ostrożnie zbliżał się do tratwy; bezdźwięcznie dokonano zaczepu i kuter powoli holował tratwę do brzegu...

Rozpoczęto przygotowania do nowej budowy. Wołgo-Don był zaplanowany równie starannie, z myślą o równie troskliwym i jak najbardziej produktywnym wykorzystaniu bogactw naturalnych.

— Całościowa rekonstrukcja Donu została niewątpliwie rozwiązana — mówił Sergiusz Jakowlewicz. — Dzięki zbudowaniu głównego basenu wodnego działalność gospodarcza całego systemu Wołgo-Donu nie będzie uzależniona od takiego czy innego rocznego poziomu wody. I to również nie ulega wątpliwości. Czy wszystko jednak zostało zrobione?

Ważna ta rozmowa miała miejsce późną nocą w trudnym, wojennym 1944 roku. Był to okres wielkiej ofensywy Armii Czerwonej. W Hydroprojekcie również przeżywano bojowe dni: zakończono właśnie sporządzanie projektu Wołgo-Donu.

— Dochodzi trzecia — przypomniano S. J. Żukowi.

— Tak, już czas... Sergiusz Jakowlewicz wstał i zapiął szczelnie kołnierz płaszcza. Bez pośpiechu raz jeszcze przejrzał szkice i notatki leżące na stole. Dokumentów tych było niewiele, lecz zawierały wysiłki dziesięcioleci, pracę całej armii inżynierów i techników... Trzymając ostrożnie papierową teczkę ze szkicami, naczelnik Hydroprojektu jechał przez zaciemnioną Moskwę. Ostre igiełki światła z przysłoniętych latarni przejeżdżających aut wciskały się co chwila do wnętrza wozu i prześliznąwszy się ostrożnie, znikały. Strzeżony niewidzialną ręką ludu Kreml czuwał, zapomniawszy o śnie. Wartownicy doskonale znali barczystą, przygarbioną sylwetkę Sergiusza Jakowlewicza w nieodłącznym jego płaszczu. Minąwszy wrota Kremla Żuk skierował się ku znanej mu bramie.

2

Lata trzeciej pięciolatki i cały następny okres nagromadziły szereg nowych przesłanek społeczno - gospodarczych, które kazały inaczej niż przedtem ustosunkować się do zagadnienia przebudowy dolnego biegu Donu.

Przedwojenne osiągnięcia północnokaukaskich i południowo-ukraińskich kołchoźników oraz doświadczalnych stacji rolniczych w dziedzinie uprawy pszenicy, bawełny, ryżu i traw trwałych w warunkach sztucznego nawadniania pozwoliły na włączenie tych kultur do pło-

dozmianów na terenach przylegających do dolnego biegu Donu, jak również wzdłuż rzek Sały i Manyczu, w rozmiarach nierównie większych, niż kiedykolwiek uważano za możliwe. Jeszcze więc i to zadanie postawione było przed Wołgo-Donem. W najbliższym czasie należało nawodnić te obszary ziemi, które zgodnie z pierwotnym planem miały otrzymać wodę dopiero po roku 1972.

W świetle nowych zadań główny basen wodny Wołgo-Donu okazał się już nieodpowiedni.

Według projektu basen budowany był tuż pod Kałaczem przy dońskim ujściu kanału. Tamę wznoszono w rejonie chutoru kumowskiego i od niego też basen wziął nazwę. Był on wielki, nie mógł jednak zaopatrywać w wodę terenów dolnego Donu; nie należał też do trasy żeglugowej Kałacz-Rostów. Obecnie trzeba było umieścić główny basen wodny o wiele niżej od chutoru kumowskiego, mając jednakże na uwadze, aby dochodził on do Kałaczu, a nawet dalej.

Główny basen Wołgo-Donu przeniesiony został do rejonu stanicy cymlańskiej.

Był to już nie basen, lecz morze...

Zbliżał się świt, kiedy Sergiusz Jakowlewicz wrócił z Kremla do Hydroprojektu, gdzie go oczekiwano. Zdecydowanym krokiem podszedł do stołu, zacisnął spracowane dłonie, czując w nich każdą pulsującą żyłkę. Tak było zawsze, po każdej niezapomnianej wizycie na Kremlu. Po ogromnym napięciu emocjonalnym przychodziło zmęczenie, lecz wkrótce siły, zdawałoby się już wyczerpane, burzliwie odradzały się; otwierały się nowe, zupełnie nieznane horyzonty, trudności na pozór nie do przezwyciężenia ustępowały wobec potężnych sił kraju — ludu, partii, geniuszu stalinowskiego.

Gdy serce Sergiusza Jakowlewicza zabiło znów spokojnie i miarowo, rzekł współpracownikom:

— Towarzysze, przyniosłem niezwykłą wieść: Wołgo-Don zatwierdzony. Lecz teraz — to już Wielki Wołgo-Don.

*

Marzenie o połączeniu Wołgi z Donem żyło w ludzie rosyjskim od przeszło trzystu lat. Przetrwało wieki ucisku i cierpień. Wszelkie wysiłki przed rewolucją nie doprowadziły i doprowadzić nie mogły do upragnionych wyników.

W latach 1694—1701 marzenie ludu otrzymało swój pierwszy kształt techniczny.

W roku 1694 Piotr I wysłał księcia Kurakina, aby dokonał przeglądu miejscowości pomiędzy Wołgą i rzeką Iłowlą, dopływem Donu. W wyniku tego przeglądu opracowany został przez rosyjskich inżynierów projekt kanału połączeniowego, a w roku 1696 zaczęto przekopywać kanał pomiędzy górnym biegiem rzeki Kamyszynki, dopływem Wołgi i rzeką Iłowlą, dopływem Donu.

Trzydzieści tysięcy ludzi zjawiło się w stepach. Mieszkali w ziemiankach, pracowali w straszliwych warunkach. Śmiertelność wśród budowniczych była ogromna: na dziesięciu ludzi umierało ośmiu. Ekspert angielski, inżynier Brackel, kierujący pracami, był człowiekiem okrutnym. Na jego rozkazy katowano ludzi bezlitośnie — umierali pod batogami. Umierali z głodu. Lecz na ich miejsce przybywali wciąż nowi i nowi budowniczowie...

W końcu lata 1697 roku zbudował Brackel u ujścia Kamyszynki pierwszą śluzę. Prace jednak przeprowadzane były tak nieumiejętnie pod względem technicznym, iż wkrótce woda zepchnęła śluzę do Wołgi. Obawiając się odpowiedzialności za katastrofę, Brackel uciekł z budowy i z Rosji. Odjeżdżał jednakże jako człowiek bogaty — dorobił się na spekulacji zbożem.

Na budowę przybył inny Anglik — John Perry.

John Perry zaniechał pracy nad poprzednią trasą kanału i wyznaczył nową o wiorstę niżej.

I znów rozpoczęto budowę.

Minęły jeszcze trzy lata. Łożysko kanału pogłębiało się, pojawiły się pierwsze śluzy. A wzdłuż brzegów kanału rósł las krzyży. Budowa pochłaniała ludzi jak niszcząca wojna.

W 1701 roku Perry porzucił kanał — w ciągu trzech lat i on stał się bogaczem; nic go już nie wiązało z kanałem. Pozostał tam jego przyjaciel Look, również Anglik.

Po pewnym czasie pracę nad kanałem całkowicie przerwano. Nie udało się zrealizować projektów, budowa poniosła fiasco na całej linii. Poprzez stulecia unosiło się nad Rosją ponure widmo tego niepowodzenia, lecz myśl wciąż żyła, zjawiali się raz po raz jej rzecznicy i wyraziciele. Powstawały nowe projekty. Naliczyć ich można ponad 30.

1803 rok — projekt Kartmazowa;

1816 rok — projekt Demidowa;

1822 — 1832 rok — projekt rosyjskiego inżyniera Krafta i projekt Szyszowa;

1826 rok — projekt Zagoskina — Janisza — Mażorowa;

1877 rok — projekt Gamalickiego;

1906 — 1910 rok — projekt Szczerbatowa — Łyżyna;

1910 rok — projekt prof. Puzyrewskiego.

Jak na owe czasy były to niemałe osiągnięcia rosyjskiej myśli inżynieryjnej. Kraft pracował nad swoim projektem dziewięć lat; wybitny projekt Puzyrewskiego poruszył całą Rosję. Lecz wszystkie owe projekty dzieliły ten sam niezmiennie los — szły na marne, nie doczekawszy się realizacji. Jednakże nie słabło dążenie do rozstrzygnięcia problemu połączenia dwóch wielkich rzek, przeciwnie — wzmagało się wciąż i rodziło coraz doskonalsze plany.

Projekt kanału z epoki Piotra I obejmował tereny działu wodnego rzek Kamyszynki i Iłowli. Z punktu widzenia możliwości wykorzystania warunków naturalnych teren ten był najodpowiedniejszy, lecz za to efektywność ekonomiczna zbudowanego tam kanału byłaby mała. Następne projekty jeden za drugim posuwały się niezmiennie na południe, w kierunku dolnego biegu Wołgi i Donu, ku linii Sarepta-Kałacz; od niższych ku wyższym punktom nad poziomem morza; od najkrótszej trasy kanału wynoszącej 60 km. ku najdłuższej — stukilometrowej. Poszło w niepamięć prymitywne „przeciąganie" statków po błotnistym gruncie za czasów Piotra I. Projektowany kanał przybierał coraz bardziej zmechanizowaną postać.

Któż był w stanie nadać mu żywy kształt?

Angielscy „specjaliści" rzucili się na Wołgo-Don w czasach Piotra I i wypchawszy kieszenie złotem, uciekli z budowy i z Rosji. Perry, znalazłszy się w Londynie, wydrukował książczynę, w której oczerniał Rosję, a Rosjanom zarzucał nieuctwo i tępotę. Wojewodzie astrachańskiemu Borysowi Golicynowi, wychowawcy Piotra I, człowiekowi, któremu Piotr powierzył ogólne kierownictwo budowy, Perry zarzucił przeciwdziałanie budowie.

— Ależ łże ten łajdak Perry — powiedział o tym jeden z współtwórców radzieckiego Wołgo-Donu. — Rzecz w tym, że Golicyn miał nadzór nad wszystkim i przeszkadzał mu kraść.

„Praca" angielskich „specjalistów" przy kanale była jawnie wroga, ponieważ sfery rządzące Wielkiej Brytanii widziały w połączeniu Wołgi z Donem wzrost potęgi Rosji, czego sobie wcale nie życzyły.

Ażeby powstrzymać rozwój Rosji, inne obce mocarstwa poczynały sobie jeszcze bardziej zuchwale. Turecki sułtan Selim rzucił swą siedemdziesięciotysięczną ordę na międzyrzecze Wołgi i Donu, by je zagarnąć, przekopać drogę wodną i osiąść na obu wielkich rzekach. Po dwóch zaledwie tygodniach kopania poseł Selima napisał: „Całej Turcji i stu lat czasu trzeba na tę pracę. To dla nas... senne marzenie". Wojska rosyjskie rozgromiły ordy Selima i rozproszyły je po stepie.

Cudzoziemscy geszefciarze i agenci uciekali się do najprzeróżniejszych prowokacji, aby na zawsze pogrzebać myśl o Wołgo-Donie.

W roku 1765 niejaki pastor Fauchester sporządził na miejscu budowy fałszywy plan piotrowskiego kanału, usiłując ukryć szkodnictwo angielskich inżynierów. Niejaki znów Caneau de Beauregard przedstawił ów plan carskiemu dworowi, podkreślając starannie swą wierność Rosji. W tym czasie agenci francuscy wykradali jawnie plany Wołgo-Donu.

Długo wędrował po Europie Zachodniej „plan" kanału Piotra I, wydrukowany w atlasie angielskiego admirała Kruice'a, obfitujący w umyślne zniekształcenia i niedorzeczności.

Przedstawiciel Rosyjskiej Akademii Nauk, adiunkt G. Inochodcew, obserwował i badał budowę kanału na miejscu robót. Oto co pisał akademikowi Rumowskiemu: „Nie twierdzę, iż przekopanie tego kanału było całkowicie niemożliwe... Brackel, a później Perry w zbyt szybkim tempie pragnęli zrealizować powyższe przedsięwzięcie, co przyczyniło niemało szkody. Perry był na tyle skromny, iż ani słowem nie wspomniał o różnicy wysokości położenia pomiędzy Iłowlą a Wołgą. Można stąd wywnioskować, że Perry przystąpił do budowy kanału bez uprzednich pomiarów położenia rzek Wołgi i Iłowli względem siebie".

Tak oto uchylały się kulisy spisku obcych mocarstw przeciwko Wołgo-Donowi.

Najgorliwsza była tu burżuazja angielska. Jej dążenia w kierunku pogrzebania Wołgo-Donu miały swoje wyrachowanie: eksport angielskiego węgla do Rosji przynosił niemałe korzyści, a Wołgo-Don udostępniał Rosjanom korzystanie z węgla donieckiego. Podczas węglowego natarcia Anglii na Rosję zostały wypowiedziane znane słowa Dymitra Iwanowicza Mendelejewa, że przyszłość Rosji leży na brzegach Północnego Dońca. Słowa te dotyczyły bezpośrednio Wołgo-Donu. Północny Doniec, prawy dopływ Donu, ciągnący się na 1025 wiorst, przecina Donieckie Zagłębie Węglowe i jak strzałka kompasu wskazuje naturalne ciążenie bogactw donieckich ku Wołgo-Donowi. Z tego to właśnie powodu Wołgo-Don nie miał wroga bardziej zaciekłego niż burżuazja angielska.

*

Aż do Rewolucji Październikowej węgiel doniecki przewożono do międzyrzecza wołgo-dońskiego, następnie transportowano go przez międzyrzecze i dopiero wołżańską trasą wodną dostarczano paleniskom kraju. Początkowo posługiwano się na terenie międzyrzecza koleją konną, istniejącą zaledwie od dwu i pół lat; później zastąpiła ją prawdziwa kolej. Jednakże nic nie mogło zastąpić drogi wodnej. Z drugiej strony samotny, „sam-jeden" Wołgo-Doński Kanał Spławny istnieć nie mógł. Prawdę tę odkryła Rewolucja Październikowa, która przyniosła z sobą nowe spojrzenie na przyrodę.

W wyniku nieprzerwanej, trzy dziesięciolecia trwającej pracy radzieckich inżynierów, po tym, gdy w projektach znalazła się Cymla, Wołgo-Don otrzymał swą właściwą postać. Nadał on krajowi

nowe oblicze geograficzne, łącząc morze Białe, Bałtyckie i Kaspijskie z morzem Azowskim i Czarnym, wieńcząc sobą cały etap pracy państwa radzieckiego nad przebudową dróg wodnych kraju.

Wołgo-Don stał się wielką budowlą komunizmu. Jego krańce zetknęły się z wielkimi budowlami komunizmu na Wołdze i Donie, na Amu-Darii i w Karakum. Oczom zdumionej ludzkości ukazała się rzeczywistość epoki stalinowskiej.

Przeznaczenie Wołgo-Donu — to podwyższenie stopy życiowej ludu, to uwolnienie życia ludzi od groźby żywiołów, to troska o to, by pracę ludzi radzieckich uczynić jak najlżejszą i jak najbardziej wydajną. Wołgo-Don — to żywa ilustracja wielkich celów partii bolszewickiej.

Wreszcie wszystkie prace badawcze i prace nad projektami zostały ukończone. Całkowity, ostateczny projekt Wołgo-Donu zatwierdził rząd.

Pamiętano zarówno o rzeczach wielkich jak i o drobnych. Rząd zatroszczył się dosłownie o wszystko: o przewóz węgla, zboża i drzewa Wołgo-dońskim Kanałem Spławnym i o wykorzystaniu energii elektrycznej Cymli; o wygody dla ludzi, którzy porzucili dawne miejsca zamieszkania i przenieśli się na nowe; o nowe miasta i wsie, powstające w związku z Wołgo-Donem; o automatyczne nawadnianie pól, o stepowe baseny wodne. I jednocześnie zatroszczył się rząd o wygodne urządzenie wołgo-dońskich statków, o odpowiednie meble dla nich, o bezpieczeństwo podróży i o dobór odpowiednich ludzi, którzy by mogli zapewnić kulturalną obsługę pasażerów. Zostały przewidziane porty i dworce pierwszej klasy na trasie nowej drogi wodnej. Należało jeszcze odziać wielki Wołgo-Don w lasy, parki i sady.

Ażeby zbudować Wołgo-Don, trzeba było wyprodukować nowe, potężne maszyny i nauczyć się posługiwania nimi, trzeba było zaprząc do pracy energię elektryczną.

W pracy nad Wołgo-Donem zebrane miało zostać doświadczenie potrzebne przy następnych wielkich budowlach komunizmu.

Wszystko to zostało wykonane.

3

Jadąc nocą czy to wzdłuż budujących się kanałów irygacyjnych w Salskich Stepach, czy też poprzez stepy dolnego Donu, podróżny widzi ognistą łunę, rozlaną na wiosennym, wypełnionym wilgotną czernią niebie. Blask unosi się z ziemi i sięgając wysoko ku chmurom rozjaśnia je i jak gdyby prześwieca niebo. Ziemia jaśnieje.

— Przecież to Cymla! — poznaje podróżny. Być może nieraz już przejeżdżał tędy i nieraz obserwował świecenie ziemi — ale zatrzyma się przecież i długo w zachwycie będzie patrzył na to potężne promieniowanie.

Cymla pracuje.

Wody Donu — siła zabrana przyrodzie, zmagazynowana, poskromiona i uszlachetniona — gromadzą się w łożysku cymlańskiego basenu wodnego. Rozciąga się on na przestrzeni paruset kilometrów.

Gdy porą przedwieczorną — powietrze wówczas jest jasne i czyste — staniemy na moście wznoszącym się ponad koleją obok miasta robotniczego, oczom naszym odkryje się panorama Cymli. Bezpośrednio przed nami rozpościera się tama, wygięta w kierunku wód Donu. W samym środku podnosi się ona wysoko, granatowa jak żelazna ściana za mgłą. Wygląda tak, jak gdyby wznosiła się tu już od tysiąca lat.

A gdy się wejdzie na tamę, zobaczyć można, jak zbiera się, gromadzi „suro-

wiec" Wołgo-Donu. Widać stąd niezmierzony obszar basenu wodnego i sam port Cymli — sztuczny półwysep o stalowych brzegach, urwistych jak skały. Wody wciąż przybywa. Już dawno opuściła ona brzegi starego Donu i zalała ogromną przestrzeń. Potężna siła napiera na tamę.

Nieraz w wirze pracy mówiono na Cymli: „Nie o własnej sławie myślimy, ale o sławie ojczyzny". I słowa te jednoczyły budowniczych niezależnie od wieku i charakteru, nadawały jeden kierunek różnorodnym zdolnościom i talentom...

Odbywa się właśnie zebranie grupy budowniczych elektrowni wodnej. Młodzi ludzie słuchają komunisty Fiodora Rezczykowa. Mówi on o pokojowych dążeniach człowieka radzieckiego, o Wołgo-Donie. Z wyrazu młodych twarzy słuchaczy widać, jakie wrażenie czynią na nich dobitne słowa mówcy.

Fiodor Rezczykow pochodzi z rodziny biednych nadwołżańskich chłopów; sztukę czytania i pisania zdobył jako samouk. W rodzinnej wsi jeszcze jako chłopiec był sekretarzem Komitetu Biedoty. Jego droga od Kombiedu do wielkiego Wołgo-Donu — to właściwie ta sama droga, jaką szło marzenie ludu o Wołgo-Donie, poczynając od roku 1918, kiedy to robotnicy carycyńscy przybyli do Lenina, a on wysunięty przez nich problem kanału poruszył na konferencji Rady Komisarzy Ludowych. Słowa Stalina: „Kanał będzie przekopany" — to jeszcze jeden etap tej drogi.

Niejednokrotnie rozmyślał Fiodor Rezczykow o tym, na jakie to wyżyny wznieśli się zwykli, prości ludzie, którzy sprawę Wołgo-Donu ujęli w swe ręce. I tylko oni, uciskani i znieważani w przeszłości ludzie pracy, zdolni byli najpełniej rozumieć i odczuwać przyrodę, jej nieubłaganą żywiołowość i przedziwne piękno. Pracowali z mozołem w jej wielkim warsztacie, w okropnych warunkach, lecz właśnie obcowanie z przyrodą, posiadanie najcenniejszego jej daru — zdolności pracy — uratowało ich od zagłady. Kierowani przez partię Lenina-Stalina uzyskali przewagę nad przyrodą.

We wrześniu 1951 roku, od czasu gdy w starym korycie Donu utworzona została sztuczna gardziel, rzeka rozwidliła się i popłynęła dwoma nurtami: jeden wąską szczeliną gardzieli, drugi — ku tamie żelbetonowej. Woda u tamy była spokojna, poziom jej podnosił się cicho i wolno, lecz budowniczowie mówili:

— Kołacze Don, o nową drogę prosi!

Istotnie, dawał się słyszeć przy tamie jakiś nieśmiały niby to plusk, niby kołatanie, rozlegające się chwilami, to znów milknące, i znów przelatujące ledwie uchwytnym dźwiękiem.

Fiodor Rezczykow, wsłuchując się w tę mowę wody, mówił o Donie:

— Oszukuje! Chytryś, ojczulku!

W gardzieli Don ryczał i wył, co mu się nigdy przedtem nie zdarzało. Uważano go zawsze za rzekę łagodną i cichą.

I właśnie tam, w gardzieli, gdzie przygotowywano całkowite pokrycie starego koryta Donu, ażeby skierować jego wody poprzez otwory żelbetonowej tamy, Fiodor Rezczykow spędzał całe noce. Kierował pracami nad pokryciem i tu znajdowała się jego kwatera. Od lewego brzegu Donu ku prawemu wysunięty był tzw. „bankiet", czyli kamienny masyw, który zwęził szerokość Donu do maksimum. Przez tę szczelinę, która otrzymała nazwę „gardzieli" i w której to właśnie miotał się Don, przeprowadzano most powodziowy, nie posiadający pokrycia, mający jedynie dwie koleiny na krańcach, przeznaczone dla samochodów-wywrotek. Były to prace przygotowawcze do osiągnięcia punktu szczytowego budownictwa. Ma-

się statków, mechanizmów i maszyn wysunięto ku Donowi. W jego ryczące fale zanurzyli nurkowie.

Zbliżał się moment decydujący.

Miejsce przy gardzieli zdumiewało czystością i jaskrawością oświetlenia; ku rzece wiodły ścieżki wysypane piaskiem. A noce były ciche i ciepłe.

Fiodor Rezczykow siadywał zazwyczaj na ławce koło gardzieli. Tam też zastał go pewnej nocy Iwan Duchonin, stary cymlański kierowca ekskawatora.

— No i jak on się zachowuje? — zapytał wskazując na Don.

— Niezgodny, buntuje się... — odrzekł Rezczykow.

Duchonin usiadł na ławce obok Rezczykowa i wpatrując się w szemrzący Don, słuchał jak gdyby, o czym szumi rzeka.

— Wychodzę nocami — mówił dalej Rezczykow — rozmawiam, upominam.

— No i co? — zapytał Duchonin.

— Gniewa się.

— Nie chce. A jednak będzie musiał popłynąć nową drogą — zakonkludował Duchonin.

— Przecież tłumaczę mu to, powiadam: po dobremu zgódź się, lepiej będzie. Morzem się staniesz!

— A on pomstuje?

— Pomstuje! — śmiejąc się przytaknął Rezczykow. — Nie w smak mu zabrać się do pracy.

Don wył i bełkotał, napierając na kamienny masyw „bankietu". Ale w zaciszu wodnym, utworzonym przez „bankiet" namulała się już grobla: długie rury pogłębiarek miotały tu „pulpę", czyli piasek z wodą i nieuchwytnie dla oka podnosiło się dno rzeki. Mierzeja piaskowa, od której rozpoczęło się namulanie, przebijała coraz głębiej koryto Donu.

Duchonin posiedział jeszcze czas jakiś i odszedł. Rezczykow pozostał sam...

Nie przebrzmiała jeszcze radość z odsłonięcia otworów w dnie tamy i przepuszczenia przez nie pierwszych wód Donu do nowego koryta, kiedy zaczęto zawalać kamieniami, zamurowywać na zawsze dawne koryto rzeki. Majestatyczny widok! Strumienie „pulpy" waląc z dwóch brzegów sunęły w urwisko rzeki. Don stęknął jakoś, zasyczał, zachłysnął się. Tymczasem nieprzerwana pierścieniowa kolumna samochodów-wywrotek naładowanych kamieniami pomknęła przez most nad gardzielą. Maszyny w pędzie zwalały swój ładunek do potoku. Nieskończenie krążył pierścień maszyn i bez przerwy spadała w gardziel kamienna lawa. A rzeka jak gdyby natężała wszystkie swe siły. Don, zdawało się, chciał stanąć dęba, pryskał wodę daleko na brzeg. W tym czasie zaczęły działać jeszcze cztery maszyny-giganty. Pod ich uderzeniem Don zawirował, szarpnął się w kierunku kamiennego „bankietu", zwinął się w powrósło. Zmieszało się wszystko i nie można było nic usłyszeć w otaczającym ryku i poświście wody.

— Donie, ojczulku!... — jęczał jakiś starzec na brzegu. — Ojczulku ty nasz... Wybacz!

Z surowym wyrazem w oczach patrzał na miotający się Don Fiodor Rezczykow. I nagle on sam uczuł w piersiach jakiś ssący ból, coś zadrżało pod sercem. Usiadł na kamieniu... A Don już słabnął, coraz rzadziej wzdymały się jego strugi, coraz mniej siły było w jego porywach. Mierzeja piaskowa z lewego brzegu wciąż posuwała się naprzód, stawała się coraz szersza i widać już było piasek na środku nurtu — dno podnosiło się, spychając rzekę w lewo, ku nowej drodze, ku tamie. Ucichało wycie w gardzieli. Stary Don jak gdyby usypiał. I wkrótce nastąpiła cisza — mierzeja zetknęła się z przeciwnym prawym brzegiem.

— W porządku! — powiedział Fiodor ezczykow, ocierając pot z czoła.

Wody Donu, wszystkie jego wody pożyły ku żelbetonowej tamie, wlewały ę w jej otwory i przelatując przez nie szumiącym biegu spadały w dół, na rugą stronę. Sprężysty, niczym metawy ich potok walił naprzód, błyszcząc lśniąc w jaskrawym słońcu. To był on, ale już nowy Don, potężny, uszlahetniony rękami człowieka.

Obserwując bieg nowego Donu, Sieriusz Jakowlewicz Żuk powiedział:

— Została stworzona Cymla.

I raptem ujrzał ów niezapomniany braz: pokój w Kremlu... mapa operayjna frontów... obok niej plan Wołgonu... Stalin pochylony nad stołem...

Twarze budowniczych promieniały zczęściem. A stary inżynier obliczał po ospodarsku: w składzie Wołgo-Donu najdują się i potężne wody zasadnicze zek, i bogactwa wylewów wiosennych, tóre niegdyś nazywano: wczesne — kozacką falą", późniejsze — „rosyjską alą", oba o ogromnej sile. Jakaż obfiość energii!

*

...Z wioski Butakowa szedł w kierunu Niżnego Nowogrodu młody chłopak, dziany w zgrzebną koszulę, obuty w apcie. Porzucał on swoje sioło, jak wiać, na długo: miał nawet zapasową arę łapci, wiszących obok torby przezuconej na plecy. Szedł szybko, wiorsta a wiorstą.

Kułak z tej samej wsi, który również odążał do miasta, mijając chłopaka atrzymał konia:

— Gdzie to biedota wędruje? — spyał.

— Uczyć się — odpowiedział cicho Iichał Diwiejew.

— Z Bogiem, z Bogiem — zaśmiał się ułak. — Wyprowadzą cię łapcie na rogę! — I podciągnąwszy lejce pojehał dalej.

Diwiejewowie należeli do najbiedniejszych mieszkańców Butakowa. Walczyli z nędzą milcząco jakoś, bez szemrania. Żywili się lebiodą jeszcze w pierwszych latach władzy radzieckiej.

Nieśmiało krocząc, poprawiając w zmieszaniu koszulę wszedł Michał do jaśniejącej sali rabfaku*). Profesor z troską i niepokojem spoglądał na smagłego, o wysokim czole, szesnastoletniego chłopca w łapciach; napływ kandydatów był wielki, egzaminy wstępne zostały obostrzone. Diwiejew zdał egzamin celująco — nazwisko jego widniało w pierwszym rzędzie listy przyjętych na uczelnię.

...Michał Diwiejew ukończył instytut inżynieryjny transportu wodnego, wydział hydrotechniczny; pracował nad elektryfikacją gospodarstw rolnych w ojczystej gminie Gorki, budował urządzenia hydrotechniczne. Na budowę Wołgo-dońskiego Kanału Spławnego skierowany został przez obwodowy komitet partyjny w Gorkim.

Zaczął budować śluzę Nr 13 przy dońskim ujściu kanału.

Gdy ukończone zostały pomyślnie najtrudniejsze, betoniarskie prace przy śluzie, powierzono Diwiejewowi budowę Karpowskiej Stacji Pomp obok śluzy Nr 13. Stacja ta, o konstrukcji jedynej w swoim rodzaju na całym świecie posuwać miała wody Donu ku Wołdze. Stan odcinka budził trwogę: w dniu przyjścia Diwiejewa plac pod budowę przypominał zbiornik rzadkiego błota — stacja powstać miała bowiem w łożysku rzeczki.

— Nic nie zrobimy — skarżyli się budowniczowie. — Napiera woda i tyle!

...A jednak Karpowska Stacja Pomp została zbudowana. I to jeszcze jaka! Piękna, o trzech majestatycznych kolumnach, żarząca się elektrycznym

---

*) raboczyj fakultet — szkoła wieczorowa przygotowująca robotników do wstąpienia na wyższe uczelnie.

światłem, rozwinęła oba swe skrzydła jakby na powitanie wód Donu — i jaśniała niczym pałac.

Diwiejew mówił budowniczym:

— Patrzcie, jaka budowla powstaje! A kiedy już zostanie ukończona, wszystko to zniknie. Cały ten pałac skryje się pod wodą, na powierzchni pozostanie tylko dosyć nieznaczne urządzenie. Człowiek postronny nie domyśli się, ile włożono tu pracy. To samo da się powiedzieć o całym Wołgo-Donie — widoczna będzie jedynie jego najprostsza, nadwodna część. Taki to już los urządzeń hydrotechnicznych: znikają po ich ukończeniu z pola widzenia, stają się częścią wodnego królestwa przyrody. A człowiek dzięki nim sprawuje władzę nad tym królestwem...

1 lutego 1952 r. stał Michał Diwiejew przy górnej balustradzie stacji nad ryczącymi w dole wodami. Rozpoczęła pracę pierwsza pompa. Na tamie i obok stacji razem z budowniczymi zebrał się tłum ludzi przybyłych z fabryk stalingradzkich i z okolicznych wsi. Wody Donu ruszyły, aby połączyć się z wodami Wołgi, połączenie obu wielkich rzek rozpoczęło się!

Krzyki ludzi... uroczyste dźwięki orkiestry... wściekły szum wód...

Michał Diwiejew, chudziutki, smagły, tonący w zbyt wielkim kożuszku, niczym nie wyróżniał się spośród budowniczych. Słychać było przemówienia i wycie złej, śnieżnej zawiei. Lecz wszystko to jak gdyby nie dotyczyło Michała Diwiejewa i nie dochodziło doń. Był on w tej chwili naczelnym inżynierem budowy i przeżywał wyrok bezlitosnego sędziego — wody.

Cały zamienił się w słuch, chwytał uchem najsłabsze odgłosy z podwodnego pałacu. Oto weszły wody Donu w objęcia rozpostartych żelbetonowych skrzydeł stacji, przeszły przez kraty komór, prą na mechanizm pomp. Miękko, ledwie uchwytnię dla słuchu, poruszyły się pompy. Chwyciły wodę, podniosły ją o dziesięć metrów w górę, przerzuciły, wypchnęły na drugą stronę stacji obróconą ku Wołdze. Woda spadła na nowe łożysko elastycznie, sprężyście jak skacząca pantera. Trysnął potok dokładnie równy rzece Moskwie!

Potok pienił się, kotłował, rozlewał po żelbetonie. Wody Donu mknęły po udręczonej pragnieniem ziemi. I coraz bardziej, coraz szerzej obejmowały tę ziemię. Ku wodzie rzucili się ludzie, nabierali ją w dłonie, by się w niej obmyć. Od Marinowki na powitanie wody szedł pochód: ludzie szli lawiną, podniósłszy w górę ręce i sztandary. Nad wodami Donu, podążającymi ku Wołdze, unosiło się imię Stalina. Cała ziemia jak gdyby kołysała się od tego nowego ruchu, wywołanego w przyrodzie.

Z zastygłym uśmiechem Michał Diwijew patrzył, jak przejaśniają się wody Donu wyprowadzone ze stanu równowagi zerwaniem prowizorycznej zapory przed puszczeniem w ruch stacji, jak nurt ich przybiera stopniowo płowy kolor szuwarów. Wraz z przejaśnieniem tym rozjaśniała się i ożywiała twarz Diwiejewa. Jego stan psychiczny przypominał owe wody, zmącone początkowo, a teraz przejaśniające się.

— Pracować trzeba było w warunkach nieustannych zmagań z podziemnymi wodami. Naczelna dyrekcja nie zawsze go rozumiała i nie rozpieszczała dobrym słowem. Lecz stacja została zbudowana. Wraz ze swym kolektywem dotrzymał słowa, danego towarzyszowi Stalinowi i czuł, że stało mu się jaśniej, radośniej na duszy, że przeniknął tam jakiś ciepły promień, ogrzewając i ożywiając te zakamarki, gdzie zawsze było zimno i ciemno. Czy to jednak nie banialuki i błahostki? Czy może być mowa o stosunku pomiędzy wielką budowlą komunizmu a jakimi tam „zakamarkami duszy", w których żyją uparcie wspomnienia o lebiodzie

Lebioda była niegdyś jedynym „darem" przyrody dostępnym dla Miszutki Diwiejewa. Lecz nadszedł czas i Miszutka wydarł przyrodzie wielki Wołgo-Don!...

Uroczystości zakończyły się!

Zmęczony silnym wzruszeniem zszedł Michał Diwiejew ku wodzie, burzliwie i wesoło płynącej w kierunku Wołgi. Zgromadziła się tam grupa budowniczych; pili wodę, czerpiąc ją czym popadło: jeden kubkiem, drugi ręką. Cieśla Fatiej, przygarbiony, wysoki człowiek, podobny do łagodnego morsa dzięki swym małym oczkom i wielkim, szczeciniastym wąsom, pił wodę z własnej czapki. Wyławszy niedopitą wodę z powrotem do potoku, zaczerpnął świeżej i podał ją Diwiejewowi:

— Skosztuj, Michale Wasyliczu! Starym zwyczajem.

Diwiejew zaczął pić. Czapka Fatieja przesiąknięta była zapachem potu; przełknąwszy ów zapach wraz z kryształowo czystą wodą, Diwiejew podziękował. Fatiej starannie wyżął i otrząsnął czapkę, po czym wetknął ją na głowę i rzekł:

— Prawdę mówiłeś, Michale Wasyliczu. Znika stacja sprzed oczu, znika... Jak gdybyśmy nic tutaj nie robili.

Pompa wyrzucała na godzinę do pięćdziesięciu tysięcy metrów sześciennych wody. Już prawie całe urządzenie stacji pogrążyło się w wodzie; skryły się w niej pieszczące wzrok budowniczych majestatyczne baszty, zatonęły mocarne, żelbetonowe skrzydła. Wszystko zniknęło w podwodnym królestwie, jak gdyby wspaniały pałac był daniną składaną przyrodzie. Tylko zwyczajny, trzypiętrowy budynek, z pozoru skromny i prosty, pozostał widoczny.

Fatiej westchnął:

— Samiśmy zbudowali, samiśmy zatopili...

— A kiedy pójdą w ruch wszystkie trzy pompy — jątrzył go Diwiejew — nie będzie widać nawet spadającej wody. Naciśniesz guzik i woda popłynie równo, nawet trawki nie skrzywdzi.

— Sprytnie!... — zgodził się Fatiej. Guzik rządzi rzeką... Sprytnie... O Wołgo-Donie słyszałem dawno, lecz czegoś takiego nie przewidziałem.

Na trzecim piętrze nadwodnego urządzenia stacji, w sali pełnej pulpitów siedziały dziewczęta i młodzi mężczyźni. Oni to kierowali teraz, przy pomocy guzików, wodami Donu... Do szyb okiennych przylepiały się ciężkie płatki przedwiosennego śniegu.

*

Świetlista kula słońca podnosi się nad stepem i mknie gdzieś ciepły wiatr, poświstując jak kulik; we wgłębieniach osiada śnieg i roztapia się posyłając w niewidzialną przestrzeń chłodne strumyki. Ziemia paruje. Wiosna...

Stepową drogą posuwa sią łańcuch samochodów. Jadą kołchoźnicy z dalekiej, zakarpackiej Ukrainy, przesiedlani na ziemie nawodnione przez Wołgo-Don. Na przesiedleńców czekają dziewicze czarnoziemy — nikt po nich nie chodził, nikt ich nie ruszał. Uroczysta jest świeżość stepu. Jak wzór rytowniczy wyglądają kanały biegnące w przestrzeń i niknące w niej. Wyryte są w ziemi tak pięknie, że wydają się nieodłączne od niej, wraz z nią stworzone.

Przesiedleńcy dziwią się:

— Co za kraj, dziw nad dziwy!

Doński kanał magistralny wrzyna się w step na przestrzeni dziesiątków kilometrów. Dziesiątki kilometrów rozciąga się po obu stronach czarne i równe pole pod orkę jesienną. Przeprowadzone są już kanały irygacyjne — rozgałęzienia głównej magistrali. Piękny widok! Nie widać wkoło wiosek, najwyżej gdzieś w dali widnieje niejasny zarys budynku. Pola są tak szerokie, surowa prostota kanałów tak ścisła i nieomylna, że mimo woli nasuwa się myśl: „W jaki

sposób można było stworzyć coś takiego?"

Pierwsze sześć rodzin przesiedleńczych przyjechało do kołchozu im. Maksyma Gorkiego, we wsi Potapowo, obwodu rostowskiego.

— Pokażcie nam swoje królestwo — prosili przesiedleńcy — abyśmy przeszli po nim, jak po ulicy.

Zorganizowano zwiedzanie.

Widzieli nowi gospodarze, z jak wielką siłą chwyta ziemię „wielki kroczący" *), przygotowując łożysko stepowego morza. Wzniósł całe góry, ustawił je w dwa rzędy wzdłuż brzegów i wciąż kopie!... I oto zabłyśnie morze, odziane w lasy — i któż pozna wówczas te stepy? Będą się one pysznić błyszczącymi kanałami, nową różnobarwną szatą pól — bawełną, ryżem, różnymi gatunkami zbóż i traw, mereżką pasów leśnych. Zupełnie nowy kraj!

Szli gospodarze pod ziemią, trasą magistralnego kanału dońskiego, przebijającego się przez stepowe wzniesienie. Żelazny tunel przypomina do złudzenia magistralę moskiewskiego metra. Bo też budują ten tunel twórcy metra i ich maszyny. Żelbeton, żelazo, stal — twiecdza na wieki wieków. Cztery takie tunele, jeden obok drugiego, przyjmą wodę dońską ze „składu surowca" Wołgo-Donu — Cymli — i skierują ją dalej, w głąb stepów.

— Takie są teraz nasze stepy — podsumował wrażenie członek zarządu kołchozu, przewodnik wycieczki nowych mieszkańców Salskich Stepów.

— I czy to wszystko, dziadku, dla nas? — spytał po ukraińsku chłopiec zza Karpat, patrząc na swego dziada.

Odpowiedział mu budowniczy Iwan Kołyczow, młody, towarzyski chłopak:

— Dla was, dla wszystkich. I ty, braciszku, jesteś pełnoprawnym gospodarzem Wołgo-Donu.

*) Ekskawator.

Iwan Kołyczow łagodnie spoglad na chłopca, gotów oddać mu Wołg Don wraz z jego morzami i drogam wodnymi, elektrycznością i polami, za opatrzonymi w kanały. Bynajmniej n żartował.

Iwan Kołyczow mieszkał w kołchoz imienia Gorkiego; jeszcze tam pozn Griszkę i wiele mówił mu o Wołg Donie. Chłopiec zapamiętał wszystk i widział teraz, iż „braciszek Iwaszk ani jednym słowem nie odbiegł c prawdy.

— Dziękuję ci, braciszku Iwaszko - powiedział poważnie jak dorosły.

Członek zarządu mówił przez ten cz do nowych kołchoźników:

— Przyjechaliście w porę, potrzeb nam ludzi. Kłopotów mamy teraz niemiara: skierować brygady na zir gowane gospodarstwo, przygotować n wadniaczy, przyjmować nowe maszyn i uczyć obchodzenia się z nimi. Zbo na nawadnianych polach — to dla n rzecz niebywała, nie zdarzyło się d tychczas widzieć czegoś podobneg Wszystko zaczyna się dziać po nowem w kołchozie. Osądźcie sami: dawni mordowaliśmy się bez kropli wody, a t raz od razu rzeki przez pola trzeba prz prowadzać... Wygląda na to, że sus się kończy. Ale na co się jeszcze wszystko obróci?

Nie ukrywał trwogi.

— My także mamy kłopot — wes odpowiedział Kołyczow. — Trzeba jes cze dalej w stepach przeprowadzać k nały. Roboty na dwa lata. Każdy r osobliwy: im dalej w step, tym wię kłopotów. A przecież nie boimy s idziemy.

— Tak... — zgodził się członek zar du. — Dobre są takie kłopoty.

Przesiedleńcy szli wzdłuż dolno-do skiego kanału. Iwan Kołyczow i Gri ko pozostali w tyle. Kołyczew z o wieniem mówił o czymś chłopcu, kt patrzył nań z zachwytem, zaglądał

w oczy, szeroko otwarte, przywykłe do słońca i przestrzeni, chwytał jego słowa i gesty.

Kołyczow skierował w dal spojrzenie Griszki:

— Kanałem tym dojdziecie prosto do komunizmu. Nie zbłądzicie!

— Nie zbłądzimy! — z przekonaniem powtórzył Griszko.

*

Poziom wód Donu podniósł się o czterdzieści cztery metry. Po przebyciu działu wodnego — wyżyny ergenejskiej — spokojnie spłynął Don osiemdziesiąt osiem metrów w dół, ku Wołdze. Kierowany przez tamy, stacje pomp i śluzy posłusznie przepływał nowym, nie znającym jeszcze wód szlakiem — kanałem.

31 maja 1952 r. wody Donu zbliżyły się ku śluzie Nr 2 i pokornie zatrzymały u jej głównej zapory. W tym samym czasie wezbrane wody Wołgi podniosły się i niespokojnie pieniły przy dolnej zaporze śluzy Nr 1, zatrzymane przez prowizoryczną groblę.

Zbliżała się historyczna chwila połączenia wód Wołgi i Donu, spełnienia wielowiekowych marzeń ludu rosyjskiego. Przy śluzie Nr 2 i wzdłuż brzegów kanału, gdzie nastąpić miało połączenie, zebrały się tłumy. Pozostał pusty tylko niewielki pas pochyłej skarpy kanału z napisem:

— „Chwała wielkiemu Stalinowi!"

Ludzi wciąż przybywało — pojawiali się nawet na dachach zabudowań i domów mieszkalnych.

Przy wołżańskim wejściu do kanału— żelbetonie i granicie odzianym w klomby i aleje młodych drzew — rozpościerał się wspaniały widok. Triumfalny łuk wznoszącego się nad nim mostu, monumentalne kształty śluz, ażurowe sploty mostów arkadowych tworzyły nowy, przekształcony przez komunizm krajobraz. A nad tym wszystkim wznosił się majestatyczny pomnik Stalina — budowniczego komunizmu.

Stał skupiony, w zadumie, z odkrytą głową, ze wzrokiem skierowanym na zawołżańskie stepy.

Niespokojnie kołatało serce ludu przepełnione uczuciem, że dokonuje się czegoś wielkiego, wieczystego. I oto otworzyła się zapora śluzy Nr 2. Ukazały się wody Donu. W tym samym czasie usunięta została prowizoryczna zapora przed śluzą Nr 1 i wody wołżańskie, przeszedłszy przez śluzę, ruszyły na spotkanie dońskich. Nad kanałem rozbrzmiewała muzyka, rozlegały się okrzyki zachwytu i uniesienia. Niezapomniany obraz! Płyną wody Donu ku wodom Wołgi, a brzegami toczy się lawina ludzi, przepełnionych wzruszeniem i radością. Wody zbliżają się... Widać już pianę na strudze wołżańskiej, słychać jej szum, nie głośny wprawdzie lecz wyraźny jak szelest wiatru w trawach... Do przebycia pozostaje jeszcze tylko odcinek kanału wzdłuż napisu: „Chwała wielkiemu Stalinowi!"

Przy słowie „Stalin" wody Wołgi i Donu połączyły się z cichym pluskiem.

Dokonało się!

Wodom obydwu wielkich rzek towarzyszyły dzieci. Bawiąc się wesoło zanurzały w nich rączki. I skoro tylko połączyły się obie strugi dzieci krzyknęły: „Hurra!" Dziecięcy, radosny krzyk zwiastował wielkie zwycięstwo.

Wszystko to nastąpiło o godz. 13.55 czasu moskiewskiego. Coś jakby drgnęło wówczas w lawinie ludzi, masa ludzka pochyliła się w kierunku połączonych wód, rozległ się wielogłosy krzyk, zgiełk, wrzawa radości i triumfu. Wszystko utonęło w tym krzyku. A w chwilę potem zabrzmiały pierwsze dźwięki hymnu. Powtórzone przez tysiące ludzi wzniosło się nad połączonymi wodami imię wodza.

Zetknąwszy się zakrążyły w miejscu

wody wielkich rzek, zawirowała wołżańska piana. Wody tworzyły wiry, podnosiły się w kanale. A ludzie radośnie witali przybór wód podrzucając czapki, podnosząc w górę małe dzieci.

Tymczasem w wypełnionym kanale powstał nowy ruch — wody wołżańskie zaczęły przesuwać się wstecz, ku Wołdze, jak gdyby zapraszając i przyciągając ku sobie wody Donu. Przedziwny był to widok! Spieniona woda wołżańska wyraźnie odróżniała się od bardziej spokojnej wody Donu. Połączywszy się, wody ruszyłu ku śluzie Nr 1 i po upływie kilku minut przelały się w Wołgę. I tam się uspokoiły. Powierzchnia kanału stała się gładka jak lustro; odbiło się w niej błękitne niebo...

Wszystko to widział Siergiusz Jakowlewicz Żuk. Stał u ściany prawego mostku śluzy Nr 2 i myślał o tym, gdzie płyną w tej chwili wody Morza Cymlańskiego, zagłębiające się w wysuszone stepy, co dzieje się teraz w halach maszynowych Cymlańskiej Elektrowni Wodnej. Położył rękę na kamiennym parapecie mostku i zauważył, że ręka mu drży. Siergiusz Jakowlewicz uśmiechnął się, lecz ręki nie schował. Wyobraźnię jego zajmował Wołgo-Don, ten genialny mechanizm stworzony przez naród radziecki. Był on mocny, godny zaufania i piękny. Jego długowieczność nie wywoływała najmniejszych wątpliwości. Na wodach Wołgo-Donu popłynie nowa historia narodów, historia komunizmu.

Tak myślał stary, doświadczony inżynier.

Po kanale wołgo-dońskim płynęła pierwsza karawana statków. Karawana pewnie wpływała na schody śluz wołżańskich. Posuwały się za nią jeszcze dwie karawany. Rozpościerała się przed nimi nowa droga wodna — mocne, trwałe urządzenia, zbudowane w suchych stepach. Na bezwodnych ongiś obszarach falowały wielkie morza i zalewy, jaśniały elektrycznością wzorowo urządzone kamienne osiedla ze szkołami i klubami, z asfaltowanymi ulicami i młodymi zieleńcami.

Zapadała już noc, zaświeciły nad kanałem ogieńki sygnałów: czerwone — na prawym brzegu, zielone — na lewym. Spokojne ich światło ukazywało drogę statkom rzucając odblask na lustrzaną taflę wody i na kamienne skarpy. Kanał ciągnął się dalej i dalej, jak droga w świetle księżyca.

W tych dniach uruchomiona została Cymlańska Elektrownia Wodna, a wody morza Cymlańskiego — wody Wołgo-Donu — wdarły się na przestrzeni ponad sto kilometrów w jałowy step.

Było to pierwsze poruszenie mocarnych skrzydeł Wołgo-Donu.

Wołgo-Don pracował.

10 lipca 1952 r. rząd radziecki nadał Wołgo-dońskiemu Kanałowi Spławnemu imię Włodzimierza Iljicza Lenina. Dzieło ludu, uwieńczone wielkim imieniem, stworzone pod kierownictwem towarzysza Stalina, zaczęło żyć i pracować.

W. Wieliczko

JAN KOTT

Warszawa w nieznanych wierszach polskiego Oświecenia

W r. 1765 wyszło dziesięć ostatnich tomów Wielkiej Encyklopedii Diderota. Dotarły one do Polski. Utytułowani abonenci wielkiego dzieła mogli przeczytać w nich artykuł kawalera de Jaucourt o Warszawie. Pisał on tam:

„Położenie tego miasta, zbudowanego u krańca rozległych równin wznoszących się tarasami nad Wisłą, tworzy piękny widok. Otaczają je kręgiem przedmieścia, gdzie panowie mają swe pałace, a mnisi klasztory. Ulice są tam szerokie, równo wytyczone, ale w zimie wskutek braku bruków zmieniają się w otchłań błota. Miasto — to zwykła dziura, zamieszkana przez kupców i rzemieślników. Choć jest stolicą, nie posiada nawet kurii biskupiej. Znajduje się tu za to starostwo znaczne zarówno ze względu na dochody, jak na jurysdykcję. Oblicza się, że w mieście i na przedmieściach jest 50.000 mieszkańców."

W ćwierć wieku później Franciszek Salezy Jezierski w swoich Niektórych wyrazach, francuskim wzorem „porządkiem abecadła zebranych" zamieszcza także obszerny artykuł o Warszawie:

„Uważając zaś Warszawę, ile dopiero ma być miastem, to jest: mila ziemi wszerz i wzdłuż obwiedziona miałkim przekopem, napełniona kamienicami, pałacami, kościołami i klasztorami, dworcami drewnianymi, szpitalami, ogrodami, budynkami starymi, browarami, magazynami, młynami, cegielniami, fantazjami, na koniec, wymysłów pańskich. Ta rozległość niezmierna, mająca być kiedyś prawdziwym miastem, pochłonęła wsie i folwarki okoliczne, które dziś niby są przedmieściami przedmieściów. Prócz zaś przedmieściów otaczających samo miasto pierworodnej Warszawy reszta odsuniętych miejsc wydaje się oczekiwać murów od ludzi, od czasu i od pieniędzy. Widać np. dom dobrze murowany i znowu nędzny domek drewniany, potem ogród jaki piękny i przy nim zaraz kilkanaście chat drewnianych. Ponieważ zaś tej budowli całej i jej rozległości przypadek tylko sam podał plantę, wszystkie ulice idą wzdłuż, poprzecznych mało mając przejazdów".

Ale „wulkan gromów Kuźnicy" dostrzega już, jak wyrasta wielka i nowoczesna Warszawa. „Ludność miasta jest do stu dwudziestu tysięcy osób. Rzemieślnicy w niektórych rękodziełach zrównają najpierwszym majstrom w Europie. Handel Warszawy można by nazwać magazynem wymysłów i zbytków..."

Warszawa stanisławowska rosła gwałtownie. Ale liczbę jej mieszkańców nieściśle podał i kawaler de Jaucourt, i Jezierski. W r. 1754 Warszawa liczyła zaledwie 24.000 mieszkańców, w dziesięć lat później, kiedy Czartoryscy przeforsowali elekcję Stanisława Augusta — 30.000. W r. 1777 już blisko 75.000, w okresie sejmu czteroletniego ludność miasta przewyższa 100.000 i rośnie ciągle aż do chwili rewolucji roku 1794. Po upadku państwa Warszawa szybko podupada, w ciągu trzech lat ilość ludności spadła do połowy, Warszawa pruska w r. 1797 liczyła niewiele ponad 60.000 mieszkańców.

Dramatyczne dzieje Warszawy Oświecenia ciągle jeszcze czekają na swojego historyka i powieściopisarza. Czeka również na historyka literatury wielki temat Warszawy w literaturze Oświecenia. Życie stanisławowskiej Warszawy znalazło swoje odbicie w skąpych fragmentach prozy Jezierskiego i Krasickiego, w gwałtownej publicystyce wielkiego sejmu, w świetnym pamiętnikarstwie. Ale przede wszystkim obraz Warszawy stanisławowskiej przekazuje nam teatr i wiersz. Od Bohomolca po Bogusławskiego ukazuje nam postacie, które zrodził warszawski bruk: fircyka w niezliczonych odmianach i wariantach i jego nierozłączną partnerkę modnisię albo wersatkę. Baudouin Molierowskiego Tartuffa przenosi do Warszawy i szczęśliwie ocala Orgona czyli Pobożnickiego łaską Stanisława Augusta. Zabłocki za wzorem Bohomolca ciemnym sarmatom szlacheckiej prowincji przeciwstawia warszawską edukację i warszawski polor.

Ale najżywszy i najprawdziwszy obraz Warszawy przekazała nam poezja Oświecenia. Warszawa, to był nie tylko nowy temat poetycki, to był również nowy typ konfliktów, to była wchodząca w poezję nowa problematyka rodzącego się kapitalizmu, gwałtownego starcia bogactwa i nędzy, zdrady i patriotyzmu, intrygi pałacowej i publicznej opinii. Nowe konflikty i nowe obrazy były szkołą nowego stylu. W Warszawie rodzi się satyra Oświecenia, celna i rozumna, nasycona bogactwem realiów, ucząca myśleć, patrzeć i wnioskować. Rodzi się cięty, precyzyjny epigramat, wolny od barokowych spiętrzeń i saskiej ociężałości; rodzi się nowoczesny paszkwil i pamflet, aktualny, bolesny jak chlaśnięcie biczem, nie oszczędzający ani króla, ani biskupów, ani pierwszych panów królestwa. W Warszawie zrodzi się wreszcie w okresie sejmu i insurekcji rewolucyjna piosenka i jakobiński wiersz, stworzony przez ulicę i przeznaczony dla ulicy.

Garstka wybranych tutaj wierszy o Warszawie z przygotowanej do druku antologii P o e z j i p o l s k i e g o O ś w i e c e n i a pochodzi z pierwszego okresu rozwoju stanisławowskiej stolicy. Zaczyna ten wybór Józef Epifani Minasowicz, poeta nie najlepszy saskiej jeszcze proweniencji, z wielkim trudem dobijający się swojego miejsca w wieku panowania rozumu. Jego wiersz o Warszawie choć wychodzi jeszcze z barokowego konceptu, ale go zgrabnie rozwiązuje pochwałą żywych panien warszawskich. „Syreną w herbie swoim szczyci się Warszawa...“ ten początek wiersza Minasowicza znajdzie niespodziewane echo w słynnej dedykacji Norwida: „Syrena herbem twym zwodnicza...“. Fraszkę napisaną w obronie kawy i kafenhauzów sycą już prawdziwe realia miasta.

Anonimowy autor umieszczonego w Z a b a w a c h wiersza D o p r z y j a c i e l a wyśmiewa jeden z pierwszych uroki „wsi spokojnej, wsi wesołej“. Ten proboszcz w jakiejś zapadłej dziurze czuje się obywatelem miasta przeszedł jego szkołę. Krytykom warszawskiego zepsucia w licznych wierszach tego okresu przeciwstawia realistyczny i trzeźwy obraz wiejskiego życia, oglądany nie z perspektywy pańskiego folwarku, ale z chudej księżej fary. Tęskni za rozumną rozmową i co tu ukrywać — za lżejszym chlebem u któregoś z mecenasów sztuk i umiejętności.

Wiersz M o k o t ó w uczonego pijara księdza Kajetana Skrzetuskiego jest ogromną poetycką niespodzianką jednym z najbardziej autentycznych arcydzieł stanisławowskiej poezji. Ten panegiryk ofiarowany w dniu imienin

Lubomirskiej zmienia się niespodziewanie w precyzyjny, dokładny i ścisły opis magnackiej siedziby, rozlubowany w szczególe, malarski w spojrzeniu, realistyczny i rozumny w pochwale kunsztu i natury. Architektura, ogrody, wnętrza stawały się szkołą opisu, uczyły obserwacji, precyzji, ścisłości, dyscyplinowały wyobraźnię i dyscyplinowały język. Ale Mokotów Skrzetuskiego uderza nas jeszcze jakąś wyjątkową „naocznością" obrazów. Są w tym wierszu strofy jak choćby ów obraz drobiu na folwarku, gdzie „napuszony indyk się komosi", które prowadzą nas wprost do Soplicowa Mickiewiczowskiego.

Anonimowy wiersz Myśl w wielki post jest świetnym przykładem rozwijającej się bujnie około roku 1780 warszawskiej poezji obyczajowej. Mistrzem jej był Kajetan Węgierski. Artystycznie mu nasz anonim nie dorównuje, ale za to jaką galerię daje warszawskiego światka, tłoczącego się na współczesnych redutach. Dla tych żywych obrazków warto wydobyć ten wiersz z rękopisów.

Spowiedź wzajemna jest tak świetną stanisławowską fraszką, że o jej autorstwo posądzić można Węgierskiego. Zwłaszcza że mowa tam jest o Grzybowie, o którym tak często pisał, a pewno i nie rzadziej go odwiedzał. Jaki świetny lokalny koloryt w tym ośmiowierszu, razem z saskim ogrodnikiem staje przed naszymi oczami cała Warszawa.

Warszawska Wielkanoc wywodzi się z tego samego okresu i z tego samego stylu. Realia stają się coraz konkretniejsze, żart ostrzejszy i bardziej swobodny; Ismeny i Koryle z konwencjonalnych sielanek „wcinają wódkę, szynkę, kiełbaski święcone", są po prostu chłopcem i dziewczyną, a za smutne skutki warszawskiej zabawy gorzko pokutuje autor wiersza.

Ostatni wreszcie wiersz Do pewnego pana jest zapowiedzią nowego tonu poezji Oświecenia. Jest adaptacją z francuskiego, ale nabrzmiewa rodzimą krytyką magnaterii i przywilejów. Był jednak jeszcze zbyt mało ostry, w okresie zbliżającej się insurekcji dopisano mu cztery linijki, będące już wyraźnym pogłosem liryki jakobińskiej. Wiąże ten wiersz dwie epoki: poezji obyczajowej i poezji politycznej, której najświetniejszymi przedstawicielami będą Zabłocki i Jasiński.

Jan Kott

JÓZEF EPIFANI MINASOWICZ

NA HERB MIASTA WARSZAWY

Syreną w herbie swoim szczyci się Warszawa,
Z syreny jednej grobu Neapolu sława.
Coś więcej nad Neapol ma Warszawa przecie,
Warszawa miast królowa na sarmackim świecie:
5 Jedną bowiem Neapol syreną się szczyci
I to martwą, o której coś tam grobie klici.
Warszawa swe zaszczyty z tylu żywych liczy
Syren, ile w swym panien obrębie dziedziczy.

AKCYZA NA KAWĘ

Radujcie się szynkownie, czyńcie w głos aplauzy,
Wy zaś smućcie kawiarnie czyli kaffenhauzy:
Bo gdy się żegnać z kawą każą, (rzecz z nie miałką
Uwagą biorąc) witać każą się z gorzałką.

Józef Epifani Minasowicz

AUTOR NIEZNANY

DO PRZYJACIELA

Pytasz mię, przyjacielu, czemu tak usilnie
Pragnę siedzieć w Warszawie, a nie lubię wioski,
Gdzie to przecie rządząc się w gospodarstwie pilnie
Można by dukatami ponabijać trzoski.
5 Ludzie wielcy (powiadasz) bardziej zawsze wiejskie
Szacować zwykli życie, aniżeli miejskie.

Prawda, i ja to słyszę, gdy siedzę w Warszawie,
Jak tam niejeden wzdycha do wiejskiego domu.
Wzdychałbym i ja z nimi; gdybym w miejskiej wrzawie
10 Przegrał, przeszumiał albo winien był co komu.
Wołałbym też: — Ach, lepiej do wioski uciekać!
Zaprzęgajcie! nie ma tu czego w mieście czekać!

Albo gdybym miał na wsi mieszkanie wygodne,
Stodoły pełne snopów, nie próżne obory,
15 Intraty nie poślednie, a sąsiady zgodne,
Przy tym antał w piwnicy albo okseft spory —
Nie wywlókłbyś mię ze wsi, chyba raz do roku
Do Warszawy na zapust, i to podczas zmroku.

Ale kiedy to człowiek na kawałku roli
20 Musi grzebać jak kokosz i być hreczkosiejem,
Nie dziw, że taki w mieście częściej mieszkać woli,
Niż na wsi zwan być panem chudym dobrodziejem,
Zwłaszcza, gdy ma wśród miasta przyjaciół gromadę,
U których ma mieszkanie, stół, wsparcie i radę.

25 Łatwo to Horacemu na wielkim folwarku,
A jeszcze przy dziesiątku pełnych wina dzbanów,
Przy myślistwie, przy tłusto krasnym jagieł garku
I przy częstych wizytach od paniów i panów,
Filozofować było, i w nadętej mowie
30 Sławić wiejskie pożycie, mając pełno w głowie.

I ja bym też potrafił pisać, jak on szumnie
Napisał do Meceny, gdybym miał niezgniły
Dom, folwark, pełno w lochu, w spiżarni i w gumnie,
Że — „Ty w mieście przesiadasz, a ja folwark miły
35 Lubię, zdroje i skały: cóż więcej chcesz, bracie?
Żyję wesół; ba, prawie króluję w mej chacie!"

Lecz kiedy to nie ma człek tylko lichą chatkę,
Dużą stodołę, a w niej ledwie cztery kopy,
W spiżarni ledwie chudą z wieprzaka łopatkę,
40 A w piwnicy u beczek próżnych suche czopy:
Czegóż tu żądać na wsi? czego w niej przesiadać?
Kiedy nie masz co jeść, pić, a nawet z kim gadać.

Gdyby aby przemówić z kim o czym rozumnie,
Jeszczeżby mi smakował wiejski kąsek chleba.
45 Ale to wiesz, że nie masz więcej ludzi u mnie,
Tylko wieś, której służyć raczej mi potrzeba,
Niż się bawić w niej mile, a zaś koło domu
Kościół, szpital i karczma: mówże tu co komu?

Baba, co mi uwarzy suchej trochę rzepy,
50 Nie przystało, by ze mną obcowała wspolnie —
Bo na to zaraz pewnie konsystorz nie ślepy
Krzyknąłby, że z nią żyję z zgorszeniem swywolnie.
Musi tedy człek siedzieć jak sęp zachmurzony
Albo ślepieć nad książką, jeżeli uczony.

55 A zwłaszcza w takim stanie, jaki mnie właściwy;
Znasz mię, żem się nie do wsi sposobił od młodu:
Uczyłem się, bym z ludźmi pędził wiek szczęśliwy,
A nie z chłopy jadł całki lub przymierał z głodu:
Dopieroż, żebym czekał z oferty szeląga,
60 Tym się brzydzę! to mię też i ze wsi wyciąga.

Jeśli na niej posiedzę tydzień albo drugi,
Wierz mi, że to z przymusem jest dla mnie nieznośnym,
Dzień każdy zda mi się być niewymownie długi;
Sto razy co godzina westchnę jękiem głośnym.
65 A jeśli piszę albo książkę czytam w ciszy,
Muszę ją kryć, by w nocy nie zjadły jej myszy.

Nie pytaj o rozrywkach innych: bo ich cale
Nie znajdziesz tu, chyba byś chciał siedzieć przy dzbanie
Albo siwochę łykać z chłopy poufale;
70 Takich zabawek na wsi najwięcej dostanie,
Lecz mówić z kim rozumnie, bieżyć w pole z charty,
Muzyką się zabawić: fe! fe! chyba w karty.

I czegoż to mam na wsi pragnąć, ja, co z młodu
W mieściem się zrodził, zchował, zprzyjaźnił i ćwiczył,
75 Którym tyle prac podjął, mozołu, zachodu,
Żebym był aby kąsek nauki dziedziczył.
Jeżeliś mój przyjaciel, mówże też to, co ja:
Że na wsi ziemorobem być, nie jest rzecz moja.

Gdyby aby tak blisko miasta jak Wilanów
80 Albo Ujazdów, albo Wola pod Warszawą:
Jeszczeżbym osiadł mile, bo blisko tych panów,
Który wzorem mądrego króla, swą zabawą
Zawsze uczą chcącego co umieć człowieka;
Lecz kto dalej, niech za mną do miasta ucieka!

KAJETAN SKRZETUSKI

MOKOTÓW

Tam, gdzie gościniec prowadzi niezmierny,
Czy do Piaseczny, czyli do Jezierny,
Pasmem się ciągną niewielkie pagory,
Śliczne wokoło lasy, łąki, bory
5 Na tuż przyległej wskazując nizinie,
Dalej wsi mnogie, aż i Wisła płynie.

Rzekłbyś, że wieszczym natura prorokiem
Chciała tak pięknym przyozdobić bokiem
Warszawę, pragnąc dla chwały pieszczot, ów
10 Widzieć za czasem: Ujazdów, Mokotów.
Jedno wspaniałość monarchy ozdobi,
Drugie, z najpierwszych w kraju księżna robi.

Najprzód: z przyjazdu ulica szeroka,
Lipkami pod sznur sadzona dla oka,
15 Gdy się rozwiną listki niepomału,
Z czasem będzie to chłodnik wśród upału.
Bliżej wznosi się taras brukowany,
Wysadzający popod same ściany.
Ganek wspaniały wielce zdobi wniście
20 Lampą, w zielone ustrojoną liście.
Schodów natychmiast krytych widzisz dwoje,
Co w rozmaite prowadzą pokoje.

A tu już, która muza mi pozwoli,
Bym te piękności opisał do woli?
25 W każdym pokoju dziwić się sto razy

Trzeba, czy to kształt, czy zważasz wyrazy,
Czyli też meblów kosztownych wybory,
Sztukatorskiego czyli dłuta wzory,
Czyli misternie złocone podwoje,
30 Rzekniesz: te samej Junony pokoje!
Saskie, japońskie, chińskie porcelany
W dzbanach i wazach pięknie zdobią ściany.
Tu na kitajce dziwnie ręka biegła
Girlandy z kwiatów w kilka węzłów sprzęgła,
35 Tak zaś w naturze udane kolory,
Że dziełem samej być się zdają Flory.

Idziesz-li dalej i ciekawe oczy
Obracasz, światło wielkie cię obskoczy;
Sztuka tu rzadkie dotąd meble kładła,
40 Zamiast obicia wstawując zwierciadła,
A gdzie się kwadrat z kwadracikiem schodzi,
Tam jak w naturze kwiat się nowy rodzi.
Tu się obaczyć możesz tysiąc razy
I tyleż wszystkie postrzegać obrazy.
45 Zgoła, gdzieżkolwiek jesteś, w każdym kącie
Ty widzisz wszystkich, a wszyscy widzą cię.
A gdy wieczorem sto się ogniów wznieci,
Tysiąc ich w każdej stronie się zaświeci.

Żaden tam pokój w ozdoby nielichy:
50 Stoły, kanapy, krzesła, kopersztychy,
I gdzie potrzeba komin wyprowadza,
Szafa go kryjąc, oko ludzkie zdradza.
Wszędzie znać panią, co piękność z wygodą,
A przyzwoitość z samą łączy modą.

55 Zszedłszy już na dół, dziwniejsze roboty
Widzisz w strukturze niby kutej groty.
Tak ręka ludzka przedziwnie udała,
Że mógłby Neptun sam zwieść się bez mała.
Tu proste niby natury wyrazy,
60 Tam twarde wiszą wśród powietrza głazy,
Tu lazurowe, udane obłoki,
A tam na płocie rozwieszone włoki,
Wędki, więciory do różnej przygody,
Jak gdyby świeżo wyciągnione z wody.
65 Owóż gdzie indziej jak po ciężkiej pracy
Odpoczywają w ustroniu rybacy.
Wszystko w naturze, wszystko bez przysady,
Słowem, mieszkać by tam mogły Najady.

Lecz czas byś wyszedł podniebne piękności
70 Oglądać, bawić i to będzie gości.
Po prawej stronie, jak się na dół schodzi,
Najpierwej parter ozdobny wychodzi,
I zaraz dzikie promendy, z miny
Gęste, chcą ukryć przed okiem krzewiny,
75 A ścieżka krętym wijąc się nawrotem
Nieraz obfitym nabawi cię potem.
Sama pochyłość tak miła, tak składna,
Żeby się mieniać chciała Aryjadna.
Lecz co najbardziej te zdobi struktury,
80 Że są najprostszym wyrazem natury.

Dalej aż górka w przyległej równinie,
A spod niej strumyk wdzięcznym szmerem płynie,
Który poboczne niby łąki kropi,
Co je na lato kosić będą chłopi.
85 Widać tam wiejską do uprawy rolą
I stawek, gdzie mdłe rybki się mozolą.
Gęstwia z cienkiego tu wydana chrustu,
Tam kęś młodego niby to zapustu;
Owoż i druga górka czyli skała,
90 Bo w pośród onej woda wytryskała.

Altana zmysły ciekawego łechce,
Że wszedłszy do niej wyniść się z niej nie chce,
Ścianę tam każdą w kopertyment kwiaty
Ozdobią i zbiór portretów bogaty,
95 Szofy dokoła z rozkosznym usłaniem,
Klawikord, by się rozweselić graniem.

W tejże liniji, ale w drugim boku,
Druga altana inne sprawia oku
Widoki, a te trefunkowe wcale:
100 Prospekt gościńca stawia podufale,
Jak szlacheckiego opiwszy się piwa,
Chłopek z jarmarku próżny jadąc śpiéwa.
Tam się ten z innym pokłóciwszy czubi,
Gdy z drogi umknąć nikomu nie lubi.
105 Jeden za siano wzięte liczy grosze,
Drugi gorzałki wytrząsa po trosze,
A trzeci pędzi w największym pośpiechu.
Wszystko to sprawia scenę pełną śmiechu.
Tak prawie zawsze kończy się jarmarek.

110 Pódźmy na koniec oglądać folwarek.
Tu wszędzie wiejski tryb, wiejskie zwyczaje,
Trzciną poszyte domki widzieć daje.

Tu wśród dziedzińca jest dla drobiu woda,
Kąpiel i napój, i miła ochłoda.
115 Dalej gołębnik w górę się wynosi,
Tuż napuszony indyk się komosi,
Tu kury, gęsi i kaczki czubate,
Blisko obory na bydło rogate,
I dla folwarcznej też studnia czeladki,
120 Słowem, we wszystkim jest porządek rzadki.

Dziwić się jeszcze trzeba niepomału,
Kiedy mlicznicę ujrzysz dla nabiału,
Właśnie jak koniec przypada ogrodu
Domek ma małe okienko dla chłodu,
125 Szafy są pełne mis i garnków, mury
Niebieskie wkoło pokryły farfury.

Taką ozdobę w jednym roku prawie
Dobrze rozległej zrobiła Warszawie
W pięknym mieszkaniu swego Mokotowa,
130 Idąca z książąt księżna marszałkowa.

Kajetan Skrzetuski

AUTOR NIEZNANY

MYŚL W WIELKI POST Z OKOLICZNOŚCI USTAŁYCH BALÓW KSIĘCIA MARCINA

Już kilka poniedziałków, śród i sobót mija,
W które słodko u księcia wieczory schodziły,
Tysiąc się odtąd głosów o uszy obija
Zgodnych na to: bogdaj się bale powróciły.

5 Jakoż słusznie stąd wprawdzie wynikają żale,
Każdy tam miał swej myśli dogodzenia pole,
Krytyk postrzegał cudze i notował „ale",
Niekontent topił w trunkach gryzące go mole.

Pracujący około dobra swej ojczyzny
10 Znienacka przyjacielskie sakiewki przezierał,
Używszy zatem zręcznych ptaszników reguły,
Rzucał z złota ponętę i gdzie nie siał, zbierał.

Amant za serca swego idący wskazaniem
Z rozrywką za kochaną szedł pomiędzy tłoki;
15 Nadzieja zejścia się z nią słodzona kochaniem
Radziła pod szturkanie poddać swoje boki.

A gdy się tym sposobem zeszła para miła,
Licząc amant amantce regestr zdarzeń długi,
Jak szukał, tęsknił, jak go myśl o niej trudziła,
20 Zyskał w nadgrodzie cechę nowotnej zasługi.

Burda podłych tryumfów szukając w poswarze,
Idąc w taneczne pląsy w najeżonej minie,
Wrzeszczał groźno: — Kto w pierwszej wyprzedzi mnie parze?
Co? jak? Taki, owaki! Ustąpisz mi czy nie?

25 Teolog niepomyślną udawszy się drogą,
Argument mu tworzyły gładkie tanecznice,
Że jak te w koło chodząc nigdzie zajść nie mogą,
Tak wieczność niedojrzana nigdy ma granice.

Fircyk utarczek myśli doznawał przyjemnych,
30 Gdy doświadczenie czucia tuż go przekonywa
I uprząta zawiłość, że w rzeczych naziemnych
Na przykład w wdziękach dziewcząt jest *vis attractiva*

Lekarz obserwacyje miewał niepoślednie,
Skąd się gorączka w moment wznieci i ustanie,
35 Czemu się twarz amantów raz rumieni, blednie,
Gdy się jedno w drugiego pieszczoty dostanie.

Literat muz podsytem zwykłym upojony,
Widząc wabne twarzyczki spod gazy lub siatki,
Słodką omyłką do nich wzdychał zamyślony,
40 Sądząc, że Helikonki — Parnasu sąsiadki.

Mędrek, badacz ukrytych dla chluby obrotów,
Praktycznego Kopernik znalazł w nim obrońcę,
Gdy łyknął, iść w zakład i przysiąc był gotów,
Że wtenczas ziemia wkoło chodziła, nie słońce!

45 Jurystka młody, patrząc na kłótliwe gwary,
Zważał, jaka to sprawa, czy *juris*, czy *facti*?
O melodyjach zdanie dał mecenas stary,
Że zyskowniejsze w sądzie niż w muzyce takty.

Lichwiarz chciwą zwyczajnie ułożywszy minę,
50 Widząc być graczem w szczęściu, myślał: — miły Boże!
Ten widzę po sto od sta zyszcze na godzinę,
A człek ledwo na miesiąc ten procent mieć może.

Filut zamaskowany dawał ucho wszędy,
Czytał w twarzach serc tajnie, zważał genijusze,
55 Z kim by mógł intratniejsze zrobić facyjendy,
Zgoła kto miał użytszą by go odrwić duszę.

Dziwak podobnie stały jak chwila marcowa
W domu tęskniąc szedł na bal, tam w minucie znowu
Wesół, nudny, zdrów, już go zabolała głowa,
60 Swobodniej szedł spać, skoro dopełnił narowu.

Skrupulant pobożne tam odprawował wojny,
Gdy mu piękne pokusy serce podbić chciały,
Spierał się i zwycięzcą wróciwszy, spokojny
Śnił mu się nieraz wieniec wiekuistej chwały.

65 Żołnierz, gdy jego lubą liczny rywal ściskał,
Czuł być ogień Wenery tęższym nad marsowy,
Ważył nieraz, iż więcej stąd by sławy zyskał,
Tym rażąc nieprzyjaciół, tamtym białogłowy.

Próżniak wszystkie dla spania mający godziny
70 Ziewać przez noc z innymi była mu rzecz miła,
Że się nigdy nie wyspał kładł na księcia winy,
Znał jednak za to wdzięczność, że mu krew nie gniła.

A o was też co mówić, rozkoszne boginie,
Rozległy dla autora myśli oceanie,
75 Ta się moc w waszych wdziękach czuć daje co w winie,
Gdy dla nich trzeźwa głowa zawrotu dostanie.

AUTOR NIEZNANY

SPOWIEDŹ WZAJEMNA

— Mów moja panno, jabłuszka po czemu?
— Mój śliczny panie, kupka po złotemu.
Saski ogrodnik drożej zgniłki zbywa,
Jakeś katolik i jakem poczciwa.

5 — Nie mówisz prawdy, kochanko, w tej mierze,
Jam nie katolik i w Boga nie wierzę.
— Kiedyś tak szczery — przekupka odpowie —
Wyznam, czym jestem, kurwą na Grzybowie.

AUTOR NIEZNANY

WIELKANOC

Kiedy cała Warszawa wielbi dzień wesoły,
Kiedy radość wykrzyka bogaty i goły,
Kiedy smutek i troski Alleluja truje,
Kiedy biedny niewolnik w więzach ulgę czuje,

5 Kiedy młodzi i starzy wzajemnie weseli,
Kiedy chłopiec z dziewczyną na pół jajko dzieli,
Kiedy w prawą i w lewą, w każdą wreszcie stronę
Wcinają wódkę, szynkę, kiełbaski święcone,
Ja chory z łaski kobiet, miasto jaj i szynki
10 Jem proszki, chinę, konfekt, manny, kalabrynki.
Patrzę z boku, gdy mi się kiełbasa nadyma,
Prosię zęby wyszczerza i chrzan w pysku trzyma,
Chciałbym kąsnąć przynajmniej przez drugie, przez trzecie,
Lecz felczer grozi śmiercią, a miło żyć przecie.
15 Muszę więc łykać ślinę, paść żądze oczami.
Niech bies porwie kobiety razem z felczerami!

AUTOR NIEZNANY

DO PEWNEGO PANA

Chcesz bym cię chwalił, Mospanie,
Ale czy pochwał mi stanie,
Bo tu trzeba chwalić ciebie,
Nie zaś, co masz ku potrzebie.
5 Piękne twe cugi, karety:
Sąć twoje, ale to nie ty.

Przepyszne też twoje szaty,
Owe bisiory, szkarłaty,
Drogą igłą haftowane,
10 Za najprzedniejsze są miane,
Z ślicznych koronków mankiety:
Sąć twoje, ale to nie ty.

Kuchmistrz twój jest wyśmienity,
Z każdej potrawy człek syty,
15 Pod twym srebrem stoły mdleją,
Wina strumieniem się leją,
Przepyszne cukry i wety:
Sąć twoje, ale to nie ty.

Co dzień z wielkich dóbr przychody
20 Płyną jak ze źródła wody,
Wszyscy przed tobą czapkują,
Bo w szkatule złoto czują,
Pełne worki i kalety:
Sąć twoje, ale to nie ty.

25 Największa sława byłaby
Z ojca, z matki, z dziada, z baby,
Masz przodków w godnej osnowie,
Zacniż to byli panowie!
Świadczą nagrobki, portrety:
30 Sąć twoi, ale to nie ty.

Pokaż, żeś jest sprawiedliwy,
Żeś na cudze nie jest chciwy,
Że ojczyznę swą miłujesz,
Uboższych nie postponujesz,
35 Żeś przystępny, bogobojny,
Że dla nędznych jesteś hojny,
Żeś ojcem ludu, nie panem,
Że nie klękasz przed tyranem.
Jak tylko ujrzę te cnoty,
40 Wtenczas powiem: co to, to ty!

PRZYPISY

NA HERB MIASTA WARSZAWY

Wiersz ogłoszony w Zbiorze mniejszych poezji, Warszawa 1782.

(2) Z syreny jednej — „Rzeczonej Partenope" (przyp. aut.) miała ona według legendy swój grobowiec w Neapolu.

(6) o której coś tam grobie klici — o której grobie coś zmyśla.

(8) ile w swym panien — „Panny warszawskie: Urbis ab insigni, Syrenes vulgo vocantur" (przyp. aut.): od herbu miasta nazywane popularnie syrenami.

...KCYZA NA KAWĘ

Wiersz ogłoszony w Zbiorze mniejszych poezji, Warszawa 1782. Jeden z trzech wierszy Minasowicza napisanych z okazji pogłoski gęsto podówczas, acz bezsennie rozsianej" o podatku nałożonym na kawę. W wieku osiemnastym kawa stała się ulubionym napojem magnatów i zamożnego mieszczaństwa. Żona pewnego warszawskiego kupca opowiadała w liście do czasopisma Patriota Polski (Warszawa 1761), że dopóki mąż jej trudnił się rzemiosłem „co dzień pijała kawę". Inne czasopismo, Polak Patriota, donosiło swoim czytelnikom, że „liczba miejsc, na których przechaje się kawa, tak wzrosła w samej Warszawie, iż prawie wyrównywa liczbie miejsc wynkujących piwo". Monitor próbował zwalczać pijaństwo przez propagowanie kawy.

DO PRZYJACIELA

Wiersz ogłoszony w Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych, 1775, t. XI, I. Autor wiersza jest nieznany, wiemy tylko tyle, że był proboszczem na wsi.

(16) antał, okseft — beczki na piwo lub wino.

(34—36) — wiersze te są fragmentem listu Horacjusza do Mecenasa.

(58) całki — rzepa.

(78) ziemorobem — wyraz ten oznaczono kursywą w Zabawach, aby wskazać, że to neologizm.

MOKOTÓW

Wiersz ogłoszony w Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych, 1774, t. X, I. Autor, uczony pijar, był profesorem w kolegiach klasztornych, a następnie w korpusie kadetów. Ogłosił kilka podręczników historii dla szkół Komisji Edukacji Narodowej.

Wiersz ten dedykował poeta Elżbiecie z Czartoryskich Lubomirskiej w dniu jej imienin. Lubomirska nabyła Mokotów z dóbr starostwa warszawskiego, wystawiła tam piękny pałacyk i założyła wspaniały ogród. Bywał tam często Stanisław August.

Wiersz ten w pierwodruku jest prawie dwa razy dłuższy i zepsuty przez wywodzące się jeszcze z poetyki barokowej mitologiczne obrazy i porównania.

(88) kęś... zapustu — kawałek zagajnika; zapust — miejsce zapuszczone na las.

(92) w kopertyment — gęstym okryciem.

(99) trefunkowe wcale — tu: nie zwyczajne.

(100) Prospekt — widok, obraz.

(122) mlicznica — budynek, w którym przechowywano mleko.

(126) farfury — tu: kafle fajansowe.

MYŚL W WIELKI POST Z OKOLICZNOŚCI USTAŁYCH BALÓW KSIĘCIA MARCINA

Wiersz ogłoszony po raz pierwszy z odpisu w rkps. PAU 613. Kopista podał datę wiersza 1783. Książę Marcin — to Marcin Lubomirski, jedna z najpopularniejszych postaci Warszawy stanisławowskiej. Awanturnik, hulaka i rębajło zyskał sobie w czasach konfederacji barskiej imię księcia-bandyty. Urządzał w Warszawie sławne bale i zabawy publiczne, wydzierżawił w r. 1783 teatr, zajmował się gorąco baletem i baletniczkami. Postać jego i zabawy, jakie urządzał, odbiły się głośnym echem w poezji. Pisali o nim Węgierski, Trembecki, Bohomolec i wielu poetów, nieznanych nam z nazwiska, jak i autor tego wiersza.

(32) *vis attractiva* — siła przyciągania.

(40) Helikonki — muzy, tu: ironicznie.

(42) Praktycznego Kopernik znalazł w nim obrońcę — drwina z nieuków, którzy odrzucali odkrycia Kopernika. Akademia Krakowska broniła jeszcze wtedy systemu Ptolomeusza. W r. 1758 nawet Bohomolec drukował przecież z zupełną aprobatą wiersz swojego ucznia D o K o p e r n i k a:
Mówisz, że słońce stoi, ziemia wkoło chodzi,
Gdyś to pisał, pijany byłeś albo w łodzi.

(46) *iuris czy facti* — termin prawniczy określający różnicę stanu prawnego i faktycznego.

(48) Że zyskowniejsze w sądzie niż w muzyce takty — w dawnym prawie polskim gwałt dochodzono pozwem z rejestru sądowego, zwanego t a k t o w y m (od uderzenia, *tactus*, w ramię oskarżonego).

(55) facyjendy — spekulacje, interesy kupieckie.

SPOWIEDŹ WZAJEMNA

Nie ogłoszona nigdy fraszka z odpisu w rkps. Ossol. 780. Być może, że jej autorem jest Kajetan Węgierski.

(3) saski ogrodnik — ogrodnik sprzedający warzywa i owoce z ogrodu saskiego.

WIELKANOC

Nie ogłoszony wierszyk z odpisu w rkps. PAU 615. Kopista współczesny przyznaje jego autorstwo Franciszkowi Karpińskiemu. Nie jest ono bardzo prawdopodobne. Karpiński bawił wprawdzie w Warszawie i skłonny był do wynurzeń autobiograficznych, ale trudno przypuścić, aby stolica zgotowała mu taką „Wielkanoc" i aby zdobył się na tak realistyczny opis, godny raczej pióra Węgierskiego.

(10) china — chinina; konfekt, kalabrynki — lekarstwa; manny — kaszka manna.

DO PEWNEGO PANA

Tekst według Suplementu nr 84 z 18 października 1780 r. do G a z e t y W a r s z a w s k i e j z późniejszymi uzupełnieniami z odpisu w rkps, PAU 615. Jest to adepcja wiersza Lamotte'a z francuskiej E n c y k l o p e d i i p o e t y c z n e j, ciekawa przede wszystkim ze względu na cztery dodane linijki (wiersze 33—34 i 37—38, które świadczą o wyraźnej radykalizacji Warszawy).

(8) bisiory — cienkie wschodnie tkaniny.

(17) wety — deser.

(23) kaleta — skórzany mieszek na pieniądze.

WŚRÓD KSIĄŻEK

JAN ŚPIEWAK: *Wiersze*. Warszawa, 1950. Książka i Wiedza; str. 62.

Pierwsza część tomiku Śpiewaka nosi tytuł Wiersze stepowe. Pamiętam go dobrze. Tak nazywał się przecież debiutancki zbiorek poezji Jana Śpiewaka wydany w roku 1938. Nie wszystkie utwory, które się wówczas nań złożyły, zostały tu przedrukowane ponownie. Po latach poeta dokonał selekcji. Z fragmentów poematu Jesień ocalał zaledwie niewielki urywek; zniknęło Misterium nieromantyczne, W głąb źrenic, A w chmurach uroczyście śnieg itd. Uznając słuszność przyjętych kryteriów wyboru, które na zapomnienie skazały niejako wiersze wyraźnie podporządkowane antyrealistycznej poetyce, gotowi jesteśmy podjąć spór o zastosowanie tych kryteriów. Poeta okazał się bowiem wprawdzie surowym, lecz niekiedy nienajlepszym sędzią swych utworów. Układając antologię własnych poematów zapomniał o Przechodniu. W ten sposób jeden z najbardziej radykalnych, jeden z najśmielszych utworów lat przedwojennych nie został nam obecnie zaprezentowany. Zagubiono literacki dokument pozytywnego stosunku pisarza do Rewolucji Październikowej.

Każdy, kto pamięta Wiersze stepowe, każdy, kto przeczytał Sonatę dziecięcą, Misterium nieromantyczne i Jesień zdziwi się obfitą liczbą reminiscencji z pierwszej wojny światowej, natłokiem „batalistycznynych" metafor i inwazją porównań zaczerpniętych bądź co bądź z dziedziny militarnej. Potem opanuje jednak zdumienie. Powoła się na innych poetów trzydziestych lat naszego wieku, gustujących również w podobnej scenerii. Znajdzie liczne koligacje tematycznych zainteresowań Śpiewaka. Będzie musiał dokonywać podziału na dwa obozy pisarzy podejmujących taką problematykę, będzie musiał włączyć autora Wierszy do radykalnego społecznie nurtu poezji dwudziestolecia.

„Obsesja wojny" we wczesnych utworach autora Doświadczeń nie podlega dyskusji. Stwierdza ją już pobieżny nawet przegląd problematyki Wierszy stepowych. Jej genealogia — to protest przeciw wojnie imperialistycznej. Daty powstawania poszczególnych utworów mówią nam wyraźnie, że ów zaskakujący na pozór zwrot ku tematyce pierwszej wojny światowej następuje w latach faszystowskiego niebezpieczeństwa, w latach, w których groźba nowego, wielkiego militarnego konfliktu była nad wyraz żywa. Sięgnięcie więc ku obrazom bitew, żołnierskich pochodów i zburzonych miast, ku opisom pejzaży dzieciństwa, spędzonego w okolicy frontu, stało się artystycznym odpowiednikiem buntu artysty. Pojawia się on, a nawet dominuje na przestrzeni debiutanckiego zbiorku. Rządzi stałą deskrypcją wojennych wypadków, podporządkowując sobie wielką poetycką polemikę z apologetą faszyzmu, wypełniającą znaczną część Jesieni. Jednakże protest Śpiewaka obarczony był ograniczeniami poznawczych perspektyw artysty. Mam tu na myśli tak aluzyjność poetyki pisarza jak i zacieśnienie krytyki do ataków na jedną z pochodnych imperializmu. Bunt jego wymierzony więc jest przeciw jednej z konsekwencji tego procesu, nie zaś przeciwko samemu imperializmowi. Drugie ograniczenie poezji Śpiewaka pochodzi z fałszywej estetyki, która jednym ze swoich kanonów

czyniła unikanie konkretnych wydarzeń i sytuacji, niedopowiedzenie, aluzję, peryfrazę. Stąd na przykład w poemacie J e s i e ń nie wskazano w sposób przejrzysty adresu poetyckiej polemiki. Toczący się tam dialog pomiędzy narratorem a jedną z postaci utworu, jedynie na podstawie niektórych wypowiedzi tego ostatniego, poczytać możemy za dyskusję z faszystą. To różni Śpiewaka od najbardziej radykalnych artystów lewicy, którzy w dziełach swoich wyraziście wskazywali na swych przeciwników, dokładnie i precyzyjnie określając ich pozycje ideologiczne.

Mówiąc o ograniczeniach i mankamentach przedwojennej twórczości autora W i e r s z y nie wolno nam jednak zapominać o całkowitym odizolowaniu się artysty od katastrofizmu. Koncepcja nadciągającej zagłady, której poetycką wykładnię znajdziemy w tomikach całej plejady burżuazyjnych poetów, nigdy nie wtargnęła na teren utworów Jana Śpiewaka. Jego bunt przeciw wojnie imperialistycznej nie równał się wieszczeniu końca świata, nieodmiennie zapowiadanego przez przedstawicieli ginącej klasy, którzy w jej upadku widzą kres wszechrzeczy.

Śpiewak był w latach trzydziestych poetą związanym z lewicowymi ugrupowaniami artystycznymi, co niestety nie znajdowało dostatecznego wyrazu w jego poezji. Fakt ów przypisać wypada presji mieszczańskich pojęć estetycznych. Napór burżuazyjnych koncepcji artystycznych zaważył przede wszystkim na maskowaniu obrazami przyrody konkretnych treści politycznych i na akceptacji poetyki aluzji, o której mówiłem już z okazji „batalistycznych obsesji" autora W i e r s z y s t e p o w y c h. Poetyka ta spowodowała „odkonkretnianie" opisywanych wydarzeń, ukrywanie ich poza zawiłą metaforą, zatarcie ideologicznego profilu pisarza. Dlatego wymowa takich słów jak te:

A wtedy, przyjacielu, choć nam
[smutno dzisiaj
I mgła przykrywa oczy, ku Wiśle
[zagarnia,
bośmy umieli tylko supłać słowa czarne,
miast cegłą brzegi tamy trzymać w garści
[mocno, —
idziemy nowi w sobie i po stokroć cisi
naprzeciw własnych cieni, wyleniałych
[do cna.

traci swą jednoznaczność. A przecież miały one być gwałtownym, namiętnym oskarżeniem.

Powojenna poezja twórcy W i e r s z y poświęcona jest w latach 1944 — 1950 niemal całkowicie krytyce moralności faszystowskiej, jej skutków i konsekwencji. To zasadnicza bodajże treść utworów Śpiewaka powstających w tym okresie, aczkolwiek na pewno nie jedyna. Chroniczne zwroty pisarza w kierunku tematyki okupacyjnej ograniczają się do raz po raz wytaczanych oskarżeń przeciwko antyhumanizmowi obrońców imperializmu. W owych latach nie znajdziemy w dorobku poety prób właściwej oceny okresu 1939 — 1945 r. Spotkamy się z nią dopiero później, pochylając się nad D o ś w i a d c z e n i a m i i studiując W a r s z a w ę, później, tzn. po roku 1950.

Spadek po literackich doświadczeniach dwudziestolecia przetrwał czas wojny. Objawił się w utworach pisanych pomiędzy rokiem 1945 a 1950, pociągając za sobą rozluźnienie więzi kompozycyjnej poematu, asocjacyjną metaforykę, na koniec aluzyjność. Odpowiednik, a zarazem i eksplikację owego przejęcia dziedzictwa po eksperymentach uprawianych na terenie W i e r s z y s t e p o w y c h formuje ideologiczna niedojrzałość twórcy, wyrażająca się poprzez zacieśnienie

ego poznawczych perspektyw, poprzez niepokojące w swej wymowie wiersze roku 1946 (np. A przecież się wypali...).

Osłabienie więzi konstrukcyjnej wyraźnie zarysowujące się tak w Wierszach stepowych, jak i w Źrenicach piasku, to jedno z najważniejszych i najbardziej niebezpiecznych obciążeń Śpiewaka, nabytych w czasie poetyckiego eksperymentatorstwa. Widać w tych wierszach zachwianie logicznego związku pomiędzy poszczególnymi zdaniami. Zasada sprzęgająca frazy i strofy w jeden utwór traci się tajemnicza i nieodgadniona. Niejednokrotnie zastanawiamy się nad tym, co łączy pejzaż z poetyckimi medytacjami i to zastanawiamy się bezparcie, nie mogąc znaleźć na swe nagłe pytanie zadowalającej odpowiedzi. Tak np. nie można się domyśleć — jaki to kanon kompozycyjny jednoczy poszczególne fragmenty Jesieni, wiąże ze sobą niektóre zwrotki Rozziców i frazy W głąb źrenic. Fenomen ów nie ogranicza się tylko do Wierszy stepowych. Sięga i do Źrenic piasku. Wystarczy spojrzeć na finał poematu Pamiętasz, noc nadchodziła kulejąc... i na zakończenie Narodzin, by nie mieć w tej mierze żadnych wątpliwości.

Warto tu zasygnalizować zjawisko zazwyczaj znamienne dla tych artystów, których droga do socjalistycznej sztuki była bardzo trudna i mocno poplątana, którym realizm nie przyszedł łatwo i bez oporu. Przemiany poetyki Śpiewaka przebiegały powoli, umotywowane będąc wzrostem świadomości artysty. Rozwój ów obfituje w liczne paradoksy. Jednym z nich będzie współistnienie przez lat kilka ścisłej dyscypliny konstrukcyjnej z asocjacyjną metaforyką. Drugim — niemniej ważnym — okaże się sąsiedztwo dwu różnych i przeciwstawnych sobie metod obrazowania. Pisarz starać się będzie o realizm, usiłując przezwyciężyć pozostałości po edukacji przebytej pod opieką poetyckich eksperymentatorów. Niestety, do roku 1950 odniesie zaledwie sukcesy częściowe.

Odbiorcy nieraz zaliczali Wiersze do rzędu książek trudnych. Wydaje nam się, że skargi ich sprowokowała w znacznym stopniu metaforyka Jana Śpiewaka. Zarówno bowiem na przestrzeni Wierszy stepowych, jak i prawie całych Źrenic piasku przedstawia się ona dosyć podobnie. Szkoła arealistycznej poetyki, w której artysta długo terminował, nie przeminęła bez śladu. Uzasadnieniem obrazowania stały się skojarzenia. One to stanowią prawidło, w oparciu o które skonstruowano metafory. Asocjacja usprawiedliwiała zbudowany przez poetę obraz, tworząc jedyne jego objaśnienie. Oto przykład: Lament utraconego czasu kończy się słowami:

Krzemienie, muszle i mewy, płaczcie [płacz nasz niemęski,
pryskajcie pianą zieloną na palce, w [których żelazo i stal
cienie owoców odcina, aby spłynęły nad [nami
ogrody przejrzałych zapachów, schody [znużonych błyskawic,
dzwony schlastane upałem, przypływy [morza suchego,
pszczoły zatrute ołowiem, maszkary [i muszki, i ptaki oślepłe.
Zapłaczmy nad świtem.

We fragmencie tym nie trudno wskazać na cały szereg metafor utworzonych za pomocą skojarzeń. „Przypływy morza suchego", „pszczoły zatrute ołowiem" — stanowią chyba wzorowe egzemplarze takiej właśnie metody obrazowania. A nie odosobniony to wy-

padek. Rejestr przykładów uda nam się pomnożyć w każdej chwili. W poemacie W kraju, w którym jest więcej cmentarzy... czytaliśmy: „włóczymy gołębie pożegnań i strachu, ażeby mówiły zielenią“, w Elegii odnajdziemy tak „gołębie bezgwiezdne“, jak i „ślepą trawę“, jak i „drogi zbłąkane mijaniem“. Strumień świadomości stając się dyrektywą budowy poetyckiego obrazu tworzył metafory tego właśnie typu. Mściło się to w sposób zgoła smutny na komunikatywności dzieła. Prowadziło do *sui generis* „hermetyzmu“. Odbiorca nie rozumiał niektórych zdań poematu, a to z tego względu, iż mógł mieć całkiem inne asocjacje niżeli artysta.

Sądem niewątpliwie krzywdzącym Jana Śpiewaka, a równocześnie wysoce uproszczonym, byłoby przeświadczenie, że matoforyka twórcy Doświadczeń od roku 1938 aż po 1950 r. nie uległa żadnym zmianom. Ostrożna i uważna lektura doprowadzi do koncepcji wręcz przeciwstawnych. Mniej więcej od roku 1947 spotykamy na przestrzeni wierszy poety dwa najzupełniej odmienne sposoby obrazowania. Pierwszy spośród nich podytkowała poetyka realistyczna, drugi — scheda po dwudziestoleciu. Paralelizm taki doprowadza niekiedy do sytuacji zgoła nieoczekiwanych. Na terenie jednego wiersza stwierdzimy bez trudu obecność dwu wrogich sobie metod artystycznych. Sięgnijmy tylko do Elegii, do W kraju, w którym jest wiecej cmentarzy..., do Uczę się na nowo stawiania kroków... Podobna niejednolitość poematów Śpiewaka z lat 1944 — 1950 mówi o wahaniach artysty, o powolnej jego ewolucji, przygotowuje nas do lektury Doświadczeń, zapobiega zaskoczeniu zwycięstwem realizmu.

Aluzyjność i kult peryfrazy zaciążyły na powojennych utworach poety. Ich dziełem stało się częściowe przynajmniej „odkonkretnienie“ wydarzeń i stosunkowo mała klarowność ideologiczna. Tak np. w poemacie Nie znam. pomyślanym jako satyra na pozostałości burżuazyjnego estetyzmu, właśnie „ołmowność“, kult niedopowiedzeń wsparty rozważanym tu już przez nas arealistycznym sposobem obrazowania zaciera intencję pisarską, ukrywa właściwy sens utworu. Nie jedyny to wypadek na terenie Źrenic piasku. Można by przecież wskazać, w jak wielkim stopniu boryka się poeta z zasadą aluzyjności, pracując nad Doświadczeniami, gdzie zresztą udaje mu się ją pokonać, można by zademonstrować, z jak wielkim trudem przychodzi Śpiewakowi zastąpienie nawału abstrakcyjnych pojęć nazwami polityczno-społecznych konkretów.

Doświadczenia — to sygnał definitywnego zerwania z fałszywymi metodami konstrukcji poetyckiego obrazu, to przełamanie norm „poetyki peryfrazy“. Metaforyka przestaje domagać się objaśnienia w postaci toku autorskich skojarzeń, „odrealnianie“ kończy swój żywot, utwór nasycony zostaje wyrazistymi treściami ideologicznymi. Towarzyszy temu równocześnie poszerzenie spojrzenia artysty. Dopiero wtedy Śpiewak nie ograniczając się do krytyki moralności faszystowskiej potrafi wskazać siłę, która zniweczyła herołdów tej moralności, dopiero wtedy poeta, zwracając się w stronę okupacji zdoła podać najzupełniej realistyczną jej diagnozę, jeszcze niepełną, jeszcze niekompletną, jeszcze wymagającą suplementu, ale przecież suplement taki wkrótce potem się zjawi. Będzie nim poemat Warszawa.

Gdyby zaraz po Doświadczeniach nie zostały opublikowane nowe wiersze twórcy Moich gródów, nie objęte powojennym tom

kiem, a znane nam z czasopism i świadczące o kontynuacji linii artystycznej wyznaczonej przez wzmiankowany poemat, nie przyznawalibyśmy mu chyba tak wielkiej roli. Obecnie jednak widząc, iż tworzy on pierwszą oznakę wielkiej ewolucji artysty, musimy stwierdzić, iż ostatnie stronice Ż r e n i c p i a s k u ukazują przejście Śpiewaka na pozycje realizmu, iż rozpoczynają nowy okres w dziejach jego pisarstwa.

Styczniowy numer Twórczości przyniesie jeszcze w roku 1951 W a r s z a w ę, wkrótce zaś potem ogłoszone zostaną inne utwory notujące zdecydowany przełom literackiej działalności artysty, przełom, który nie zacieśnił się jedynie do rewizji estetycznego bagażu wyniesionego z dwudziestolecia, a więc przede wszystkim — do rezygnacji z dawnych sposobów obrazowania, z zasady niedopowiedzeń i aluzji, z rozbicia kompozycyjnych rygorów poematu, lecz objął również usilne starania o trafną ocenę prezentowanych w dziele wypadków. Nie darmo „Warszawa" staje się świadectwem przenikliwego spojrzenia na lata 1939 — 1945, nie darmo znajdziemy w niej wzruszające opisy socjalistycznego budownictwa. Stąd nasze przekonanie o gruntownej ewolucji artysty, stąd przeświadczenie, że pisarstwu naszej epoki przybył jeszcze jeden poeta i to poeta nie byle jaki.

Lech Budrecki

STANISŁAW CZERNIK: *Poezja chłopów polskich.* Pieśń ludowa w okresie pańszczyźnianym. Warszawa, 1951, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza; str. 354.

I

Pierwsza w Polsce Ludowej książka o poezji ludowej, o poezji chłopów w okresie pańszczyźnianym. Książka jak najbardziej potrzebna i aktualna. Książka, która otwiera perspektywy na twórczość poetycką piękną i żywą.

Czy aby naprawdę? Czyż nie mamy wspaniałej Mickiewiczowskiej apostrofy do „pieśni gminnej" i entuzjastycznych zdań o poezji ludowej w przedmowie do B a l l a d i r o m a n s ó w? Owszem, to wszystko pamiętamy. Ale równocześnie pamiętamy, że tym i pokrewnym im faktom z dziejów naszej literatury towarzyszą i inne, które wypaczały sposób pojmowania dziedzictwa poezji ludowej.

Obok wspaniałej tradycji potężnego przypływu ludowych treści i przetworzenia zdobyczy artystycznych poezji ludowej — tradycji najpełniej zaświadczonej twórczością Mickiewicza, poetów-rewolucyjnych demokratów, Konopnickiej, po części Czerwieńskiego — mamy za sobą dziedzictwo pustego bałwochwalstwa, ckliwego sentymentu dla „prostoty". Obok tradycji przyswajania sobie przez pisarzy ludowego widzenia rzeczywistości, ludowego poczucia sprawiedliwości, protestu przeciwko przemocy feudalnej, marzeń ludu i jego nadziei wyzwoleńczych, mamy przykłady zewnętrznego, dekoratywnego przejmowania wzorów sztuki ludowej. Szła przez dzieje literatury polskiej zachwaszczona ścieżka reakcyjnej ludomanii sięgająca swymi początkami do pierwszej połowy XIX wieku. Przewalił się przez nią pochód młodopolski ze swymi najgorszymi przejawami fałszywej ludowości, załganej prostoty, dekadenckiego przerafinowania, dziwactw stylizatorskich, językowych, pogoni za oryginalnością dla oryginalności. Ścieżka owa — jeśli już pozostać przy tej metaforze — wiedzie i przez dwudziestolecie międzywojenne. Wystarczy przypomnieć np. pewne tendencje regionalistyczne, grupę poetycką „Czartaka" z jej reakcyjnym programem mistycznego kultu „rolnika-siewcy", „ziemi",

z jej religianctwem, uwielbieniem prymitywizmu i antyurbanizmem.

W przeszłości żadnej niemal przeciwwagi fałszywe pojmowanie ludowości nie znalazło w wyjątkowo ubogich badaniach, naukowych zainteresowaniach, których najlepszą stroną — a ileż budzi ona zastrzeżeń! — było gromadzenie utworów poezji ludowej. Pierwsza polska książka poświęcona literaturze ludowej (Ryszard Berwiński: Studia o literaturze ludowej ze stanowiska historycznej i naukowej krytyki, 1854) odmawia twórczości ludowej zupełnie niemal samodzielności. Sąd ten w różnych wariantach przewija się w całej dotychczasowej etnografii burżuazyjnej. Jednym z tych wariantów są rozpowszechnione dzięki licznym rozprawom i przyczynkom poglądy Jana Bystronia zabarwione młodopolskim uwielbieniem dla prymitywizmu.

„Podstawową cechą pieśni ludowej — pisał on — jest jej prymitywizm, prostota pierwotna, odpowiadająca poziomowi umysłowemu jej twórców, prymitywizm ten widzimy zarówno w pomyśle jak też w konstrukcji i w opisie". Słowem prymitywizm, prymitywizm, prymitywizm... Z resztą po staremu: „Nie szukamy — twierdzi Bystroń, który jest między innymi autorem rozprawy o artyzmie poezji ludowej — w pieśni ludowej głębi, ani wysokiej sztuki — właśnie to życie w jego najrozmaitszych przejawach, odczute po prostu i namiętnie, czyni nam tę pieśń tak bliską i drogą". Słowem — rodzajowy obrazek zyskuje sobie uznanie w oczach młodopolskich poszukiwaczy „głębi" i swoiście pojmowanej „wysokiej sztuki".

Pierwszą powojenną książkę o poezji chłopów polskich w okresie pańszczyźnianym napisał poeta i teoretyk literatury od wielu lat zajmujący się problematyką poezji ludowej. Dawna jego działalność praktyczna i teoretyczna była ścieżką pomyłek, błędnych poszukiwań i fałszywych wniosków. W książce jego trzeba widzieć i próbę nowego spojrzenia na literaturę ludową i wynik długich doświadczeń, przemyślań. Czernik podejmując zadanie naszkicowania obrazu — z konieczności fragmentarycznego — poezji chłopów polskich staje od razu przed najkapitalniejszym zagadnieniem, co przez to pojęcie należy rozumieć. I na to pytanie autor odpowiada w sposób świadczący, że jego książka toruje słuszną drogę badań w dziedzinie naukowo zaniedbanej, lecz niepomiernie zachwaszczonej reakcyjnymi poglądami, wśród których — poza wymienionymi już czynnikami — nie można pominąć wpływu ludomańskich koncepcji ideologów endeckich.

Czernik ostro się od nich odcina, czasem przybiera to zbyt jaskrawe barwy, o czym będzie jeszcze mowa. Na razie towarzyszymy autorowi na drodze wyróżnienia — jako poezji ludowej w okresie pańszczyzny — twórczości ciemiężonych mas chłopskich.

Czy chłopi śpiewali wówczas pieśni będące jedynie wytworem ich własnego środowiska? Na pewno nie, przenikała do nich i poezja innych warstw i klas społeczeństwa feudalnego, przenikały i wpływy literatury pisanej. Ale po pierwsze te zewnętrzne elementy przenikające do poezji ludowej w okresie przed rozkładem ustroju feudalnego nie były tak obfite, jak starali się to sugerować dawniejsi badacze (w najjaskrawszej postaci wystąpiło tu u Berwińskiego), po wtóre dadzą się one dość ściśle wydzielić na gruncie konsekwentnego stosowania — jak nazywa to Czernik — sprawdzianu treści klasowej utworu oraz na podstawie konwencji artystycznych rządzących poezją ludową.

W tym też kierunku zmierzają wywody autora Poezji chłopów polskich. I to stanowi o rzetelnej postawie naukowej pracy. „Twórczość ludowa okresu pańszczyźnianego — tak rozpoczyna Czernik swą książkę — nosi cechę niewoli i to tłumaczy wiele. Ustrój feudalny nie dawał chłopu swobody twórczej, słowo było kontrolowane, przekroczenia w tym zakresie powodowały poważne następstwa gospodarcze i karę cielesną. W tych warunkach, jak sugeruje autor, pieśń „mogła płynąć tylko bardzo wąskim korytem dozwolonej obrzędowości w zakresie życia rodzinnego oraz wypowiadać uczucia miłosne. Toteż te dwa działy — pieśń obrzędowa i miłosna — stanowią główny zrąb poezji ludowej". Tło ludomańskich i agrarystycznych koncepcji „chłopskiej cywilizacji" tłumaczy zbytnią — powiedziałbym — jednostronność przytoczonych zdań z książki Czernika. Jego praca łączy zadania odpowiedzi na różne zagadnienia zarówno teoretyczno-historyczne jak na problemy praktyki twórczej współczesnej poezji. Gdy pierwsze określa sam autor, ogranicza je do „zagadnień konwencji, twórców, treści i formy warunkowanych życiem gospodarczo-społecznym w okresie feudalnym" (s. 8). Ale książka Czernika przynosi więcej, niż obiecuje. Słusznie — jak już było wspomniane — określa treść pojęcia poezji chłopów polskich i kryterium jej rozpoznania; niemałą wagę posiada także zagadnienie klasyfikacji, wewnętrznych rozróżnień poezji ludowej — tu zaciera Czernik nowatorstwo swoj pracy. W każdym bądź razie zagadnienie to autor stawia i będzie się nim trzeba uporać.

A teraz cele praktyczne Poezji chłopów polskich. Dla niego, zdaje się, nie ulega wątpliwości, że dziedzictwo twórcze chłopstwa pańszczyźnianego posiadać może ważkie znaczenie dla literatury współczesnej. Czernik wskazuje na płodność wielowiekowych doświadczeń poetyckich, na ich wyniki. Zmierza do wniosków, do wskazania na „wartości ważne dla twórczego powiązania współczesności z przeszłością" (s. 9). Służy temu między innymi bogaty wybór szczególnie charakterystycznych utworów wplecionych w opowieść o pieśni ludowej — jak autor nazwał swoją pracę. Znaczenie więc książki jest duże i zasługuje na jak największą uwagę. Atrakcyjność tematyki, zespolona z wywodami autora antologia poetycka, przystępny jasny wykład — wszystko to sprzyja ambicjom autora dotarcia do masowego czytelnika.

II

Posiadamy znaczne zasoby zebranych pieśni ludowych. Kilka tysięcy tekstów zawarł zbiór nieprześcignionego tu Oskara Kolberga. Ale zasobom tym daleko do ukazania pełnego, a nawet wystarczającego nam dziś obrazu pieśniarstwa ludowego, pieśniarstwa — bo poezja ta ściśle była skojarzona z muzyką i tylko w tym jednolitym kształcie pozwalała na w pełni miarodajną ocenę. Nie zadowalają dotychczasowe zbiory poezji ludowej z różnych względów. Wiele ich braków jest nie do powetowania, inne można odrobić, a nawet odrabia się je już obecnie.*) Ale nie odrobi się jednego; nie dotrzemy do tych tekstów, które poszły w zapomnienie. Że było ich sporo — także nie ulega wątpliwości. Zapomnienie ich wynikło z późnego zapisu tekstów poezji ludowej datujących się z okresu rozkładu feudalizmu, z okresu zaawansowanego już procesu formowania się polskiego naro-

*) Niedawno prasa doniosła, że ekipy Państwowego Instytutu Sztuki zebrały w ciągu dwóch lat 25 tysięcy pieśni ludowych, z których 17 tysięcy nagrano na płyty lub taśmy magnetofonowe.

du burżuazyjnego, procesu, którego właśnie swoistym odbiciem są zainteresowania zbierackie i naukowe dla poezji ludowej.

Wszystkie te okoliczności badacz musi brać pod uwagę przy próbie zarysowania obrazu poezji chłopskiej. Ale wierzytelność dotychczasowych zbiorów podlega ponadto wątpliwościom, które mają swe źródło w klasowej ograniczoności zbieraczy szlacheckich i mieszczańskich, w cenzurze klasowej, jakiej z tych względów podlegały dawne zbiory poezji ludowej. A podlegały wszystkie ważniejsze. Kolberg mógł okazywać i okazywał większą tolerancję dla buntowniczej pieśni chłopskiej, czy wyrażającej protest uciskanego ludu, niż konserwatywny solidarysta szlachecki, Zygmunt Gloger. Ale i granice tolerancji Kolberga są dość widoczne.

Czernik swoje badania i antologię oparł głównie na zbiorach Kolberga, pomny jednak tych ograniczeń, które są im właściwe. Nie zawsze tylko wyciągnął z tego właściwe wnioski. O co chodzi? Przypomnijmy cytowane już wstępne zdania jego książki. Podkreśla się w nich słusznie warunki ucisku, przemocy i niewoli krępujące twórczość ludu. Ale pytajnikami opatrujemy już pogląd, że w tych warunkach „mogła się rozwijać tylko pieśń nieszkodliwa dla ustroju". Tego rodzaju sugestia przewija się przez całą książkę. Stwierdzi autor, że tylko słabiutkie echa niedoli pańszczyźnianej zachowały się w pieśni (s. 63), że nie mogła się rozwijać ani zachować poezja o pańszczyźnie przy ówczesnym systemie kontroli nad chłopem. Dużą plastyczność nadaje Czernik tej sugestii w lapidarnym zdaniu: „Ustrój oparty na zależności niewolniczej chłopów, trzymał również w niewoli ich pieśń". (s. 63). Mocno powiedziane. Ale sądzę, że także jednostronnie. I ta jednostronność jaskrawo przejawia się w konfrontancji z faktami. Z świadectwami, których dostarcza sam autor. Swoje wywody pozwala on sprawdzać w zestawieniu z bogatą dokumentacją, jaką jest wybór pieśni przezeń sporządzony. I trzeba także powiedzieć, że gdy Czernik formułuje swoje poglądy na tym gruncie, dochodzi do zgoła odmiennych przekonań. „Ale z drobnych fragmentów przyśpiewkowych, zebranych razem, powstaje poemat olbrzymiej nienawiści i gorącego pragnienia zemsty" — to także zdanie z książki Czernika. Odczytane w związku ze znanymi faktami zatraty znacznej części twórczości ludowej nabierają one szczególnej wymowy godzącej w jednostronność poglądów autora. Bo na jedną jeszcze stronę zagadnienia musimy zważać. Największą trwałość zachowała pieśń chłopska związana z obrzędami, zwyczajowymi uroczystościami. Pieśń powstająca poza nimi, nie posiadająca sankcji obrzędowej najłatwiej zapadała w niepamięć. A właśnie taki charakter musiała nosić pieśń buntu i protestu ludowego. Ona też najtrudniej mieściła się w obrzędzie, najostrzej zeń była trzebiona przez dwór, nadzór pański, kościelny.

Jednym tchem mówi Czernik o niewoli społecznej i niewoli umysłowej chłopa pańszczyźnianego. Ale przemoc feudalna, która trzymała w niewoli chłopa i jego twórczość musiała rodzić i rodziła pieśń skargi, protestu, żywiołowego buntu, nienawiści do ciemięzycieli i ustroju. Zbytnie sugerowanie się jedną stroną procesu rozwoju historycznego wypaczać może niezbędną dla rzetelnego badania zasadę widzenia w kulturze ludowej niejednorodnych złóż odrębnych nurtów, zasadę praktyczną orientowania się i dziedziczenia określonych wartości, zasadę niezbędnego rozróżnienia i czujnego wyboru. Jest przecież poezja, w której z całą jaskrawością ujawnia się niewola twórcza chłopa (np. utwory dożynkowe zawie

jące pochwałę „państwa"), są również eśni, przyśpiewki z całą mocą wyrające protest przeciwko pańszczyźnianej niewoli, nie pozostawiające wątpliości co do rzeczywistego stanu rzeczy iędzy antagonistycznymi klasami. Za ernikiem zacytujemy:

Oj dobry nasz pan, dobry
kieby małe dziecię
oj ale jego słudzy
biją na zabicie.

I żeby ironiczny, oskarżycielski ton j przyśpiewki nie pozostawił wątpliości, jaki był rzeczywisty osąd „pana", upełnijmy ją przyśpiewką z sandoierskiego:

Oj dana, oj dana
da, wzięli diabli pana
oj wzięli go do piekła
i tak nam dusza uciekła

Były upokarzające pieśni dziękczyn- za dworską gorzałkę dożynkową, ale ły i pieśni obiecujące sprawiedliwszą płatę za chłopską pańszczyznę i ekomskie batogi:

Panowie, panowie,
macie moc nad nami,
żebym ja miał nad was
orałbym ja wami

Panem bym ci orał
okunumem włóczył
a pisarzem radlił
robić bym was uczył.

Były pieśni pokory i straszliwego w ej wymowie godzenia się z pańszyźnianym losem, ale były i pieśni zejmującej goryczy, protestu i marzea za światem bez panów:

Oj, trzy dni w domu nie był,
trzy dni nie nocował,
oj, miałem kochaneczkę
pan mi ją popsował.

Oj, mój boże kochany,
żeby nie te pany,
oj, jakby nam to było
żyć na świecie miło!

Utwory te przytoczyłem za Czernikiem. Wszystko to wskazuje i często przyświadcza temu autor, że chłopska niewola, uciemiężenie ludu rodziło w skutkach twórczość różnorodną. Popadający w jednostronność pogląd, że nie mogła się rozwijać poezja ludowa antypańszczyźniana, antyfeudalna jest podważany konstatacją (i ilustrowanymi utworami) o sugestywnym ładunku buntu i protestu społecznego zawartym w „poezji społecznej" zachowanej, jak wiemy, tylko w stanie szczątkowym. Groźba więc dezorientacji w książce Czernika właściwie nie istnieje. Ale równocześnie nie można powiedzieć, że te widoczne sprzeczności są mocną stroną wywodów autora. A przechodzą w istocie przez całą książkę. Jedynym ich objawem jest widoczny w samej kompozycji książki przynoszącej w kilku rozdziałach — Poezja społeczna, Pieśni rodzinne, Liryka pasterska, Pieśni miłosne, Humor i satyra, Epika — próbę uporządkowania materiału poetyckiego, którą czytelnik poczyta za pewną klasyfikację poezji ludowej. A próba ta budzi poważne wątpliwości. Klasyfikacja, której charakter określają w przybliżeniu przytoczone tu nazwy rozdziałów wiedzie nas tradycyjnym torem przez poezję ludową, nie usiłuje jakoś ukazać jej złożoności. A zadania, jakie sobie stawia Czernik, uprawniają do takich oczekiwań.

Gdy autor do tak przez siebie nazwanego działu „poezji społecznej" zalicza pieśni ukazujące stosunek chłopa do ustroju feudalnego, możemy zapytać, czy nie przejawi się ów stosunek pośrednio zarówno w buntowniczej pie-

śni Jak nas zajęli, jak nas gonili zaliczonej do działu poezji społecznej, jak i w przejmującej Pieśni pożegnalnej umieszczonej w dziale poezji rodzinnej, albo w pięknej piosence Gospodarstwo chłopskie znajdującej się w dziale Humor i satyra? Czy bieda chłopska odmalowana w tej piosence z wisielczym humorem nie ukazuje stosunku chłopa do ustroju feudalnego, nie określa sytuacji chłopa w nim? Posłuchajmy:

Jakem ja był gospodarzem
miałem bydło hojne;
cztery koty do roboty
i dwie myszy dojne.

Ściany były z pajęczyny,
a okienka z lodu,
dobrze mi tam było mieszkać
i przymierać z głodu.

Społeczną wymowę tej pieśni podkreśla przecież sam autor Poezji chłopów polskich. Czy zatem próba klasyfikacji nie powinna pójść w poprzek działów wyróżnionych przez Czernika, w kierunku ukazania co jest w poezji ludowej świadectwem ograniczeń, skrępowania człowieka i jego twórczości, a co wyrazem protestu, niezadowolenia, buntu przeciw tej niewoli. Jakże plastyczniej rysowałby się nam obraz dziedzictwa poezji ludowej nawet na podstawie tych utworów, które udostępnił Czernik! Myślę, że takiego obrazu mogliśmy oczekiwać od autora, bo teoretyczne przesłanki właściwych rozróżnień istnieją w jego książce. I szkoda, że autor zatrzymał się w połowie drogi, co znajduje także wyraz w zbyt generalizujących wywodach o realizmie pieśni obrzędowej (s. 31), a nawet całej w ogóle poezji ludowej (s. 33). Pozostaje to w jaskrawej sprzeczności z bardzo trafnymi w szczegółach rozróżnieniami, jakie autor stosuje w praktyce badawczej wska zując częstokroć, jak załamuje się rea lizm niejednej chłopskiej pieśni, ja sprawiedliwy osąd i obraz rzeczywisto ści pańszczyźnianej kluczy nieraz bez nadziejnie w pieśni z obrzędu odbywa nego przed gankiem dworu lub w obec ności księdza dobrodzieja.

Pozostaje to oczywiście w sprzeczno ści z przytoczonymi przez Czernik przykładami takich utworów. Jeśli rea lizmu nie sprowadzamy do rodzajowe obrazku poetyckiego zawierającego tyl ko drobne realia bytu chłopskiego, lec upatrujemy go w prawdziwym obrazi konfliktów społecznych, obyczajowych moralnych, w prawdziwym obrazie ży cia w warunkach pańszczyźnianych, prawdziwym obrazie stosunków mię dzyludzkich, związku przyrody z wa runkami życia ludzkiego, to musim oceną realizmu szafować ostrożniej. N marginesie narzuca się uwaga, że wła śnie w pieśni obrzędowej, w któr Czernik ze względu na jej charakte służebny wobec zbiorowości w spo sób — powiedziałbym — skanonizowa ny, jest skłonny upatrywać główne źró dło jej realizmu, prawda o feudalne niewolniczej rzeczywistości była na bardziej chyba trzebiona. Bo najłatwi była poddana kontroli, „cenzurze Smutnym świadectwem tego mogą by zwłaszcza niektóre pieśni dożynkow Wszystkie powyższe zastrzeżenia sumu ją się w jedno: Czernik wychodząc jak najbardziej słusznych założeń n wyciągnął z nich wszystkich konsek wencji. Nie zdobył się, a czasem odc nał się deklaratywnie (na szczęście n w praktyce badawczej) od zadania w wnętrznego zróżnicowania poezji chło skiej, nie poszedł za jedynym konsek wentnie nasuwającym się podziałe warunkowanym złożonością źródeł ku tury ludowej, pozostał w tradycyjny opłotkach konwencjonalnego podzia rodzajowego poezji ludowej, które m

ą obraz dziedzictwa chłopstwa czasów eudalizmu. Podziałów tych nie ma zre-ztą specjalnego powodu odrzucać, ale rzeba im nadać charakter, jaki w isto-e mają — podrzędny. I to trzeba by-przekonująco pokazać czytelnikowi.

III

Burżuazyjny badacz poezji ludowej idział jej podstawową cechę i wartość prymitywizmie, „prostocie pierwot-ej". Wraz z książką Czernika mamy poglądy „naukowe" za sobą. Autor oezji chłopów polskich afnie gdzie indziej odnajduje jej war-ści. Ale słusznie odrzuca także lanso-any pogląd o „niższości" artystycznej eśni ludowej. Dziś — przy obecnym anie badań — wysuwa hipotezę o rzejęciu wielu zdobyczy formalnych vórczości ludowej w wieku XVI przez vórców poezji polskiej. Hipotezę — skutek braku szczegółowych badań. zernik wskazuje na żywotność i bo-ctwo artystyczne poezji ludowej. Stała się — pisze o niej — instrumen-m, poprzez który kształcił się język, yl, forma. Jej niewątpliwie należy za-dzięczać, że w XVI wieku zjawiła się nas od razu literatura wysokiego oziomu (s. 60).

Nie ulega wątpliwości — chociaż zno-u jesteśmy na gruncie niezwykle ma-zbadanym — że przez wiele wieków ielka i wartościowa poezja polska ży-iła się w dużym stopniu zdobyczami vórczości ludowej. I ideowymi, i arty-ycznymi. Kto w Żeńcach, w órych Szymonowicz dał przejmujący kument poetycki pańszczyźnianej za-żności i feudalnego ucisku, nie dosłu-a się echa bolesnej prawdy i surowe-piękna pieśni wyrobnicy na „pań-im":

Żebyś ty, słoneczko
Na wyrobku było,
To byś ty, słoneczko,
prędzej zachodziło.

Ale ty, słoneczko,
nie wiesz, co wyrobek,
bujasz se po niebie
kiej biały gołąbek.

Urzekających w swym kształcie ideowo-artystycznym pieśni ludowych jest naprawdę legion. Właściwe spojrzenie na dziedzictwo poezji ludowej — to wielka szkoła realizmu, zawarty jest w tej twórczości potężny ładunek prawdy o rzeczywistości, żywiołowy materializm — jak to nieraz wskazywał Gorki, sugestywny wyraz różnorodnych uczuć pięknie wyrażanych częstokroć w lirycznym przymierzu z przyrodą (określenie Ważyka). Trudno mi się oprzeć tu przed zacytowaniem fragmentu wiersza — jednego z wielu — malującego rozpacz dziewczyny wydanej za mąż do obcego i wrogiego jej środowiska. Myślę przy tym, że jest on dostatecznym argumentem, przemawiającym za sugestywnością obrazowania poezji ludowej, jej celnością słowa, dyscypliną artystycznego wyrażania uczuć:

Ale ciężko sercu memu
Życzyć dobrze nielubemu

Jeszcze ciężej matce mojej,
że mnie dała do niewoli.

Do niewoli, do takiej wsi
gorsze ludzie niżeli psi.

Bo psi szczekną i przestaną,
a źli ludzie nie ustaną.

Odzwierciedliły się w poezji ludowej piękne pragnienia i marzenia, głęboko ludzkie przeżycia i uczucia, z ludzkiej niedoli zrodzony ból, gorycz, z walki i działania zrodzony optymizm i radość życia. I odbiły się nieraz w mistrzowskim kształcie artystycznym, pięknej intonacji i rytmice, szacie słownej, w celnej realistycznej metaforze. Literatura kształtującego się polskiego narodu socjalistycznego posiada w poezji ludowej dziedzictwo, w którym zawarte jest

wielowiekowe doświadczenie poetyckie bezimiennych twórców — ten ostatni fakt nie powinien być powodem niedoceniania. Czasem mamy tu dokonania artystyczne trwałe, weryfikowane długowieczną zdolnością oddziaływania w różnych, zmieniających się epokach i zmieniających się sytuacjach mas ludowych. Wiele utworów zastygło w kształt dokumentu epoki, inne okazały swą „nośność" ideowo-artystyczną przez wiele pokoleń, poprzez zmieniające się dążenia mas chłopskich.

Pieśń dziewczyny, zawierającą marzenie o małżeństwie z „panem", odczytujemy jako dokument tragicznej niedoli pańszczyźnianej, z której w tej formie szukano ujścia spod jarzma niewoli. Lecz doczytujemy do końca i stąd nasze zrozumienie beznadziejności drogi, jej upokarzającego charakteru. Ale pieśń dziewczyny śląskiej wypełniona po brzegi pogardą dla małżeństwa jako formy transakcji handlowej posiadać będzie rumieńce życia tak długo, jak długo istnieć będą przeżytki kapitalizmu w życiu i świadomości. I posiadać będzie charakter narzędzia walki:

Ej, ty gburski synie
nie chodźże ty do mnie
bo ty szukasz z pieniążkami
nie znajdziesz ich u mnie

Ja pieniążków nie mam,
ten wianek na głowie
a tę jedną mazelonkę
co ją mam na sobie

Mazelonkę jedną,
fartuszek też jeden
a ty jeno takiej szukaj
co ich ma ze siedem.

Jest tu więc z czego czerpać. I w tym sensie jest książka Czernika książką i „dla poetów", twórców kultury. Jest także i w sensie ostrzeżenia. Zdaje mi się, że wskazanie przez autora ścisłego związku pieśni ludowej z określonymi warunkami historycznymi, z określonymi warunkami życia i świadomości może przestrzegać przed takimi próbami kontynuacji, czy swoiście zrozumianego „odrodzenia" poezji ludowej, które nie będą niczym więcej jak wyrazem anachronizmu treści i środków wyrazu. Myślę także, że prosta charakterystyka warunków powstawania poezji ludowej w bezpośrednim związku z frazą muzyczną, dążności poetów-muzyków do stosowania określonych środków artystycznych (np. częstotliwości rymów, bliskiego ich rozmieszczenia, powtarzań, wyliczeń, okrzyków refrenowych) zmierzających jedynie do pamięciowego utrwalenia pieśni, ukazanie szczególnych warunków powstawania utworu pamięciowego może sprzyjać uodpornieniu współczesnych twórców wobec zbytnich pokus naśladownictwa, stylizatorskich. Są to wszystkie przesłanki dyskusji twórczych, wniosków praktycznych. Właściwe pojmowanie dziedzictwa poezji ludowej powinno być zaporą dla mimikry stylizatorskiej. Doświadczenia przeszłości służą tworzeniu nowej kultury, nowej sztuki, jednej, nie „specyficznie" chłopskiej, i nie „specyficznie" proletariackiej, lecz ogólnonarodowej, socjalistycznej.

Twórczemu rozwiązaniu tych zagadnień może pomagać książka Czernika. Mimo pomyłek i niekonsekwencji — cenna książka.

Samuel Sandler

JERZY PUTRAMENT: *Wrzesień*. Warszawa 1951, Wyd. MON; str. 502.

„Polska przestała być krajem biednym, bezbronnym i niezaradnym... Minęła i nie wróci nigdy wrzesień 1939 roku. Minęła i nie wróci nigdy hańba bezsilności naszego kraju wobec najeźdźców."

Bolesław Bierut

Słowo „Wrzesień" — kiedy je piszemy z dużej litery — ma dla nas wy-

mowę tragiczną. Nie sama tylko klęska wojenna, nie samo szarpiące przypomnienie pogromu mieści się w tym słowie. Wkładamy w nie treść szerszą i głębszą: jest ono synonimem pamiętnych dwudziestoletnich rządów, których skutki opłaciliśmy tą najcięższą ceną.

Kiedy z dużej litery piszemy słowo „Wrzesień" — myślimy nie tylko o haniebnym tchórzostwie Rydzów i tragicznej bezsilności żołnierza; myślimy także o losach zniewolonego kraju — nieszczęśliwej półkolonii obcych i miejscowych finansistów. O miastach z zamarłym przez lata całe przemysłem. O nienaruszonych w swym pierwotnym prymitywie wsiach. O technicznym i kulturalnym zacofaniu narodu, zahamowanego w rozwoju bezwzględnymi prawami ekonomicznymi półkolonii. O rządach klasy, dla której wszystkie te klęski narodowe — zacofanie kraju i podległość obcemu kapitałowi — były niezbędnym warunkiem wyzysku i panowania. O ich zgubnej dla narodu polityce wysługującej się każdemu, byle dawał jak najwięcej nadziei na łupieżczą wyprawę przeciwko Krajowi Rad — co ostatecznie skończyło się wspomaganiem hitlerowskich agresji i zaniedbaniem siły obronnej kraju na jego zachodnich granicach. I o trzystu kilkudziesięciu więzieniach, izolujących tych, którzy mogli uchronić naród przed nadchodzącą katastrofą.

Błyskawiczna kampania wrześniowa, która przerwała byt tego fatalnego państwa, była rzeczywiście jak błyskawica ukazująca w ostrym świetle prawdziwe jego rysy: bluff i tchórzostwo, nieudolność i zdradę, gnębicielstwo i obcość. Nie na darmo samorzutna twórczość językowa narodu okres jego panowania napiętnowała nazwą „Polski przedwrześniowej". Jak ostatni rozdział syntetycznie ujmuje całość — tak Wrzesień w gwałtownym skrócie streścił najznamienniejsze prawdy dwudziestolecia.

*

Pierwsze powojenne lata przyniosły nam parę opowiadań o tragicznej kampanii (A. Rudnickiego, Żukrowskiego). Nie miały one ambicji tego szerokiego objęcia kompleksu spraw politycznych, społecznych, wojskowych, jakie zawęźliły się w pojęciu Września. Poprzestawały na opisie żołnierskiego losu. Ale nawet w tym zawężonym do działań wojennych obrazie zarysowywały jedynie poszczególne epizody kampanii. Wrzesień czekał na swego epika. Na pisarza, który nasycając nas wielostronnymi obrazami przebiegu wojny, doli narodu, tragedii żołnierza, pamiętnych paroksyzmów płonącego kraju — odpowie nam również na pytanie: jak to się stało?

Dlatego z taką pasją, bólem ale przede wszystkim z uczuciem oczyszczającej ulgi czytamy Wrzesień Jerzego Putramenta.

Budzi pasję szeroka perspektywa tej książki: ożywa przed czytelnikiem cały teatr kampanii, jej decydujące szlaki, jej szybkie wydarzenia. Poznajemy „myśl operacyjną" sanacyjnych dowódców i uczestniczymy w losach paru armii, którym ta „myśl" odebrała ostatnią zdolność oporu. Poznajemy postawę i znamienne doświadczenia wojenne różnych warstw narodu: ludu warszawskich przedmieść; chłopstwa zapadłych wsi; drobnomieszczaństwa zamarłych miasteczek dwudziestolecia; inteligencji i burżuazji różnego kalibru; przywódców sanacyjnej kliki i przedstawicieli najlepszych sił narodu — komunistów. Próba wojenna niczym gwałtowny odczynnik chemiczny wydobywa na wierzch najgłębszą treść moralno-ideową tych środowisk.

Kompozycja powieści, której dalszego ciągu możemy chyba od autora oczekiwać, przypomina Komunistów Aragona. Dla powieści tej znamienna jest

rozmaitość samodzielnych niemal wątków, obrazujących stosunek różnych części społeczeństwa do rzeczywistości wojennej; znamienna jest pasja podejmowania głównych wydarzeń wielkiej polityki międzynarodowej i ich oceny poprzez pryzmat epopei losów całego narodu. Cechy te istotne są właśnie dla książki Putramenta.

Czyta się ją z udręką. Nie mogą tego uczucia nie wzbudzić przejmujące, do tragicznego wyrazu sztuką pisarską doprowadzone sceny agonii bezbronnej armii, krwawienia narodu i tragifarsy samozwańczych dowódców.

Kto zapamięta scenę przejścia hitlerowskich czołgów — tej lawiny nowoczesnej techniki — którym ze strony polskiej odpowiada staroświecka palba osłupiałych żołnierzy i skowyt wioskowych psów; kto zapamięta pierwotny, przygłuszony i ciemny byt owej nadgranicznej wioski, dla której zdobycia najeźdźca nie zechciał użyć kuli; kto zrozumie wymowę śmierci Jasia Przewięły — tego Janka Muzykanta Polski sanacyjnej — wiejskiego konstruktora i wynalazcy, zabitego serią z automatu hitlerowskiego lotnika w chwili, gdy podziwiał pierwszy w swym życiu samolot — kto wymowę tych wszystkich wydarzeń pojmie, ten wiele sobie przyswoi z nauk Września. W nich — jak w skrótowym wyciągu z historii — zawierają się dwudziestoletnie losy półkolonii, łupionej przez obcych i własnych byznesmenów, dla ich potrzeb — bosej, ciemnej i biednej, z ich woli okradzionej z talentów i twórczych sił swego ludu.

Wiele jeszcze podobnych, bogatych w historyczną wymowę scen, szarpie uczuciem czytelnika. Żałosna nieudolność i faszystowski cynizm tych, co decydowali o obronie i życiu kraju. Piekąca pogarda najeźdźcy dla biedy i słabości zwyciężonych. Bezkarne grasowanie piątej kolumny i więzienna izolacja najrozumniejszych patriotów. Książka nie szczędzi gorzkich przypomnień. Ale ta udręka jest owocna. Autor nie pozostawia czytelnika wobec niewyjaśnionych faktów. W fabułę powieści wpleciona została analiza politycznych i ustrojowych źródeł katastrofy. To nie jakaś tam przyrodzona nędza „tego nikczemnego kraiku" — jak mówi minister Beck — była jej przyczyną i wytłumaczeniem, ale nikczemność tych, którzy to mówili. Ta prawda ma w książce Putramenta nieodparty wyraz. I dlatego obok pasji i udręki wzbudza jeszcze lektura Września oczyszczającą świadomość: minął i nigdy nie wróci.

*

Ostatnie dni sanacji — to okres szczytowego natężenia jej wszechstronnych łajdactw. Gdy nad krajem zawisło niebezpieczeństwo utraty niepodległości — burżuazyjną klikę przejmowało tylko niebezpieczeństwo utraty władzy. To były dwa różne niebezpieczeństwa. Pierwsze można było odsunąć kosztem drugiego. Ale klika zrobiła wszystko, aby je drugiemu poświęcić. Nie powiodło się: „niesolidność" Hitlera zniweczyła rachuby. Ale pozostała hańba tych rachub i ich wyryta w losach kraju cena.

Tę przeciwstawność pomiędzy interesami narodu i jego wolą walki z faszystowskim najazdem a interesami burżuazyjnego rządu i jego do ostatniej chwili forsowanym pragnieniem zjednoczenia się z hitleryzmem dla poskromienia własnego ludu, dla wspólnej „wojenki z Bolszewią" — dokumentuje książka Putramenta swą fabułą, działaniem i psychologią swych bohaterów.

Z jednej strony Krawczykowie, ich proste, uczciwe życie, związane na każdy los ze swym krajem; ich patriotyzm, sycony wzajemnie odrazą do wroga klasy i nienawiścią do wroga narodu; ich naturalna, bohaterska ofiarność w tra-

gicznych chwilach Warszawy. Nauczyciel-porucznik Markiewicz, prowincjonalny chudeuszek, ciężko porażony sanacyjnym systemem ogłupiania, ale przecież czujący prostą rację narodu; i z tym swoim zrozumieniem wystawiony na gorzką naukę wrześniowych rozczarowań. I inni żołnierze, rozpaczliwie walczący mimo bezbronności. I jakiś profesor, pragnący wykopać rów przeciw Hitlerowi. I także mecenasowa Zaleska, skromniutko przeciwstawiająca się pustce własnego życia, które nagle we wrześniu odnajduje wielki cel. I taki Knothe, generał sprzątnięty przez „dwójkę" za odważną krytykę samobójczego planu obrony. Na czele zaś wszystkich tych zdrowych warstw narodu — jego najbardziej świadomi, najlepsi i najmocniejsi ludzie: Walczak, Kalwe, Sosnowski, Krygier — komuniści, którzy z rozbitego więzienia przedzierają się przez fronty do Warszawy, aby zdobytą w pierwszym dniu wojny wolność natychmiast użyć dla obrony kraju.

Z drugiej strony — Rydze, Becki, Rąbicze i Burdy. Bankier Vestri, „dziennikarka reżimu" Gaysse-Tarnobrzeska i „ludowcowy" działacz Kulibaba.

Już parę powojennych powieści zawierało obrazy sanacyjnej elity. Ale była w nich analizowana sama psychologia — czy raczej patologia kliki, bez sięgnięcia do klasowego i ustrojowego podłoża zwyrodnienia. Tu sprawa ujęta jest głębiej. Klasowa funkcja burżuazyjnej kliki rządzącej tłumaczy jej psychologię, szczegółowy rysunek psychologiczny tego i owego dostojnika wyjaśnia skomplikowane i różnostronne funkcjonowanie klasowej ideologii. Rozdziały o nich — to jakby studium polityki i psychologii polskiego faszyzmu.

Najbardziej znamienną cechą tych wszystkich mężów stanu w okazji wrześniowej jest instynkt wiania. Burda jeszcze w przede dniu wojny odmawia przyjacielowi samochodu — chwyta go paniczny lęk przed nadciągającą burzą. W zrezygnowanym Rydzu „budzi się lew" wtedy, gdy trzeba zapewnić bezpieczeństwo i wygodę marszałkowskiej ewakuacji. Rąbicz, z trudem utrzymujący się w pozie opatrznościowej odwagi, z ulgą przyjmuje meldunek o przełamaniu polskiego frontu nad Narwią: nareszcie można „usprawiedliwić" ucieczkę od spartaczonej kampanii. Znakomite jest w powieści zdemaskowanie pozorów, którymi pragną oni przysłonić swe tchórzostwo. Każdy ma swoją specjalizację: dla vice-szefa sztabu, Rąbicza, pretekstem jest klęska wojskowa, dla vice-ministra spraw wewnętrznych — Burdy, podchwycony natychmiast rozkaz powszechnej ewakuacji Warszawy: „Dwieście, trzysta tysięcy. Powódź, szarańcza. Warszawa się rozpryśnie na połowę Polski. W tym tłumie jedna limuzyna..."

Narastająca psychoza paniki wśród „wodzów" — to cecha złożona. Składają się na nią co najmniej trzy zasadnicze właściwości.

Przede wszystkim — pogarda dla narodu. Przez wszystkie lata faszystowskiej władzy stawiał on opór jej wodzirejom. Nie chciał „zrozumieć mocarstwowej idei" powrotu do białoruskich majątków. „Narodem głupców" przezwał go za to Piłsudski. „Nie dorósł" do postawy biernej uległości dzierżymordom. „Mąż stanu skazany jest na samotność" uspokajały się dzierżymordy. Te dwie dewizy — to cała ministerialna mądrość Burdy na użytek jego resortu spraw wewnętrznych. Co łączyło go z tym pogardzanym krajem? Drapieżne przywiązanie do władzy i do łupu, jaki można dzięki niej zgarnąć. Znakomite są sceny ostatniego dnia Burdy przed wybuchem wojny. Minister już z góry „żegnał się" z krajem. Nie żałował brzydkiej i biednej Warszawy. Miał zabezpieczone miejsce na Zachodzie. Ale

nagle drobne wrażenia z przejażdżki po mieście: honory warty, przywileje rządowego samochodu, czołobitne prężenie się urzędników — przypomniały mu, co traci. I rzucił się do ratowania tych przywilejów przez... kapitulację. A w tydzień później, gdy i kapitulacja nie mogła zapewnić choćby skrawka władzy, powiedział sobie — „już czas".

Oto kondensacja znanych faktów politycznych w żywym obrazie psychologicznym.

Po wtóre — wiali dlatego, że ani przez chwilę nie wierzyli w możliwość obrony. Zbyt długo obezwładniali kraj stawianiem na hitleryzm, aby można to było załatać chaotycznym wysiłkiem ostatnich miesięcy. I do ostatniej chwili chwytali się maniackiej nadziei na powodzenie „wielkiej gry" Becka. W powieściowych wydarzeniach uwyraźnione zostały ważniejsze elementy polityki sanacyjnej ostatnich miesięcy: mistyfikację rzekomego „zwrotu" antyhitlerowskiego dostatecznie objaśnia „gorycz" i wściekłość Becka za entuzjastyczne przyjęcie jego „mowy majowej". W szczerej, przyjacielskiej rozmówce Burda nie kryje przyczyn tych manewrów: „Spróbowałbyś się zgodzić na ten Gdańsk! W parę dni by nas zmiotło!" Ale nie tylko strach przed gniewem narodu zmusza wodzów do oficjalnej „nieustępliwości". Ludność „tego kraju" — myśli Burda — to pół biedy. Postawi się ją wobec faktu dokonanego: dzięki przezwyciężeniu zaściankowych ambicyjek związanych z tym tam Gdańskiem pozwolono nam uczestniczyć w europejskim marszu wojsk kanclerza na Wschód. A już policja i sojusznik potrafią wziąć niewdzięczny naród za mordę.

Prawdziwą biedę sprawia jednak Burdom sam kanclerz. Skazuje ich na „nieustępliwość", zamykając wszelkie drogi kapitulacji: przerywa telefoniczną łączność, zlekceważa kapitulancki rekonesans ambasadora Lipskiego, nie doręcza ultimatum. — Chce wojny, nie na rękę mu lokajska gotowość zgranego partnera.

Rozumie to dobrze „spokojny, opanowany" Beck, który w przedpokojach imperialistycznej polityki dobrze wyuczył się jej prawd. W porównaniu z panicznym kapitulactwem innych — jego „spokój" jest tylko bardziej konsekwentnym łajdactwem: „Urodziłeś się w tym nikczemnym kraiku, bądź skromny. Rób to, na co stać ten kraik. Może go starczy tylko na podpałkę, co? Nie wyrywaj się z lokajskimi usługami, jeśli na ciebie nie skiną. Tego się przynajmniej naucz, rozumiesz?"

Beck — to wytresowany wyga imperialistycznej służby: zna zamiary panów, zna też granice lokajskich uprawnień. Nie napraszaj się z kapitulacją, jeśli imperializmowi trzeba podpalenia wojny na Wschodzie; nie zgłaszaj pretensji do cząstki jej łupu, skoro jesteś tylko kolonialnym władcą.

Siła powieściowego przedstawienia tych faktów sanacyjnej polityki polega na maksymalnej kondensacji demaskatorskiego ładunku. W paru słowach Becka zawarły się najistotniejsze cechy polskiego faszyzmu. A dla szczególnego kontrastu łajdactwo występuje tu w imię swej „godności".

Stawianie na hitleryzm i pomieszanie tych rachub — to druga przyczyna wiania, uwydatniona w powieści.

Po trzecie wiali dlatego, że bali się własnego ludu. Antyfaszystowska wojna musiała poruszyć najszersze warstwy narodu. Musiała wyzwolić demokratyczne siły i dać im do ręki broń. Tego bali się sanacyjni wodzowie. Tego boją się ich powieściowi przedstawiciele. Jedno z najcięższych zmartwień Burdy w ciągu nielicznych dni jego wrześniowej epopei — to ucieczka więźniów-komunistów, podesłanych hitlerowcom nad samą granicę. Drugie — to samorzutne tworzenie się milicji robotniczej dla ob-

rony miasta. Trzecie — to niemożność rozprawienia się z nią. Burda znajduje „wielką", „międzynarodową" rację dla swej szybkiej ewakuacji: „zdusić w zarodku wywrotowy pożar powodzią niemieckiej ofensywy". Za tę wielkoduszną ofiarę przyznałby Polsce rolę Winkelrida Europy. Romantyczny styl, z którego tak bezprawnie kradła piłsudczyzna.

Obok psychozy wiania, skupiającej w sobie aż tyle przyczyn i cech, drugą znamienną właściwością przedwrześniowych mężów stanu był bluff i błazenada. W fabule i w postaciach powieści odnajdujemy analizę również tej pamiętnej cechy.

Skąd bierze się groteskowa błazenada Burdy na jego „występach" publicznych: przy kopaniu okopów, podczas ceremonii wręczania broni, która ze składnicy wojskowej pochodzi i do niej najkrótszą drogą wraca, zarobiwszy po drodze nieco grosza z ofiarności społeczeństwa? Z konieczności kłamania wobec narodu, manifestowania więzów — których nie było, pozorowania siły obronnej — której nie było, markowania kursu politycznego — którego nie było.

Skąd się biorą tragikomiczne rozgrywki Burdy z Rąbiczem o autorstwo rozkazu ewakuacji Warszawy? Z brudnego sumienia, z atmosfery wilczych praw kliki, którą nie wybór narodu, ale faszystowskie bezprawie utrzymuje przy władzy.

Skąd bierze się błazeństwo wodzowskich póz Rąbicza? Oczywiście z faszystowskich wzorów. Ale autor celnie ukazuje specyfikę sanacyjnego powielenia tego wzoru: obok faszystowskiej pychy jest tu jeszcze komedianctwo „skromności", pochodna mitu „szarego munduru".

Trzecią uwydatnioną w powieści cechą sanacyjnych mężów stanu jest ich zrośnięcie z kapitałem finansowym. Poprzez targi Burdy, cichego właściciela jednej z kopalń śląskich, z bankierem Vestrim — autor ukazuje imperialistyczną penetrację gospodarczą w Polsce. I zanim jeszcze dni września obnażyły wojskowe osamotnienie Polski przez zachodnich sprzymierzeńców — mamy tu zapowiedź ich wrześniowej obojętności: amerykański kapitał nie chce przybywać do Polski, już ją poświęcił Hitlerowi. W języku ekonomii imperializmu nazywa się to podziałem stref wpływów.

Jakże potem żałuje Burda, że się w tym znamionującym wojnę podziale w porę nie połapał! Sprzedałby Vestriemu kopalnię i to pod „patriotycznym" szyldem przyciągania obcego kapitału do kraju!

Sprawy te wychodzą jednak na jaw niejako na marginesie intrygi Vestriego. Ale sam Vestri nie jest postacią w pełni zrozumiałą. W czyim to imieniu ów szczwany bankier wykupuje akcje polskiego przemysłu na pięć minut przed dwunastą? Jaką to historycznie znamienną linię polityki imperialistycznego kapitału wobec Polski tuż przed podbojem hitlerowskim reprezentuje działalność Vestriego?

Autor nie daje na to pytanie odpowiedzi. Dlatego też, choć sam rozwój intrygi Vestriego odkrywa pobocznie ważne sprawy — jej punkt wyjścia nie jest realistycznie umotywowany.

■

Nie tylko polityczne i gospodarcze, lecz także wojskowe przyczyny klęski odczytać możemy z fabuły powieściowej.

Najpierw więc — w przeddzień wybuchu — stosunek i rozłożenie sił obu stron oraz „myśl operacyjną" sanacyjnego dowództwa. Następnie — w rozległych obrazach całego teatru wojny jej najważniejsze wydarzenia: miażdżący raid hitlerowskich czołgów po trasie Częstochowa — Piotrków — Tomaszów,

który już w trzecim dniu rozstrzygnął o wyniku wojny; i drugie decydujące skrzydło kampanii: bój nad Narwią, incydent różański i oskrzydlenie Warszawy od północo-wschodu. Autor dobrze ukazuje wpływ tych dwóch głównych klęsk na losy wojny, na atmosferę stolicy.

Dalej — poznajemy jakby wcielanie się w życie kardynalnych nonsensów planu operacyjnego, uwydatnionych uprzednio w dramatycznej scenie w Sztabie Generalnym. Więc absurd rozciągniętej wzdłuż całej, otwartej granicy linii obrony — choćby w losach oddziałku Markiewicza, rozgromionego pierwszym uderzeniem; więc przedziwne dzieje wysuniętej na zachód Armii „Poznań", bezczynnej przez pierwszy tydzień wojny i wreszcie odciętej od kraju; jej walki pod Kutnem, rozproszenie i przedzieranie się jej szczątków przez Puszczę Kampinowską do Warszawy; więc absurdalne umiejscowienie Armii „Prusy" i jej program w chaotycznych walkach.

Poznajemy także błędy domorosłej taktyki sanacyjnych fachowców: zaściankową tezę o „wszechmocy dywizji piechoty" i wynikające z niej operowanie pojedynczymi jednostkami — w losach trzech rozbitych dywizji, rzucanych kolejno dla powstrzymania pancernego zagonu; zaściankową tezę o „wszechmocy karabinu maszynowego" i nieprzydatności czołgów na „polskich drogach" — w doświadczeniach żołnierzy Markiewicza.

Poznajemy niewiarogodną wprost głupotę wojskową Naczelnego Dowództwa, odmawiającego zezwolenia na atak bezczynnej armii poznańskiej; nieudolność jego rozkazów, rozbijających jeszcze przed dotarciem do frontu dywizję Zakrzewskiego; działanie agentur hitlerowskich w samym sercu Sztabu Generalnego — ów „as wywiadu polskiego", kapitan Ślizowski, jest przecież inspiratorem rozkazu, niweczącego polski sukces pod Rożanem; on kradnie ważny plan operacyjny; on podsuwa myśl ewakuacji Warszawy.

Doboszyński wyjawił na procesie ciekawy szczegół taktyki hitlerowskiego wywiadu: różnymi sposobami przekazywał on wywiadowi polskiemu najprawdziwsze dane wojskowe celem... przerażenia przeciwnika ich wymową. Tak właśnie działa wszechwiedzący „as", Ślizowski, rzucając panikę na Sztab Generalny.

Autor doskonale odsłania złożony mechanizm zdrady: agent hitlerowski nie działa oczywiście jawnie, ale działa skutecznie tylko dzięki faszystowskiej soldatesce. To na skutek „instynktu wiania" Burdy i Rąbicza podsunięta myśl ewakuacji nie budzi podejrzeń i trafia na podatny grunt; to na skutek klikierskiej nienawiści Rąbicza do „odsuniętego" Knothego — udaje się kradzież planu.

Niewątpliwie, dla ludzi nieorientujących się w stosunkach przedwrześniowej soldateski, szpiegowska działalność Ślizowskiego nie jest łatwa do odszyfrowania. Autor nie pokazuje jej wprost, wzbudza tylko w czytelniku podejrzenia licznymi sugestiami i aluzjami. Ten typ przedstawienia, choć może być przyczyną niepełnego odbioru czytelniczego, jest jednak jedynie możliwy: przedstawienie to musi się zatrzymać na tej granicy, na jakiej znajduje się nasza dotychczasowa wiedza o autentycznych faktach kampanii wrześniowej. Nie możemy w tej chwili powiedzieć, jak dokładnie miała się sprawa z fatalnym rozkazem rożańskim czy rozkazem ewakuacji. Ale mamy wszelkie podstawy do domysłów, że w obu wypadkach działała nie zidentyfikowana jeszcze bez reszty zdrada. Ten stan rzeczy narzuca autorowi odpowiednie ujęcie: nie mogąc ostatecznie stwierdzać niewyjaśnionego przebiegu faktów, po-

przestaje on na niedwuznacznych zresztą sugestiach.

*

Poza ścianami Sztabu Generalnego, w którym grupka bankrutów nie potrafi opanować sytuacji wojennej — walczy i cierpi naród. Autor obrazuje jego istotne procesy i doświadczenia, wyniesione z lekcji wrześniowej.

Liczne sceny zbiorowe ukazują powszechną odrazę do hitleryzmu, gotowość ofiarnej walki. Ukazują jednak zarazem nieprzygotowanie ludności do tego, co przyniesie wojna. Pierwszego jej dnia — listonosz Lebioda z Zabórza widzi „biało-czerwoną chorągiewkę na dziobie samolotu", żołnierze nad granicą nie mogą zrozumieć, że to, co „huka w lesie" — to czołgi. Widzimy w powieści winowajców tego stanu świadomości — to nieskrępowane bajdy „dziennikarki reżimu" Gaysse-Tarnobrzeskiej, tępota sanacyjnych fachowców od wojska.

Ale obserwujemy równocześnie, jak obnażone prawdy Września targają ciaśniutkim umysłem różnych zahukanych ludzi. Jeżeli tylko zdrowy był klimat ich uczuć, nie załgane sumienie — prawdy te wzbudzają w nich twórczy ferment.

Tak spod skorupy wtłoczonych pojęć reżimu budzi się w Markiewiczu podziw i ciążenie ku ludziom, których kazano mu nienawidzieć. Dobrze jest uchwycona psychologia tego przełomu: Markiewicz nie rozumie jeszcze ani przyczyn tej przykazanej nienawiści, ani idei komunizmu, ale już porywa go nieodparta prawda czynów jego przedstawicieli. Można by przypuścić, jak to się dzieje w utworach niektórych schematystów, że Markiewicza przeobraża do gruntu czyjeś przemówienie wygłoszone na barykadzie.

Są i odwrotne skutki hitlerowskiego zalewu: to pan Nowak, „chrześcijańsko-narodowy" kupiec z Zabórza poczuje nagle przywileje „aryjskie" i nie wypłaci Żydowi długu. Dobrze jest uchwycona psychologia tego „przełomu": widzimy jak pod przykryciem żałosnej „dumy narodowej" kupczyka przyjmuje się faszyzm.

Lekcję Września przeżywają w powieści także tłumy uchodźcze na drogach ewakuacji, tłumy żołnierskie na drogach odwrotu. W tych masowych scenach najmocniej brzmi osąd narodu nad wyrywającą w samochodach władzą. Autorowi udało się odtworzyć atmosferę tych dni, kiedy pod ciosami mocniejszego faszyzmu pierzcha faszyzm słabszy, wali się jego policyjne państwo i na polu walki pozostaje jedyny wierny obrońca ojczystej ziemi — jej lud. Na ostatnich kartkach powieści pomimo wzrastania rozmiaru katastrofy oczyszcza się przygnębiająca atmosfera obrazów: jest połowa września, wyciekła ku Zaleszczykom ropiejąca gangrena tej ziemi, w oblężonej stolicy uzbrajają się i stają na barykadach robotnicy.

Sceny te mają głęboką, realistyczną wymowę. Rzeczywistymi wydarzeniami dokumentują one, że tylko uwolniony z więzów rodzimego faszyzmu lud mógł zorganizować walkę z faszyzmem obcym. Widzimy, że na skuteczną obronę jest już za późno. Ale widzimy też siłę, która ocali przyszłość narodu. To Walczak, podrywający do szturmu bezradnych żołnierzy i ginący bohaterską śmiercią Mariana Buczka. To garstka ocalałych z więzień komunistów, tworzących w stolicy bataliony robotnicze, jak ów towarzysz Edward. To oddzielony od grupy i wędrujący na wschód Kalwe — powieściowy wizerunek Alfreda Lampe, który w parę lat później kierował w Związku Radzieckim wielką patriotyczną pracą nad utworzeniem odrodzeńczej organizacji narodu polskiego. I jako oparcie tej przewodniej siły — masy robotnicze i żołnierskie,

Krawczykowie i przetworzeni lekcją Września Markiewicze.

W przejmujących obrazach ukazuje autor siłę patriotyzmu i jasność przekonania przywódców polskiego ruchu komunistycznego. To szczuty jeszcze w dniach wojny Krygier może dać odpowiedź zrozpaczonym żołnierzom: „A zresztą — rzekł cieplej — żebyście wiedzieli... My, nikt inny... My — ręką przed siebie, na Warszawę, na wschód pokazał."

Na realistyczną prawdę Września składa się nie tylko gruntowna demaskacja tych, którzy pogrom przygotowali, lecz również ukazanie tych, którzy go z losów narodu wymażą. I dlatego obraz najtragiczniejszych naszych przeżyć wzbudza w nas optymistyczną świadomość.

*

Trzeba postawić książce poważny zarzut: o ile reprezentanci sanacji przedstawieni zostali z doskonałą ostrością i plastyką — to przedstawicielom ludu brak jest tej pełni. Rzecz sprowadza się oczywiście do znanego problemu: lepszej znajomości środowisk burżuazyjnych i rozkładowych cech psychiki człowieka przeszłości, słabszej znajomości środowisk ludowych — twórczych i odrodzeńczych cech psychiki człowieka przyszłości. W powieści nie ma ani jednej postaci pozytywnej, która by przeciwstawiona została postaciom negatywnym z równą plastyką.

W obrazie rodziny Krawczyków razi mnie np. ujęcie, które nazwałbym „przykucaniem przy prostym człowieku". Objawia się ono w jakiejś mimowolnej infantylizacji postaci: prostota staje się tu czasem naiwnością.

Nerwem pisarskim Putramenta jest demaskatorstwo. Słabiej wypadają rysy ciepłe, przyjazne, przejmujące odblaskiem czystego życia.

Żywioł demaskatorskiego ośmieszania dominuje niekiedy w scenach, w których realistyczne wymogi bynajmniej tej dominacji nie uprawniają. Jednym z pisarskich sposobów demaskowania jest groteska. Siłą rzeczy przeważa ona w obrazach ludzi sanacji. Ale niesłuszne jest, że służy ona także uwydatnieniu naiwności i nieświadomości pewnych zdrowych w istocie warstw społeczeństwa — Markiewicza (w scenie przekazywania broni), czy profesora (w scenie kopania okopów).

Można zrozumieć, dla jakich celów autor posługuje się tu groteskowym przedstawieniem: aby pokazać, jak faszystowski cynizm Burdy poniewiera patriotycznymi uczuciami tych ludzi jak wyprowadza w pole ich zbyt prostą wiarę. Otóż jest niesłuszne, że te uczucia i ta wiara pozostają w powieści w jednej tylko relacji — nieświadomości i naiwności, na które skazywało je oszustwo Burdów. W konsekwencji — że widnieją tylko w przedstawieniu groteskowym.

Autor ukazuje niedojrzałość pewnych zdrowych kręgów narodu do zrozumienia sytuacji, ale czyni to tak, że i na samym ich patriotyzmie pozostaje piętno ośmieszenia. Wprawdzie groteskowość przedstawiania ludzi tych kręgów zniknie od chwili, gdy wydarzenia wrześniowe gwałtownie rozbiją ich naiwność: wtedy już tylko czysty tragizm, wolny od ośmieszających domieszek, przemawia z ich myśli i czynów. Jednak nie mogę darować autorowi ich „sierpniowej" groteskowości. Myślę, że metoda pobudzania twórczej udręki naukami przeszłości posunięta tu została zbyt daleko: osłabiła powagę uczuciowej gotowości narodu do przeciwstawienia się hitlerowskiemu najeźdźcy.

Niedostatek ten objawia się także i w inny sposób: niewiele jest w powieści postaci, z którymi możemy sympatyzować. Szkoda, że nie wprowadzono

p. ludzi antyfaszystowskiej inteligen-
ji. Jest to oczywiście zarzut z gatunku
wszystkoizmu". Ale od powieści-pano-
amy społecznej można chyba wyma-
ać pełnej prezentacji sił społeczeństwa
v ich typowych proporcjach.

*

Parokrotnie już uwydatniałem powy-
ej cechy sztuki pisarskiej, które po-
woliły autorowi udźwignąć pełny cię-
ar tematu: Nie trzeba już rozwijać
prawy realistycznego symbolu, zawie-
ającego taki koncentrat historycznej
reści, że można by z niej wysnuć roz-
rawę. Wagę ma jednak także rozłoże-
nie tych symbolów w kompozycji po-
wieści. Tak np. rozpoczęcie obrazu woj-
y od ataku hitlerowskich czołgów pod
Wieluniem od razu i najlepiej oddaje
tmosferę i dalsze dzieje Września.

Drugą znamienną cechą artyzmu Pu-
ramenta jest dramatyzm. Autor W r z e-
n i a jest mistrzem konfliktu. Każdy
braz czy dialog kipi od ścierających
ię sprzeczności: wielkich, politycznych,
zy też małych, osobistych. Np. w roz-
nowach Rąbicza ze Ślizowskim pulsuje
ieustannie spryt, podstęp, poza tych
lwóch graczy. Tej zalecie zawdzięczają
ównież pasjonującą żywość dyskusje
olityczne (np. rozprawa Burdy z wy-
łannikami „opozycji"). Specjalnym
rzejawem nerwu dramatycznego jest
olejne odzwierciedlenie reakcji na wy-
uch wojny przedstawicieli różnych
varstw społecznych.

Dramatyzm i precyzyjność analizy
sychologicznej dają w sumie bardzo
lastyczny obraz większości występują-
ych postaci. Ich przemiany nigdy nie
ą forsowane „na wyrost", nie wyprze-
zają ich możliwości historycznych i oso-
istych. Każda z postaci przechodzi ewo-
ucję tego rodzaju i w takich okoliczno-
ościach, jakie są najbardziej prawdo-
odobne dla jej typu społecznego i in-
lywidualności.

Anna nie stanie się niczym więcej, jak tylko energiczną wybawczynią zagrożonych koni. Ale nie mamy wątpliwości, co ten czyn w jej duchowym rozwoju oznacza.

Do kupca Nowaka faszyzm podchodzi w tej dziedzinie jego życia, w której najbardziej właśnie oddziaływał na drobnomieszczaństwo.

Markiewicz nie przekroczy kręgu swych ówczesnych możliwości.

A ponadto wszystkie te przykłady pokazują, jak ludzie stają się inni w praktyce życia, pod wpływem swoich doświadczeń.

Autor umie również posługiwać się pokładami uczuciowymi, jakie nawarstwiła w nas tradycja literacka. Rozdział o śmierci Jasia Przewiędy samym swoim stylem, obrotem zdania, leksyką przypomina pisarstwo ówczesnych pozytywistów i już tym tylko wywołuje sugestię o Jankach Muzykantach sanacyjnych rządów.

Każda powieść ma swoją polityczną wymowę. Ale są powieści, w których polityka jest zawarta nie tylko jako ich obiektywna funkcja, lecz także jako ich zasadnicza materia. Ten typ powieści odpowiada chyba najbardziej talentowi Putramenta. Ten typ powieści odpowiada też najbardziej tematowi Września. Połączenie tych dwóch właściwości dało nam pasjonującą, głęboką książkę. W r z e s i e ń powieściowy uczy tyleż, co Wrzesień rzeczywisty.

Andrzej Wasilewski

FRANCISZEK FENIKOWSKI: *Zakręt pięciu gwizdków*. Gdańsk, 1951. Wydawnictwo Morskie; str. 249.

Załoga Stoczni Gdańskiej przechodzi do produkcji własnych, pełnomorskich rudowęglowców, aby w ostatniej scenie spuścić na wodę, w obecności ministra, pierwszy z nich, nazwany imieniem jednego z przodowników pracy. To część „produkcyjna" powieści. Pa-

weł Daniec wraca do kraju i po początkowych uprzedzeniach i niechęci do nowych stosunków, staje się po pewnym czasie ich zdecydowanym sojusznikiem. To temat „moralny". Wreszcie Norbert Barton, wysłannik imperialistów, syn byłego właściciela łódzkiej manufaktury, organizuje sabotaże w stoczni, by w końcu powieści zostać zdemaskowany i aresztowany. To wątek sensacyjno-zaciekawiający. Kompozycja powieści Franciszka Fenikowskiego polega na powiązaniu tych trzech głównych wątków. Autor nie wysuwa żadnego z nich na czoło. Wszystkie mają w ramach całości tę samą wagę.

Za tym idą konsekwencje w kreowaniu postaci powieściowych. Cała wiedza czytelnika o nich ogranicza się w zasadzie do podawanych informacji o ich specjalizacji, do obrazu ich zajęć. Postaci sabotażystów — to byli kapitaliści i gestapowcy, alkoholicy i zbrodniarze. Fenikowski pokazując rozgrywający się dramat przeciwstawia właściwie nie ludzi, przeciwstawia „produkcję" i sabotaż, pracę i szkodnictwo — ludzie służą tylko ilustracji, przykładowemu pokazaniu odpowiedniej postawy ideowej.

Zastanówmy się bardziej szczegółowo nad obrazem życia zasadniczych grup antagonistów: stoczniowców i sabotażystów. Oto rodzina Szwedkowskich — najbardziej bliscy czytelnikowi reprezentanci obozu pozytywnego. Ojciec, stary robotnik — stoczniowiec, jeszcze przed wojną sojusznik komunistów, córka — kasjerka w biurze Zakładu Osiedli Robotniczych. Obydwoje są bardzo przywiązani do swego dotychczasowego życia: Szwedkowski jest majstrem, solidnym, punktualnym pracownikiem, lubi bardzo swój fach i cieszy go rozwój stoczni. Jest dobroduszny, spokojny, nie robi nikomu krzywdy. Gazet ani książek nie czytuje, niedzielne dni spędza przy partyjce kart. Jego córka, Marta, jest bardzo troskliwą gospodynią domu, równie łagodną i lubianą przez swych kolegów, jak ojciec. Mieszkają w zacisznym, ciepłym mieszkaniu, w którym nagromadzone są różne pamiątki po zaginionych członkach rodziny.

Oto lokator Szwedkowskich — Piotr Daniec, mechanik na holowniku, zaprzątnięty myślą o awansie i uparcie dążący do jego osiągnięcia. Zakochany jest w śpiewaczce Ninie Zielińskiej, ładnej, trochę głupiutkiej dziewczynie z dawniej zamożnego, mieszczańskiego domu. Dom Zielińskich staje się w ten sposób szkołą kulturalnych manier Piotra.

Wreszcie Nowak — samotny, starszy robotnik, członek egzekutywy partyjnej na stoczni. Ten jest bardziej energiczny, ustosunkowany bardziej krytycznie do otoczenia, orientujący się, że powtarzające się na stoczni wypadki nie mogą być przypadkowe. Nowak kreowany jest przez pisarza trochę na ascetę. Nie ma rodziny. Jego domowe sprawy załatwia Marta.

O działalności egzekutywy partyjnej i Rady Zakładowej Stoczni Gdańskiej mówi Fenikowski raz jeden: obie te instytucje organizują koncert w związku ze spuszczeniem na wodę pierwszego statku. Na tym zebraniu egzekutywy omal nie dochodzi do przyjęcie partii groźnego sabotażysty, na razie wprawdzie nie wykrytego, ale i nie zasługującego niczym na przyjęcie. Udaremnia je protest Nowaka, który argumentuje tak: „— Nie mam konkretnego dowodu złej woli Maja, tylko podejrzenia, więc ze sprawą przyjęcia go trzeba zaczekać, chociaż się go może krzywdzi". Wygląda na to, że w stoczni przyjmowano do partii nie wyróżniających się pracowników, tylko wolnych od podejrzeń (a trzeba przypomnieć, że są to miesiące poprzedzające zjednoczenie partii, a zatem miesiące oczyszczania szeregów partyjnych).

Teraz dla przeciwstawienia — obóz
ıbotażystów. A więc: Norbert Barton,
k już wspomniałem, były kapitalista,
ynik, pozbawiony wszelkich ludzkich
czuć w stosunku do swoich podwład-
ych. Zna tylko dwa uczucia: nienawiść
ɔ Polski Ludowej i strach przed swymi
ocodawcami oraz przed zdenaskowa-
ıem. Alfred Walkiewicz, dawniej agent
olicji hitlerowskiej, notoryczny alko-
olik, wypełniający wszystkie polece-
ıa Bartona po to, aby zdobyć pienią-
ze na wódkę. Wreszcie Maj — tchórz,
tóry chce zarobić „na boku", ale boi
ę stałego uczestnictwa w bandzie i
tóry tchórzliwie tylko „pokazuje" i
ɔomaga".

Jak zatem przebiega granica dzielą-
ı obydwa obozy? Otóż granica ta ma
lko pozory barykady klasowej, dzie-
cej odmienne, antagonistyczne ideo-
gie, odmienne, przeciwstawne sobie
teresy klasowe, odmienną moralność,
dmienną postawę społeczną. W powie-
ı Fenikowskiego obóz sabotażu na-
era rysów zwyczajnej grupy bandyc-
ej, podejmującej brudną robotę dla
robku. Obóz ten — to ludzie stojący
ı prostu poza prawem i zarobkujący
charakterze gangsterów przemysło-
ych na życie. Barton ma bardzo wy-
źne rysy szefa bandy gangsterskiej,
kiegoś marniutkiego Costello, z port-
lem wypchanym banknotami, które
jedyną metodą podporządkowania
bie reszty. A tamci ze stoczni? To
óz ludzi spokojnych, łagodnych, chro-
onych przez prawo. Ich praca jest
nna, bo jest źródłem bogactwa, ich
aca jest pożyteczna — to bla-
, letnie określenie, wydaje mi się,
aściwie określa taki obraz, jaki wy-
nia się z powieści. Ich radość jest
ostą radością ludzi, którzy stwarzają
oją pracą użyteczne przedmioty.
dzień wolny od pracy zjedzą obiad
otowany przez gospodarną Martę
zagrają sobie przyzwoicie w skata.

A gangsterzy? Ich rozrywką jest pijaństwo w obskurnych szynkach, w najlepszym razie w nocnych lokalach. Innymi słowy jedni są porządni, drudzy zbrodniczy, jedni pracują i odpoczywają — drudzy niszczą, mordują i hulają, jedni są dobrzy, drudzy są źli. I w ten sposób autor zgubił w powieści klasowe wyznaczniki toczonej walki. To nie są przedstawiciele antagonistycznych klas. To są ludzie bezwzględnie źli i bezwzględnie dobrzy w jakimś ponadklasowym, idealnym sensie.

Taki sposób zawiązywania konfliktu powieściowego spowodował, że książce brak ładunku mobilizującego, brak w niej ukazania perspektyw socjalistycznej przyszłości. Chodzi mi tu, rzecz jasna, nie o opowiadanie o fantastycznych planach produkcyjnych, ale o pokazanie, jak ludzie w stoczni zmieniają się, jak dojrzewają, jak stają się członkami socjalistycznego społeczeństwa w swoim stosunku do pracy, do własności, do kultury, do towarzyszy. I nie ulega wątpliwości, że zmianom w przeciwnym kierunku ulega światopogląd i moralność ludzi z obozu wrogów. Fenikowski nie pokazał rozwoju i przekształceń człowieka, jego postaci są już „gotowe", albo złe, albo dobre, zależnie od tego, jaką rolę przeznacza im w powieści autor. Innymi słowy moralność, postawa życiowa, jaką u swoich postaci pokazuje Fenikowski jest metafizyczna.

Może najsilniej klasowe korzenie takiej interpretacji moralności demaskują się wtedy, kiedy autor pragnie zbliżyć postaci pozytywne do czytelnika, kiedy chce dać im cechy upiększające, poruszające uczuciowo czytelnika. Bo cechy te nie będą w zasadzie wykraczały poza cztery ściany rodzinnego mieszkania, będą się wyrażały „porządnym" prowadzeniem się, przywiązaniem do rodziny, zaletami gospodarskimi. W drugim rzędzie cechy te będą

miały charakter trwałej dyspozycji psychicznej, takiej jak pracowitość, łagodność, cierpliwość, pogodny charakter, dobroduszność, w najlepszym wypadku koleżeńskość. A Nowak? — można zapytać. Przecież to aktywista partyjny! Na przykładzie Nowaka potwierdza się jeszcze raz bezradność autora wobec sprawy kreacji pozytywnego bohatera. Co wiemy „dobrego" o Nowaku, poza tym, czego już dokonał przed zdarzeniami powieściowymi? Wiemy, że jest doskonałym niterem. Wiemy, że często w rozmowie z towarzyszami głosi hasła produkcyjne i polityczne. Swoje nieprzejednanie ideowe wyraża tym, że nie chce grać w karty z drobnomieszczańskim fryzjerem. I wreszcie co najważniejsze dla powieści: najwcześniej orientuje się, że w stoczni działają sabotażyści. Ale jak na to reaguje? Czy może zwołuje zebranie załogi, uświadamia robotnikom niebezpieczeństwo, zapewnia sobie w jakiś sposób ich pomoc? Nie, Nowak sam zabawia się w detektywa, obserwuje Maja, zagląda do jego życiorysu, wreszcie na zebraniu egzekutywy stawia wniosek, aby podejrzanego śledzili nieznacznie członkowie egzekutywy. I w ten sposób komunistyczny działacz robotniczy okazuje się w walce klasowej odosobnionym partyzantem.

Na tle tak narysowanego frontu przyjrzyjmy się teraz postaci niewątpliwie najciekawszej, postaci Pawła Dańca, który wraca z zagranicy. Kim jest Paweł Daniec? Jest synem kowala. Przed wojną uczył się kilka lat na Politechnice. Walczył w 39 roku. Potem znalazł się za granicą, na Zachodzie, przeżył wiele wrażeń i przygód i z początkiem 1948 r. wraca do kraju. Paweł tak wyjaśnia przyczyny swego powrotu: „...Ale widzi pan, ja nie mogę po prostu nigdzie dłużej zagrzać miejsca. Taki już ze mnie niespokojny duch! Zjeździłem kawał świata, no a teraz chciałbym zajrzeć wreszcie do domu. Bądź co bądź, osiem lat, to spory szmat czasu... Ta tak zwana „nostalgia" to nieprzyjemne uczucie! — zamyślił się, a po chwili dodał z młodzieńczą żywością — zresztą mam nadzieję, że i po tej stronie „żelaznej kurtyny" nie zabraknie mi wrażeń!" Tymczasem wbrew tym słowom Paweł zachowuje się zgoła inaczej. Spotyka swego brata Piotra, wprowadza się do niego i wkrótce zapłonie afektem do łagodnej, cichej, gospodarnej Marty. Przyjmuje pracę kreślarza w stoczni, a wolne chwile spędza na spacerach z Martą, oglądając stare uliczki Gdańska a także budujące się domy, gdyż Marta ma w jednym z nich otrzymać mieszkanie.

Innymi słowy z rozhulanego obieżyświata zmienia się w spokojnego, zrównoważonego, „porządnego" człowieka. Raz przytrafia mu się wskutek nieporozumienia z Martą pijaństwo i nieobecność w stoczni, ale potem poprawia się. I kiedy Barton, znający jego poprzednie wynurzenia, chce wciągnąć go do bandy, Paweł odpowiada: „Dawniej, widzisz, życie niosło mnie jak powódź... Chodziło mi tylko o to, żeby nie utonąć... A dziś jest inaczej. Wiem dokąd chcę płynąć! W zupełnie przeciwną stronę niż ty... Przyjęli mnie tu jak rodzina. Pracuję, lubią mnie i ja ich lubię i cenię. Mogę skończyć studia, założyć dom..."

I znów mamy podobny schemat: argumentacji narażania życia, niepewności jutra, kompromisom moralnym przeciwstawia Paweł rodzinne bezpieczeństwo, spokój, zabezpieczenie materialne. Brak tylko marzeń o książeczce PKO z zaoszczędzoną sumką a obraz byłby pełniejszy. Czyli metamorfoza Pawła nie ma nic wspólnego z jakąś rewizją światopoglądową. Ot, po prostu chłopiec przekroczył trzydziestkę i nie w głowie mu włóczęga i przygody. Chce żyć spokojnie i mieć zapewniony by

Metamorfoza ta odpowiada w zupełności układowi frontu ideowego, który tworzyły obydwa obozy uwidocznione poprzednio. I jeszcze raz uświadamiamy sobie tę sprawę na przykładzie Alojza Klawittera, którego także sabotażyści pragną wciągnąć do bandy. Jedyne, co mu mogą dać, to pieniądze i alkohol.

Obraz Polski Ludowej, jaki się wyłania z powieści, nie uwidacznia jakościowej odrębności nowej Polski, całej problematyki związanej z nowym układem klasowym, nie pokazuje socjalistycznych perspektyw. Mentalność wszystkich bohaterów mieści się w całości w ramach światopoglądu drobnomieszczańskiego. Słowa ślubowania z ostatniej sceny o „niezłomnym staniu na straży zdobyczy klasy robotniczej" nie mają zupełnie w powieści oparcia.

Zastrzeżenia wzbudzić musi także językowa tkanka powieści. W książce często natrafiamy na opisy i metafory bądź sztuczne i napuszone, bądź zbanalizowane i nijakie. („Za nią biegły wspaniałe, rozwichrzone włosy o uderzającym kolorze...") Niepotrzebne jest częste posługiwanie się żargonem lumpenproletariackim, cudzysłowem. Wreszcie zdecydowanie oszczędzić mógł czytelnikowi Fenikowski starych dowcipów.

Mankament ostatni — korekta książki. Jest bardzo niestaranna. Ale to już nie wina autora.

Włodzimierz Maciąg

B. BRAJNINA: *Konstatin Fiedin*, Moskwa 1951, Sowietskij Pisatiel; str. 285.

Książka Brajninej o Fiedinie jest próbą pokazania ewolucji twórczej pisarza, który zatrzymany przez pierwszą wojnę światową w Niemczech poznał dokładnie świat zmilitaryzowany, zetknął się blisko ze światem tępych i zadufanych Bürgerów, przyjrzał się szowinistycznym demonstracjom w Norymberdze i — w roku 1918 bez wahania wrócił do ojczyzny.

Rewolucja Październikowa wyznaczyła miejsce Fiedina jako człowieka oraz jego miejsce jako pisarza. Publicystyka, którą uprawia w tym okresie na łamach pism na przykład w Syzraniu (Otkliki i Syzranski Komunar), świadczy o stopniu jego zaangażowania się w sprawie rewolucji, o tym, że żadna z tych spraw nie jest mu obca. Walka jego na froncie w czasie ofensywy Judenicza jest wyrazem zdecydowanej postawy w stosunku do rzeczywistości rewolucyjnej. Mimo to — twórczość Fiedina, i to jest zasadnicza teza Brajninej, jest wyrazem często sprzecznych tendencji, świadczących o tym, że przeżytki kapitalizmu nie były przez pisarza od razu przewyciężone, że jego droga twórcza jest drogą walki o postawę komunisty w stosunku do rzeczywistości i o realizm socjalistyczny jako metodę twórczą.

W pierwszym etapie twórczości walka tych sprzecznych tendencji: głębokiego uczucia dumy narodowej, gorącego patriotyzmu, pogardy dla burżuazyjnego Zachodu — uczuć, które kazały mu natychmiast i bez wahania opowiedzieć się za rewolucją — walka tych uczuć z przeżytkami starej świadomości drobnomieszczańskiej dała jako wypadkową apologię żywiołowego charakteru rewolucji, nie uzbroiła dostatecznie pisarza do walki z wrogimi rewolucji nastrojami i poglądami. Z tej tezy zasadniczej — o niedostatecznej obronności, sile oporu pisarza, poddawaniu się wpływom i nastrojom wrogim rewolucji — wyprowadza autorka kontakt Fiedina z grupą *Serapionowy bratia.*

Wypowiedzi głównego teoretyka Łunca, który z przekąsem i jadem negował prozę rosyjską, negował rolę i znaczenie rewolucyjno-demokratycznej literatury rosyjskiej — zarzucał jej, że „jest wyłącznie odbiciem ideologii, pro-

gramu, że jest zwierciadłem publicystyki, że przestała istnieć jako sztuka, że uratować ją może jedynie mechanika akcji", postawa walcząca grupy w stosunku do tradycji narodowej, to stanowiło trzon teoretyczny grupy, która stała się szkołą Fiedina. Musiał ustosunkować się do metody ujmowania utworu jako sumy „formalnych chwytów", a procesu rozwoju literackiego jako „autonomicznego tworzenia literackich form", do ujmowania utworu literackiego niezależnie od życia, od idej, operując jedynie i wyłącznie pojęciem „wewnętrznego prawa". Utwór jako „rzecz" zrobiona dobrze lub źle, chwyt jako kryterium jego wartości — ta teoria grupy stała się szkołą młodego pisarza. I tutaj podkreśla Brajnina sprzeczności: Fiedin będąc w grupie *Serapionowy bratia* toczył spory z niektórymi koncepcjami, walka jednak prowadzona przez niego nie była prowadzona z pozycji świadomego swych zadań pisarza proletariatu, stąd niedostateczne rozszyfrowanie istotnego sensu, istotnych założeń grupy. Ujmował ją jako „swoistą szkołę kunsztu", twórcze laboratorium, w którym miała zrodzić się nowa literatura epoki wojny i rewolucji. Złudzeniom tym ulegał Fiedin później, dał temu wyraz w książce Gorki wśród nas. Możliwość porozumienia Fiedina z tą grupą literacką zrodziła się, jak mówi Brajnina, na gruncie fałszywie rozumianej swobody tworzenia i teorii o ponadklasowości sztuki. Tutaj, w niewłaściwej perspektywie historycznej albo braku perspektywy, mają swe źródło wszystkie opory, walka sprzecznych tendencji twórczości Fiedina, chociaż rewolucja staje się dość wcześnie zasadniczym elementem jego twórczości.

Z rozdarcia wewnętrznego Fiedina, z niejasności pozycji ideowych, z atmosfery drobnomieszczańskiego indywidualizmu, wyrósł pierwszy tom opowiadań (1919—1923). Fiedin sam nazwał swe ciągoty formalistyczne „literacką odrą", nie potrafił dopatrzeć się w niej poważnej choroby natury światopoglądowej. Stąd obok pewnej krytyki starego świata, stosunków burżuazyjnych, demaskowania burżuazji i mieszczańskiego ducha — tego, co potrafił Fiedin wyrazić zgodnie i nawiązując do tradycji realizmu krytycznego — beznadziejność, pesymizm, filozofia męczeństwa, dostojewszczyzna w psychologizowaniu i naturalizm w opisie. Stąd wymyślność języka, ucieczka od wyrazistości znaczeniowej słowa, ciągoty w kierunku umuzycznienia, sfonetyzowania jego istoty.

Charakterystyczne, że jedyne opowiadanie, którego tematem jest rewolucja, S a d, tematem, który tak był Fiedinowi bliski — uderza beznamiętnością obserwacji, obojętnym przyglądaniem się autora temu co dobre i temu co złe. Atmosfera dekadentyzmu i estetyzmu *Serapionowych bratiew* w zetknięciu z nie dość mocną postawą ideologiczną pisarza, wycisnęła swe piętno na pierwszych próbach literackich młodego Fiedina. Dalsza ewolucja twórcza pisarza — to walka tendencji realistycznych z nalotami dekadentyzmu, walka wyrosła na gruncie coraz głębiej sięgającego przeświadczenia, że „poza rewolucją, poza narodem nie ma Rosji, nie ma ojczyzny, że zespolenie się z rewolucją to droga do domu, do ojczyzny, że to jest właśnie szczęście i jedyny sens życia". Rewolucja staje się bohaterem jego utworów, a problem „inteligencja i rewolucja", „szary człowieczek i rewolucja" stanowią trzon zasadniczy jego dalszej twórczości. Tylko, jak ciekawie argumentuje Brajnina, w obrazie rewolucji, w podejściu do niej, w jej ocenie pokutuje jeszcze pogląd inteligenta-anarchisty z jego zachłystywaniem się patosem burzenia z jego kultem żywiołu i pogardą dla

świadomej myśli rewolucyjnej. Taktyka anarchistów „myślących tylko o zburzeniu starej machiny państwowej", nie o tym, „czym i jak zastępować to co się burzy" — ta taktyka nazwana przez Lenina „taktyką rozpaczy" stała się zasadniczym schematem, z którego wyrastał obraz rewolucji w następnym etapie twórczości Fiedina. Poetyzowanie jej siły burzącej i niszczącej, jej ślepych nieopanowanych sił, żywiołu, który zmiata ze swej drogi to wszystko, co stanowi przeszkodę, wszystkich, którzy chcieliby zahamować „wicher jej lotu" — na tym polega patos rewolucji w Miastach i latach. „Taktyka rozpaczy" — według słów Lenina, nieumiejętność dojrzenia patosu roli bolszewickiej świadomości, nieumiejętność podniesienia proletariatu do podjętych świadomie istotnych interesów klasowych, do uświadomienia sobie ideału socjalizmu, jak mówi Stalin — to stało się podłożem, na którym wyrósł obraz rewolucji w utworze. Z tego podłoża wyrosło ograniczenie głównego bohatera pozytywnego, komunisty Kurta, którego przedstawia Fiedin w sposób abstrakcyjno-romantyczny, plakatowy. Nie potrafił pokazać humanizmu charakteru bolszewika, gorkowskiego patosu jego najgłębszej istoty. Fiedin-artysta widzi jedynie nie opanowany, nie dający się ujarzmić, przejmujący zachwytem i grozą potok żywiołu rewolucji. W powieści nie ma jeszcze powiązania żywiołowości ze świadomością bolszewicką. Ciekawie przeprowadza autorka ścisły związek tej postawy Fiedina z kompozycją utworu, twierdząc, że rozwichrzona psychologia bohaterów i samego autora uwarunkowała naprężoną kompozycję utworu. Akcja rozpoczyna się od końca zdarzenia, następują lata przerwy, linię akcji łamią ironiczne i liryczno-publicystyczne dygresje. Rozwichrzona psychologia znalazła swoje odbicie w często sztucznym, wymyślnym tworzywie językowym.

Inteligencko-anarchiczna koncepcja widzenia rzeczywistości rewolucyjnej, burżuazyjny indywidualizm odbił się w sposób zasadniczy na obrazie inteligencji i jej drogi do rewolucji. Odeszła ona od tego co stare, nie mogła stanąć w szeregach rewolucji, która w jej pojęciu ogranicza, niweluje indywidualność. W ten sposób pisarze wychowani przez kulturę burżuazyjną, mówi Brajnina, polemizując ze swoimi bohaterami inteligentami mimo woli stawali się niewolnikami ich idej i nastrojów. Mimo to, twierdzi Brajnina, Miasta i lata — to droga do dalszych osiągnięć, wyraźne odejście i przezwyciężenie ciągot dekadenckich, obraz tryumfu tego co nowe, postępowe, rewolucyjne, nad tym co stare i bierne, zdemaskowanie „ponurej podłości" burżuazyjnego świata. Inteligencko-anarchiczna koncepcja widzenia rzeczywistości rewolucyjnej wycisnęła swe piętno na obrazach ludu (Transwal, Chłopi, Poranek w Wiaznem), który staje się ciemną bezwładną masą, ślepo poddaną wiecznym prawom ziemi, kierującą się instynktem płci. Stąd sprzeczność w obrazie „prostego człowieka" i masy chłopskiej, tragizm jego śmierci z rąk właśnie tej chłopskiej masy. Inteligencko-anarchiczna postawa, brak wyraźnej perspektywy, nie pozwoliły jeszcze Fiedinowi na trzeźwy optymizm historyczny, na właściwe podejście do mas ludowych.

Dalszy rozwój Fiedina ujmuje autorka jako proces walki z burżuazyjnym indywidualizmem pokazanym na stosunku jednostki do społeczeństwa (Braci a). Charakterystyczne, że bohaterem tego problemu jest artysta, a zagadnienie burżuazyjnego indywidualizmu rozszerza się, przerasta w problem istoty sztuki, stosunku artysty do społeczeństwa, do narodu. Nie jest

przypadkiem, że pracę Fiedina nad Braćmi poprzedziła korespondencja z Gorkim, który pisał Fiedinowi o przerażającym rozkładzie literatury na emigracji: „ze zdumieniem, prawie z przerażeniem stwierdzam, jaki ohydny rozkład dokonywa się w ludziach, jeszcze wczoraj kulturalnych. B. Zajcew pisze bezradne żywoty świętych, Szmielew — coś nie do zniesienia histerycznego, Kuprin nie pisze, pije. Bunin przepisuje kreutzerowską sonatę pod tytułem Miłość Miti. Ałdanow też przepisuje Lwa Tołstoja. O Mereżkowskim i Gipius — nie mówię. Nie możecie sobie wyobrazić, jak ciężko jest na to wszystko patrzeć." Korespondencja z Gorkim utwierdziła Fiedina w poglądzie, że życie i tworzenie poza krajem, poza rewolucją jest niemożliwe, i to stało się zasadniczą tezą Braci, ostatecznym uświadomieniem głównego bohatera, przeświadczeniem o nicości sztuki oderwanej od gleby ojczystej, od ruchu rewolucyjnego mas ludowych. I tutaj jednak jak i w utworach poprzednich autor szamoce się w sprzecznościach, a wysuwając tę tezę zasadniczą hołduje mimo to zwietrzałym teoriom o tragedii sztuki, o konieczności odizolowania się artysty, zamknięcia się w sobie w sprawach sztuki. Te sprzeczności, które są wyrazem jeszcze trwających oporów w postawie autora, jego zainteresowania dla wewnętrznie rozdartego inteligenta, dla niepotrzebnego człowieka, tutaj jednak w Braciach się kończą. Zapowiedzią kierunku dalszego rozwoju jest pogłębienie postaci bohatera pozytywnego, bolszewika, który w coraz to pełniejszej postaci występuje w dalszej ewolucji pisarza. Na gruncie zdecydowanej i niedwuznacznej postawy wobec rzeczywistości wyrasta twórczość rosnąca i dorastająca do realizmu socjalistycznego. Dwa światy — zgniły świat burżuazji i kraj socjalizmu stają się tworzywem artystycznym, a demaskowanie burżuazyjnego świata jest najściślej związane z pochwałą moralności komunistycznej (Porwanie Europy). I znowu ciekawie pokazuje Brajnina, jak zdecydowana postawa pisarza znalazła odbicie w ścisłości, opanowaniu języka, a fakty socjalistycznego doświadczenia, odbicie praktyki ludu pracującego stają się coraz bardziej ożywczym, bogatym źródłem jego twórczości.

Etap związany z Wielką Wojną Narodową zrodził się z przeświadczenia, że Europa Zachodnia zmusiła Rosjanina, by w czasie Wojny Narodowej zastanowił się nad bardzo wieloma sprawami. Jako kontrast rażący świata siły moralnej i duchowego piękna stanęły przed oczami Fiedina w czasie procesu w Norymberdze kapitalistyczni drapieżcy — wrogowie ludzkości. Stąd problematyka Pierwszych porywów i Niezwykłego lata, zagadnienie genealogii rosyjskiego rewolucjonizmu, charakteru rewolucjonistów, którzy świadectwo swej prawości i siły moralnej składali w ciągu całego sowieckiego okresu rosyjskiej historii. Fiedin, jak mówi Brajnina, „obnaża biografię bolszewika, obraz czasu, historię drogi walki rewolucyjnej na poszczególnych etapach od roku 1910 począwszy."

Zagadnienie sztuki, burżuazyjnego pseudohumanizmu, problem inteligencji, poszukiwania pozytywnego bohatera — to wszystko, co niepokoiło Fiedina zawsze — występuje tutaj na nowo, podporządkowane jednej myśli: życie jest jałowe, bezpłodne, jeżeli człowiek przechodzi obok walki o rewolucyjną przebudowę świata. Obok tego, jako zagadnienie centralne, problem sztuki i jej stosunku do rzeczywistości sprecyzowany tutaj w sposób ostateczny: siła oddziaływania sztuki zależy od tego, czy artysta potrafi służyć narodowi, to znaczy być w czołówce walki o komunizm,

o najbardziej postępowe idee ludzkości. Tylko głęboka ideowość, bolszewicka aktywność daje pokarm talentowi, pobudza rozkwit sił twórczych. Niezrozumienie biegu dziejów, niechęć, by przez swoją sztukę brać udział w historii, prowadzi w sposób nieunikniony do wyjałowienia.

Ewolucja twórcza od dekadentyzmu, ciągot formalistycznych do realizmu socjalistycznego była drogą walki zarówno o postawę w stosunku do rzeczywistości i jej interpretacje jak i jej wyraz artystyczny. Od Psiej miłości droga prowadzi do Pierwszych porywów, pierwszego pełnego utworu realizmu socjalistycznego, w w którym Fiedin artysta dojrzał linię kierunkową rozwoju, tendencję historii, perspektywę tego, co ma nastąpić. Postawa ideologiczna i wyrastający z niej artyzm pozwoliły mu w tym utworze dorosnąć do takiego ujęcia życia, jakiego domaga się towarzysz Stalin: „Powinniśmy ujmować życie w jego ruchu i zadawać sobie pytanie, dokąd idzie życie. Widzieliśmy, że życie — to obraz ciągłego burzenia i tworzenia, a więc obowiązkiem naszym jest rozpatrywać życie w jego burzeniu i tworzeniu i zadawać sobie pytanie, co w życiu ulega zburzeniu, a co się tworzy."

Artyzm pisarza, jak mówi Brajnina, przejawia się w Pierwszych porywach w umiejętności obnażania przez sztukę praw historii.

Książka Brajninej pokazuje ewolucję twórczą Fiedina w sposób plastyczny i przekonywający. Metodologicznie ujmuje podstawowe problemy twórczości Fiedina w ich rozwoju i przemianach, a biorąc chronologię za punkt wyjścia daje obraz walki pisarza o przezwyciężenie w sobie samym tego wszystkiego, co było dziedzictwem kapitalizmu, o zdobycie tego wszystkiego, co niosła ze sobą przebogata rzeczywistość socjalistyczna. Ukazywanie tych samych problemów w nowych kontekstach daje autorce możliwość syntetyzowania zarówno poszczególnych ogniw jak i całej twórczości. Zastrzeżenia budzą podrozdziały IV, V, VI rozdziału IX, które nie są dostatecznie wmontowane w całość analizy, nie wynikają logicznie z poprzedzających, nie są z nimi organicznie związane; odskakują od umotywowanych, wewnętrznie zespolonych poprzednich. Podrozdział IV dałby się pomieścić w szerokich, poprzedzających obrazach burżuazyjnego świata, a rozdział o artyzmie wydaje się zbyt ogólnikowy, sumaryczny w stosunku do tych wnikliwych i niezwykle ciekawych uwag, jakie dawała Brajnina omawiając poszczególne utwory.

Książka Brajninej, jedna z niewielu pozycji monograficznych literatury współczesnej, poza słuszną oceną merytoryczną daje dużo ciekawego materiału dotyczącego nie tylko Fiedina i jego rozwoju; pokazuje również ciekawy kontekst historyczny, zasadnicze tendencje rozwojowe współczesnej literatury. Pierwszy okres jest związany z procesem rozpadania się starej inteligencji burżuazyjnej, działalności „twórców kultury stojących na gruncie eserowskiego pisma Myśl, w którym były minister Czernow mówił, że w Rosji rządzi nie Demos lecz Ochlos, nie naród lecz czerń, a inni szerzyli stare reakcyjne teoryjki o arystokratyzmie ducha inteligencji, o ubóstwie ducha szerokich mas ludowych. Na tym gruncie w Piotrogradzie powstają pisma: Zapiski Miecztatielej, Litieraturnyje Zapiski, Wiestnik Litieratury, o którym mówił Fiedin, że jest swoistym *requiem* starej publicystyki, starego dziennikarstwa". W Litieraturnych Zapiskach drukowano manifest *Sarapionowych bratiew*, o których już wtedy mówił Fiedin, że są różni. Niektórzy z nich łącznie z Fiedinem przezwyciężali estetyzm i burżuazyjną apolityczność, zespalając swoją

sztukę mocnymi więzami z życiem ludu i jego rewolucyjną postawą, z pisarzami takimi jak Gorki, Majakowski, Biedny, Serafimowicz, z młodym pokoleniem jak Tichonow, Wsiewołod Iwanow. Tu podkreśla Brajnina szczególnie bliski kontakt Fiedina z Gorkim, dla którego zagadnienie tego jak pisać, łączyło się najściślej z tym jak żyć, a wskazówki i rady którego Fiedin pamiętał i do których wracał. „Trzeba uczyć się patrzeć na rzeczy, odrywać się od tego co przypadkowe, zewnętrzne — na tym polega sztuka widzenia... Wy zaś bierzecie nagi fakt, bez powiązania go z drugim faktem albo z czymś wielkim, ważnym. Można było podejść do opowiadania inaczej, można było pokazać, jak na miejsce tego co umiera, odchodzi, przychodzi to, co nowe. Zjawia się śmierć i w tym samym czasie rodzi się zaczątek nowego życia.“ Przyjaźń Gorkiego z Fiedinem pokazuje autorka na tle przyjaźni Czechowa i Bunina, których zbliżało przede wszystkim „wymyślanie drobiazgów artystycznych“, na tle artystowskiej przyjaźni Flauberta i Maupassanta. Przyjaźń Gorkiego z Fiedinem wyrosła na najgorętszym pragnieniu stworzenia nowej, rewolucyjnej sztuki.

W dalszym ciągu rozwoju twórczości, poruszając motyw żywiołowości rewolucji, ustala Brajnina związek z utworami Iwanowa Pociąg pancerny 1469, Ławreniewa Wiatr, Małyszkina Upadek Dairu, Sejfulinej Wiryneja. Motyw „szarego człowieka“ odnajduje w powieści Leonowa Koniec szarego człowieka, przeciwstawiając mu prostego człowieka wyzwolonego przez rewolucję. Zagadnienie drogi inteligencji do rewolucji łączy z trylogią Aleksego Tołstoja, a zagadnienie chłopa pokazuje na tle szerokiego obrazu książek Niewierowa, Panfierowa, Wsiewołoda Iwanowa, Leonowa, Szyszkowa. Problem stosunku jednostki do społeczeństwa pozwala na ustalenie związku z Klimem Samginem, z pierwszym tomem Cichego Donu, Klęską Fadiejewa, Dobrze Majakowskiego, Rok 1918 Tołstoja, Lubow Jarowaja Treniewa i innych.

Kontynuując dzieje dalszego rozwoju twórczości Fiedina wyrastającej na tle ostrej walki klasowej, w okresie, o którym towarzysz Stalin pisał, że na obecnym etapie rozwoju literatury pięknej mamy wszystkie i najrozmaitsze kierunki aż do antysowieckich i po prostu kontrrewolucyjnych (Odpowiedź Bill-Biełocerkowskiemu) — Brajnina ustala nici łączące twórczość Fiedina z książką Ławreniewa Grawiura na drzewie, Kik Marietty Szaginian, Kawierina Artysta nieznany. Nawiązuje do Lefu, głoszonej przez niego faktografii, obiektywistycznego niewolniczego wleczenia się w ogonie faktów, realizowania hasła: „tylko to co konieczne i nic ponadto“, odnajduje echa „proletkultu“ opanowanego już wtedy przez ideologię burżuazyjną, przez ludzi, którzy poszli drogą sprzeczną z założeniami partii bolszewickiej. Proletkultowscy odrzucali klasyczne dziedzictwo kulturalne, to wszystko, co było zdobyte przez geniusz ludzki na przestrzeni wieków. Chełpili się swą domniemaną rewolucyjnością, a głosząc, że stoją na straży marksizmu szerzyli prymitywne, anarchiczne poglądy na życie społeczeństwa. Ich nowatorstwo było na pokaz i fałszywe, gdyż „teoretycy“ nawoływali do twórczości oderwanej od demokratycznych i socjalistycznych tradycji kulturalnych. Odrzucali również sprawę opanowania rzemiosła artystycznego, dowodząc, że „twórcami“ proletariackiej kultury mogą być robotnicy przemysłu, i tylko oni mogą być przedmiotem sztu-

ki. Krzyczeli o rewolucji światowej, o przebudowie nie tylko ziemi, lecz i kosmosu, ale internacjonalizm ich był fałszywy. Negując realistyczną narodową formę kultury i operując abstrakcyjną, planetarną i kosmiczną symboliką zwolennicy proletkultu dochodzili do pozycji burżuazyjnego kosmopolityzmu. Ich „rewolucyjność nie miała nic wspólnego z rewolucyjnością proletariacką. Byli wyznawcami poglądów mieńszewickich w polityce. Zasadnicza teza teoretyczna i polityczna przewidywała podział kierownictwa ruchu proletariatu na 3 niezależne, równolegle istniejące nurty: partii — walka polityczna, zawodowych — ekonomiczna, proletkultów — działalność kulturalno-ideologiczna. Przeszli obok bohaterskich walk mas na froncie, a rola ich ostatecznie sprowadziła się do tego, że szerzyli machizm w filozofii i propagowali futuryzm w sztuce. Sekciarski stosunek do rzeczywistości, jak mówi Brajnina, dawał o sobie znać, a hasło tak zwanych konstruktywistów o „socjalistycznym bussinesie" wypływa na powierzchnię. Walka idei socjalistycznych z recydywą burżuazyjnego indywidualizmu przybiera bardzo ostrą formę, szczególnie jeśli idzie o zagadnienia sztuki. W nieco zmodernizowanej formie odradzają się stare spory na temat kapłaństwa, prymatu sztuki nad rzeczywistością, na temat „inteligencji — soli ziemi".

Zejście do ludu młodzieńców z filologicznym wykształceniem, kult faktu z jednej strony, ostra negacja dziedzictwa kulturalnego z drugiej — wszystko to było płodem mieszczańskiego indywidualizmu, braku zaufania do ludu, podważania i negowania charakteru narodowego sztuki rewolucyjnej. W tym kontekście B r a c i a Fiedina — wybijają się przez właściwe postawienie zagadnienia jedności sztuki narodowej i rewolucyjnej, przez postawienie zagadnienia artysty, który jest nie tylko obserwatorem lecz bezpośrednim uczestnikiem procesów zmiany życia.

Dalsze ogniwo twórczości, P o r w a n i e E u r o p y (1934), demaskowanie burżuazyjnego świata i apologia moralności socjalistycznej, zderzenie się dwóch światów — wyrasta na tle ówczesnych wierszy Majakowskiego, Fadiejewa O s t a t n i z U d e g e, Tichonowa — W o j n a, Katajewa C z a s i e n a p r z ó d, Germana W s t ę p, Grossmana G l ü c k a u f, Erenburga B e z t c h u (1935) i D z i e ń w t ó r y (1934), Małyszkina L u d z i e z g ł u c h e j p r o w i n c j i (1928).

Wiele materiału dał Fiedinowi bezpośredni kontakt z Romain Rollandem, z którym spotkał się zagranicą w r. 1932. Brajnina przytacza ciekawy list Romain Rollanda ogłoszony w r. 1936 w Litieraturnej Gaziecie (1936 Nr 6): „Wiem, że Związek Radziecki jest najpotężniejszą gwarancją postępu społecznego i że w nim jest szczęście ludzkości. Wiem, że to nasza żywa twierdza i że gdyby ta twierdza padła, znikłaby nadzieja całego świata i nasz Zachód nie znalazłby w swych żyłach dość krwi, aby przeciwstawić się oprawcom, gwałcicielom wolności i własnej rozpaczy. Wiem, że pokój znalazłby się znowu niewiadomo na ile stuleci — pod jarzmem i zalałaby go fala brudu i krwi. Oto dlaczego mówię Obrona Związku Radzieckiego, albo śmierć."

Nieco wcześniej, w przeddzień wyjazdu z Moskwy pisał w liście do towarzysza Stalina: „Wyjeżdżam przekonany niezachwianie o tym, co przeczuwałem przyjeżdżając: że jedyny, prawdziwy światowy postęp jest związany nierozerwalnie z losami ZSRR, że ZSRR jest gwarancją, opoką proletariackiego internacjonalizmu, którym żyć będzie cała ludzkość, że naczelnym obowiązkiem we wszystkich krajach jest obrona ZSRR przed wszystkimi wrogami, którzy gro-

żą jego rozwojowi. Od tego obowiązku, wiecie o tym, drogi towarzyszu — nie odstępowałem nigdy i nie odstąpię tak długo, jak długo będę żył."

Szerokie uwzględnienie kontekstu literackiego jest niewątpliwą zasługą książki Brajninej, a merytorycznie słuszna, ciekawie pokazana ewolucja twórcza Fiedina zyskuje w ten sposób na głębi i szerokości spojrzenia.

Barbara Rafałowska

GOTFRYD KELLER: *Ludzie z Seldwili.* Opowiadania. Przekład Izabelli Czermakowej. Warszawa, 1951, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 183.

Dawni, dziewiętnastowieczni klasycy prozy niemieckiej są u nas bardzo mało znani. Gdy — na przykład — wymieniamy Teodora Fontane i Gotfryda Kellera, to poza kręgiem czytających po niemiecku fachowców nazwiska te mówią niewiele, jak gdyby były tylko suchymi hasłami z encyklopedii. A tymczasem w obydwu wypadkach mamy do czynienia ze znakomitymi epikami, którzy dzięki realistycznym wartościom swego pisarstwa należą do literatury światowej.

Z trudem dałoby się wygrzebać w bibliotekach parę starych i słabych przekładów dzieł tych autorów. Od przeszło pół wieku nie przypomniał ich nikt, nie znajdowały dla nich miejsca półki i wystawy księgarskie.

Dopiero teraz, planowo wydobywając na jaw twórczą i postępową tradycję wszystkich narodów świata, przypomnieliśmy sobie i niemiecką prozę dziewiętnastowieczną. Państwowy Instytut Wydawniczy dał nam już trzy opowiadania Kellera wyjęte z dwu tomów cyklu jego nowel pod tytułem Die Leute von Seldwyla, „Czytelnik" przygotowuje wydanie Marcina Salandra, powieści tegoż Kellera, oraz Schacha von Wuthenow Fontanego.

Miejmy nadzieję, że w najbliższych latach nasz stan posiadania w dziedzinie klasyki niemieckiej powiększy się znakomicie, dając czytelnikowi polskiemu literacki obraz ważnego odcinka dziejów epoki imperializmu. W szczególności nie wahałbym się przed wydaniem Effi Briest Fontanego, gdzie — mimo wszelkich sentymentalizmów tej powieści — widzimy jasno bismarkowsko-pruskie Niemcy z ich feudalnym, niszczycielskim poczuciem junkierskiego honoru.

Doniosłość pisarstwa Fontanego i Kellera występuje przed nami tym wyraźniej, gdy uzmysłowimy sobie stan współczesnej im literatury niemieckiej. Bo podczas gdy Francja miała swego Balzaka jako odtwórcę i krytyka rzeczywistości burżuazyjnej, podczas gdy w Anglii Dickens kreślił obrazy komedii wyborczych, natrząsał się z nicości moralnej i sybarytyzmu wiejskiej szlachty, literatura w zwolna kapitalizujących się Niemczech broniła zamierzłych przeżytków dawnego czasu, otaczała mgiełką poetyczności resztki feudalizmu lub też upiększała i na serio usprawiedliwiała pusty i filisterski byt mieszczucha. Znamienne są tutaj postacie takich pisarzy jak Karol Gutzkow, Gustaw Freytag, Fryderyk Spielhagen i Paweł Lindau.

Drogi twórcze Gotfryda Kellera (1819 — 1890) rozminęły się z literaturą tego typu. Był uczciwy i dalej sięgał wzrokiem. Postawił sobie do rozwiązania ważne problemy swej współczesności. W jego listach znajdujemy wiele wrażeń z lektury Balzaka i wiele zachwytów nad przenikliwością społeczną tego pisarza. Żywił niechęć do Ryszarda Wagnera, u którego — według trafnej definicji Lukácsa — monumentalna forma szła w parze z dekadencką psychologią, a który właśnie wtedy był u szczytu swej sławy. Keller dostrzegał rzeczywisty układ sił społecznych i

twardo stał po stronie udręczonego ludu, otaczając go ciepłem swych najlepszych uczuć, kreśląc bystrym piórem realisty jego troski i nadzieje, widząc i uznając przyszłość jedynie w oparciu o lud i jego potrzeby. Sam zresztą pochodził z ludu i znał jego niedolę.

Był Szwajcarem. Urodził się w Zurychu jako syn tokarza, który wkrótce go osierocił. Wyrzucony ze szkoły za jakiś figiel, który spłatał razem z kolegami, poszedł w życie trudną drogą samouka. We wczesnej młodości postanowił zostać malarzem, ponieważ nie brak mu było zdolności i w tym kierunku. Korzystając ze szczupłych oszczędności ciężko pracującej matki i siostry, udał się do Monachium, ówczesnej stolicy sztuk plastycznych dla wszystkich krajów niemieckich, słynącej ze swej Pinakoteki (muzeum malarstwa) i Gliptoteki (muzeum plastyki i ceramiki starożytnej). Miasto było ośrodkiem działalności nie tylko prawdziwych malarzy, ale i przytułkiem zapitych wykolejeńców, niebezpiecznej bohemy, wśród której Keller przeżył swe dalsze doświadczenia. Dał im później wyraz w swej powieści autobiograficznej pod tytułem D e r G r ü n e H e i n r i c h, uważanej za najdonioślejszą po W i l h e l m i e M e i s t r z e Goethego niemiecką powieść wychowawczą.

Bieda zapędziła go po dwu latach z powrotem do Zurychu. Zrezygnował z kariery malarskiej. Zaczął pisywać wiersze i zasilać gazety swymi pracami publicystycznymi. I w jednym, i w drugim rodzaju jego ówczesnej działalności pisarskiej znajdujemy wiele utworów agitacyjnych, skierowanych przeciwko kantonowym separatystom i ultramontanom, którzy w swej reakcyjności szukali poza górami zbawienia politycznego w oparciu o Rzym jako polityczną stolicę papiestwa, podczas gdy patrioci szwajcarscy walczyli o stworzenie państwa związkowego z dotychczasowego związku kantonów i nadanie krajowi nowej konstytucji demokratycznej.

Wiosna Ludów zastała dwudziestosiedmioletniego Kellera w Heidelbergu, gdzie zaczął studiować dzięki stypendium państwowemu. Trzy lata tam spędzone ugruntowały nareszcie jego zaniedbane wykształcenie, stwarzając podwaliny jego literackiej i światopoglądowej wiedzy. Tyle że — inaczej niż utrzymuje krótka przedmowa do PIW-owskiego wyboru Kellerowskich nowel — nie mógł w tym mieście słuchać Ludwika Feuerbacha, ponieważ znany filozof-materialista nigdy w Heidelbergu wykładowcą nie był, a zresztą już w roku 1836 musiał poniechać kariery uniwersyteckiej wobec niezgodności swych poglądów z panującą na katedrach, oficjalną filozofią idealistyczną.

Myśląc o roku 1848 Keller powiada o pierwszym tomie swych wierszy, że zmiotła mu go ze stołu rewolucja. Chociaż nadal nie zarzuca liryki osobistej, to jednak podejmuje przede wszystkim wielkie tematy prozy realistycznej. W Berlinie, gdzie po wyjeździe z Heidelberga przebywa przez cztery lata, pisze pierwszy tom L u d z i z S e l d w i l i. Tu właśnie znajdujemy dwa najsłynniejsze i najdoskonalsze opowiadania, które weszły do wyboru PIW-owskiego: R o m e o i J u l i a n a w s i i T r z e j s p r a w i e d l i w i g r z e b i e n i a r z e.

Wróciwszy do ojczyzny, sławny już Keller zostaje sekretarzem stanu w kantonie zurychskim i na długie lata poświęca się działalności urzędniczej. Jest to pusty i bezpłodny literacko okres jego życia. Dopiero — podobnie jak to miało miejsce i w wypadku Fontanego — w nie pierwszej już starości pojawia się nowy rozkwit jego pisarstwa. „Klasyczny starzec", żyjący w bezżeństwie na spokojnej emeryturze pod opieką siostry, przerabia i rozbudowuje

napisanego dawniej Zielonego Henryka, pisze drugi tom Ludzi z Seldwili, a dalej Siedem legend i Nowele zurychskie, wydaje szeroko uzupełnione nowymi utworami Wiersze zebrane. Z tego okresu pochodzi również spora powieść pod tytułem Marcin Salander.

Jest ona bardzo znamienna dla postawy ideologicznej tego Szwajcara, który płynie jednocześnie ogólnym nurtem literatury niemieckiej. Żył w okresie, gdy kapitalizm uderzał swym pierwszym impetem na Niemcy, ale odbywało się to w warunkach specyficznych, ponieważ hegemonia junkierskich Prus utrzymywała kraj w zacofaniu gospodarczym. „Podczas gdy w Anglii i Francji — pisze Lukács — historia narodzin kapitalizmu jest historią burzy, która zmiata z powierzchni ziemi przegniłe resztki średniowiecza, w Niemczech reakcja utrzymuje najbardziej żałosne i hamujące pozostałości czasów przedkapitalistycznych. Znikają powoli tylko te urządzenia, które w bezpośrednim działaniu ekonomicznym nie dadzą się pogodzić z rozwojem kapitalizmu".

Niemniej jednak powolna przemiana na pół patriarchalnych urządzeń w kapitalistyczne przynosi od razu wielkie zubożenie mas pracujących, a umacniająca swe siły ideologia feudalnych i despotycznych Prus staje się rozkazodawcą politycznego ucisku.

Keller dostrzegał te zjawiska i obrócił przeciwko nim ostrze swej krytyki społecznej, ale zatrzymał się przed samą metą, do której ta krytyka mogła go doprowadzić. Przeciwwagę dla zła odnalazł w „naturalnej" demokracji szwajcarskiej, z której granic wypędza w Marcinie Salandrze przedstawicieli kapitalistycznych matactw, „oczyszcza atmosferę", uwalniając w fabule powieści swą alpejską ojczyznę od złośliwie plajtujących banków i brudnych aferzystów, jak gdyby kraj ten istniał sam dla siebie i nie był uzależniony od ekonomicznych przemian dokonywających się jednocześnie na całym świecie.

Wszystkie trzy nowele w przytoczonym już trzy razy wyborze — a więc Romeo i Julia na wsi, Trzej sprawiedliwi grzebieniarze i Kowal swojego szczęścia (ta ostatnia pochodzi z drugiego tomu Ludzi z Seldwili) — przemawiają do nas fragmentami mocnej krytyki społecznej.

Seldwila, w której i pod którą dzieje się akcja trzech opowiadań, jest typowym miastem szwajcarskim z czasów około pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Jeżeli przybrała nazwę zmyśloną, nie spotykaną na mapach i w rejestrach geograficznych Szwajcarii, to mniej szukajmy tu kryptonimu, a bardziej uogólnienia. Seldwila posiada jeszcze dobre mury miejskie z czasów feudalnych, ale wewnątrz nich życie zaczyna się już toczyć innym trybem.

Gmina jest bogata, a obywatele jej biedni, albowiem z nieruchomych dóbr rozciągających się wokoło miasta i z głównych przywilejów handlowych ciągną zysk przede wszystkim ci, którzy zdołali pochwycić władzę polityczną, raz otwarcie pod kościelną chorągwią konserwatyzmu, innym razem pod sztandarami liberalizmu, co ani na jotę nie zmienia doli ludu pracującego.

„Trzon a zarazem ozdobę ludności Seldwili — mówi Keller w swej literackiej, na pozór żartobliwej, a w gruncie rzeczy gorzkiej przedmowie do nowel — stanowią młodzi ludzie mniej więcej od dwudziestego do trzydziestego piątego czy szóstego roku życia; są oni tymi którzy nadają ton, wodzą rej i reprezentują świetność miasteczka. W tym wieku bowiem zajmują się handlem rzemiosłem, zbieraniem zysków lub czymkolwiek, czego się tam kto nauczył

to znaczy, póki się da, każą pracować dla siebie obcym ludziom, a swej pozycji zawodowej używają do utrzymania wyśmienitych stosunków kredytowych, które utrzymują właściwą podstawę siły, świetności i pogody ducha seldwilskich panów. Stosunków tych strzegą wzajemnie z głębokim zrozumieniem..."

W tym już dość wyraźnie zarysowanym świecie kapitalistycznym rzucony jest most ponad dawną przepaścią między wsią a miastem, które pochłania teraz wiejską biedotę. Wysadzony z siodła chłop kupuje w mieście podrzędny szynk, wyrobnik wiejski — nie znalazłszy na roli zatrudnienia dla swych silnych rąk — wędruje z całym dobytkiem w plecaku od miasta do miasta, aż wreszcie ląduje jako emigrant gdzieś za morzem: „w Australii — wymienia Keller — Kalifornii i Teksasie czy też Paryżu lub Konstantynopolu".

Bo Szwajcaria, z której autor Marcina Salandra chciał wygnać kapitalizm, nie ostała się jako archaiczna wyspa na uboczu Europy i świata. Porwał ją za sobą ogólny nurt gospodarczych przemian. Potomkowie Tellów i Winkelriedów zaczęli dyktować, komu tylko mogli, ceny zegarków, jedwabi i niektórych chemikaliów, ujmując swój kraj w gęstą sieć monopoli handlowych i przemysłowych.

Jest zasługą Kellera jako człowieka myślącego historycznie, że potrafił podpatrzyć te procesy w chwili ich pierwszego wrzenia. Ale jednocześnie jest zasługą Kellera jako pisarza-realisty, że potrafił historię ściśle połączyć z osobami, z indywidualnościami swych bohaterów. Dzięki temu nawet tak prastary wątek jak tragedia Romea i Julii, przemawia do nas na nowo, bo rozgrywa się w nowych okolicznościach rosnącego i krzepnącego kapitalizmu.

Jaka jest treść tej noweli?

Dwaj zamożni chłopi są w ramach swego dobytku nieruchomego — posiadaczami długich, równoległych kawałków ról na wzgórzu. Po środku leży pas ugoru bezpańskiego. Rokrocznie obydwaj chłopi worują się o jedną skibę w ugór, co w końcu staje się przedmiotem śmiertelnego sporu, gdy jeden z nich nabywa po latach bezpańską rolę od gminy. Pieniactwo gubi obydwu i doprowadza do samobójczej śmierci parę młodych z powaśnionych rodzin. Gdy odnaleziono za miastem zwłoki kochanków, miejscowe gazety wzięły z tego asumpt do rozdzierania szat nad demoralizacją i rozluźnieniem obyczajów.

A tymczasem mamy do czynienia z typowym zubożeniem wsi szwajcarskiej, gdzie giną i skąd emigrują chłopskie rodziny. Historia Romea i Julii na wsi wydobywa jedynie z fali nieszczęść wiejskich tę parę rozbitków, której losy indywidualne są bardziej niezwykłe, niż to bywało w większości wypadków tego samego procesu pauperyzacji wsi.

Na tym zresztą polega nowelistyczna koncepcja pisarska Kellera, aby — uprawiając krytykę społeczną — kreślić przebieg wypadku niezwykłego, jedynego, skoro kończy się razem z ludźmi, którzy go przeżyli. Społeczne przyczyny nieszczęścia działają nadal i są nadal te same, ale w następnym wypadku podminują już drogi innych fabularnie kolei indywidualnych. Tę inność z zasady osiąga Keller przy pomocy nowej niecodzienności czy też krańcowości. Jest to epika nastawiona właśnie na niezwykłość wydarzeń, co upodabnia ją po trochu do powiastki filozoficznej, gdzie dobór wydarzeń krańcowych ma z miejsca — bez liczenia na domyślność czytelnika — ilustrować podstawową tezę.

W większym jeszcze stopniu niż Romeo i Julia na wsi charakter powiastki filozoficznej, czy też budującego moralitetu, noszą dwa następne opowiadania: Trzej spra-

wiedliwi grzebieniarze i Kowal swojego szczęścia.

Pierwsza z nich mówi znowu o doniosłym przeobrażeniu, które dokonuje się w społeczeństwie opanowywanym przez kapitalizm: wędrująca za chlebem biedota wiejska przechodzi w szeregi proletariatu miejskiego.

Druga ukazuje nam postać mieszczucha nowych dla Kellera czasów, postać ukształtowaną już przez moralność kapitalistyczną, postać pasożyta wietrzącego wszędzie za łatwym i wygodnym życiem i nie zastanawiającego się nad mętnością źródeł, z których to życie bierze swój początek.

Ale znowu widząc zjawiska Keller krytykuje je z pozycji istniejących raczej w poczciwej utopii społecznej niż w rzeczywistości. Trzej sprawiedliwi grzebieniarze, pilni pracownicy niewielkiej fabryczki rogowych grzebieni, gdzie bezgranicznie ich wyzyskuje właściciel-spekulant i utracjusz, nie zyskują sympatii autora. Wchodzą przecież w skład przeklętego systemu gospodarczego, który szerzy się i krzepnie w oczach.

Keller tak charakteryzuje tych pierwszych nieuświadomionych robotników przemysłowych swego kraju: „Nie mamy tu jednak na myśli ani sprawiedliwości niebios, ani naturalnej sprawiedliwości ludzkiego sumienia, myślimy o tej bezdusznej sprawiedliwości, która z Ojcze nasz skreśliła prośbę: „...I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom", ponieważ nikomu nic nie jest winna i nie jest niczyim wierzycielem, nikomu nie czyni nic złego, ale także nic dobrego, każe wprawdzie pracować i zarabiać, ale nie pozwala wydawać pieniędzy, w pracy zaś widzi tylko korzyść, lecz nie dostrzega radości. Tacy sprawiedliwi nie wywracają wprawdzie latarń, ale także ich nie zapalają i nigdy nie bywają źródłem światła. Uprawiają różne rzemiosła, nie widząc między nimi różnic, byleby tylko nie łączyły się z jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Osiedlają się najchętniej tam, gdzie jest wielu ludzi — ich zdaniem — sprawiedliwych, gdyby bowiem żyli wyłącznie wśród sobie równych, jęliby się ścierać z sobą jak kamienie młyńskie, między którymi brak ziarna. Gdy ich spotka nieszczęście, wpadają w najwyższe zdumienie, jakby ich kto na pal wbijał, jako że nikomu przecież nie zrobili nic złego. Uważają bowiem świat za duży, dobrze zabezpieczony zakład policyjny, gdzie nikt nie potrzebuje się obawiać kary, jeśli starannie zamiata przed drzwiami, jeśli nie wystawia nieopatrznie doniczek za okna i jeśli nie wylewa przez nie wody".

Aczkolwiek Keller wybrał do swej opowieści trójkę ludzi nader ograniczonych, to jednak charakterystyka nosi na sobie piętno pewnego uogólnienia i brzmi jak paszkwil na klasę, która swą pracą służy nowemu systemowi gospodarczemu.

Toteż cały tok narracji przechyla się ku czemuś w rodzaju średniowiecznego moralitetu. Z dziedziny zjawisk gospodarczych akcja przechodzi na teren symbolicznej farsy, gdzie starej chciwości ludzkiej nie można odróżnić od zapędów miłosnych. Trzej sprawiedliwi grzebieniarze walczą o tępą mieszczkę, która jest posiadaczką listu zastawnego roztaczającego perspektywy zakupu intrantnej a wystawionej na sprzedaż fabryczki rogowych grzebieni. Stają do forsownego wyścigu. Kto ze wzgórza pod miastem pierwszy dobiegnie do fabryczki, zostanie mężem Zuzki Bynclin i współposiadaczem listu zastawnego.

Koniec jest podobny do rozwiązań z dawnych opowieści sowizdrzalskich. Sytuację opanował ten z grzebieniarzy, który nie stanął do wyścigu, lecz pozostał na wzgórzu i — nim słońce zaszło

a skraj tamtejszego lasu — odniósł pełne zwycięstwo nad samą Zuzką.

Kreśląc w swych nowelach seldwilkich tło społeczne Szwajcarii wkraczającej w nowy ustrój gospodarczy, Keller daje się wszelkimi siłami ostrzegać przed kapitalizmem, dyskredytując ludzi działających już zdecydowanie w jego rbicie. W Kowalu swojego zczęścia kompromituje bezdusznie spekulancki, przyziemny spryt tępą pychę, rzucając swego bohatera wyżyn osiągniętego sukcesu na powrót w nędzę.

Tak więc, gdy rozpatrzymy dzieje kompromitowanych bohaterów Kellerowskich, na placu zostanie w rezultacie demokracja szwajcarska, zużyta i płowiała w swej abstrakcyjności.

Jest to wąska furtka utopii, którą ten nakomity realista chciał wydobyć się rzeczywistości budzącej w nim ostateczną niechęć i namiętne oburzenie.

Owszem, można się dopatrzyć tu i podobieństwa do sytuacji Balzaka, który mimo swych nastrojów rojalistycznych dał wielką, druzgocącą krytykę zastanego świata. Ale przede wszystkim niedostatki politycznej świadomości Kellera należy tłumaczyć znacznym opóźnieniem Szwajcarii w rozwoju gospodarki kapitalistycznej.

Demokracja szwajcarska była oczywiście przestarzałą formą ustrojową, ale jednak wykazywała w porównaniu z ówczesnymi Niemcami, które Keller tak dobrze poznał, sporo swobód obywatelskich. Toteż kapitalizm nie rozwijał się tu wśród stosunków tak społecznie i politycznie reakcyjnych, jakie panowały w Niemczech. Przybierał formy łagodniejsze i zdawało się, że jest to wynikiem odporności i szlachetności dotychczasowej struktury społecznej.

Stąd wywodzi się ów Kellerowski regionalizm ideologiczny, bynajmniej nie prowadzący nas na manowce, lecz tym jaśniej ukazujący główne szlaki ideologiczne, które przez kraje i dzieje wiodły aż do naszych czasów.

Adolf Sowiński

T E A T R

POLONEZ FREDRY

1. Fredro w świetle westchnień

Inteligentna, nowatorska inscenizacja emsty w teatrze krakowskim, donana przez Henryka Szletyńskiego, chęca do rozważań ogólniejszej nary.

Fredro zdobył sobie wstępnym bom serca widzów teatralnych w Polse Ludowej. (Nb. — uzasadnienia tego ktu, a zwłaszcza uzasadnienia optyizmu czerpanego z widowisk Freowskich, naukowcy nasi dotąd nie li). Fredro wypełnia z powodzeniem bryki repertuaru klasycznego swoimi iełami wielkimi, błahsze zaś jego utwory konkurują zwycięsko z najatrakcyjniejszymi pewniakami produkcji rozrywkowej. (Dla przykładu: Dożywocie przekroczyło w Katowicach 170 spektakli, a z drugiej beczki — Ciotunia w Krakowie uzyskała ich 150, zaś wieczór jednoaktówek, z wydobytym z zapomnienia przez piszącego te słowa Koncertem, również dociągnął do 170 spektakli). I nie ma obawy o trwałość tej „passy". Przypływy i odpływy upodobań tak znamienne dla teatralnych dziejów Fredry, zabrała ze sobą historia burżuazyjnej epoki. Chodzi o jedno tylko: ażebyśmy spuściznę Fredrowską właściwie dziedziczyli. Literackie

bowiem „papiery wartościowe“ tym się różnią od giełdowych i od tzw. pamiątek rodzinnych, że należy je dziedziczyć tak, jak wszystko co dotyczy kultury, to znaczy — twórczo. Trzeba więc, żeby oprócz serc pracowały głowy.

Do czegóż mamy nawiązywać w tej pracy?

Niecierpliwi nas ogólnik o rwaniu się naszej tradycji teatralnej. Chcemy ją mieć trwałą. Chcemy i możemy dzisiaj budować ją na bazie trwałej. Rozumiemy, że — obok repertuaru współczesnego — Fredro jest najbardziej uchwytnym ogniwem, jest „kluczowy“, bo na dobrze granym Fredrze wychowamy i aktora i widza. Ale skąd wziąć dobrze granego Fredrę?

Wielu, zwłaszcza spośród „starych bywalców teatralnych“, sądzi, że należy jak najtroskliwiej przejmować żywe jeszcze wzory „stylu fredrowskiego“, na nich wychowywać młodzież, tą drogą uratować „złotą nić tradycji“. Jest to prawie całkowite złudzenie. „Złota nić tradycji“ urwała się dawno i to niejednokrotnie. Już u progu naszego wieku poważny krytyk i działacz teatralny wzdychał, że mamy u Fredry „figury ekscentryczne, albo też „tak proste“, że „człowiek dzisiejszy nie łatwo wejdzie w ich skórę“. A wzdychał tak, patrząc na kreacje fredrowskie aktorów, którzy stali się chlubą naszej przeszłości.

Każda generacja aktorska załatwiała u nas te problemy na własny rachunek. Czyż trzeba na przykład przypominać długoletnie zachwyty dla Jerzego Leszczyńskiego, kolejno Wacława — Papkina — Cześnika w Z e m ś c i e? Jedyny Boy, uwrażliwiony na sprawy obyczaju historycznego, zaopatruje ocenę zastrzeżeniem: „doskonały — na dzisiejsze pojęcia“ w roku 1933. Ale jeszcze w r. 1917 Jan Lorentowicz nie szczędząc temuż Leszczyńskiemu pochwał za Gucia dodaje: „...nie jest to fredrowski Gucio, ale raczej postać z nowoczesnej komedii“. Wniosek stąd pierwszy, optymistyczny: — zaprzestańmy idealistycznych wzdychań na temat „rasowego“ aktora fredrowskiego, bo ci rasowi też się tej sztuki musieli nauczyć i to tylko na miarę wymagań swego czasu. Wniosek drugi, bardziej minorowy, wymaga szerszego rozwinięcia. — Nie wolno tracić z oczu złożoności zjawiska tradycji aktorskiej. Przecież składa się na nią nie tylko suma obiektywnej wiedzy i umiejętności postaciotwórczej (obyczaj, gest, wzięcie, rytm, intonacja itp. elementy stylowe), ale również i ocena danej postaci: ideowa, moralna, kulturalna, która często w niemniejszym stopniu wpływa na interpretację (a więc i na ostateczne ukształtowanie się owego „stylu“), a która jest ściśle związana z pojęciami i „zamówieniem“ określonego czasu historycznego, z nim razem prosperuje i przemija, nie nadając się, rzecz jasna, do bezkrytycznego dziedziczenia. Przeciwnie — nowe zamówienie społeczne, żądając od artysty nowej interpretacji, może postawić go wobec konieczności rewizji swego — niewzruszonego, jak myślał dotąd — kapitału tak wiedzy, jak i umiejętności, każe mu zdobywać nową wiedzę o faktach i przekształcać swe środki wyrazu! Sprawa, zdawałoby się, oczywista, a przecież wciąż jeszcze obserwujemy, zwłaszcza przy Fredrze, działanie siły inercji, wciąż jeszcze bierze się tu i ówdzie skarby (albo i ochłapy!) tradycji za wartość niewzruszoną z dobrodziejstwem inwentarza... Piękna to rzecz, ciągłość wzorów; ratujmy co jest jeszcze do uratowania, ale przestańmyż dziedzictwo przyjmować na na wiarę, po starym kursie...

Jak bardzo taki stary kurs, ukształtowana het kiedyś skala wartości, lubi ciążyć nad sądami, przekonać się można wertując dawne recenzje. Za-

awna rzecz, nie znajdziesz tam prawie akiego aktora, który by za Fredrę nie brywał. Najmniej może Rapacki, któ- y w teatrze fredrowskim trwał na rzełomie dwóch okresów, jak arka rzymierza między dawnymi i nowymi aty. Ale już Frenkiel, Kamiński, Sol- ki — pomniejszych nie wspominają — karmazyny bajecznie kolorowe, kwaśno bywali kwitowani. (Już bo nas lubiano — i lubi się nadal! — vzdychając trzepać teatr za Fredrę, jak a nic innego: to niezałatwione kom- leksy dają znać o sobie!) Niecierpli- y czytelnik tych recenzyj i westch- ień, stwierdzając każdorazowo, że ciąż jest gorzej, niż dawniej bywało, otów by uwierzyć w jakiś fredrow- ki wiek złoty, w zamierzchłych gdzieś atopiony czasach, kiedy to rzeczywiś- ie ideały chodziły po scenie... Kiedyż o jednak było? Nie wtedy przecież, dy autor z teatru uciekał widząc, jak lbin łzami zroszoną chusteczkę wy- ręca ku uciesze galerii. I nie zaraz óźniej, jeśli Lucjan Siemieński, jeden najdzielniejszych Fredry orędowni- ów, pisze w przedmowie do wydania 1871 roku (a więc jeszcze za życia isarza), że Fredro w Paryżu mało so- ie ceniąc rutynę sceny oficjalnej, z ob- erwacji znakomitych wirtuozów re- ertuaru bulwarowego „...powziął prze- onanie, wzmocnione z czasem, że nie a dzieła dramatycznego, choćby jak rzeprowadzonego mistrzowsko i wy- ończonego w częściach, które by się oeszło bez dalszego rozwinięcia i uwy- atnienia dobrą grą aktorów. Jak nie- przeczalną jest ta prawda, dowód ma- y na jego własnych komediach, któ- chyba w przyszłości doczekają się edyś aktorów, co by z danych myśli otrafili stworzyć czyn, czyli rolę. otąd bowiem z nader małym wyjąt- em, aktorowie recytują tylko myśl oety, lecz nie wznoszą się do czynu..." Przyjmując to westchnienie w kierunku przyszłości zauważmy po drodze, że „czyn", akt, *actio*, tyle znaczy, co „działanie" w terminologii Stanisławskiego...

A w roku 1907 jedzie, zaproszony przez Solskiego, Jan Lorentowicz do Krakowa, oglądać Śluby panieńskie w reżyserii Tarasiewicza i dekoracjach Karola Frycza.

„Chodziło o ustalenie tradycji sztuki fredrowskiej, o zainicjowanie stylu fredrowskiego. Pomysł ten czyni wielki zaszczyt inscenizatorom. Myśmy przecież „stylu fredrowskiego", jak żadnego w ogóle stylu w teatrze, nie mieli nigdy. Całkowitą dowolność gry i traktowania przedmiotu regulowały niekiedy popisy wybitnych aktorów warszawskich z dawniejszego pokolenia. Gdy oni pomarli, nikt nie naśladował metod, zresztą bardzo indywidualnych".

Po czym, przypominając, że już Pawlikowski wystawiał Śluby w saloniku empirowym (gdy Frycz daje „styl mieszany"), stwierdza melancholijnie, iż pietyzm stylowy „spłoszył artystów... stracili bezpośredniość humoru..." Wraca do tej myśli po latach (1923, Zemsta w Rozmaitościach): — „Bo dawniej nie myślano wiele, obsadzano wszystkie role wybitnymi siłami... I Fredro był wówczas w wielkim poważaniu". Niestety, widocznie w myśl znanej anegdoty, że dawniej nie tylko kawalerowie byli grzeczniejsi, ale i panie młodsze, chociaż Osterwa zgromadził do Zemsty tak grzecznych kawalerów jak Rapacki, Frenkiel, Kamiński, Solski i Jaracz — panie (czytaj: krytycy) pozostały niezadowolone. „Tu właśnie stajemy wobec niebezpieczeństwa sprawy z wirtuozami... Wyszła... mozaikowość... bez harmonii..." — wzdycha Lorentowicz, a przyświadcza Boy: „Widziałem przedstawienia Zemsty grane przez świetny zespół, a mimo to smutne i martwe." Boy zresztą podziela naiwną nieufność Loren-

towicza wobec reżyserskich poszukiwań stylu epoki i podejrzewa, że to właśnie od empirowych saloników Pawlikowskiego biorący początek „duch antykwarski“ stworzył „mur“ pomiędzy autorem a widownią.

Dziwne rozumowanie! Więc aktor pozostawiony własnej intuicji, grający na „widzi mi się“, orientujący się na *emploi*, miałby być w sytuacji korzystniejszej niż aktor właściwie ubrany, otoczony bezbłędnie dobranymi dekoracjami i rekwizytami, a co najważniejsza — wszechstronnie i wyczerpująco poinformowany? Nie trzeba doświadczeń Stanisławskiego, już każdy uczeń Koźmiana zawołałby tu — co za herezje, co za nihilizm! A jednak nie ma dymu bez ognia, jeśli spojrzeć na sprawę spoza ciasnego, warsztatowego podwórka.

U schyłku wieku XIX bezradność ideowa artysty wobec potęg anonimowych sprawia, że przestaje on być realistą nie tylko wtedy, gdy świadomie rezygnując z walki ucieka od rzeczywistości w świat przeżyć i marzeń, ale nawet wówczas, gdy usiłuje widzieć i przedstawiać prawdę faktów — nie mając dla tych faktów należytego wyjaśnienia. Naturalizm i stylizacja (w najszerszym sensie tego słowa) — to dwa oblicza tego samego procesu. Jedno obrócone ku współczesności, ku bolesnej egzotyce zjawisk aktualnych, drugie — ku przeszłości, ku pięknej egzotyce spraw i rzeczy, które boleć przestały i przybierają martwy nieco uśmiech pamiątek. Pamiątka staje się również towarem. Artysta pracujący w branży skarbów tradycji kulturalnej tak rozumianych, nie potrzebuje obawiać się cenzury klasy panującej, skoro ta klasa zbiera i dobrze opłaca stare meble i tabakierki. Artysta taki może nawet mieć obiektywne piękne osiągnięcia artystowskie, nie zdobędzie się natomiast na hierarchię wartości (stąd takie przewagi eklektyzmu w architekturze i teatrze!) i przy najgorętszym umiłowaniu spraw, których orędownikiem stara się być, pozostanie — archiwariuszem tradycji. Tym archiwariuszem, którego Lenin stawia jako przykład odstraszający, ucząc proletariat twórczej, ideowej walki o dziedzictwo przeszłości. Wzruszającym przykładem takiego heroizmu w ślepym zaułku może być wielki artysta Louis Jouvet, jak to starałem się obszernie wykazać w artykule drukowanym w Odrodzeniu z okazji jego warszawskich występów w Szkole żon.

Właśnie przy Pawlikowskim mówimy o naturalizmie i estetyzmie. Pomińmy naturalizm i wróćmy do saloniku pani Dobrójskiej w roku 1893 na scenie krakowskiej, skoro tam się miał zapoczątkować nowy kurs wobec Fredry. Patrząc na ten salonik wzdychał z kolei stary Koźmian:

„...Ramy, godne pięknego obrazu. Dawno już przecież powiedziano, że gdyby sprzęty, dekoracje i stroje grać mogły, zadanie byłoby uproszczone, bo niepotrzebni byliby artyści. Ale istota teatru polega na czymś innym... wtedy przemawia do ludzi i trafia do ich przekonania... kiedy wyraża prawdę życiową, a nie jej udanie.“

Święte słowa! Z tym, że zasłużony twórca „szkoły krakowskiej“, z miną emeryta przyglądający się, jak teatralny miecz ze ściany ciągną wnuki, nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że szybki bieg historii przenosi go właśnie na emeryturę również jako polityka. Że oto rwą się jedna po drugiej nici wiążące teatr ze starą galicyjską sielanką feudalną, że jego następca budować będzie na zupełnie innej bazie. Raz jeszcze podkreślmy: — nie to było najważniejsze, że rwała się tradycja stylu bycia i wykonawstwa aktorskiego. U Kazimierza Chłędowskiego w świeżo wydanych Pamiętnikach czytamy, że kiedy

a tle ziemiańsko-habsburskiej sielanki powróciła moda kontusza jako stroju galowego, okazało się, że i ta „nić tradycji“ mocno już naderwana; lecz ją bez ambarasu nawiązano — przez rekonstrukcję. Na długie lata najlepszym dostawcą kontuszów dla naszych senatorskiego imienia dziedziców (wielkich ludzi do małych interesów) stał się... pewien krawiec wiedeński. Ale tym razem naprawdę przewracała się już karta historii. Fredro Rychterów, Żółkowskich, Bendów, Nowakowskich mógł być „starym Fredrą“, ale był Fredrą swoim, współczesnym, póki baza społeczna była wspólna i niezmienna. Ale baza się zmieniła i oto teatr chcąc pokazać „Fredrę wiecznie młodego“ pokazywać zaczął — historię. I żebyż to historię! Właśnie — antykwariat.

Dla uzmysłowienia sobie skali paradoksu, że Fredrę przekazanego historii miały odtąd ukazywać pokolenia o zmyle historycznym zdezorientowanym, pokolenia archiwariuszy, nie historyków, zacytujmy tegoż Koźmiana z okresu, kiedy siedział on jeszcze mocno w siodle swoich czasów. Koźmian nie przez jednego może Rapackiego naiwnie odsądzany od czci reżyserskiej, dawał przecież aktorowi to co najniezbędniejsze: logiczną motywację zachowania się na scenie, był dobrym — jak wówczas mówiono — informatorem. Oto próbka takiej informacji, udzielonej — nie zapominajmy — przez luminarza obozu zachowawczego, ziemiańskiego. Chodzi o pisarza tylekroć z Fredrą zestawianego, o Musseta i jego N i e i g r a s i ę m i ł o ś c i ą: „...widzimy Barona dziecinniałego, zniedołężniałego, nieco na majątku podupadłego; znikły w nim wietne strony i przymioty szlachty rancuskiej, zostały się małostki i śmieszności, miękkość, przesadne wyobrażenie swym stanowisku, złudzenie, że wszytko dziać się powinno stosownie do jego zachcianek i wyobrażeń, przyzwyczajenie rozkazywania, niedołęstwo w wydawaniu rozkazów, zwyczaj rządzenia przechował się jeszcze, sztuka rządzenia już zaginęła; majaczy mu się coś o przeszłości, nie rozumie rzeczywistych warunków i praw życia... Uosabia on dziejowy okres upadku szlachty z jej własnej winy. — Rychter w małej roli Barona kilku subtelnymi pociągnięciami uwydatnił to misternie i dał w paru scenach wyborny szkic pierwowzoru szlachcica z dawnego porządku rzeczy, stojącego bezwiednie na brzegu otchłani rewolucyjnej. — Okazał się więc i tutaj artystą.

Dwie główne postacie, bohaterka i bohater, jakżeż innymi są!... Tamci niedołężni, oni pełni siły, w tamtych same małostki, u tych wielkie i promieniejące namiętności, tamci prozaiczni, oni poetyczni, tamci poziomi, oni wznioślі! A przecież, bliżej przypatrzywszy się jednym i drugim, dostrzega się, że... pokrewieństwo duchowo-społeczne jest uderzające, a Kamilla i Perdican mają się do Barona... jak skutek do przyczyny... świadcząc o przeżyciu się społeczeństwa... (co) będąc istotą utworów Musseta... (sprawia), że dramat ten jest współczesnym“.

Filozofia tego Stańczyka na temat misji ziemiaństwa nie jest naszą filozofią, ale jakże tu nie uznać dzielności myśli i krzepkiego związku woli ideologa z wizją artysty. I porównać to z bezzębnym miamleniem późniejszych estetów, z idealistycznymi dyrdymałkami o ponadczasowej miłości, wypisywanymi w recenzjach warszawskich z tej sztuki w latach 30-ych, albo i z „piankowo-koronkowym“ mussetyzowaniem się recenzentów z roku 1947-go! A „bezbożny... i tyrkotny i kłamliwy“ kołomąt naszej fredrologii, od pierwiosnków epoki imperializmu poczynając? Jeśli Koźmian w teatrze, stańczycy w komisji wydawniczej dzieł pośmiertnych, Tarnowski w salach wykładowych robili

na „swoim Fredrze“ swój polityczny („zgoda, zgoda!...“) interes, co (choć ściągając poetę do zapóźnionej galicyjskiej parafii) dawało przecież jego dziełom jakiś rumieniec życia — to wiatrologia późniejszych fredrologów tyleż osuszała serca i histeryzowała głowy ludzi teatru, ile sama była wyrazem pustki, chaosu i popłochu. Fredro należał więc również do kosztów smutnej zabawy w tzw. autonomię sztuki.

W okresie prób odnowienia teatru z pozycyj drobnomieszczańskiego estetyzmu Fredro trafia do rąk reżyserów „wypuczających się“ (słówko L. Schillera) w ramach takiego czy innego, a zawsze niedługowiecznego „izmu“. Zresztą w tej walce o rząd duszyczek estetycznych bardzo szybko scenograf ze skromnego sprzymierzeńca wyrósł na groźnego rywala, umiejącego także wypuczyć się po swojemu. Orgia wystawności dekoracyjnej w repertuarze „kostiumowym“ — jeszcze jeden symptom bezideowego estetyzmu — rozpoczęła się niebawem i przetrwała do naszych dni, aż doczekała się nie tyle ideowej, ile budżetowej rewizji. A krytycy wzdychali, że na scenie „salony, jakich nie było“, i „suknie“, w jakich „Polki nie chodziły“, i mundury galowe od Gembarzewskiego zamiast kitlów domowych, i że chłodek, chłodek, brak tego ciepła kochanego... Od wspomnianej już Zemsty w r. 1923 rozpoczyna się także moda wprowadzania scen niemych i dodatkowych postaci — „przybudówek reżyserskich“. Lorentowicz z lekka insynuuje tu młodemu wówczas reżyserowi Osterwie, że nie mogąc wypowiedzieć się poprzez aktorskie znakomitości (pojmujące ten „karmazynowy polonez“ każdy po swojemu), próbował przynajmniej w ten sposób dojść do głosu. Mniejsza o jednorazowe okoliczności i motywy. Istotnym i trwałym — poprzez lata, poprzez różne formy inscenizacyjne — było u Osterwy usiłowanie przekształcenia sztuki w celebrowane „nabożeństwo zgody narodowej“... A co się tyczy formy, owych „przybudówek reżyserskich“, przeciw którym również i Boy występował, to widać w nich odbicie wczesnych poszukiwań Stanisławskiego. (Wyjaśniał je Kiedrow podczas dyskusji o działaniach fizycznych. A mianowicie, że nim Stanisławski doszedł do rozumienia kluczowej roli działań w dramacie, korzystał z ornamentacyjnej, opisowej i nastrojowej funkcji rozbudowanych czynności scenicznych. To mylenie czynności z działaniami pokutuje jeszcze tu i ówdzie, w teatrze i w krytyce, po dziś dzień. Przy pomocy takich czynności dodatkowych reżyser może kazać autorowi mówić nieraz co innego niż jest w tekście, a prawie zawsze zmusza go być — gadułą.

Wobec naporów ostrych konfliktów społecznych anachronistyczne misterium „zgody“ nie miało najmniejszych szans powodzenia. Przeciwnie, radykalizacja części młodzieży inteligenckiej wytwarza dokoła Fredry antykontuszowy chłodek... Zniechęcony do głupoty reżimowego „byczo jest“ krytyk posługuje się panem Jowialskim, (rozważanym jako przykład patologicznej euforii) dla aluzyj antypiłsudczykowskich. Młody poeta w wierszu pt. W teatrze Fredry woła: „Sto lat się tak śmiejemy. Naprawdę? To długo!...“ Teatr odpowiadał na to — groteską. Za przykładem Ateneum zaczęto ludziom Fredrowskim przypinać długie nosy i odstające kupry, przemalowywać szlachciców na egzotycznych samurajów. Ten grymas artystów teatru, całkowicie zrozumiały wobec takich np. symptomów faszyzacji, jak galwanizowanie „szlachty zaściankowej“, był niewątpliwie wyrazem żywego sumienia obywatelskiego; niewiele jednak wniósł dla wyjaśnienia naszej tradycji, a już

ałkiem nie dotarł — jak przez chwilę próbowano się łudzić — do publiczności robotniczej. Zawiódł również i merkantylnych antreprenerów teatralnych, którzy próbowali go naśladować przed swoją publiczką. Ta bowiem uważała, że jeśli ma już być „udawanie", to niech będzie raczej Ciotka Karola albo Jadzia wdowa.

Tak więc i passa „groteskowa", po krótkotrwałych zachwytach wywołała ostatecznie tylko westchnienia. Te westchnienia były tym głębsze, im dotkliwiej uderzała fala „czasów pogardy", i stały się powszechne po kryzysie wrześniowym. Już nie chciano olśnień normalnych, szukano „prawdy o człowieku". Tak np. w roku 1940 powtórzenie w Wilnie przez Perzanowską i Chmielewskiego warszawskiej inscenizacji Zemsty okazało się niemożliwe. Potrzeba głębszego obrachunku z przeszłością, tęsknota za istotnymi wartościami ludzkimi i opór przeciwko stylizacji i marionetkowości, wpłynęły na znaczne przekształcenie inscenizacji. Wielką kreację w roli Rejenta dał wówczas niezapomniany Leon Wołłejko. On też w 1945 r. jako Major w Damach i huzarach, stworzył wraz z Alfredem Łodzińskim — Rotmistrzem, parę nie tylko wytrzymującą wszelkie porównania, ale wręcz wzorową.) Analogiczne postulaty kształtowały się w wielu ośrodkach, w kraju i w obozach jenieckich. Cechowała je reguły ogromna żarliwość i tęsknota za sztuką wielkich treści humanistycznych, sformułowanych jednak ogólnikowo, nieraz mgliście i poza czasem historycznym. Pozostały też przeważnie na papierze.

Wyzwolenie powitaliśmy Fredrą traktowanym jako symbol naszej żywotności. Łatwo przezwyciężone zostały lokalne próby opozycji „antykontuszowej" spóźnionych doktrynerów mieszczańskiego radykalizmu. Dopomógł w tym niewątpliwie przykład Związku Radzieckiego. Ale chociaż hasło „klasycy dla mas" immunizowało Fredrę z łatwością, to przecież sens tego hasła nie od razu był jasny, a konkretna jego realizacja i po dziś dzień daleka jest od doskonałości. Wystarczy przejrzeć wstępy do popularnych wydań sztuk Fredry sprzed paru lat i przypomnieć spektakle. Zaznaczyła się tu w sposób przygnębiający inercja warsztatu teatralnego: — w radosnej atmosferze restytucji wracali na scenę, jakże niestety zdekompletowani weterani; za to w pełnym komplecie stawiły się stare pojęcia i sposoby, i te do Sasa i te do Lasa, często sprzęgnięte w jednym spektaklu... Przy tym jeszcze nowi ludzie, którzy zajęli miejsca opróżnione przez nazwiska uznane, pragnąc się czym prędzej wylegitymować, ulegali nieraz pokusie „bicia starych rekordów". W zakresie aktorskim — przez bezlitosne naciskanie pedału „komiczności" w reżyserii — najczęściej w imię popularnej wówczas zasady „im krzywiej, tym śmieszniej". Oczywiście, rozwodzić się nad dorobkiem artystycznym i pedagogicznym takich spektakli Fredrowskich nie będziemy. Przypomina się weredyk sprzed 75 lat, Władysław Bogusławski: „Oklask — przez niekrytyczne nadużycia mierności, kokietujących z paradyzem — spowszechniał... stał się haraczem, daniną, którą się ściąga środkami egzekucyjnymi, czerpanymi z arsenału aktorskiego (dziś dodamy — i reżyserskiego! J. M.), jeżeli jej dłonie widza dobrowolnie nie wypłacą... Aktor zna sprężyny wprawiające w ruch ręce widzów. Sprężynki te należą najczęściej do mechanizmu rutyny i grubych efektów, stąd też i oklask popycha aktora raczej na ubite aniżeli na nowe drogi".

Dość więc było powodów, aby znowu wzdychać i ku mitowi złotego wieku wstecz żerkać, choćby tak dyskretnie jak prof. W. Hahn:

„W teatrach polskich wytwarzał się specjalny styl fredrowski, nie zawsze przestrzegany, nieraz ze szkodą dla sprawy zaniedbywany. Do tego stylu należałoby powrócić...“

Aż kusi odpowiedzieć na ten konserwatorski (i jałowy, jak się starałem na początku wykazać) apel słowami starego konserwatysty!

„Kształt wszechrzeczy — pisał w 1900 r. nasz nieoceniony Koźmian — biorących udział w odnawiającym się wciąż życiu i mających mu służyć dalej, przemienia się. Twierdze, jeżeli mają być obronnymi; zamki, jeżeli mają być zamieszkałymi; armie, jeżeli mają być bitnymi — muszą ulegać zmianom, muszą uwspółcześniać się...“

2. Poza paciorkiem i „groteską“

Przywykliśmy sarkać na nieudolnych recenzentów, a przecież to oni właśnie nie klaskali (przynajmniej pisząc do druku), wtedy gdy teatr próbował wymusić oklaski, oni też zdobywali się czasem na odwagę zawołać „mało!“; gdy teatr imponował większej miary nazwiskami, oraz jałową, ale wystawną poprawnością muzealną. Udolni czy nieudolni przekazywali coraz mocniejszą opinię społeczną, jątrzyli problem.

Walka o nową widownię i repertuar, sprawa podniesienia kwalifikacji młodych kadr aktorskich, dyskusje na temat realizmu socjalistycznego, oraz nazbyt powolna, ale stała infiltracja wiedzy o metodzie Stanisławskiego, postawiły wreszcie problem klasycznego kanonu fredrowskiego jako zadanie bojowe. Pierwsza próba, warszawska inscenizacja Męża i żony przez Bohdana Korzeniewskiego, wypadła doskonale. Oddano całą sprawiedliwość realiom; bez naciągań, umowności i jakichkolwiek sztuczek ukazał się Fredro nowy, przekonywający i ciekawy. Ukazanie ironii tam, gdzie operowano dotąd uproszczonym dylematem „humor czy satyra“, a przede wszystkim przywrócenie inteligencji wielkiemu pisarzowi, którego już-już omal że nie zdążono przemalować na prowincjonalnego poczciwca, było główną bodaj zasługą reżysera i zespołu. Sukces tej pierwszej wyprawy rozpoznawczej nie tylko zachęcał do dalszych, ale i ostrzegał, że śmiałków czekają niespodziewane możliwości tam, gdzie zdawałoby się już od dawna wydeptana ziemia.

Obiecywaliśmy sobie wiele z porównania dwu Zemst, Korzeniewskiego i Szletyńskiego, na co zanosiło się wiosną. Dostaliśmy na razie jedną, w Krakowie. Nie jest to oczekiwane zwycięstwo, ale niewątpliwie udany szturm, uwieńczony zdobyciem przyczółka, z którego powinno się rozwinąć decydujące uderzenie.

Udało się Szletyńskiemu przede wszystkim unaocznić, że wizja Fredry nie pokrywa się z oleodrukowym obrazkiem staropolszczyzny w kontusikach przy święconym, obrazkiem skomponowanym hen przed laty na użytek kołtunerii. Z niemałym znawstwem epoki i wielką pomysłowością artystyczną starał się reżyser zająć autorskie punkty widzenia: ten od strony słuckiego pasa, i ten od szlafmycy i człapiących pantofli. Zobaczył w ten sposób oprócz splendorów znanych i lansowanych (których liczbę również potrafił powiększyć) i tynk odpadający, i słoneczniki pod murem, i homerycką drzemkę zdziadziałego ex-rębajły, i te przezabawne okulary, wędrujące pomiędzy Cześnikiem a Dyndalskim, i wiele jeszcze. Uczłowieczył tedy bardzo mieszkańców zamczyska, ukazując ich bytowanie. Idąc wiernie za literą tekstu, wydobył ton zabawny, miejscami żenująco zabawny, i stało się oczywiste, iż notoryczna ongiś „dostojność“ wielu scen była ciągniona za uszy, i że mimo tej „straty“ Zemsta uroku nie straci.

Słusznie też, pracując nad wierszem, poszedł za radami T. Peipera (z jego artykułu Gra rytmów w „Zemście“, nr 6 Teatru z 1949 r.); „komizacja średniówek“ nie wszędzie wypadła wzorowo, a jednak dała kilka wybornych efektów, jak np. zadyszane wzburzenie Cześnika opowiadającego o naprawie muru: scena, godna operowego porwania z seraju.

Szkoda że w scenach „czynnościowych“, obficie inkrustujących przedstawienie, zagubiła się inna, co najmniej tak samo ważna uwaga — o współrytmizacji czynności, słów, i wszelkich innych dźwięków Niepotrzebnie natomiast poszedł reżyser za niehistoryczną sugestią Peipera o „synach ludu“ w Zemście i scenę bójki przerobił na sojusz, nie tyle robotniczo-chłopski, co robotniczo-fagasowski.

Tak więc, zrywając i z tradycyjnym bezmyślnym paciorkiem „poloneza“, i z niemniej już tradycyjnymi pokusami „groteski“, nie od razu czysto chwycisz właściwy akord. Cześnik np. odmagnacony i z lekkiej ręki K. Wyki ukazany jako zabawny, tłusty, dość naiwny szlachcic średniej kondycji, niepotrzebnie został prawie rozgrzeszony z feudalizmu. Rejent, w poszukiwaniu indywidualnego, ludzkiego wyrazu, utracił niemało z typowości drobnego biesa, „co się wszystkim nisko kłania, z każdym słowem daje nurka“. Papkina przecharakteryzowano łatami na kolanach itp. Tu dopisała socjologia i ekonomika, zawiodła historia obyczaju. Podobnie z Podstoliną. Rola zbudowana niby jak najściślej na planie tekstu, ale ze pasja demaskatorska zbyt na wierzchu — rola nazbyt „niedwuznaczna“, nie podniesiona obyczajowo choć o ton, a więc jakby dwuwymiarowa: pikantny kontrast wdzięcznych manier z ich wstydliwą treścią (najlepsze przecież narzędzie satyry w danym wypadku!) uszedł jakoś uwagi. Bardzo trafnie natomiast ustawiona została (i to mimo pewnych braków technicznych amantki) para młodych: krwista, a gdzie trzeba „po staropolsku“ godna; bez deklamacji, wieloplanowo. Znakomitego Dyndalskiego stworzył długo nie doceniany Marian Jastrzębski, dziś niewątpliwie jedna z pierwszych gwiazd (bez cienia gwiazdorstwa) sceny krakowskiej.

Ogólnie więc biorąc, stało się zadość pragnieniom oglądania ludzi Zemsty żywymi. Zdjęto ich z pomnikowych nisz, a gdy okazało się, że posągi od tyłu są niedorzeźbione — usiłowano uzupełnić braki. Starano się przy tym nie uszkodzić pozłótki tam, gdzie zgodnie z prawdą być powinna. Ta szczera troska o wersję klasyczną przyniosła szereg osiągnięć, dotyczących szczegółów. (Ona też zmusiła do kapitulacji większość lokalnych wyznawców wersji tradycyjnej.) Do pełnej syntezy zabrakło jednak pewnej ilości nowych przesłanek (podczas gdy stare z natury rzeczy następczały się same.) I tak nie została ukazana w pełni antyfeudalna postawa Fredry; wahał się również teatr i w finale sztuki: nie chcąc „zgody“, bąknął półgębkiem coś niewyraźnego... Mówiąc językiem metody Stanisławskiego — zadanie nadrzędne (intencja teatru) nie wyszło wobec niedostatecznego ustalenia zadania naczelnego (intencyj wynikających z tekstu, z zawartych w nim „okoliczności wyznaczających“).

3. Łowca posagowy i inni

Koźmian, 1893 r.:

„Pierwsze przedstawienie w nowym gmachu... odsłoniło... iż tradycja fredrowska ginie, niknie, iż coraz trudniej artystom odtwarzać postacie Fredry w komediach. Wielu pamięta jeszcze Rychtera, Królikowskiego, Żółkowskiego, a nie ma już ani Cześnika, ani Jowialskiego, ani Papkina. Tu ratunek ko-

nieczny, niezbędny... Trzeba nowych talentów.. ale trzeba i zamiaru, przeświadczenia, przekonania, że to jest obowiązkiem i zadaniem zespolonym z istotą, z treścią polskiego teatru — że bez spełnienia go teatr polski i polscy artyści znaczną część powodu bytu stracą."

Boy, 1921 r.:

„Dawniej w Krakowie... utarło się zdanie, że publiczność na Fredrę nie chce chodzić. Świeżo w Warszawie... sala świeciła pustkami. Nawzajem krytyka utyskiwała stale... że styl fredrowski zanika. Słowem, błędne koło. Dziś scena krakowska w szczęśliwym jest położeniu... Przybyły całe zastępy widzów, dla których wszystko jest nowe, wszystko jest „premierą"; widzów niezbyt wyrobionych artystycznie, ale tym wrażliwszych może na rodzimą nutę; cóż dawać tej publiczności, jeśli przede wszystkim nie Fredrę! Teraz jest doprawdy wymarzona chwila, aby odbudować Fredrę na scenie krakowskiej i już mu z niej nie dać uciec."

Że chwila ówczesna nie była po temu, zrozumiał Boy szybko, skoro został niebawem kierownikiem literackim rozrywkowej Bagateli. Ale zadaniem tych cytat jest jątrzyć i dopingować.

Prawda, że odświeżano u nas Fredrę nie licząc się ze „stylem fredrowskim", mało — przeciwstawiając mu się. Ale jeśli zdecydowaliśmy się nie odświeżać, lecz stworzyć kanon klasyczny, to pora pozbierać nawet okruszyny. Niestety, u nas wobec braku ciągłości pracy, literatury teatrologicznej, nowej monografii Fredry, przy wiecznej migracji reżyserów i aktorów, pokutuje wciąż jeszcze sławetna inercja maszyny teatralnej, łatana improwizacją, po dziennikarsku. Nie sprowadzamy już z Wiednia „pawilonów" dekoracyjnych, ale kierownik artystyczny i reżyser często staje się znawcą *à la fourchette* problemów, których istnienia miesiąc wcześniej nawet nie podejrzewał. Wtedy jak „kotlet — raz!" zjawia się na scenie „Papkin — raz!", „Dworzany — raz!", Podstolina: „*komische Alte* — raz!" itd. Trzeba inaczej zorganizować pracę. Ażeby wygnać sztampy i gromadzić kapitał artystycznej wytrawności, same koncepcje, choćby najlepsze, nie wystarczą. A póki zespołowość nie stanie się faktem organizacyjnym, pozostaje nam liczyć głównie na koncepcje, oraz na — szczęśliwy zbieg okoliczności, jak to np. miało miejsce przy powstaniu zespołu Męża i żony.

Wytrawność, wytrawność... Zdawało się kiedyś poważnym krytykom, że historyzm przeszkadza Fredrze. A może przeszkadza mu wirtuozeria aktorska? Pierwszy prof. Kleiner, który tyle ładnych rzeczy napisał o *commedii dell'arte* i grze stylów w Zemście, uśmiechnie się z politowaniem na takie pytanie retoryczne. Dopóki nie nauczymy się nie tylko dostrzegać, ale i czysto przekazywać ze sceny różnicę np. pomiędzy oschłym, arystokratycznym sentymentalizmem rokoka, a sentymentalizmem rewolucyjnym, romantycznym, nie potrafimy poprawnie zagrać nawet głupiej Ciotuni. Czy też może przeszkadza — groteska, rozumiana tak jak u Szekspira, czy u Stanisławskiego, groteska obnażająca na scenie sam nerw dialektycznej jedności przeciwieństw? A może formalistyczną faramuszką jest tęsknota do „gry rytmów w Zemście, do muzycznego „kałkułu" (Norwid) w Damach i huzarach, gdzie wszystko, co się dzieje poza duetami i tutti na scenie, opiera się na układzie 3 + 1 (trójca gnębi jednostkę); tęsknota, która miłośnikom Fredry każe dziś jeszcze wspominać Schillerowską inscenizację Nowego Don Kiszota wr.

923, przedstawienie już i dla mojej ge-
eracji, niestety, mityczne. Wacław Ku-
acki pokazał wpływ Metastazja na Eu-
opę preromantyczną. Przyglądając się
nstrumentacji Mickiewicza, Fredry czy
Gribojedowa, będziemy zaskoczeni nie-
vątpliwymi dowodami wirtuozerii
zształconej na operze i wodewilu. Prze-
ost, wybujałość któregokolwiek z ele-
nentów są wrogie wytrawnej sztuce,
le skoro już zaczynamy spostrzegać,
ak bogaty jest Fredro i rozmaity,
tarajmy się oddać mu sprawiedliwość
ogato i rozmaicie! Nie zaspokoi poli-
onisty wyciąg fortepianowy.

Pierwsza rzecz, nie chcemy sztucznie
bniżać „klasy" branych pod skalpel
acjentów. Splendory? to splendory...
Nie pamiętam — poza Matejką — ta-
ich haftów i takiego blasku na pol-
kim magnacie, jak w filmie radziec-
kim na „detynie" Potockim. A przecież
woli reżysera te same koronki zda-
vały się szydzić z młodego królewiąt-
a, a wspaniałe krużganki podhorec-
kiego zamku ochłostały drwiną jego
jca. Reżyser-realista, jak mistrz pole-
niki „dyskutuje" pacjenta od strony
ego najmocniejszych argumentów, po-
naga mu nawet odnaleźć je i przypom-
nieć. I wtedy jest w zgodzie z wielki-
mi pisarzami. Tak bowiem, właśnie
ak, kazał grać swe kreatury Gogol, tak
isał i Szołochow, takiego Fredrę mo-
liśmy już oglądać w M ę ż u i ż o-
i e.

Cześnik i jego dwór? A nie żałować,
nocium panie... wszelakiego aromatu!
Porwał się rębajło na starość do cu-
zego zamku, cudzych włości i łaknie
plendorów. Czemuż ten staruch, scho-
owany i bojący się rogów, raptem tak
apłonął do sakramentu, że albo ta, al-
o inna, ale już? Przecież tylko dlate-
o, że gdy Klara (która lekko może
płacić sto tysięcy!) i „druga jej bra-
nka" za mąż pójdą, to — katastrofa
nansowa. Zostanie nic, albo tyle co
nic: ten, jeszcze jeden wielki człowiek
do cudzych interesów musiałby jak za
młodu wysługiwać się i szaraczkować!
Magnat? Ależ i po szczęśliwym (jeśli
Podstolina w czas się nie połapie!) ożen-
ku pozycja Cześnika nie dociągnie do
pozycji Starosty w P o w r o c i e
p o s ł a (choć żony i dole będą mieli
podobne...) A nikt Starosty w magnaty
nie pisze. Uzurpatorskie fumy i gesty
Cześnika, traktowane przez Fredrę z
wyrozumiałym humorem, uderzyły do
głowy mieszczańskim wielbicielom kon-
tusza, i tyle.

Biografia rębajły sejmikowego. Za
mało się wmyślamy w te lata bez ju-
tra, na ławie i na taradajce, wśród dy-
miących, bezmyślnych łbów, z łyżką za
cholewą i wiechciem słomy w bucie.
Tego się właśnie na posła wykrzesało,
ta znów „Jaśnie Wielmożnej tytuł przy-
brać miała, a znów tylko Wielmożną
na lat trzy została..." Jakiegoż to polo-
ru nabrać musiał wśród tego wszystkie-
go imć Cześnik, jakich adherentów i
sług — sam służąc — zdobyć? Podejrze-
wam, że była to nie byle jaka wataha
drapichrustów, Śmigalski bardzo mi na
to patrzy... A już jedno pewne, że gdy
z wyroków łaskawej Fortuny nieocze-
kiwanie znaleźli się po raz pierwszy
w zamku, rozdziawili gęby, podmignęli
sobie i wąsa podkręcili, by nie wybuch-
nąć śmiechem. Ale niebawem rozdzia-
wili gęby szerzej jeszcze: oto ich wczo-
rajszy watażka zaczął pańskiego szyku
zadawać i — znaj mores, albo fora ze
dwora!... A odbyło się to wszystko nie-
zbyt dawno, skoro Papkina, p i e r w-
s z y r a z bawiącego w zamku, Cześ-
nik informować musi. A więc osobli-
wa godzina, świeża jak pączek, naro-
dzin nowego pana i jego dworu. Ileż
tu subtelnych możliwości komediowych.
A u nas hajduki cześnikowe chodzą po
scenie wyszkolone niby chińska (!) służ-
ba u samego lorda w filmie I n d y j-
s k i g r o b o w i e c.

Prof. Kleiner, który tak pięknie ustalił czas akcji sztuki („gdzieś pod koniec pierwszego dzisięciolecia XIX"), ubolewa nad zanikiem zrozumienia dla wartości kontuszowych i każe Fredrze widzieć przełom moralny Cześnika w zwrocie „Ojców moich wielki Boże, wszak gdy wstąpił w progi moje, włos mu z głowy spaść nie może", a nam ten przełom podziwiać. Wpada przy tym nieco w ton Wojskiego, objaśniającego analogiczną scenę z szablami na swoim serwisie.

Panie Wojski, niech Wasze na potem odłoży
Te historyje; prawda że sejmik ciekawy,
Ale my głodni, każ Waść przynosić potrawy.

— odparł mu Podkomorzy, nie przeceniając faktu... Niechże i nam, czytującym bardzo... różne szlacheckie historie, wolno będzie pójść za jego przykładem. Pozostawiając *casus* w ramach obyczaju, unikniemy babrania się w kazuistyce moralnej — że można kogoś (Wacława) w „turmie" żywcem zgnoić, byle mu... włosów nie golić.

Poważniejszy znacznie jest argument profesora o uwznioślającej funkcji „konfederata barskiego" w odczuciu wielkich pisarzy epoki romantycznej. Zgoda. Lecz po pierwsze nie wyjdzie z Macieja Raptusiewicza Anhelli, skoro pogderawszy chwilę wraca do swego: „lecz demeszkę przecie wolę" — ową demeszkę do krzesania łbów panom braciom. Wyrozumiale sceptyczny Fredro, nie skłonny do egzaltacji, nawet historiozoficznej, którą — na jego rachunek! — rozpętały były konserwatywne politykierstwo i mieszczański snobizm końskiego ogona. Komedia obyczajowa takiego balastu nie udźwignie — „zna proporcją, mocium panie, i nie każe fircykować." A cóż robiono, gdy treść „poloneza" nie pokrywała się z miłą uchu melodią? — Uderzano w wielki dzwon, w patos, ogłuszano i oślepiano gestem. Tak w komentarzach „naukowych", jak i ze sceny. Nie byłoż to fircykowanie, szarlataneria?

Po drugie: czytajmy tekst, aby odtworzyć („zadanie naczelne") świat Fredry nie wedle czyichkolwiek (choćby i autorskich!) komentarzy, ale tak jak rzeczy zostały spostrzeżone i zapisane. Ledwie skończył Cześnik wspominki o konfederackich bojach, rozpoczyna bardzo intrygujące w tym miejscu gderanie:

Młódź, acz dzielna, w boju dziarska
Prym dawała starszym w radzie,
Tak, jak w poczet Bóg nas kładzie.
Ale teraz to się staje,
Że od kury mędrsze jaje.

Czyli: wojowałem, i czegom się dowojował?

Nikt jednak z młodych w dotychczasowym ciągu komedii staruchowi się nie naraził! Przeciw komu ta nieuzasadniona niby niczym wyprawa? Na częstą u Fredry wstawkę odautorską albo jeszcze za wcześnie, skoro autor sam jeszcze nie stary, albo — jeśli to ma być echo niechęci do powstania 1831 r. — nie ma miejsca na scenie, bo nie ma sposobu takiej scenicznej interpretacji. Cóż pozostaje? Skoro nikogo z młodych Cześnik nie może mieć na myśli... Chyba że — Klarę, rezolutną kandydatkę do zamążpójścia, Klarę przez którą ten znękany stary kawaler musi na gwałt bogato się ożenić?... Klary bywają u Fredry „mędrsze od kury", a Cześnik swojej tak mało jest pewny („któż za jutro mi zaręczy"), że przez cały bieg akcji woli schodzić jej z drogi... Tak czy owak, widzimy w tym ostatnim akcie komedii człowieka który bywał na wozie i pod wozem człowieka, od podniesienia kurtyny

mieszonego dotkliwie płonnością wy-
ynu (małżeńskiego), na który zdobył
ę wbrew własnej chęci. (Prof. Klei-
er znowu zdaje się nie dostrzegać, iż
oro my wiemy, że z zabiegów nici, to
wspanialsze będą przygotowania Cze-
ika do ślubu, tym komizm większy!
komizacja dekoracyjna łączy się zre-
tą również i w tekście przygotowań
eselnych z moją tezą niedawnego wy-
owadzenia w pany i Cześnika i jego
iworu".) Pierwsze więc, co w tym ak-
e Fredro ma o Cześniku do powiedze-
a, to że nic tu nie należy brać serio,
nic z tego nie będzie: — ani z gir-
nd, ani z „turmy", ani z bijatyki na
łasze. Antyfeudalnych przekąsów
ość u Fredry, od księcia w Geld-
abie poczynając. A tu brat łata
dął za wysoko i otarł się o dramat
od ciemnej gwiazdy! Ale że histo-
powtórzona farsą bywa najczęściej,
krwawe dzieje walk rodowych skur-
yły się do zemsty... o mur graniczy-
, że wreszcie człek ten miewał i lep-
e chwile w życiu (pani Barska), —
zeto, podsuwa autor, rozgrzeszmy
z humorem, mało: pozwólmy mu
ygrać w końcu tę oszukańczą grę
ałżeńską z Podstoliną i tak zapewnić
bie kąt na starość. Przecież niesłod-
dola Starosty z Powrotu po-
a wskazuje, że nie obdarzamy Cze-
ika nazbyt hojnie...

O Podstolinie pisałem już w drugiej
ęści tych rozważań. Tu przytoczę tyl-
uwagi Niemirowicza-Danczenki na
mat Zofii w Bieda z tym ro-
mem Gribojedowa:

„Patrząc na portrety księżnej G. czy
abiny B. trudno uwierzyć, że te cza-
jące damy, z tak jasnym i niewin-
m spojrzeniem, pozostawiły po so-
e tyle cynicznych anegdot, w rodzaju
anej: *Faites bien et vite.*

W tym chyba rodzaju grała Podstoli-
Bednarzewska, gdy Boy pisał:

„pierwszy raz zrozumiałem równowagę „wokalną" tego utworu". Podstolina, wedle ulubionej przez Fredrę metody symetrycznego ustawiania postaci, stanowi parę finansową z Cześnikiem. To prowadzi nas nie tylko do lepszego zrozumienia pozycji i linii akcji Cześnika, ale i do wypunktowania finału sztuki. Te Fredrowskie finały często wprowadzają w kłopot reżyserów i wychodzą nijako. A przecież dawno już zwracał uwagę Leon Schiller na związek ich z „kupletami" komedio-oper i wodewili. Z tym, że w Zemście parę wątków intrygowych nie zostało załatwionych w kulminacji, a więc „kuplety" finału będą nie tylko „telegraficzne", ale i — z czego tylko się cieszyć — nasycone akcją. Oczywiście sztuczny majestat finału, ów „święty węzeł zgody" sam się rozleci. Ano, próbujmy. — Uścisk rąk adwersarzy trwa u Fredry chwilę tylko, bo już wnet aż trzy osoby znowu przedzielają Rejenta od Cześnika, przy którym, całkiem z boku, czuwa Podstolina. Taka jest wyraźna instrukcja autorska. Z tekstu „Wszyscy: Zgoda! Zgoda! — Wacław: Tak jest, zgoda" wolno chyba pierwsze „zgoda" oddać samej Podstolinie, z wyraźnym adresem do Cześnika? Ale wolałbym, choćby dla próby, usłyszeć to pierwsze „zgoda" z ust... Klary — ratującej w ten sposób „drugą swą bratankę" przed (nieuniknionymi inaczej!) zakusami Cześnika. Teraz wszyscy wołają „zgoda" — Podstolina się droczy, Cześnik wzdycha. Więc Wacław (a wiemy, nawet z Zemsty, że ten rodzaj humoru Fredrze nie obcy!) bardzo polonezowo skłania Podstolinę, by zrobiła sama pierwszy krok... Cóż wtedy pozostaje rycerskiemu łowcy posagowemu, czyli Cześnikowi?... Pod *consensus omnium* dokonuje się (teraz, nie wcześniej!) sakramentalne rączki cmoknięcie. A gdy już się stało, może i Wa-

cław raz nareszcie ...zakończyć swe porachunki z ojcem. Wszak to — nie zapominajmy! — dzisiaj dzień wyzwolin Wacława. Tyle lat stary Judasz Boga mu jak chomąt na szyi wieszał, że stając wreszcie na własnych nogach, nie odmówi sobie „b. książę Radosław" satysfakcji — włożyć w ostatni wiersz sztuki tyle sensu i wdzięku, ile tylko zdołał przyswoić w szerokim świecie, od różnych, nie daj Boże, libertynów i encyklopedystów.

Oczywiście, wszystko to w rytmie i w tempie. Jak polonez, to polonez...

Papkin. Ponieważ kilka już autorytetów w różnych czasach pisało, że Papkiny wymarły i nie mamy już do nich żywego stosunku, więc wysmażył się Papkin teatralny, „Papkin—raz!", Papkin do bicia rekordów. Fredro chce, żeby Papkin był ubrany z francuska, tak jak się ubierali rezydenci — ultramontanie, co to „niczego nie zapomnieli, niczego się nie nauczyli". Barok i rokoko.

Dawniej młoda panieneczka
Mile rzekła kochankowi
daj mi, luby, kanareczka!
A dziś...

Prof. Kleiner bardzo gruntownie to wykłada. Choć klimat inny, — czas, anachronizm generacji najbliżej łączą Papkina z Cześnikiem. Nie tylko stare wspólne interesy. Papkin to kandydat na Szambelana z C i o t u n i. (Z zestawienia dat akcji można podziwiać, jak nawet w błahostkach Fredro jest ścisły w obyczaju historycznym!) Lwie lata Papkina, to lata barona Hieronima Munchhausena i jego francuskiego kuzyna, pana de Crac, postaci nie mniej przysłowiowej z farsy Colin d'Harleville'a, 1791. Ale trzeba wszystkie te splendory wyszmelcować dwudziestu latami trzymania się sarmackiej klamki, i dobrze już przykurzyć z waszecia. (Nie chcę tu koniecznie robić z Papkina emigranta, czy — za Grzymałą — austriackiego urzędnika, który cisnąwszy służbę poszedł faktorować szlachcicom. Jeśli Fredro akcentu obcości nie kładzie, nie bawmy się i my w te tanie efekty. Chodzi po prostu o tę odrobinę stylu, którą pieczeniarz i faktor jeszcze zachował.) Ale, któż to taki?

„Starszy, prawdopodobnie 40, a nawet 50-letni, źle odżywiony, dobrze wyłysiały jegomość o przesadnych manierach; nerwowy, drażliwy, a jeśli idzie o wygląd fizyczny, w oczach człowieka bez współczucia — śmieszny".

To mistrz bon-tonu, pieczeniarz i dyskretny pośrednik, p. William de Bourgh Cokane, ze S z c z y g l e g o Z a u ł k a... Papkin umarł?... O, nie! — dogorywa dopiero. Gdziekolwiek jeszcze brudne interesy załatwia się w arystokratycznych dekoracjach (np. handel narkotykami itp.), gdzie można zarobić na cichym pośrednictwie, tam Papkinów — płci obojga — nie zbraknie. Z tym, że nabrali zręczności wobec surowych wymagań nowych panów: bankierów anglosaskich; a także tytuły noszą na ogół autentyczne: francuskiego markiza, b. rumuńskiej hrabiny, albo po prostu byłego sanacyjnego pułkownika na emigracji. Ale — zapędzam się... czego aktorzy nienawidzą jak grypy. Żeby więc skierować wyobraźnię na konkretne tory, powiem — jeśli Władysław Grabowski nie grał, i to znakomicie, i Papkina i tego śmiesznie żałosnego „Wilusia" Cokana, to przez ślepą głupotę przypadku. (Inna parantela Papkinowska, to porucznik z G ł u p i e g o J a k u b a, parantela znakomicie zrealizowana przez Mariusza Maszyńskiego).

I tu zbliżamy się do motywu drugorzędnego, niech nawet trzeciorzędnego ale którego uwzględnienie natychmiast doda smaku wzajemnym stosunkom

osób i całemu klimatowi komedii. Chodzi o inteligenckość Papkina. Moja generacja zdążyła jeszcze porozkoszować się takimi kupletami:

Bo dla in-tel-li-genta
To los zaiste psi
Marnować swe talenta
Gdzieś na odludnej wsi...

Czy to nie Papkin w pierwszym akcie, rozgoryczony przez Cześnika? A dalej (może przekręcam, ale cytuję z pamięci):

Lecz teraz wiem co zrobię —
Ja sam się zamknę w sobie:
Bez moich cennych rad
Niech tam przepada świat!

Czy to znowu nie Papkin podczas pisania testamentu? Jeśli obstaję przy „przykurzeniu z waszecia", to gdzieś tędy droga. Oczywiście zgoda z prof. Kleinerem, że Papkin to parodia romansu rycerskiego, ale cóż, kiedy pójście (w teatrze) po linii czystej gry w style prowadzi od realnego obrazu epoki do tyrad, „przedstawiania" i płaskości. Hrabia w Panu Tadeuszu również fantazjuje rycersko, a przecież i w nim, w jego dyskursach, jest niewątpliwie motywik inteligencki, wyobcowujący ze środowiska kołdunów, zrazów i polewek. A Wacław, o którym Boy słusznie spostrzegał, że „pieje bardziej z literacka", czyż nie podszywał się na studiach w mieście pod tytuły i przygody? Działało tu jakieś prawo kompensowania pozycji w sposób, mający — rzekomo — trafić do wyobraźni zaściankowych posesjonatów. Mało więc powiedzieć, że Papkin kłamie, blaguje, bufonuje, że jest poetą kłamstwa. Papkin walczy po swojemu o jakiś swój — mętny, połatany i anachronistyczny — świat wartości, o klimat do oddychania wśród zaściankowej barbarii... Dwadzieścia lat wśród takich i tym podobnych szlachciców, dwadzieścia lat (co najmniej! Papkin absolutnie nie może być młody!) akcji kulturtregerskiej, wychowawczej (w tym przypomina Florę z Ciotuni) — bezowocnej, śmiesznej, pozbawionej tak zasadniczego autorytetu, jaki daje osobisty sukces życiowy... A przecież jego polor jest niewątpliwy, zdolność wysłowienia się niezawodna, jakieś tam maniery, jakaś nawet erudycja... Porównać tylko, jak się biorą do pisania Cześnik z Dyndalskim, a jak to idzie Papkinowi: jak gdyby był belfrem, piszącym elaborat do księgi pamiątkowej któregoś galicyjskiego gimnazjum... (Podkreślenie kontrastu tych dwóch równoległych czynności, oraz późniejszego popisu literackiego Papkina przed Klarą, zasługuje chyba na uwagę.)

Chciałoby się więc zawołać: — spójrzmy na Cześnika i Rejenta oczami Papkina, oczami człowieka, któremu tacy właśnie przez tyle lat kształtowali i deformowali biografię. Niestety, znowu brzmi to zbyt może abstrakcyjnie dla aktorskiego ucha. Już w r. 1938 pisał (z całkiem zresztą odmiennych pozycyj) Wilam Horzyca:

„...nawet ów półczłowiek, jakim wydaje się być Papkin, staje się nagle zjawiskiem z tego samego co Cześnik lub Milczek materiału. Ba, można nawet odwrócić równanie i powiedzieć, że właściwie to Cześnik i Milczek są stworzeni i ukształtowani na wzór podobieństwa tego na pół Don Kichota, a na pół błazna, jakim jest Papkin. Więcej jeszcze; można by pójść dalej i powiedzieć, że cała Zemsta, to właściwie jedna wielka papkinada..."

Szukając prawdy postaci i pełnego artyzmu w odtworzeniu ich wzajemnych powiązań, znajdujemy wzór metodologiczny znacznie konkretniejszy w książce Gorczakowa o Stanisławskim.

Próbowano Gorące serca A. Ostrowskiego, sztukę, w której jest jakaś papkinada rosyjska. Gdy aktorzy byli już „gotowi w roli", Stanisławski urządził pogadankę o epoce i biografiach postaci i poprosił grających, ażeby się przesiedli ze swymi krzesełkami tak, jak wiążą ich nici intrygi. Ta pozornie łatwa sprawa doprowadziła jednych do rozpaczy, innych do odkrycia drogocennych uzupełnień roli, i okazała się formalnie nie do wykonania — tak gęsto trzeba by siedzieć... Dopiero wprowadzenie ruchu, akcji pozwoliło uwidocznić całą wieloplanowość powiązań: — próba przerodziła się w szereg olśniewających improwizacji i otwarła nowy etap w rozumieniu sztuki całkowicie już „opracowanej", i mającej świetne teatralne tradycje...

Papkin — Rejent. „Papkin — raz!" jest dla Rejenta jasny od pierwszej chwili. Ale Papkin prawdziwy wymaga dopiero rozpoznania. Nie trudny orzech dla Rejenta, ktoś powie? Tak, jeśli „Rejent — raz!" jest głowaczem, demonem inteligencji z teatralnej, a raczej polonistycznej łaski. Ale jeśli, jak zauważył już Boy, demonizm Rejenta jest komiczny i prowadzi do głupstw oczywistych, to słowa *nemo sapiens, nisi patiens* stają się zabawnym wyrazem wysiłku rozpoznawania tak bądź co bądź niecodziennej persony. (I horodniczy Dmuchanowski człek nie głupi, a ile się namęczył z pajacem Chlestakowem). Dać komizm zgłębiania Papkina przez Rejenta można tylko wtedy, gdy „przedstawianie" ustąpi działaniu — z całą wiarą, o której tak płomiennie mówił Stanisławski.

Cześnik — Papkin. „Bufon ma swego bufona" (Boy). Jenialkiewicz i kibic, a dawniej może przygodny, ale wielokrotny wspólnik. Olśnieni bibułkowym „magnactwem" Cześnika (choć sam Papkin nie jest olśniony) jakoś nie dość ostro widzimy, że Cześnik rozkazuje Papkinowi tylko wtedy, gdy go temperament rozgrzeje, a w gruncie rzeczy — wyszantażowuje posłuch; że całuje i głaszcze Papkina; że się z nim przekomarza, rozumem przechwala. „By odświeżyć w twej pamięci, coś mnie winien, a ja tobie" — nie brzmią tu radziwiłłowskie tony... Cześnik jest głównym obiektem wychowawczych usiłowań Papkina. Gdy mówi o „terkotnym języku i przewrotnym i kłamliwym", daje wyraz zgrozie wobec dziwoląga. Jest przerażony „wzięciem jeńca" itd. Rad by sam sobie radził, ale widać dla niego Papkin to głowa, jak dla Famusowa „Mołczalin — to głowa!" A że go postponuje i w wartości obniża? Takie to już obyczaje wspólnickie i handlowe. Napatrzył się tych rzeczy hrabia Fredro dosyć, ażeby nie znać setek odmian szlacheckiej bezradności, setek anegdotycznych kombinacji zaściankowego krętacza i faktora.

Niektórzy krytycy podkreślają obecnie „wycinkowość" prawdy o świecie szlacheckim u Fredry i skłonni są amnestiować autora, wobec faktu likwidacji ziemiaństwa w naszym kraju. Ale likwidacja ziemiaństwa, to jeszcze nie wykorzenienie szlachetczyzny, a poza tym — jak próbowałem sugerować — niektóre pojęcia, jak papkinada, mogłyby jeszcze mieć kurs polityczny podobny do kursu „mołczalińskiego" czy „obłomowszczyzny" w publicystyce radzieckiej. A z drugiej strony: — optyka teatru jest inna, wymaga wiedzy rozszerzonej, uzupełnionej, wymaga (jak długo chcemy być w metodzie realistycznej!) konfrontacji z obiektywną historyczną prawdą czasu i miejsca. I aktor na deskach sceny i ja tu na papierze możemy np. omylić się w odpowiedzi na pytanie, ile lat Cześnik mieszka w zamku. Ale bez takiej konkretnej odpowiedzi (sformułowanej

choćby jako „poczucie") można na temat Cześnika tylko deklamować.

Zbieranie takich „konfrontacyjno-historycznych" przesłanek do pełnej wypowiedzi scenicznej o świecie Zemsty, a szerzej biorąc, o świecie Fredry, jest dopiero w zalążku, choć mogłoby już znacznie pokaźniejsze mieć osiągnięcia. Ale to pójdzie! Tak samo z formą fredrowską. Nie jest przecież np. problemem nie do rozwiązania pogodzenie Ważyka z Peiperem przy ośmiozgłoskowcu Fredry: — jasne, że trzeba „komizować średniówki", gdzie sam autor o to prosi, i nie mniej jasne, że należy unikać nowego szablonu i monotonii. To samo z dekoracją i kostiumem. Od czasu baletów Ludwika XIV postąpiliśmy o tyle, że nie tylko nie gramy Rzymian i Turków we własnych kostiumach „balowych", ale jeszcze majaczy się nam jakieś pojęcie (dość mgliste) o stylu np. dekoracji szekspirowskiej — przy czym pojęcie to nie pokrywa się z szablonem „informacja autorska, uzupełniona wiedzą o epoce". Może więc przyjdzie czas, gdy i w dekoracjach do Fredry potrafimy nie tylko dać informację historyczną albo stylizowaną zabawkę, ale i — „skomizować średniówki".

Oglądałem gdzieś dowcipne zestawienia kostiumologiczne: autor wybrał kilka najpopularniejszych postaci z klasyki teatralnej i porównał ewolucję ich kostiumu z ewolucjami równoczesnej mody. Jeśli nawet pominąć czasy starsze, gdzie wiernością historyczną nie przejmowano się zanadto, i obserwować ten okres (mniej więcej od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, od Meiningejczyków), kiedy i wymagania pod tym względem wzrosły i znajomość przedmiotu była już najzupełniej dostateczna, to przecież zestawione obok siebie rysunki mają wymowę uderzającą! Czas, miejsce, funkcja społeczno-kulturalna teatru, krótko mówiąc, sytuacja historyczna, tłumaczą nam osiągnięcia i dziwactwa kostiumowe dziesiątków znakomitych Hamletów, Julij, Rodrygów itd. I chociaż to dla nas nie nowina, świadomość tych zależności powinna być nie ogólnikowa, ale dokładna, rozbudowana szeroko i pełnie na gruncie metody realizmu socjalistycznego. Ona pomoże nam wyzwolić się z „archiwariuszostwa" w zbieraniu dostępnych jeszcze okruchów dorobku naszej fredrowskiej tradycji teatralnej, ona też wyzwoli nas z idealistycznych złudzeń co do „kanonu fredrowskiego" (jako sprawy do załatwienia raz na zawsze).

Odczytując tekst Fredry oczami swojej epoki, oczami artystów ludowych, czyniąc probierzem jego realizmu konkret wielkich i małych faktów historii, będziemy widzieć coraz jaśniej dialektykę wewnętrznych przeciwieństw tej klasyki i rozumieć coraz pełniej, gdzie i czemu Fredro jest nam bliski. (Przykład: — antyfeudalizm Zemsty, ukazany poprzez feudalne splendory.) Tylko w ten sposób zdołamy spełnić swój obowiązek artystyczny: — odszukać jego „charakter pisma", jego styl kompozytorski, dać wyraz sceniczny jego bogactwu i niepowtarzalnej jedyności. Wszelki zaś koncepcjonalizm apriorycznyy, wszelka stylizacja, wszelka pogoń za ciągnionymi za uszy analogiami do dzisiejszości, byłyby, jeśli nie okrawaniem i zubożaniem poety, to co najmniej uchylaniem się od zadań.

Toteż wołajmy dziś przede wszystkim o realia Fredrowskie, nie pogardzajmy tu niczym. Ale przyglądajmy się dobrze błyskom szabli w ręku Cześnika. Jak polonez, to polonez!

Józef Maśliński

NA WIDNOKRĘGU

31 października 1952 roku w osiemdziesiątym roku życia zmarł w Warszawie

BENEDYKT HERTZ

syn powstańca 1863 roku, poeta, dramaturg, bajkopisarz, satyryk, publicysta. Twórczością swoją służył sprawie postępu.

NOWY PREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH

20 stycznia władzę w Stanach Zjednoczonych obejmie nowowybrany — 4 listopada — prezydent. Generał z pięcioma gwiazdkami, Dwight Eisenhower, doszedł do władzy na fali wzmożonej faszyzacji życia wewnętrznego Stanów Zjednoczonych. Osoba Eisenhowera ucieleśnia zalążek „idei wodzostwa", przeniesionej na teren USA.

Jaka była kluczowa problematyka wyborów amerykańskich i jakie były siły konkurujące? Kluczowym problemem, z punktu widzenia wyborców, była wbrew wszelkim wysiłkom sztabów propagandowych obu wielkich partii — kwestia pokoju. Znamienna jest w związku z tym ewolucja, jaką przeszło słownictwo generała Eisenhowera w trakcie czterech miesięcy kampanii. Generał, jak wiadomo, zaczął od tego, że zapowiedział wyzwalanie krajów Europy Wschodniej oraz Korei Północnej i... Wysp Kurylskich oraz Sachalinu. Bezpośrednio po tych oświadczeniach prasa amerykańska doszła do wniosku, że jeśli tak dalej pójdzie, gen. Eisenhower przegra wybory. „Ike" odwołał wobec tego pośpiesznie swoją koncepcję „wyzwalania", a na miesiąc przed wyborami „rzucił bombę" w postaci deklaracji, że jeśli będzie wybrany, uda się natychmiast na Koreę, aby spowodować „wyjście z impasu". Jednocześnie Eisenhower opublikował część, ale tylko część, listu gen. van Fleeta, dowódcy wojsk lądowych na Korei. W liście tym van Fleet opiniuje, że aktualna sytuacja jest nie do zniesienia i że trzeba położyć kres bezużytecznym stratom amerykańskim. Eisenhower oświadczając, że zgadza się z tym wnioskiem, nie opublikował jednak drugiej części listu, w którym van Fleet opiniuje, że „wyjście z impasu" to rozszerzenie wojny koreańskiej, m.in. poprzez bombardowanie Mandżurii.

Dla znakomitej większości komentatorów zachodnich nie ulega kwestii, że Eisenhower wygrał wybory przede wszystkim ze względu na demagogiczne obietnice „wyjścia z impasu koreańskiego" oraz, z drugiej strony, ze względu na daleko idące niezadowolenie wyborców z siedmiu lat rządów Trumana i jego partii. Jednakże wybór Eisenhowera nie świadczy w żadnym stopniu, jakoby Stany Zjednoczone miały faktycznie zacząć prowadzić mniej agresywną politykę.

Nie ulega kwestii, że zwycięstwo w wyborach amerykańskich, bez względu

na mniej lub bardziej sprecyzowane ntencje wyborców, odniosła reakcja. I o nie dlatego, że wybrany został Eisenhower, a nie Stevenson. Jeszcze 26 października N. Y. Times w korespondencji z Wall-Street donosił: „Wall Street nie oczekuje, niezależnie od wyniku wyborów, żadnych zmian w polityce Waszyngtonu. Wall Street nie oczekuje zmian ani na odcinku budżetu wydatków na zbrojenia, ani na odcinku podatkowym... Na Wall Street panuje przeświadczenie, że różnica między obu kandydatami jest minimalna. Stevenson czy Eisenhower — perspektywy polityki rządowej pozostają te same. Opinia ta wśród bankierów jest powszechna". Zwycięstwo reakcji polega więc przede wszystkim na tym, że udaje jej się nadal utrzymywać znaczną większość narodu amerykańskiego w stanie politycznego ogłupienia, co prowadzi do tego, iż wyborca mający całkiem namacalne powody do niezadowolenia z Trumana i jego polityki głosuje na tę samą politykę, choć wydaje mu się, że głosując na Eisenhowera przyczyni się do jej zmiany.

Trzeba stwierdzić, że okres przedwyborczy reakcja amerykańska wykorzystała dla spotęgowania działania tych wszystkich narzędzi ogłupiania i terroryzowana opinii publicznej, które skądnąd nie od dziś należą do stałego arsenału amerykańskiej klasy panującej. Histeria antykomunistyczna została wzmożona, przy czym terminem „komunista" objęto wszystkich bardziej deklarowanych zwolenników pokojowej polityki. Przyśpieszono terrorystyczne procesy przeciw członkom aktywu Komunistycznej Partii USA. Z drugiej strony wykorzystano wszystkie możliwości, jakie daje amerykańska ordynacja wyborcza. Formalnie w USA było uprawnionych do głosowania 98,5 miliona obywateli. Według oceny prawy jednak cenzus majątkowy istniejący w czterech stanach, podatek wyborczy obowiązujący w 5 stanach, cenzus wykształcenia — w 19 stanach, cenzus zamieszkania we wszystkich stanach, wreszcie cały szereg przepisów lokalnych — (m. in. w wielu stanach do wpisania na listę wyborców trzeba zaświadczenia o „dobrej reputacji") w połączeniu z terrorem antymurzyńskim w stanach południowych uniemożliwiają udział w głosowaniu wielu milionom wyborców. W wyborach 1948 drogę do urn zamknięto w ten sposób 20 milionom wyborców z klas i narodowości najbardziej upośledzonych. W roku bieżącym odnośna liczba była nie mniejsza niż 25 milionów, przynajmniej według oceny nowojorskich obserwatorów. Wszystko to, w połączeniu z pasywnością innych wielu milionów, spowodowało, że na 98,5 miliona formalnie uprawnionych do głosu udział w wyborach wzięło niespełna 58 milionów, tzn. 59 proc.

Do ogłupienia ludności przyczynił się też w olbrzymim stopniu sposób prowadzenia kampanii przez obie wielkie partie mający na celu jak najdalej idące ukrycie istotnych problemów politycznych. Na pierwszy plan w argumentacji obie partie wysunęły, jak to już leży w zwyczajach amerykańskich, kwestię korupcji. W związku z tym można stwierdzić, że cała administracja Trumana *in corpore* powinna — jeżeli zarzuty przeciwników były słuszne, a trzeba przyznać, że ich udokumentowanie było nienaganne — powędrować za kratki natychmiast po zakończeniu kampanii wyborczej. Z drugiej strony można również twierdzić, że — jeśli słuszne były zarzuty demokratów, a i tutaj dokumentacja była nienaganna — aktyw partii republikańskiej nie nakradł tyle, ile demokraci, tylko dlatego, że nie był od 20 lat u władzy. Bez wątpienia jednak republikanie sobie to odbiją. Zwróćmy uwagę, że wzajemne

wymysły i denuncjowanie złodziei przed opinią publiczną w niczym nie zaszkodziło istotnie mocodawcom kampanii. Wyborca na ogół uwierzył zarzutom jednej bądź drugiej strony i zgodnie z tym tak czy inaczej wybierał jedną z klik. Pozostawałaby sprawa wyborców, którzy pod tym względem uwierzyli obu stronom, a pod innymi nie uwierzyli żadnej. Czy tacy wyborcy mieli faktycznie możność wybrania kogoś trzeciego?

Parta postępowa, jedyna zorganizowana siła postępowa, która oficjalnie uczestniczyła w akcji wyborczej, uzyskała zaledwie około 250 tys. głosów. Jest to procent znikomy. Nawet w stanie Nowy Jork, gdzie siły postępowe były zawsze stosunkowo większe niż w innych okręgach USA, partia postępowa zdobyła tylko 56 tys. głosów. Z tych liczb wynika, że wyborcy amerykańscy, którzy skądinąd, jak widzieliśmy wyżej, nie są wcale zwolennikami wojennego kursu, nie umieli jednak znaleźć właściwej drogi dla wyrażenia swoich pragnień. Tego zjawiska nie można zapisać wyłącznie na karb podkreślonej wyżej techniki terroru i ogłupiania. Faktem jest, że partia postępowa nie potrafiła uzyskać poważniejszej liczby głosów przede wszystkim dlatego, iż siłom postępu i pokoju w Stanach Zjednoczonych brak oparcia o zorganizowany masowy ruch postępowy w klasie robotniczej. Zagadnienie postawy klasy robotniczej było więc kluczowym zagadnieniem kampanii wyborczej w USA. Pod tym względem reakcja amerykańska zdyskontowała w pełni cały, konsekwentnie od 1945 realizowany proces „oczyszczania" związków zawodowych — jedynych masowych organizacji robotniczych — od elementów „podejrzanych". Jak wiadomo, jeszcze na rok przed wyborami reakcja zrealizowała rozłam w CIO w celu odizolowania od szerokich mas związkowców tych ugrupowań związkowych, w których kierownictwo posiadają komuniści i ich sympatycy.

W rezultacie wyborcy z klasy robotniczej głosowali w większości za Stevensonem kierując się raz jeszcze teorią „mniejszego zła" (Stevenson np. demagogicznie występował przeciw antyrobotniczemu ustawodawstwu, podczas gdy Eisenhower otwarcie sprzymierzył się z autorami tego ustawodawstwa). Nie ulega kwestii, że sympatie tych wyborców były w wielu wypadkach po stronie partii postępowej, ale w głosowaniu kierowała nimi niesłuszna rachuba, że rozbijając głosy stevensonowskie torować będą drogę eisenhowerowskiemu faszyzmowi. Wyborcy ci nie dostrzegli, że zaporę dla faszyzmu stanowić może nie Stevenson, lecz tylko właśnie masowy ruch postępowy i wyrażenie tej masowości w wyborach. Wreszcie istniała poważna grupa wyborców robotniczych, którzy głosowali za Eisenhowerem zwiedzeni jego pokojowymi obietnicami i rozczarowani do polityki bonzów związkowych nawołujących do poparcia Stevensona. W tej sytuacji można stwierdzić, że dopóki w znakomitej większości amerykańskiej klasy robotniczej polityczne kierownictwo znajdować się będzie w rękach imperialistycznej agentury, dopóty wybory amerykańskie muszą przynosić zwycięstwo reakcji i dopóty ów wyborca nie chcący głosować na żadną z wielkich partii nie będzie mógł dostrzec właściwej alternatywy.

Organ Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych N. Y. Daily Worker z wyników wyborów wyciąga następujące wnioski: „Nie powinno być miejsca na defetyzm w kołach obrońców pokoju w USA. Wiele milionów ludzi, którzy głosowali przeciwko Eisenhowerowi, dowiodło, że uważają republikanów za wrogów mas pracujących (...), za niebezpiecznych demagogów, którzy

zdradzą swe pokojowe obietnice. Te miliony (...) stanowią olbrzymi potencjalny zalążek masowego, bojowego oboru przeciwko programom reakcji i wojny.

Dziesiątki milionów ludzi opowiedziało się za pokojem, mimo że na skutek pomieszania pojęć i propagandy głosowało za Eisenhowerem. Oni także należą do obozu pokoju. Miliony te mogą pozostać zorganizowane przez obóz reakcji. Mogą one także być zorganizowane na rzecz pokoju, jeśli awangarda ruchu pokoju zda sobie sprawę, że jej głównym zadaniem jest iść w masy, nawiązać z nimi dyskusję, a przede wszystkim wypracować program, który masy będą w stanie przyjąć. Najważniejszym zadaniem w chwili obecnej jest organizowanie mas pod hasłem spełnienia ich żądań natychmiastowego zawieszenia broni w Korei".

„Wybory dowiodły — kończy dziennik — że miliony Amerykanów są bezsilne politycznie i że istnieje możliwość zorganizowania ich na bazie walki w obronie żądań mas..."

Wniosek o konieczności wzmożenia pracy politycznej w masach, a przede wszystkim w klasie robotniczej, tzn. przede wszystkim w związkach zawodowych — jest szczególnie aktualny — właśnie wobec zwycięstwa Eisenhowera. Nie ulega bowiem kwestii, że poparcie, jakie otrzymał Eisenhower od najbardziej reakcyjnych grup monopolistycznych i najbardziej faszystowskich politycznych klik w rodzaju bandy McCarthy zapowiada dążenie do przyśpieszenia tempa faszyzacji życia wewnętrznego Stanów Zjednoczonych.

*

Jeśli chodzi o znaczenie wyboru Eisenhowera na prezydenta USA z punktu widzenia sytuacji międzynarodowej, podkreślenia wymaga przede wszystkim fakt, iż nowy prezydent wprowadza ze sobą do Białego Domu i Kongresu te grupy, które są zwolennikami jak najostrzejszego kursu wobec amerykańskich sojuszników. Nie bez powodu prasa brytyjska i francuska wyraża z tego tytułu poważne zaniepokojenie. Prasa ta obawia się zaostrzenia sprzeczności w bloku atlantyckim zarówno z powodu koreańskich zamierzeń Eisenhowera, gdyż mało kto w Europie zachodniej — jak pisze Monde — wierzy, jakoby metody, przy pomocy których Eisenhower chciałby „wyjść z impasu" na Korei, były „całkowicie pokojowe" — jak też z powodu wzrostu wymagań amerykańskich wobec europejskich podopiecznych. N. Y. Times ujmuje to w delikatnym sformułowaniu: „Polityka, jaką prowadzić będzie prezydent Eisenhower, zależeć będzie od tego, w jakim stopniu Europa okaże się zdolna do dopomożenia samej sobie". Stąd obawy prasy zachodnio-europejskiej, iż każdy dolar amerykańskiej „pomocy" będzie coraz drożej kosztować. Agencja Reutera pisze np.: „Doniesienia z wielu krajów wyrażają zaniepokojenie z powodu możliwości zmniejszenia pomocy amerykańskiej i wznowienia republikańskiej polityki wysokich taryf ochronnych". Nowojorski korespondent France Soir obawia się wzmożonej penetracji monopoli amerykańskich w posiadłościach francuskich: „W ramach współpracy atlantyckiej nasi dyplomaci oświadczyli Amerykanom: Odstępujemy bazy na tak długi okres, jak będzie tego wymagać sytuacja międzynarodowa. Mając odtąd do czynienia z Eisenhowerem i Pentagonem u władzy możemy być pewni, że zdaniem rządu amerykańskiego sytuacja międzynarodowa będzie zawsze usprawiedliwiać obecność sił amerykańskich w Maroko. Musimy odtąd liczyć się z zakorzenieniem wpływów amerykańskich w tym kraju". Londyński Daily Telegraph przypomina, „jak cięż-

kie straty powstały już na Bliskim Wschodzie w wyniku braku odpowiedniej koordynacji polityki brytyjskiej i amerykańskiej", a Yorkshire Post przewidująco ostrzega nową ekipę rządzącą w USA, że „obrona aliansu z Ameryką będzie w Anglii dużo chłodniej przyjmowana, jeżeli Eisenhower nie wykaże, iż nie zamierza iść po linii Tafta i McArthura (tzn. zwolenników najostrzejszego kursu wobec państw „sojuszniczych — K. W.)". Ce Matin przewiduje wreszcie, że po wyborze Eisenhowera wzrośnie nacisk amerykański w kierunku przejęcia przez okupantów Europy zachodniej jeszcze pełniejszej kontroli nad całokształtem jej polityki: „Ameryka będzie surowsza dla swych europejskich sprzymierzeńców i będzie ściślej nadzorować użytkowanie przez Europę amerykańskich subsydiów".

Z tego wszystkiego Monde wyprowadza taki oto wniosek: „Trzeba być optymistą, aby na najbliższe miesiące nie przewidzieć nowego zaostrzenia się tych przeciwieństw ustroju kapitalistycznego, o których zawsze mówili Lenin i Stalin".

8.XI.1952

Krzysztof Wolicki

SPRAWY LITERATURY NA XIX ZJEŹDZIE KPZR I W DYSKUSJI PRZEDZJAZDOWEJ

Historyczny XIX Zjazd KPZR dużo uwagi poświęcił sprawom literatury i sztuki radzieckiej, dalszemu rozkwitowi literatury realizmu socjalistycznego. Jeszcze w sierpniu — zaraz po ogłoszeniu historycznych materiałów Komitetu Centralnego WKP(b) wydanych w związku ze zwołaniem XIX Zjazdu — również w prasie literackiej i artystycznej ukazało się wiele artykułów poświęconych omówieniu tych materiałów, analizie wpływu projektu dyrektyw w sprawie piątego planu pięcioletniego, projektu zmienionego Statutu Partii — na rozwój literatury i sztuki radzieckiej.

Pisarze i artyści dokonywali w tych artykułach przeglądu osiągnięć i braków w swojej twórczości, zestawiali je i porównywali z wielkimi zadaniami, jakie partia stawia przed pracownikami frontu ideologicznego na etapie przejściowym od socjalizmu do komunizmu. Ten generalny przegląd, krytyczne i samokrytyczne omówienie wszystkich zagadnień twórczych znalazły szczególnie wyraziste odbicie na zebraniach partyjnych organizacji pisarzy, na obwodowych konferencjach i republikańskich zjazdach partii w miesiącu poprzedzającym XIX Zjazd KPZR.

Na zebraniu partyjnym pisarzy moskiewskich poeta L. Oszanin powiedział: „Każdy wiersz dyrektyw wzywa nas do pisania nowych utworów o naszej epoce — powieści, sztuk, poematów, scenariuszy, pieśni. Musimy podnieść obecnie na nowy szczebel rozwoju całą naszą literaturę."

W związku z przedzjazdową dyskusją na temat braków i błędów w pracy teatrów moskiewskich — w przemówieniu na Moskiewskiej Konferencji Obwodowej A. Fadiejew uwypuklił nierozerwalny związek sztuki teatralnej i filmowej z literaturą. „Braki i usterki literatury — powiedział Fadiejew — stały się hamulcem w rozwoju wielu dziedzin sztuki. Mało jest filmów dlatego, że mało mamy dobrych scenariuszy filmowych; mało widowisk teatralnych o tematyce współczesnej, bo mało jest dobrych sztuk; nie ma radzieckich oper i baletów częściowo także dlatego, że nie ma dobrych librett". Wiele uwagi zagadnieniom literatury i pracy pisarzy leningradzkich poświęciła też Obwodowa Konferencja Partyjna w Leningradzie.

Na XVII Zjeździe Komunistycznej Partii Ukrainy Sekretarz KC KP(b) U-

krainy, A. Mielnikow, wezwał pisarzy do głębszego przestudiowania wszystkich wytkniętych przez partię błędów i wypaczeń ideologicznych w twórczości niektórych pisarzy ukraińskich po to, by wypaczenia te całkowicie usunąć. Mielnikow zwrócił również uwagę pisarzy na spotykany w beletrystyce ukraińskiej objaw jednostronnego ujmowania życia i jego spraw: autorzy pochłonięci opisem produkcji, maszyn, procesów technologicznych ukazują ludzi i ich świat duchowy zupełnie niewystarczająco. Sprawami literatur narodowych zajmowały się także zjazdy partyjne na Białorusi i Litwie, w Gruzji, Azerbajdżanie, Armenii i w innych republikach narodowych.

Na zakończenie tego pobieżnego przeglądu wypowiedzi przedzjazdowych pragnę przytoczyć słowa M. Szołochowa wygłoszone na obwodowej konferencji partyjnej w Rostowie n/Donem: „Sądzę, że nie będę nazbyt śmiały, jeśli nie tylko w imieniu własnym, ale i w imieniu wszystkich pisarzy radzieckich — oświadczę, iż każdy z nas w miarę swoich sił i uzdolnień, w miarę swojego talentu, podobnie jak wszyscy ludzie radzieccy, zajęci na rozmaitych odcinkach pracy — dąży do tego, by pracę swoją wykonywać sumiennie, dobrze; każdy stara się, ażeby utwory, jakie dajemy my, pisarze radzieccy, godne były wielkiej Epoki Stalinowskiej, wielkiego naszego narodu, wielkiej Partii Komunistycznej, najlepszego nauczyciela nie tylko radzieckich, lecz także wszystkich postępowych pisarzy świata — Józefa Wissarionowicza Stalina."

Nastąpiły wielkie dni Zjazdu. W Referacie sprawozdawczym KC WKP(b) na XIX Zjeździe, wygłoszonym przez G. Malenkowa, sprawy literatury znalazły pełne i wyczerpujące naświetlenie w rozdziale drugim, w podrozdziale zatytułowanym: Dalszy wzrost dobrobytu materialnego, ochrony zdrowia i kulturalnego poziomu życia narodu". W referacie czytamy: „Niezwykle ważną, nieodłączną częścią kultury radzieckiej jest literatura i sztuka."*) Podkreśliwszy wielkie osiągnięcia literatury radzieckiej Malenkow zwrócił jednak uwagę delegatów na poważne niedociągnięcia, na wciąż jeszcze niewystarczająco wysoki poziom ideowo-artystyczny wielu utworów literackich i dzieł sztuki.

„W literaturze i sztuce — mówił Malenkow — pojawia się jeszcze wiele miernych, banalnych, a niekiedy wręcz tandetnych utworów, które fałszują obraz rzeczywistości radzieckiej. Wielostronne, tętniące życie społeczeństwa radzieckiego przedstawiane jest w twórczości niektórych pisarzy i artystów bezbarwnie i nudno". Na podobne niedociągnięcia wskazuje Malenkow również i w filmie; mimo dużych możliwości produkcyjnych i artystycznych kinematografia radziecka wciąż jeszcze produkuje mało dobrych filmów, obrazów o dużym znaczeniu wychowawczym.

Jakie czynniki wpłynęły na zwiększenie wymagań stawianych literaturze i sztuce radzieckiej? Oczywiście — ogromny wzrost ideologicznego i kulturalnego poziomu radzieckich odbiorców literatury i sztuki. O tym powinni pamiętać wszyscy twórcy. „Należy liczyć się z tym — czytamy w referacie Malenkowa — że ideologiczny i kulturalny poziom człowieka radzieckiego wzrósł niezmiernie, że partia kształtuje jego smak artystyczny na podstawie

*) Wszystkie cytaty z Nowych Dróg nr specjalny, str. 54—55. Fragmenty referatu dotyczące literatury i sztuki ukazały się też w nr 42 Nowej Kultury i w nrze 11 Twórczości.

najlepszych utworów literatury i dzieł sztuki".

Wysokie wymagania ideowo-artystyczne stawiane przez człowieka radzieckiego pisarzom i artystom wynikają z jego głębokiej niechęci do szarzyzny, bezideowości, fałszu, wypływają z pragnienia zobaczenia w zwierciadle sztuki prawdziwego i wiernego odbicia życia. W imię tego „pisarze nasi i artyści powinni w swych utworach piętnować wady, niedociągnięcia, zjawiska chorobliwe, pokutujące w społeczeństwie, powinni ukazywać w pozytywnych artystycznych obrazach ludzi nowego typu w całym blasku i godności ludzkiej i w ten sposób przyczyniać się do kształtowania w ludziach naszego społeczeństwa charakterów, nawyków, przyzwyczajeń, wolnych od wypaczeń i wad zrodzonych przez kapitalizm."

Z tych zadań społeczno- i moralno-wychowawczych literatury wynika konieczność rozwijania i kultywowania satyry w beletrystyce, dramaturgii teatralnej i filmowej. Ostrze tej satyry należy zwrócić przeciwko temu wszystkiemu, co hamuje rozwój społeczeństwa radzieckiego. „Nasza literatura i sztuka radziecka — wywodził Malenkow — powinna śmiało ujawniać życiowe sprzeczności i konflikty, umiejętnie posługiwać się bronią krytyki jako jednym ze skutecznych środków wychowania.

Siła i znaczenie sztuki realistycznej polega na tym, że może ona i powinna wykrywać i ukazywać wysokie walory moralne oraz typowe, pozytywne cechy charakteru prostego człowieka, malować jego wyrazisty obraz artystyczny, godny tego, aby stać się dla ludzi przykładem i wzorem do naśladowania".

W dalszym ciągu referatu Malenkow przechodzi od spraw ideowo-artystycznych, programowych — do zagadnień teoretyczno-literackich i definiuje pojęcie typowości w rozumieniu estetyki marksistowsko-leninowskiej:

„Nasi malarze, literaci, pracownicy sztuki w swej twórczej pracy nad obrazem artystycznym pamiętać powinni stale, że typowe jest nie tylko to, co się spotyka najczęściej, lecz to, co najpełniej i z największą ostrością wyraża istotę danej siły społecznej. W ujęciu marksistowsko-leninowskim to, co typowe, nie oznacza bynajmniej jakiejś średniej statystycznej. Typowość odpowiada istocie danego zjawiska społeczno-historycznego, nie jest zaś po prostu zjawiskiem najbardziej rozpowszechnionym, najczęściej się powtarzającym, powszednim. Świadome przejaskrawienie, wyostrzenie obrazu nie wyklucza typowości, lecz pełniej ujawnia ją i podkreśla. Typowość stanowi podstawową sferę przejawiania się partyjności w sztuce realistycznej. Problem typowości jest zawsze problemem politycznym."

Przyjęte przez XIX Zjazd KPZR jako wytyczne — wywody te stanowią ważny etap rozwojowy w dziejach historycznych uchwał partii w sprawach ideologicznych. Wywody te nie tylko stały się punktem wyjściowym dla dyskusji na samym Zjeździe, lecz zdążyły już wejść w życie społeczności pisarskiej. Wywody te inspirują wszystkie prace i omówienia pozjazdowe, zapładniają twórczą myśl wielu działaczy literatury i sztuki. Wymienię tylko jeden przykład: W n-rze 85 czasopisma Sowietskoje Iskusstwo (z 22.X. br.) autorka scenariuszy: Wiejska nauczycielka, Wiejski lekarz, M. Smirnowa, pod wyraźnym wpływem analizy typowości w referacie Malenkowa opowiedziała w artykule Prawda tkwi w tym, co typowe o swoich twórczych poszukiwaniach zjawisk i charakterów typowych, poszukiwaniach czynionych

w toku pracy nad wymienionymi scenariuszami i nad obecnie opracowywanym scenariuszem filmowym o wiejskim agronomie.

Tak więc pisarze radzieccy natychmiast odpowiedzieli w sposób twórczy na apel zawarty w końcowych ustępach wywodów Malenkowa w sprawie literatury i sztuki.

W dyskusji na Zjeździe dłuższe przemówienie na temat literatury wygłosił A. Fadiejew. Czytelnik polski zna je z tłumaczenia zamieszczonego w nrze 44 Nowej Kultury, wobec czego ograniczę się do krótkiego omówienia podstawowych myśli zawartych w tym przemówieniu. Wychodząc z założenia, że literatura radziecka może być, powinna być i będzie pomocnicą partii w sprawach ideowo-wychowawczych, Fadiejew zanalizował stopień przygotowania literatury do spełnienia nowych zadań, sformułowanych w referacie G. Malenkowa.

„Komitet Centralny Partii, towarzysz Stalin — powiedział Fadiejew — słusznie żądają od nas, pisarzy radzieckich, abyśmy się więcej kształcili w sensie ideowym i artystycznym, gorąco zachęcają nas i pobudzają do dalszych sukcesów, cierpliwie wskazują nam nasze błędy, czynią wszystko, aby uzbroić nas politycznie, pomóc nam organizacyjnie."

Wyliczywszy i omówiwszy zasługi partii dla rozwoju literatury realizmu socjalistycznego, jej pomoc i opiekę w dziedzinie ideowo-politycznej, wychowawczej i artystycznej — Fadiejew dłuższe ustępy swego przemówienia poświęcił analizie historycznego znaczenia przodującej literatury radzieckiej dla rozwoju literatur narodowych w krajach demokracji ludowej, w Chinach Ludowych, dla twórczości postępowych pisarzy w krajach kapitalistycznych na Zachodzie.

Fadiejew oświadczył: „Wszystkim naszym przyjaciołom i braciom na Zachodzie i w Ameryce pragniemy powiedzieć, że nasz wielki naród radziecki wysoko ocenia ich osiągnięcia ideowo-artystyczne. W naszym kraju chętnie i z pietyzmem tłumaczymy utwory pisarzy krajów demokracji ludowej i Chin Ludowych, postępowych pisarzy krajów kapitalistycznych i będziemy ich tłumaczyć coraz więcej, na coraz szerszą skalę. Z inicjatywy towarzysza Stalina najlepszym spośród tych pisarzy przyznawane są Stalinowskie Nagrody Pokoju i Nagrody Stalinowskie za wybitne osiągnięcia z dziedziny literatury i sztuki. Dumni jesteśmy z tego, że język rosyjski stał się językiem, w którym wszyscy uczciwi pisarze świata mogą teraz znaleźć światową trybunę i słuszną ocenę swojej pracy".

Zdaniem Fadiejewa — w świetle tego światowego znaczenia twórczej pracy pisarzy radzieckich tym wyraziściej i jaskrawiej występują braki radzieckiej literatury pięknej, braki wytknięte i podkreślone w referacie G. Malenkowa. Fadiejew omówił przyczyny opóźnienia i nienadążania niektórych rodzajów twórczości literackiej, przede wszystkim dramaturgii — za szybkim tempem życia; raz jeszcze poddał ostrej krytyce fałszywą „teorię bezkonfliktowości", którą zdemaskowała prasa partyjna dzięki interwencji Józefa Stalina. Mówca wyraził żal, że „bynajmniej nie wszystkie wnioski z partyjnej krytyki tej fałszywej teorii wyciągnięte zostały do końca. Z naszej winy — istotę zagadnienia wyjaśniono pisarzom nie dość wnikliwie i głęboko. Tym się właściwie tłumaczy, że — chociaż nawet zarysował się pewien przełom, chociaż nawet stworzono ze 20 — 30 na ogół pożytecznych sztuk i scenariuszy, które przygotowane są już do wystawienia na scenie, względnie do pro-

dukcji filmowej — utworów wybitnych na razie jest jeszcze niewiele".

W przełamaniu słabości literatury — zwłaszcza w dziedzinie dramaturgii i satyry — społeczności pisarskiej pomogą tezy Malenkowa o zjawiskach i charakterach typowych, pomogą jego wywody o słabym ich odtwarzaniu przez literaturę. „Dać w literaturze charaktery pełnokrwiste, typy ludzi przodujących i ludzi zacofanych — to zadanie polityczne ogromnej wagi; jest to zarazem najbardziej doniosłe zadanie artystyczne".

Jedną z głównych przyczyn braków i niedociągnięć ideowo-artystycznych w niektórych dziedzinach twórczości literackiej Fadiejew upatruje w niskim poziomie ideowo-artystycznego kształcenia pisarzy — przede wszystkim w samym Związku Pisarzy Radzieckich. Fadiejew nawołuje więc, by zgodnie z zaleceniami referatu Malenkowa w sprawie szkolenia kadr — Związek Pisarzy Radzieckich podjął tę ważną sprawę ogólnopartyjną i ogólnonarodową.

„Rozlegające się coraz częściej pod naszym adresem słowa krytyki pracy pisarzy i ich organizacji — konkluduje Fadiejew — odzwierciedlają wymagania narodu wobec naszej literatury. Otwartą, słuszną, natchnioną krytykę, jaka zabrzmiała z tej trybuny w referacie towarzysza Malenkowa, przyjmujemy jako nowy wyraz pomocy partii dla sprawy rozwoju literatury, jako program naszej pracy, dołożymy więc wszelkich sił, ażeby sytuację poprawić".

W przemówieniu swoim na Zjeździe ukraiński pisarz A. Korniejczuk poruszył między innymi sprawę walki z przeżytkami burżuazyjnego nacjonalizmu w literaturze ukraińskiej. „Niestety — powiedział Korniejczuk — muszę powiedzieć, żeśmy na Ukrainie w ostatnich latach osłabili walkę z nawrotami ukraińskiego nacjonalizmu burżuazyjnego w literaturze i sztuce". Słuszna krytyka Prawdy (potępiony został jak wiadomo błędny ideologicznie wiersz Sosiury *), dotyczyła nie tylko samego wiersza, lecz i faktu, iż zamiast napotkać na ostrą krytykę — wiersz ten wielokrotnie był wydawany, a nawet wychwalany. „Stało się to dlatego — powiedział Korniejczuk — że w organizacjach twórczych na Ukrainie zapomniano o krytyce i samokrytyce. Atmosfera wzajemnego wybaczania błędów, wzajemnego wychwalania — wydrążyła szczeliny, przez które wypełzły na światło dzienne utwory obce narodowi. Artykuł Prawdy poruszył całą naszą inteligencję i został powszechnie odczuty i oceniony jako objaw bardzo głębokiej troskliwości, jako pomoc partii dla naszej ukraińskiej literatury i sztuki radzieckiej".

Apelując do pisarzy, by słuszną krytykę Malenkowa wzięli sobie do serca i wyciągnęli z niej właściwe wnioski praktyczne, Korniejczuk powiedział: „Już czas odpowiedzieć w sposób twórczy na słuszne żądania naszego czytelnika, zaczynają go bowiem nudzić przydługie tyrady o szlachetnych zamierzeniach poetów, prozaików i dramaturgów."

W dyskusji na Zjeździe wypowiedzieli się w sprawach literatury i sztuki również i inni delegaci, nie-literaci. Dużo uwagi poświęcił tym zagadnieniom członek KC KPZR i Sekretarz Komunistycznej Partii Azerbajdżanu, M. Bagirow, który podkreślił przełomowe znaczenie uchwał KC Partii w sprawach ideologicznych oraz — przeprowadzonych z inicjatywy Józefa Stalina i pod kierownictwem Komitetu

*) Bliższe szczegóły znajdzie czytelnik w nrze 11/51 Twórczości. Na widnokręgu. Dyskusja w sprawie wypaczeń ideologicznych w literaturze radzieckiej.

Centralnego — dyskusji twórczych w różnych dziedzinach nauki (filozofii, muzykologii, biologii, agrobiologii).

Mówiąc o konieczności podwyższenia teoretycznego i kulturalnego poziomu kadr czynnych na froncie ideologicznym, Bagirow zwrócił się do działaczy w Związku Pisarzy Radzieckich i Akademii Nauk ZSRR z żądaniem, „by sami dobrze poznali naukę Lenina-Stalina i — kierując się nią — okazywali kadrom w terenie, w szczególności w republikach narodowych, wszechstronną pomoc w sprawie przestudiowania, doboru i opanowania tego wszystkiego z bogactwa kulturalnego przeszłości, co jest najbardziej pożyteczne, wartościowe i bliskie ludziom radzieckim". Zagadnienia literatur narodowych poruszyli również delegaci— Gafurow (Tadżycka SRR), Arutinow (Armeńska SRR), Nijazow (Uzbecka SRR) i inni.

Członek KC Partii i CK Komsomołu, N. Michajłow, przedstawił Zjazdowi postulaty młodzieży radzieckiej w dziedzinie literatury i sztuki: „Młodzież radziecka — powiedział Michajłow — kocha i nader ceni wspaniałą sztukę i literaturę radziecką — ważny oręż w walce o komunizm.

W ciągu ostatnich lat stworzono wiele wspaniałych dzieł, stanowiących chlubę naszego narodu i odgrywających ogromną rolę w kształtowaniu komunistycznego światopoglądu młodzieży. Niektórzy jednak literaci publikują niedojrzałe, bezideowe utwory, nie nadążają za życiem, pomijają w swojej twórczości liczne ważne strony pracy, nauki i życia młodzieży". Szczególnie ostre zarzuty postawił Michajłow w imieniu młodzieży radzieckiej— dramaturgii teatralnej i filmowej oraz instytucjom, które tymi dziedzinami twórczości kierują.

W artykule wstępnym Litieraturnej Gaziety (nr 127 z 18.X.br.) O świetlaną przyszłość narodu — poświęconym omówieniu XIX Zjazdu KPZR — czytamy: „Delegaci zjazdowi słusznie zwrócili uwagę na poważne niedociągnięcia w działalności Związku Pisarzy Radzieckich, jego kierownictwa. Braki te polegają na deklaratywności... Zadaniem Związku Pisarzy Radzieckich, jego zarządu i sekretariatu jest przeprowadzenie poważnej reorganizacji, przebudowa jego systemu pracy. Zjazd partii okazał olbrzymie zainteresowanie sprawami literatury, dla pisarzy jest więc sprawą honoru, by na tę troskliwość odpowiedzieć utworami godnymi naszej epoki."

WYDAWNICTWA LITERATURY KLASYCZNEJ W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Już pierwsze dekrety radzieckie o bibliotekach, o muzeach są wyrazem troski młodej Republiki Rad o dorobek klasycznej kultury narodowej. W dekrecie o stworzeniu pierwszego na świecie socjalistycznego wydawnictwa państwowego (styczeń 1918 r.) Rząd Radziecki nałożył na nie... „przede wszystkim obowiązek taniego wydawania klasyków. Dzieła ich... przechodzą na własność narodu".

Po Październiku wydano w Związku Radzieckim dzieła klasyków w niespotykanych nigdy dotąd nakładach. Same tylko utwory Puszkina, Gogola, Lwa Tołstoja i Gorkiego osiągnęły łączny nakład z górą 203 mil. egz. w kilkudziesięciu językach narodów Związku Radzieckiego. Niedawno Rząd i Partia poleciły wydawnictwom rozszerzyć plany wydawnicze: jednorazowe nakłady dzieł klasyków będą się wahać w granicach od 75 do 500 tys. egz.

Ta olbrzymia praca może być dokonana w znacznym stopniu dzięki wieloletniej, niestrudzonej pracy radzieckich tekstologów, którzy studiują udostęp-

nione przez Rewolucję tajne archiwa carskie i prywatne zbiory rękopisów, czytają i uzgadniają wiele wariantów tekstowych, oczyszczają je z naleciałości i zniekształceń. Praca tekstologów umożliwiła włączenie do wydań klasyków utworów dawniej nie znanych, nie opublikowanych, zapomnianych. W ten sposób zebrano ogromne materiały tekstologiczne do wydań: Gribojedowa, Bielińskiego, Hercena *), Dobrolubowa, Czernyszewskiego, Szczedrina, A. Tołstoja i innych klasyków rosyjskiej prozy artystycznej i publicystyczno-naukowej, do pomnikowego wydania Puszkina i wielotomowych wydań Gogola, Niekrasowa, Czechowa i Gorkiego.

W Związku Radzieckim zainteresowanie sprawami tekstologii żywią nie tylko badacze literatury i pisarze, krytycy literaccy i wydawcy, ale i ogół czytelników, miłośników literatury klasycznej. Sprawami tymi zajmuje się również prasa partyjna, która czujną i troskliwą opieką otacza sprawy wydawnicze. Wymienię tu dla przykładu artykuł z Prawdy z 9.I. br. (autorzy: W. Ozierow i N. Czekanow) pt. Twórczo pracować nad nową książką, w którym poddano krytycznej analizie pracę wydawnictwa Sowietskij Pisatiel i pracę wydawniczą w ogóle.

Do zagadnień wydawniczych wróciła Prawda 20 maja br. w artykule wstępnym O wysoką ideowość w pracy wydawnictw. Zaznaczając, że wiele wydawnictw ma bardzo dobre wyniki i duże osiągnięcia w pracy wydawniczej. Prawda stwierdza jednak, że—jeśli chodzi o przygotowanie i redagowanie tekstów klasyków rosyjskich i zagranicznych — w niektórych wydawnictwach... „kierownicy... zapominają niestety o swojej odpowiedzialności wobec czytelników. Przygotowanie utworów literackich do publikacji powierza się czasami osobom niekompetentnym i niesumiennym".

Jako przykład złej pracy tekstologów Prawda przytacza sprawę przygotowania i redagowania nowych wydań nieżyjącego już wybitnego poety radzieckiego Demiana Biednego. „Przy wyborze i redagowaniu zbiorów utworów Demiana Biednego wydanych przez Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej i Wydawnictwo Wojskowe popełniono samowolę w stosunku do tekstów poety, wskutek czego wiele jego wierszy wydrukowano ze zniekształceniami, dochodzącymi w niektórych wypadkach do liberalno-burżuazyjnego fałszowania tekstów poety.

Zagadnienia tekstologiczne poruszył na łamach Izwiestii (z dnia 14.VI.br.) prof. W. Winogradow w artykule Językoznawstwo i literaturoznawstwo na obecnym etapie — poświęconym omówieniu przełomowego wpływu, jaki wywarła praca Józefa Stalina Marksizm a zagadnienia językoznawstwa na rozwój radzieckiego języko- i literaturoznawstwa w ciągu 2 lat od czasu jej opublikowania.

Zanim jednak przejdę do omówienia poruszonych przez Winogradowa spraw tekstologii, pragnę pokrótce zapoznać czytelnika z najważniejszymi tezami omawianego artykułu w sprawie opracowania marksistowskiej teorii i metodologii literaturoznawczej — pod wpływem rozwiniętych w pracy Stalina zasad twórczego marksizmu. Z zagadnieniem tym łączą się sprawy tekstologii,

*) Ciekawe uwagi O naukowym wydaniu Hercena zamieścił filolog W. Putincew w nrze 109 Litieraturnej Gaziety z września br. O żmudnej pracy nad ustaleniem tekstów Niekrasowa opowiada znany pisarz i badacz literatury K. Czukowski w Uwagach tekstologa (Litieraturnaja Gazieta nr 104 z sierpnia br.).

pojętej jako szczególny przypadek metodologii literaturoznawczej.

Przed radzieckimi badaczami literatury w związku z pracą Stalina wyłoniły się zagadnienia o charakterze teoretyczno- i historyczno-literackim. Do tego szeregu spraw i tematów, które wymagają opracowania, prof. Winogradow zalicza: „...ustalenie znaczenia i miejsca literatury wśród innych zjawisk społecznych, specyfikę literatury pięknej jako zjawiska społecznego o charakterze nadbudowy, język ogólnonarodowy jako materiał i „prapierwiastek" literatury, narodową swoistość literatury pięknej, ludowość literatury, ogólną prawidłowość historycznego rozwoju procesów literackich i ich właściwości narodowych, istotę realizmu socjalistycznego, styl artystyczny a światopogląd pisarza, zasady estetyki marksistowskiej w twórczości piśmienniczej, strukturalne formy językowe rozmaitych rodzajów literackich w ich historycznym rozwoju, wzajemne oddziaływanie literatury pięknej i twórczości ludowej w różnych epokach rozwoju literackiego, znaczenie dialektów i żargonów klasowych w języku literatury realizmu krytycznego". Wiele z tych zagadnień, zwłaszcza historyczno-literackich, już opracowują instytuty badań literackich Akademii Nauk ZSRR (Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego, Instytut Literatury Rosyjskiej tzw. Dom Puszkinowski, instytuty literatur narodowych w związkowych republikach radzieckich).

Winogradow podkreśla konieczność ścisłego zróżnicowania typów wydawnictw — na akademickie, masowe, szkolne itd. Stwierdziwszy konieczność ustalenia tekstu wielu dzieł klasyków (między innymi Niekrasowa, Turgieniewa, A. Tołstoja), autor artykułu zauważa, że i teksty niektórych utworów Gogola budzą wątpliwości. Winogradow pisze, że — na przykład — tekst M a r t w y c h d u s z zawarty w szóstym tomie akademickiego wydania Gogola, wywołał taką polemikę wśród tekstologów, iż do masowego wydania Gogola przyjęto inny tekst.

W okresie wzmożonego ruchu wydawnictw jubileuszowych z okazji setnej rocznicy śmierci wielkiego klasyka opublikowano szereg recenzji i krytycznych omówień tekstologicznych. W nrze 5-ym Litieraturnej Gaziety ukazał się artykuł A. Słonimskiego O r e d a k t o r s k i e j s a m o w o l i. Słonimski poddał krytycznemu rozbiorowi opublikowane jeszcze przed wojną pierwsze tomy akademickiego wydania Gogola i ostrzegł przed przedrukowaniem w wydaniach masowych tych niejednokrotnie nieścisłych i wadliwych tekstów — wymagających nowego opracowania. W nrze 2/52 miesięcznika krytyczno - bibliograficznego Sowietskaja Kniga również omówiono krytycznie zagadnienia tekstologiczne związane z akademickim wydaniem Gogola. Wydział literatury i języka Akademii Nauk ZSRR zorganizował w roku bieżącym specjalną naradę naukową poświęconą sprawie ustalenia tekstu M a r t w y c h d u s z. Przedmiotem tej polemiki nie jest — oczywiście — tekst Gogola w całości, lecz przede wszystkim taki czy inny wariant poszczególnych zdań, a nawet słów. W utworach Gogola, podobnie jak w dziełach każdego genialnego pisarza, cenne jest każde wyrażenie. Żmudnymi badaniami tekstologicznymi nauka radziecka objęła również spuściznę klasyka literatury radzieckiej A. M. Gorkiego. W nrze 134 Litieraturnej Gaziety z listopada ub. roku opublikowano recenzję III tomu A r c h i w u m A. M. G o r k i e g o; autor recenzji W. Piercow zamieścił w niej wiele cennych uwag tekstologicznych.

Wyczerpujące omówienie zagadnień tekstologii opracowali dla Litieratur-

nej Gaziety trzej wybitni badacze literatury — D. Błagoj, G. Makogonienko i B. Mejłach. Artykuł ten — zatytułowany O wzorowe wydawanie klasyków — ukazał się w nrze 85 pisma w lipcu bieżącego roku. Omówiwszy osiągnięcia tekstologii radzieckiej autorzy artykułu naszkicowali przebieg znanej nam polemiki w sprawie tekstów klasyków, w szczególności Gogola. W poszukiwaniu przyczyn wielu niejasności i rozbieżności tekstologicznych — Błagoj, Makogonienko i Mejłach doszli do wniosku, że jedną z nich jest... „niedocenianie znaczenia tekstologii i niezrozumienie istotnej treści i zakresu pracy tekstologa przy przygotowywaniu do druku utworów literatury pięknej. Wydawnictwa niejednokrotnie pozostawiały sprawy własnemu biegowi, przestawały bezpośrednio kierować pracą nad przygotowaniem tekstów, przekazywały ją i powierzały osobom przypadkowym".

Jakie wymagania stawiają autorzy artykułu tekstologom?

Zwykła umiejętność „czytania trudnego charakteru pisma" nie jest wystarczająca. Tekstolog powinien być wszechstronnie wyposażony metodologicznie, gruntownie, do najdrobniejszych szczegółów znać biografię i twórczość pisarza, posiadać umiejętność głębokiego wnikania w jego pomysły i zamierzenia twórcze. Tekstolog nie może być zasklepiony w swojej specjalności, lecz powinien być wszechstronnie wykształconym badaczem literatury — marksistą.

W ustalonym, jednolitym tekście — obowiązującym dla wszystkich wydawnictw — mogą jednak zachodzić pewne zmiany, uzupełnienia w miarę odkrywania nowych dokumentów, wspomnień i innych dodatkowych źródeł tekstologicznych. Dotyczy to zwłaszcza utworów nie drukowanych za życia pisarza. W miarę postępów tekstologii takich miejsc niejasnych, ustalonych tymczasowo — jest i będzie w tekstach klasyków coraz mniej. W związku z tym autorzy omawianego artykułu postulują, by opracowanie każdego nowego wydania pism klasyków powierzano redaktorom obznajomionym z najnowszymi osiągnięciami i odkryciami tekstologicznymi. O wprowadzeniu jakichkolwiek zmian redaktor nie może decydować sam, lecz powinien zasięgnąć porady specjalnych komisji tekstologicznych.

W Związku Radzieckim masowym wydawaniem klasyków zajmuje się wiele wydawnictw — przy czym zasadniczy ciężar spoczywa na Państwowym Wydawnictwie Literatury Pięknej (Goslitizdat). Zdaniem autorów artykułu zachodzi potrzeba koordynacji wydawniczej, i to nie tylko w zakresie tekstologii, ale również pod względem organizacyjnym — pod kierownictwem instytutów badań literackich, które powinny opracowywać plany wydawnictw klasyków i same wydawać planowo dzieła klasyków. Błagoj, Makogonienko i Mejłach postulują, by instytuty literackie Akademii Nauk ZSRR — oprócz wydawania podręczników i przewodników tekstologicznych, oprócz przygotowywania kadr naukowców, oprócz udzielania wydawnictwom konsultacji naukowych — zajęły się również opracowaniem ogólnej instrukcji tekstologicznej. Obecnie poszczególne wydawnictwa opracowują instrukcje tekstologiczne na potrzeby własne, inicjatywę wykazał Goslitizdat.

Skrupulatności i ścisłości naukowej w sprawach tekstologicznych wymaga już sama społeczna waga przedmiotu. „Zagadnienie prawidłowości tekstów klasyków — wywodzą autorzy omawianego artykułu — nie jest prywatną sprawą poszczególnych specjalistów, lecz wymagającą wielkiej odpowiedzialności sprawą państwowej wagi".

Trzej uczeni proponują, by naukowym opracowaniem tekstów pisarzy klasycznych zajęły się obecnie dwa wydawnictwa: Wydawnictwo Akademii Nauk ZSRR i Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej. Zasadniczo jednak przygotowanie wydań akademickich należy skupić w Akademii ZSRR.

„Specyficzne właściwości wydań akademickich polegają właśnie na tym — czytamy w artykule Błagoja, Makogonienko i Mejłacha — że obowiązane są nie podawać naukowe uzasadnienie, dlaczego dany tekst przyjęto za podstawowy i czym umotywowano jego datowanie.

Jak ustalać poszczególny tekst i jaki tekst uważać za autentyczny?

„Za autentyczny tekst — odpowiadają autorzy omawianego artykułu — należy zasadniczo uważać tekst wydania ostatniego za życia pisarza, wydania dokonanego za wiedzą autora i przy jego osobistym udziale."

„Tekstu tego... nie należy odtwarzać mechanicznie. Bynajmniej nie każdy tekst wydania ostatniego za życia pisarza można uważać za autorytatywny, ponieważ w wydaniu takim tekst mogły zniekształcić poprawki cenzury, zmiany wprowadzone przez osoby trzecie, wszelkiego rodzaju błędy i omyłki".

Analizując rodzaje odchyleń od autentycznego tekstu autorskiego trzej badacze literatury rozpatrują również przypadki tzw. autocenzury, zachodzące wówczas, kiedy sam autor dla uniknięcia nożyc cenzora wprowadzał zmiany do swojego pierwotnego tekstu. Jeżeli — wywodzą autorzy omawianego artykułu — ten tekst pierwotny się zachował i można udowodnić, że autor dokonał zmian jedynie ze względów cenzuralnych, to należy przywrócić redakcję pierwotną".

Jako klasyczny przykład takiego rozwiązania tekstologicznego i przywrócenia oryginalnej redakcji autorskiej Błagoj, Makogonienko i Mejłach wymieniają znaną Bajkę o gorliwym naczelniku z XX rozdziału Współczesnej idylli Szczedrina. Wśród rękopisów pisarza znaleziono kilka redakcji tej książki. Okazało się, że znakomity satyryk poddał utwór autocenzurze. Oczywiście w wydaniu radzieckim przywrócono pierwotną redakcję bajki zawierającą opuszczony przez pisarza w redakcji przeznaczonej do publikacji znany fragment o „zakryciu Ameryki". Właśnie ten fragment przytoczył Józef Stalin w historycznym Referacie o projekcie Konstytucji na Nadzwyczajnym VIII Wszechzwiązkowym Zjeździe Rad w roku 1936.

Drogą bardzo skrupulatnych badań i analizy porównawczej wydania ostatniego za życia pisarza w zestawieniu z innymi wydaniami i posiadanymi rękopisami można ujawnić inne zniekształcenia, błędy i omyłki w tekście autorskim.

Kryterium podstawowym dla tekstologa powinna być ostatnia wola pisarza, ostatnia za jego życia dokonana redakcja. To wielokrotnie podkreślają tekstologowie radzieccy, tę zasadę zaakcentowali w swoim artykule — Błagoj, Makogonienko i Mejłach.

Jak jednak mają postąpić tekstologowie, gdy dany utwór — a takich utworów klasycznych jest bardzo wiele — ogłoszono drukiem dopiero po śmierci pisarza? W tych wypadkach przed tekstologami piętrzą się dodatkowe trudności, zwłaszcza gdy utwór nie ukazał się za życia autora ze względów cenzuralnych (jak Mądremu biada — Gribojedowa, Maskarada — Lermontowa), a pośmiertne wydania zazwyczaj zawierają tekst zniekształcony. Źródła rękopisowe stanowiące najczęściej nie oryginalny manuskrypt, lecz odpisy odręczne są jedynymi źródłami autorytatywnymi z uwagi na ich

związek z oryginałem. Jest rzeczą zrozumiałą, że w tekście utworu jest wiele miejsc spornych. Autorzy artykułu radzą, by — aż do chwili znalezienia materiałów dokumentarnych — przy opracowywaniu tekstów do druku sprawę wątpliwych i spornych fragmentów tekstu rozstrzygać kolegialnie na komisjach organizowanych specjalnie dla poszczególnych zagadnień przy właściwym instytucie Akademii Nauk.

W artykule O wydawaniu utworów literatury klasycznej (Sowietskaja Kniga Nr 7/52) N. Bielczikow omówił krytycznie szereg wydań utworów klasyków nie tylko pod względem ściśle tekstologicznym, ale i pod kątem redakcyjnej selekcji wariantów, poszczególnych fragmentów, a nawet całych utworów. Niekiedy — pisze Bielczikow — redaktorzy samowolnie dokonują w utworach nieuzasadnionych skrótów. Bielczikow przytacza bezpodstawne i niezrozumiałe skróty dokonane także w wyborach pism klasyków nierosyjskich (Heinego, Żeromskiego i in.). Często w takich wypadkach redaktorzy kierują się pragnieniem „upiększenia", „wzbogacenia" tekstu autorskiego materiałami zaczerpniętymi z brulionów pisarza lub wziętymi z odrzuconych przez niego wariantów. Jest to, oczywiście, niedopuszczalne.

W dalszym ciągu swego artykułu Bielczikow omawia kwestię wyborów dzieł klasyków.

Czytelnika polskiego zainteresuje zapewne fakt, że Bielczikow ilustruje swoje wywody krytyczną uwagą o nienajlepszym wyborze utworów w wydanym w roku 1951 nakładem Państwowego Wydawnictwa Literatury Pięknej tomiku nowel Bolesława Prusa. Zdaniem autora artykułu — w tomiku tym niesłusznie pominięto takie ważne ze względu na swoją treść nowele Prusa jak: Pałac i rudera, Sieroca dola, Przeklęte szczęście, zamieszczono natomiast od tamtych nowele słabsze jak Ogród Saski. *Nota bene* — pominięte utwory znane są czytelnikowi radzieckiemu z wcześniejszych wydań Prusa w Związku Radzieckim.

Zagadnieniu wydawania dzieł klasyków dla czytelnika masowego poświęcił artykuł pt. Wydawanie klasyków — to sprawa o znaczeniu ogólnonarodowym filolog I. Silbersztejn (Litieraturnaja Gazieta Nr 98 z sierpnia br.). Silbersztejn wychodzi z założenia, że dla wydawnictw masowych podstawowym kryterium powinna być znana z korespondencji i wypowiedzi, jasno wyrażona wola pisarza.

Każdy wybitny pisarz — wywodzi autor omawianego artykułu — zastanawiał się nad tym, jak ma wyglądać zestawienie i układ tego wydania, które podsumuje jego dorobek twórczy i będzie przeznaczone dla najszerszych rzesz czytelniczych.

Przykładem tego, z jaką troskliwością każdy wielki pisarz ustosunkowuje się do sprawy zamierzonego wydania dzieł zebranych, może służyć Szczedrin, który na kilka lat przed śmiercią — w liście do przyjaciela, opracował szczegółowy plan 13-tomowego wydania swoich utworów zebranych. Podobnie Niekrasow w notatkach napisanych tuż przed śmiercią wymienił szczegółowo utwory przeznaczone do masowego wydania utworów zebranych, odrzucając powieści i przeróbki sztuk scenicznych z wczesnego okresu twórczości, pisane — jak się wyraził wielki poeta — „dla chleba". Nie zawsze wydawcy stosują się do tych zaleceń pisarzy, gdy chodzi o wydania masowe. Postąpiono tak w wydaniach masowych — zdaniem Silbersztejna—z niektórymi utworami Gogola i Czechowa, których przedruku autorzy wyraźnie sobie nie ży-

zyli. Z uwagi na różny zasięg czytelników, na inne zadania naukowe i społeczne — podział wydawnictw klasyków na akademickie i masowe powinien być ściśle przestrzegany — konkluduje autor artykułu Wydawanie klasyków — to sprawa o znaczeniu ogólnonarodowym.

Józef Spinc

ROSNĄCE OGNISKA POŻARU

„Użycie siły powoduje strach..."

Przed kilku laty odbył się drugi pokaz niepodległości Filipin. Rytuał był zupełnie odmienny niż za pierwszym razem—w czasach Teodora Roosevelta. Po wyparciu okupantów japońskich wyzbiarskie państwo otrzymało konstytucję. Demokratyczną, wzorowaną ściśle na konstytucji Stanów. Uchwalił ją Kongres USA, zatwierdził Biały Dom. Była wyrazem „niezmiennej odtąd przyjaźni dwóch narodów", przyjaźni tak zwałej, że aż zrównano obywateli obu krajów w prawach użytkowania bogactw filipińskich.

I wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie Hukbalahap.

Okupacja japońska okazała się jeszcze straszliwsza niż poprzednie rządy Janesów. Pod nazwą Hukbalahap powstała organizacja czynnej walki o niepodległość i szybko urosła do liczby 150.000 ludzi. Mac Arthur uciekł chyłkiem wrócił dopiero po kilku latach. Zastał sytuację nader zmienioną. Filipiny nie chciały już być kolonią, nie chciały konstytucji, która utrwala tylko nędzę wyzysk. Z wyjątkiem garstki przybyszów z Mac Arthurem feudałów ludność żądała wolności i o wolność walczyła. Okupant odpowiedział represjami. W marcu 1948 Hukbalahap wyjęto spod prawa, ze Stanów przybyły silne kontingenty wojsk. A nędza i wyzysk rosły.

W szeregach stacjonowanych oddziałów był młody poeta, Murzyn nowojorski, Alfred Duckett. Zdumiony postawą ludności zaczął patrzeć. Nie na złoto-zielony, radosny krajobraz, zanurzony w słonecznych błękitach, ale na ludzi. I cofnął się — pełen rozpaczy i przerażenia. Był w mundurze kraju, który jego samego uciskał z racji koloru skóry. Ale tym trudniej mu było zdobyć się na czyn. Napisał tylko parę krótkich wierszy. Oto jeden:

Portret Filipin

Filipiny słońcem spalone,
Dziewczyny złoto-brązowe —
I dzieci z głodu krzyczące,
Kiedy zachodzi złe słońce.

Tańczyły dzieci, śpiewały
W dzień. A w nocy żebrały
O chleb, o strzęp odzieży
Rzucony przez żołnierzy.

Inny żołnierz, William Pomeroy, przeciął wahania i poszedł do powstańców. Ujęty przed kilku miesiącami, odpowiedział słowami jakby z Sofoklesa: „Nie przywiodła mnie tu nienawiść, lecz przyjaźń dla tych ludzi". Tych samych słów użył Henri Martin uwięziony za protest przeciw wojnie z Vietnamem. Szermierze wolności i przyjaciele wolności jednym mówią językiem.

Teoretycy oraz praktycy wszystkich imperializmów wyznają wspólny ideał.

Sięgnijmy po książkę Jamesa Burnhama O władzę nad światem. Jest to wciąż jeszcze ewangelia każdego, kto w dzisiejszej Ameryce sprawuje, lub reprezentuje władzę.

„W miarę jak panowanie Stanów Zjednoczonych rozciąga się na Brazylię, Afrykę, Chiny (książka była pisana w 1946), Europę, czy Bliski Wschód, potrzeba nam coraz więcej ludzi, żołnierzy, inżynierów, administratorów i

agentów wywiadu, fabryk i lotnisk, plantacji i linii kolejowych". Zwłaszcza żołnierzy. „Mocarstwo światowe, które narzuca swą władzę, musi się oprzeć na sile zbrojnej".

O sile i przemocy mówią bezustannie Truman i Acheson, Eisenhower i Dulles. Dlaczego? Najlepiej chyba wyjaśnia to sam Burnham: „Tym, co powoduje użycie siły, jest strach". I zaraz precyzuje przyczyny: „Przemiany polityczne, trwające dawniej dziesięciolecia i stulecia, obecnie rozgrywają się na przestrzeni roku, czy dwóch lat... Bomba atomowa jest tylko wyrazem tego przyspieszenia. A przyspieszony tok przemian historycznych cechuje rewolucje. To właśnie znaczy określenie „rewolucja społeczna". Otóż za czasów poprzedniego pokolenia rozpoczęła się wielka społeczna rewolucja świata, która dotąd nie jest zakończona. Każdy ma poczucie zachodzących zmian. Wielu reaguje hedonizmem, sięga po pieniądze, miłość, alkohol. Inni zwracają się do religii, wpadają w mistycyzm. Wojskowi zapełniają swe laboratoria uczonymi, mężowie stanu wypróbowują jedną kombinację polityczną po drugiej... Przyjąć można, że cywilizacja zachodnia zdoła może ocaleć w trzeciej wojnie światowej. A w takim razie zawali się, tym razem nieodwołalnie, dopiero w toku czwartej..."

Wszystkie niejasności zawarte w wywodach Burnhama znikną od razu, gdy zamiast wyrazów „cywilizacja zachodnia" podstawimy „kapitalizm". Książka Burnhama jest niezmiernie typowa dla żałobników, opłakujących los „chorego człowieka" — świata. Drapują kapitalizm w królewski łachman Leara, ale wygląda w nim raczej jak derwisz tańczący, niż *pater dolorosus*.

Jeszcze niedawno ścinał głowy Stuartów i Kapetyngów, by przyśpieszyć kres feudalizmu. Dziś, gdy nad własnym karkiem widzi cień gilotyny, trawestuje aforyzmy historii i woła: „Cywilizacja — to ja!" Prawom rozwoju świata przeciwstawić chce terror i gwałt przybrane w pontyfikalne szaty filozofii dziejów. Nie mogąc owładnąć naporem sił społecznych chce je unieruchomić przy pomocy szatańskich zaklęć. Rosenberg głosi mit krwi i nadczłowieka, jego następca, Arnold Toynbee, dialektyce rzeczywistości przeciwstawia historiozofię czerpaną z legend biblijnych i średniowiecza. Ludzie w pojęciu Toynbee to tylko „pionki skazane na niemoc w grze, jaką Bóg rozgrywa na szachownicy nocy i dni". Postęp jest „złudą", utopista Rousseau zrodził „utopistę Hitlera". Ten sprzeniewierzył się idei „harmonijnego przystosowania świata" (do potrzeb USA) i dlatego „rozpętał chaos". Wobec tak nieudanej próby nie należy jednak załamywać rąk. Wytrwali teurgowie nadal więc wywołują „nowego Hildebranda", ręcząc, że tylko patrzeć, jak przyjdzie i „poskromi Szatana". Szatan bowiem — jak mówił św. Hipolit — jest sprawcą wszelkich rewolucji, „duchem buntu przeciw mocom kosmicznym", czyli — mówiąc mniej hermetycznie — przeciw finansowym monopolom Ameryki.

Krąg jest teraz zamknięty. Od czapki frygijskiej do młota na czarownice, od encyklopedystów, Shelleya i Jeffersona do Toynbee, Burnhama i satanizmu świętego Hipolita wiodły drogi, a raczej bezdroża kultury burżuazyjnej.

Z nieco mgławicowych rozważań teoretyków praktycy imperializmu wyłuskali konkretne wnioski. Ruszyli w dalekie kraje, egzotyczne lądy i wyspy szczęśliwe, by „przystosować je harmonijnie" do prawdziwie kosmicznych wymagań Hildebranda z Wall Street. Metody swoje znacznie ulepszyli od czasów Pizarra czy sir Francis Drake'a, a nawet Roberta Clive i Cecila Rhodesa. Od

akaru po Sajgon, od Tajwanu po Zie-
nię Ognistą ciągną się bazy wojenne
SA — zaplecze i środek ucisku. Port-
et Filipin jest zarazem portretem Ma-
ajów i Maroka, Kambodży i Madaga-
karu.

Opadła czarowna wizja niezmąconej
elanki. Spoza złoto-błękitnej mgiełki
yłoniły się bujne haszcze zielonego do-
ara, rozkrzewione na błocie napalmo-
ym.

Pracownia Achesona

„Już drugi rok — mówił Stalin na
VIII Zjeździe Partii — toczy się na ol-
rzymim terytorium od Szanghaju do
ibraltaru nowa wojna imperialistycz-
a". Prowadziły ją państwa napastnicze,
zczute przez imperializm Anglii, Fran-
ii i Stanów Zjednoczonych przeciw
wiązkowi Rad. Ale spuszczone z łań-
cha trzy wygłodzone brytany rzuciły
ę w innym kierunku: zaczęły rabować
ynki kolonialne, podbijać kraje za-
ężne.

Minęło trzynaście lat. Imperializm
iemiec, Japonii i Włoch leży w gru-
ach, imperializm Anglii i Francji na
różno szuka środków odzyskania stanu
osiadania. A płomień wojny znów sze-
zy się na obszarach kolonij i krajów
ależnych — od malajskich plantacyj
o marokańskie złoża fosfatów. Zmienił
ę kształt i charakter walki. Zgłodnia-
ym brytanem są dzisiaj Stany Zjedno-
zone, a na widownię wystąpił nowy
zynnik — wola podbitych narodów. Nie
mieniła się tylko, lecz wzrosła jej do-
iosłość. Tu bowiem przebiega nerw ży-
a kapitalizmu.

„Z uwagi na poważną i bezpośrednią
rożbę agresji — mówił w styczniu 1952
cheson — polityka amerykańska za-
ży w znacznym stopniu od zachowa-
a najwyższej stabilności na terenach
ojętych Punktem Czwartym, od skana-
zowania sił rewolucyjnych tak, by
konstruktywnie przyczyniły się do pokoju świata". Rozwiejmy nieco chmurę frazesów spowijających istotę rzeczy.

Punkt Czwarty Trumanowskiego planu ekspansji imperialnej — to bliźniak planu Marschalla. Jak tamten ma na celu ujarzmienie czołowych krajów kapitalistycznego świata, tak ten drugim skrzydłem podbojów zagarnąć ma kraje zacofane. „Groźbą" jest więc każda przeszkoda, „agresją" — narastanie sił rewolucyjnych. Jak wygląda „kapitalizacja" i „pokój świata", wyjaśnił Acheson w innym, nieco późniejszym przemówieniu: „Korea ta pracownia, w której Amerykanie mają sposobność stworzenia prototypu świata, w jaki pragną przekształcić cały glob". Nie ma tu dwuznaczników. Napalm i dżuma rozlane na cały świat — oto wizja „stulecia Ameryki".

„Na tych obszarach — mówi raport eksperta prezydenckiego Gordona Graya — mieszka 1.150.000 ludzi, 70% mieszkańców całego nieradzieckiego świata. Tutaj znajduje się również wielka część bogactw naturalnych kuli ziemskiej. Ale ludność tych krajów nie uważa już nędzy za nieuchronny, nieodłączny fakt życia. Kontrast między jej dążeniami, a stanem obecnym niezgłębionej nędzy stwarza podatną glebę dla zamieszek i wzrostu ruchów komunistycznych.

Inny aspekt omawia przewodniczący biura doradców prezydenta, Nelson Rockefeller: „Im głębiej wnikamy w stosunek gospodarki obszarów zacofanych do zagadnień naszej obrony, tym silniej uderza nas ich prawdziwie nierozłączny związek. W praktyce jest to wyłączne źródło naszego kauczuku naturalnego, manganu, chromu i cyny, trzeciej — lub więcej — części ołowiu i aluminium, czwartej części cynku, miedzi, jak również olbrzymiej większości rud uranowych. W sumie przychodzi stamtąd 73% surowców, niezbędnych dla naszych za-

sobów wojennych. Niewątpliwie powodzenie planów przemysłowej mobilizacji państw Północno-Atlantyckiego Układu zależy od stałych i rosnących dostaw surowców strategicznych z terenów Punktu Czwartego".

70% ludności i wielka część bogactw naturalnych. Tania siła robocza i tanie źródło surowców. I wojna. Wojna, która rujnuje narody, wypiera starsze imperializmy z ich najbogatszych żerowisk, a monopolom amerykańskim napędza rosnące z roku na rok zyski. Ciężki bombowiec kosztował 8 lat temu 600.000 dolarów, dziś — blisko 4 miliony; cena lotniskowca skoczyła w dwójnasób, cena najzwyklejszych spodni wojskowych podniosła się trzykrotnie. Inwestycje w przemyśle wojennym — to jedyna prawdziwie korzystna lokata. Już w drugim pokoleniu kapitał USA żywi się wojną. Aż wpędził ekonomikę swego kraju w tragiczną dwoistość: z jednej strony pełna dynamiki, nie znająca przestojów, kwitnąca fałszywym rumieńcem sztucznej koniunktury gospodarka wojenna; z drugiej — ubogi krewny, półbezrobotny przemysł cywilny. „Schizofrenią ustroju" nazwał to jeden z amerykańskich uczonych.

Kapitalizm zna jeden tylko środek leczniczy. Otóż istnieje dziedzina, są obszary, gdzie zysk jest równie wysoki, gdzie ponadto lokaty sprzyjają wojnie, są dla wojny niezbędne: kraje Punktu Czwartego. Biuletyn NAM — związku przemysłowców — sądzi, że licząc najoględniej tereny te mogą wchłonąć rocznie 2 miliardy dolarów inwestycyj, przynosząc dywidendy do 26% — jak Firestone Rubber, do 80% — jak General Motors — i wyżej. Przeciętna w Brazylii wynosi 40%, w koloniach Azji i Afryki oraz na Bliskim Wschodzie jest jeszcze wyższa. Ścisłych danych tu brak, inwestorzy pilnie wystrzegają się ich ogłaszania. Lecz Departament Handlu USA podał zestawienie, które pozwala na pewne wnioski. Według tego wykazu zysk z inwestycyj w Europie poza planem Marschalla w 1948 r. wyniósł 7,6% w krajach marshallowskich — 14,5%, w Ameryce Łacińskiej — 17,4%, w koloniach — 20,0%, w innych krajach (głównie Bliski Wschód) — 31,3%. Znamienną jest rzeczą, iż plan Marshalla od razu podwoił dywidendy. Znamienne jest także, iż wszystkie podane liczby stanowią raczej dolną granicę zysków, niż przeciętną. Wiemy bowiem, choćby z niedyskrecyj Business Week, że przeciętna Ameryki Łacińskiej wynosi tyleż mniej więcej co Brazylii, czyli 40%. W tym stosunku zysk w koloniach państw europejskich sięgałby blisko 47%, na Bliskim Wschodzie stanowiłby ca. 73%. Potwierdzają to dane z innych źródeł: dochody Anglo-Iranian Oil i Aramaco wahały się w tych właśnie granicach.

„Idziemy do władztwa ekonomicznego nad światem" wołał niegdyś senator Henry Cabot Lodge. Punkt Czwarty jest politycznym taranem w tej ofensywie, a przy tym tarczą ochronną wątłej roślinki z Wall Street. Przybiera zwykle postać umów dwustronnych, a „równorzędność" partnerów jest wówczas ściśle przestrzegana. Za wzór może służyć traktat z Kolumbią z kwietnia 1951. W myśl art. 8 monopole USA mają w Kolumbii nieograniczone przywileje gospodarcze. Ale ten sam artykuł zapewnia identyczne przywileje monopolom kolumbijskim w Stanach. Z tym tylko, że jedyne monopole w Kolumbii należą do konsorcjów Morgana i Rockefellera.

Gdy postęp pożera ciemności...

Wyniki są oczywiste. Na obszarze tych kontynentów, gdzie mieszka połowa ludności kuli ziemskiej, dochód narodowy w całości wystarcza na nędzne wyżywienie zaledwie dwóch trzecich społe-

żeństwa. Resztę kosi nieustający głód. W Indiach, których gleba i klimat pozwalają na trzykrotne w roku zbiory, giną z głodu całe osiedla i okręgi wiejskie, dla ludności Ameryki Łacińskiej niedostępne jest minimum żywności niezbędne dla zachowania życia i utrzymania normalnej wydajności pracy ludzkiej", ludność Wysp Towarzyskich padła w ciągu stulecia z ćwierć miliona na 16 tysięcy. W Paragwaju poza stolicą jeden lekarz przypada na 80.000 mieszkańców; w Indiach — jeden lekarz na 0.000, dentysta na 200.000 — przy czym rzadko który posiada narzędzia pracy — jeden aptekarz na 5 milionów ludności. Mieszkania hinduskiego chłopa czy rolnika „żadną miarą nie można nazwać miejscem ludzkiego bytowania" głosi jeden z niewielu poświęconych tym prawom opisów. A „miejsce ludzkiego bytowania" w Ameryce Łacińskiej, w Afryce i na „malowniczych" wyspach Oceanii stanowi poszycie ze słomy rozpostarte na czterech drągach. W Bombaju na 1.5 miliona mieszkańców jest 300.000 bezdomnych. Nad Rio Grande i na krańcach Patagonii, na Cabo Verde i Synnym z urodliwych dziewcząt Archipelagu Hawajskim, obywateli XX wieku dziesiątkuje gruźlica, syfilis, malaria, choroby niedorozwoju, choroby niedożywienia. Śmiertelność dzieci jest 5 razy wyższa niż w USA, przeciętna życia zaha się od 23 lat w Indiach do 26 Egipcie i 32 w Argentynie.

„Nie ma wyjścia" — mówią filantropi. Doradzają neomaltuzjanizm i odchodzą chłonąć słońce Południa. „Nie ma ły na świecie, by oczyścić tę stajnię Augiasza" — dodają. I z westchnieniem dobią białe skronie cynobrowym kwiatem hibiskusu.

Powtórzymy za Achesonem: to nieprawda! Siła taka działa od lat trzydziestu pięciu. Środkowo-azjatyckie republiki radzieckie z 17 milionami ludności produkują trzykroć więcej energii elektrycznej niż Egipt, Turcja, Iran, Irak, Syria, Afganistan i Pakistan o ludności 156 milionów. W Azji Radzieckiej, a dziś i w Chinach, rolnictwo obsługują traktory. Pod rządami Punktu Czwartego podstawowym narzędziem jest jak w średniowieczu motyka i socha. W Uzbeckiej SRR jeden traktor przypada na 70 ha, w Brazylii — 1 pług na 214 gospodarstw. A lekarzy Uzbekistan ma nie tylko więcej niż Urugwaj czy Egipt, ale więcej stosunkowo aniżeli Francja i Holandia.

W Chinach, gdzie przed kilku laty 400 milionów chłopów dławił jeszcze feudalizm, dziś powstają pierwsze spółdzielnie rolnicze. Zbudowano nowe, wielkie linie kolejowe, wielkie tamy chronią od powodzi, wyrastają elektrownie i zapory wodne, rzeki chińskie służą człowiekowi. Zanika widmo epidemii, szczepieniom ochronnym poddano już czwartą część ludności, bezpłatne lecznictwo obejmuje miliony pracowników swą opieką.

„Wyzwolenia Chin — mówi świetny pisarz francuski Claude Roy — dokonano orężem wojny, głównie jednak orężem marksizmu-leninizmu. I największy może podziw we mnie wzbudził widok pięciuset milionów ludzi przy nauce. W Chinach 1952 roku każdy uczy się, studiuje, doskonali, krytykuje siebie i przekształca, zmienia i rozwija. Niepiśmienni chłopi uczą się ideogramów, uczeni profesorowie uczą się żyć życiem chłopów, robotnicy uczą się lepiej pracować, działacze społeczni uczą się marksizmu-leninizmu, dzieci i starcy, mężczyźni i kobiety — wszyscy znaleźli się na ławach wielkiej uczelni. Pół miliarda studentów, której przewodniczy Mao Tse-tung".

Żadnym murem chińskim niepodobna odgrodzić się od takiego przykładu, zapobiec porównaniom. Stany Zjednoczone chcą wprowadzić swą władzę w miejsce upadających reżimów kolonial-

nych, chcą „pokierować rozwojem krajów Punktu Czwartego“ w myśl potrzeb swego eksportu i swej gospodarki wojennej. Lecz w toku tego procesu wyłania się coraz bardziej pewność, że nawet zbiorowa przemoc wszystkich imperializmów nie zdoła na długą metę zakuć tego obszaru w orbicie gospodarki kolonialnej.

We wszystkich krajach zależnych, rządzonych przy pomocy miejscowych oligarchii i we wszystkich krajach kolonialnych, dławionych bezpośrednim uciskiem, mieszkańcy z podziwem i zazdrością patrzą w stronę azjatyckich republik radzieckich, w stronę Ludowych Chin i w stronę Stolicy Socjalizmu. Wybuchają „zamieszki“, wobec których bezsilne są potężne armie. Ich skutek jest taki, że dochody z kolonii brytyjskich spadły do 30 milionów dolarów rocznie, podczas gdy same tylko koszty zbrojnej okupacji Malajów wynoszą wielokrotnie więcej, nie mówiąc o cenie krwi. Wpływy francuskie z Indochin równają się niemal zeru, a „brudna wojna“ w Vietnamie pochłania co roku pół miliarda dolarów.

Pół kuli ziemskiej kapitalizm trzyma w okowach nędzy, ciemnoty i ucisku. Senator Beveridge rzucał wzgardliwe pytanie, jaka alchemia zdoła wszczepić w krew „ludzi Wschodu“ poczucie wolności? Znał jedną tylko alchemię krwi— przerabiał ją na złoto. A usłużni alchemicy słowa przerabiali w operetkowe libretta tragedię połowy ludzkości rządzonej przez Pinkertonów.

Ale to był ostatni akt smutnej sztuki w pogodnych dekoracjach. W mrok krajów wiecznego słońca padły snopy potężne światła płonącego DLA WSZYSTKICH.

Departament Stanu zaniechał układania statystyki komunistów na terenach Punktu Czwartego. Niebacznie — dla swych liczb — a zgodnie z historią postawił w swych tabelach znak równania między komunizmem, a wolnością narodów. Budzi się świadomość uciśnionych ludów, a raz zbudzonej nikt nie zdoła uśpić. Liczby Departamentu Stanu sięgają setek milionów.

„Dlaczego — pisał Mao Tse-tung przed 15 laty — ustrój koczowniczy Mongolii i Azji Środkowej splótł się bezpośrednio z socjalizmem? Dlaczego rewolucja chińska może uniknąć przyszłości kapitalistycznej i bezpośrednio powiązać się z socjalizmem bez odbywania starej historycznej drogi krajów zachodnich, bez przechodzenia przez okres dyktatury burżuazji? Przyczyną jest nie co innego, jak konkretne warunki czasu“.

Konkretne warunki dzisiejszych czasów odczytują kraje zależne i kolonialne z idei, myśli i dzieł wkraczających w komunizm narodów Kraju Rad, idei, myśli i dzieł, których promieni nie zatrzyma żadna żelazna kurtyna, których nie pochłonie najgrubszy mur więzienny. Widzą je w Chinach Ludowych, gdzie na zwaliskach feudalnej i kompradorskiej satrapii wyrastają fundamenty socjalizmu. W ofiarnej, nad ludzką miarę bohaterskiej walce Korei, w nieustraszonym męstwie patriotów Vietnamu, Filipin i krajów malajskich, w doniosłości ich zwycięstw, w przemijającym znaczeniu ich klęsk. I widzą konkretne warunki czasów odchodzących na zawsze w przeszłość: bat dozorcy świszczący nad plantacją, karne roboty w kopalniach, ognistą ulewę napalmu, obozy jeńców, gdzie ludzie służą za pożywkę bakteriom.

W ogniu stoją imperia. Tego pożaru nic już nie ugasi. Gmach kolonialny imperializmu płonie od fundamentów. Ogień trawić go może długo. Rewolucji socjalistycznej, uczy Lenin, „nie można rozpatrywać jako jeden akt, lecz rozpatrywać należy, jako epokę burzliwych

wstrząsów politycznych i gospodarczych, ak najostrzejszej walki klasowej, wojny domowej, rewolucyj i kontrrewolucyj". Ale wynik jest przesądzony.

Rozwój ogromnej galaktyki ludów zależnych toczył się wielorakim torem. Są wśród nich łowcy głów i — twórcy pierwszych alfabetów świata. Czciciele totemów i spadkobiercy tysiącletnich kultur, kwitnących w czasach, gdy przodkowie Churchilla i Trumana, zdobni w barwny tatuaż, składali krwawe ofiary u stóp świętych dębów. Jedni trwali przez wieki w piekłach zastygłych kast, innych zakuto w piekle pognębionej rasy na Czarnym Lądzie w obu Amerykach. Dziś nad wszystkimi zawisł posępny więzienny pasiak gwiaździstego ongi sztandaru, wszystkich jednoczy wspólne pragnienie wolności, pokoju i postępu. Zorganizowana świadomość zatacza coraz szersze kręgi, miliony dają wyraz swej woli walką polityczną i walką zbrojną. Kongres Pekiński podsumował bilans: jedno pokolenie odrabia zaległości wieków.

Rewolucja socjalistyczna nie jest jednym aktem. Ale w Jej epoce minął czas form pośrednich. Miliony nie szukają już wzorów na starych historycznych szlakach krajów zachodnich — jak to w zeszłym stuleciu czyniła jeszcze Japonia. Miliony kierują wzrok nie w stronę Wall Street i nawet nie ku gruzom Bastylii. Miliony patrzą na Kreml. Stamtąd płyną słowa wyjaśniające im, jak powstała, dlaczego trwa i do czego służy ich nędza. Stamtąd bije światło wskazujące jedyną, trudną lecz niewątpliwą drogę wyjścia. Tam wyrósł i olbrzymieje z dniem każdym żywy i osiągalny, tętniący realną treścią, olśniewający konkretnością perspektyw, drogowskaz, przykład i wzór.

Uchwały XIX Zjazdu Partii docierają nad Amazonkę i Ganges, nad Nil, Eufrates i Menkong. Z niedostępnych puszcz brazylijskich legendarny Rycerz Nadziei, Luis Carlos Prestes śle słowa powitania: „Wiemy, że każdy krok Związku Radzieckiego na drodze do komunizmu jest także krokiem naprzód w walce wszystkich narodów o pokój, demokrację i socjalizm".

W podziemiu dławionego wyzyskiem świata skamieniała bierność przeobraża sią w lawę. Alchemia, o której nie wiedział senator Beveridge, alchemia Rewolucji zmieniła krew „ludzi Wschodu", ludzi wszystkich odcieni skóry i pod wszystkimi szerokościami globu.

Weź Księgę świata, odwracaj jej karty!
Człowieku —
Nie drżyj, gdy postęp pożera ciemności...

wołał Wiktor Hugo.

Człowiek Wschodu nie drży. Patrzy z wiarą w rosnące ogniska pożaru.

Julian Stawiński

LUD BRYTYJSKI RZUCA WYZWANIE AMERYCE

Ogłoszone ostatnio wyniki ankiet, przeprowadzonych przez Instytut Czytelnictwa Hultona, wykazały, że w Brytanii wyraźnie osłabło zainteresowanie tzw. „poważną" publicystyką, która ukazuje się na łamach prasy kapitalistycznej. Czytelnik brytyjski pomija artykuły wstępne, odrzuca wszelkie „komentarze" i „uwagi", a nawet nowele pisane przez uznanych oficjalnie, czołowych przedstawicieli anglosaskiej literatury. To osłabienie zainteresowań jest bardzo znamienne, gdyż świadczy, że czytelnika brytyjskiego znudziły zarówno wzrastające coraz wyraźniej tendencje konserwatywne, jak forsowanie sympatii proamerykańskich i inspirowanego przez Stany Zjednoczone kultu brutalności i mistycyzmu.

Wielki anglo-irlandzki pisarz z XVIII

wieku, Jonathan Swift, dziekan katedry w Dublinie i duchowy poprzednik znanego już z odwagi dziekana katedry w Canterbury, Johnsona, w Podróżach Guliwera pisał:

„Istniała wśród nas społeczność ludzi, którzy od młodości kształceni byli w sztuce dowodzenia zręcznie dobieranymi w tym celu słowami, że Białe jest Czarnym, a Czarne Białym, zależnie od tego, za co im płacono."

Słowa te nie straciły nic ze swej aktualności, jak tego dowodzi historia tygodnika Picture Post. Czasopismo to — przed wojną jedno z najbardziej aktywnie walczących przeciwko polityce nędzy i bierności — po inwazji amerykańskiej na brytyjską ziemię, gospodarkę i kulturę zmieniło swoje oblicze.

W r. 1951 usunięto redaktora Picture Post, Toma Hopkins, z zajmowanego stanowiska za to, że chciał w piśmie zamieścić fotografie lisynmanowskich i amerykańskch okrucieństw na Korei.

Twórczość wybitnych pisarzy oficjalnych, którzy ogłaszają swoje utwory w poważnych magazynach nosi wyraźne piętno wpływów Wall Street i Pentagonu. A w Wielkiej Brytanii z każdym dniem rośnie opór ludu przeciwko amerykańskim wpływom, szerzącym się jak zaraza w życiu i kulturze brytyjskiej.

Przykładem tego rodzaju literatury, która budzi opór czytelnika angielskiego i znajduje coraz mniej nabywców, jest ostatnia powieść Aldousa Huxleya pt. Diabły w Loudon. Można by do niej zastosować inny aforyzm Swifta:

„Ambicja często staje się przyczyną niskich, nikczemnych postępków: wspinanie się w górę odbywa się w tej samej pozycji, co pełzanie."

Aldous Huxley należy do grupy pisarzy, którzy w latach trzydziestych dzięki ostrej krytyce ustroju kapitalistycznego zyskali miano pisarzy postępowych, kiedy jednak po Drugiej Wojnie Światowej stanęli w obliczu konieczności wyboru — wybrali dobre dochody.

Wyrzeczenie się sprawy ludu pogłębiło wewnętrzny konflikt Huxleya. W poszukiwaniu wyjścia ze ślepej uliczki wpada w faszystowską akrobatykę myślową, co doprowadza go do popierania tego samego imperializmu, który kiedyś potępiał. Otóż w powieści The Devils of Loudon Huxley, zajmując się zagadnieniami pogranicza świadomości i podświadomości, normalności i obłąkania, poświęcił całą swoją, bez wątpienia świetną technikę pisarską powieści odbierającej czytelnikowi wszelką nadzieję i wiarę w człowieka. Fabuła osnuta jest na tle historycznych zdarzeń we Francji XVII w.

Przeorysza pewnego klasztoru przy pomocy kilku mniszek dopuszcza się świadomego oszustwa, aby podtrzymać krążące pogłoski, że klasztor jest „nawiedzany". Rosnąca sława klasztoru i dobre dochody płynące z oszukańczego procederu sprawiają, że mniszki jedna po drugiej ulegają „opętaniu przez diabła". Zawodowi egzorcyści i lekarze, wezwani dla wyświetlenia tej szatańskiej interwencji, „stwierdzają naukowo", że zakonnice są obłąkane. Wykrywają również przyczynę tego: oto zaczarował je pewien ksiądz z sąsiedztwa, który ich nigdy w życiu nie widział. Ksiądz ten, wybitny kaznodzieja, znany ze swych amorów, ambitny karierowicz, naraził się kiedyś samemu wszechpotężnemu kardynałowi Richelieu. Księdza biorą na tortury i palą na stosie. Wtedy egzorcystów ogarniają wyrzuty sumienia; umierają w obłąkaniu. Powieść kończy się tym, że kompletnie obłąkany jezuita, przysłany dla odprawienia egzorcyzmów, w dobrej wierze kontytnuuje rozpoczęte szalbierstwa. Ostatecznie razem z przeoryszą osiąga stan świętości.

Nie mówiąc już o samym wyborze tematu, można by spróbować rozwikłać problemy psychozy w sposób wyjaśniający coś czytelnikowi. Ale takie rozwiązanie nie leży w zamierzeniach Aldousa Huxleya; nie zadowolniłoby też prawdopodobnie jego amerykańskich protektorów. Czy można się dziwić, że brytyjski czytelnik z niechęcią odwraca się od „poważnych" miesięczników, które karmią go tego rodzaju powieściami na przemian z reakcyjnymi wywodami politycznymi?

Ta reakcja rzesz czytelniczych na literaturę, której korzenie sięgają amerykańskiej ideologii imperialistycznej, jest oznaką wzrastającego w Wielkiej Brytanii masowego ruchu, przeciwstawiającego się próbom nakładania coraz dotkliwszych więzów na naród brytyjski, przeciwstawiającego się przygotowaniom wojennym i upokarzającej zależności od Pentagonu.

Konserwatyści na kongresie partyjnym w wykwintnym uzdrowisku Scarborough, oraz prawoskrzydłowi leaderzy Partii Pracy na swoim Kongresie w Morecambe-on-Sea, przyznali, że mają w perspektywie jedynie zwiększenie ciężarów: obniżenie poziomu życia, podwyższenie czynszów, zmniejszenie świadczeń społecznych, wzrost bezrobocia i strasznych obciążeń na zbrojenia. Jakże smutny obraz w porównaniu ze wspaniałymi perspektywami, które ukazuje plan nowej pięciolatki, przedstawiony na XIX Zjeździe KPZR.

Szeregi oddolne Partii Pracy zmusiły na Kongresie Wydział Wykonawczy do uchwalenia wielu postępowych rezolucji, między innymi włączenia do programu Partii Pracy nacjonalizacji kluczowych gałęzi przemysłu, wyrównania zarobków, przedsięwzięcia starań celem zdemokratyzowania fabryk i rozszerzenia opieki społecznej.

Przynajmniej połowa mówców na Kongresie zdradzała antyamerykańskie nastroje w takich punktach jak pakt północno - atlantycki, remilitaryzacja Niemiec zachodnich, kompensacja dla Kruppa, wyczyny amerykańskie na Korei i wtrącanie się do spraw handlu brytyjskiego z Europą Wschodnią. Wbrew zażartej opozycji prawoskrzydłowych leaderów, przytłaczającą większością głosów uchwalono, że

„Kongres niniejszy poleca Partii Pracy wystrzegać się niebezpieczeństwa popierania sprzecznej z interesami klasy robotniczej polityki międzynarodowej, jak np. sprawy uznania reżimu Franco...

W szczególności Kongres zaleca: a) rozszerzenie handlu między Wschodem a Zachodem oraz b) przeciwstawienie się użyciu naszych sił militarnych celem narzucenia przemocą zmian terytorialnych w Europie Wschodniej i gdzie indziej. Wreszcie Kongres ubolewa, że powstania uciemiężonych ludów są potępiane i nazywane spiskami inspirowanymi przez Związek Radziecki..."

Przejęcie egzekutywy Partii Pracy było wyrazem żądań młodego pokolenia przeprowadzenia zmian, którym sprzeciwiała się „stara gwardia". Bevan nie jest jednakże zdecydowanym przeciwnikiem reakcyjnej polityki prawego skrzydła Partii Pracy: popiera pakt północno-atlantycki i jego stosunek do Związku Radzieckiego nie jest przychylny. Powstrzymuje i hamuje lewicowe prądy oddolnych szeregów laburzystów. Stanowi drugą linię obrony interesów burżuazji w łonie Partii Pracy — pierwszą był Attlee z Morrisonem. Głosy, padające za Bevanem, to odruch tych członków Partii, którzy korzystają z nadarzającej się sposobności, aby zamanifestować swój protest przeciwko polityce prawicowej rządu laburzystów, który upadł pod koniec 1951 r.

Na Kongresie wielu delegatów wyrażało w swoich przemówieniach poglądy

o wiele bardziej lewicowe od Bevana. Bunt oddolnych szeregów partyjnych sięga głębiej i jest poważniejszy, niż się na ogół przypuszcza.

Nawet fraki i cygara na zjeździe konserwatystów odczuły wpływ powszechnej niechęci, jaką wywołuje zaprzedanie Ameryce brytyjskiej suwerenności. Dowodem tego było — ostrożnie sformułowane — oświadczenie Edena, że Ameryka będzie musiała nauczyć się traktować Brytanię jako równorzędnego partnera.

W oświadczeniu tym brzmiały echa wybuchu brytyjskiej bomby atomowej na wyspach Monte Bello przy zachodnich wybrzeżach Australii. Evening Standard komentował to wydarzenie następującymi słowami: „Teraz Wielka Brytania jest znowu wielka!" Ale wielkość Brytanii, jak i każdego kraju, zależna jest od spraw wewnętrznych, nie od wybuchów bomb atomowych. Rząd brytyjski, na równi z rządem amerykańskim, lekceważy stale żądanie narodów całego świata potępienia bomby atomowej.

Ci z brytyjskich uczonych, którzy odrzucili wszelkie skrupuły, zareagowali na próbną eksplozję w dziwny zaiste sposób. Na łamach czasopisma Atomic Scientists News, Fred Hoyle, matematyk na uniwersytecie w Cambridge, oblicza naukowo koszty masowego mordu przy pomocy bomby atomowej.

„Przyjmując przybliżone cyfry, można podać sumę jednego funta szterlinga za głowę, co oznacza, że bomba atomowa z uranu dostarcza nam groteskowo taniego środka eksterminacji".

Dalsze uwagi mają posmak makabrycznej farsy; Fred Hoyle ostrzega przed zbyt dosłownym przyjmowaniem jego obliczeń, „ponieważ bardzo prawdopodobnie dostawa ludzkiego surowca może się wyczerpać, zanim wszystkie bomby będą użyte".

Frywolność pana Hoyle nasuwa na myśl sławną naganę, jakiej udzielił Guliwerowi król państwa Brobdignag, wysłuchawszy jego wskazówki, jak sporządzić proch strzelniczy i broń palną:

„Król zdumiewał się, że mogłem mieć podobnie nieludzkie pomysły i mówić o nich w sposób tak naturalny, jak gdybym zupełnie nie był poruszony tymi obrazami rozlewu krwi i zniszczenia, które miały być zwykłym rezultatem opisywanych przeze mnie machin; oświadczył, że pierwszym ich wynalazcą musiał być jakiś Zły Duch, wróg ludzkości"...

Innego rodzaju bombą było przybycie na wyspy brytyjskie Charlie Chaplina. Amerykański Prokurator Generalny oznajmił, że jeśli Chaplin powróci do Ameryki, zostanie internowany na wyspie Ellis.

Amerykańska reakcja szykanowała Chaplina już przed wojną, gdy artysta zaatakował Hitlera w swoim wielkim filmie D y k t a t o r; szykany i oszczerstwa wzmogły się, gdy Chaplin wystąpił z żądaniem przyśpieszenia „drugiego frontu" w 1942 r.; osiągnęły szczyt nasilenia, gdy w 1949 r. wypowiedział się przychylnie o Paryskim Kongresie Pokoju.

A obecnie „wolność" amerykańska odmawia prawa powrotu do swego domu i swego warsztatu pracy człowiekowi, który w wywiadzie zamieszczonym w prasie powiedział: „Moje filmy dają ludziom rozrywkę, tworzą piękno i głoszą dobroć"; a potem „Mam w Ameryce miliony przyjaciół i paru wrogów".

W pierwszej chwili zdawało się, że prasa brytyjska ulegnie presji wywieranej przez Departament Stanu, ale ludność Brytanii zgotowała Chaplinowi tak owacyjne przyjęcie, że wszystkie czasopisma z wyjątkiem jednego Daily Telegraph przeszły na drugą stronę barykady. Pisarze i artyści w całym kraju radośnie witali Chaplina

i potępiali metody amerykańskie. Nawet tak reakcyjny katolik jak Graham Greene opublikował w prasie otwarty list do Chaplina:

„Hańba sprzymierzeńca jest naszą hańbą. Atakując Ciebie, naganiacze zdradzili, że prowadzą nagonkę nie tylko na swym własnym podwórku".

A bynajmniej nie postępowy prof. Joad pisze:

„Sprawa trąci zbyt silnie średniowieczną nietolerancją, która dziś szerzy się w Ameryce jak zaraza, pogrążając w błoto amerykańskie pretensje do przodowania światu".

Do współczesnych listów można dołączyć głos Jonathana Swifta:

„Gdy na świecie pojawia się prawdziwy geniusz, można go po tym rozpoznać, że wszyscy głupcy konfederują się przeciw niemu".

Gdy nowy film Chaplina L i m e - l i g h t ukazał się dnia 16 października br. na ekranach Londynu, na ogromnym placu Leicester Square zgromadziły się tłumy oczekujące pojawienia się artysty. Ludność brytyjska witając wielkiego artystę, manifestowała jednocześnie swą wrogość wobec amerykańskiej kliki rządzącej.

Podobnie przedstwiała się sprawa sztuki George Bellaka pt. T r o u b l e - m a k e r s (Siewcy niepokoju). Kolega szkolny bohatera, Stanleya Carra, ginie, ponieważ ośmielił się pisać artykuły, krytykujące amerykańską politykę zagraniczną. Sterroryzowany Carr chwilowo godzi się milczeć; kiedy sumienie każe mu wskazać morderców, przekonuje się, że sądy, policja, władze uniwersyteckie nie chcą go wcale słuchać.

Mordercy próbują zaatakować Carra, ale z pomocą przychodzą mu ludzie, których zdołał już nawrócić. Gdy kurtyna zapada, bitwa o prawdę dopiero się rozpoczyna.

Krytycy nazwali sztukę niedojrzałą, wytknęli jej wiele błędów, ale Strand Theatre gra ją codziennie przy zapełnionej widowni. Widzowie oceniają właściwie pierwszą od wielu lat w West-Endzie uczciwą sztukę o Ameryce.

Nowe prądy zaczynają przejawiać się we wszystkich dziedzinach brytyjskiego życia: w literaturze, w polityce, w ruchu zawodowym, w świecie filmowym i w teatrze. Nowy duch ożywia Brytanię: duch oporu przeciwko Ameryce. Zagłodzony lew brytyjski zaczyna warczeć na widok prążkowanych spodni wuja Sama, a ludność brytyjska powtarza słowa wypowiedziane kiedyś przez Swifta na wieść o powstaniu irlandzkim:

„Oto pytanie: czy macie być niewolnikami, czy też wolnym narodem?".

George Bidwell

FRAGMENTY DYSKUSJI NA TEMAT II-GO TOMU POWIEŚCI TIBORA DÉRY PT. „ODPOWIEDŹ"

I

Józef Révai na Kongresie Pisarzy Węgierskich powiedział:

„Jeżeli walczymy przeciwko schematyzmowi, nie zapominajmy, że walkę tę poprzedziła inna: walka o partyjność literatury, o jej bojowość — śmiem twierdzić — walka o wychowawczy charakter i ideowość literatury. I to stanowi podstawę, pozycję zasadniczą, z której również musimy toczyć walkę przeciw schematyzmowi. Jeżeli teraz występujemy przeciwko schematyzmowi, przeciwko papierowości postaci w literaturze, to pragniemy, aby nasi pisarze głębiej, wszechstronniej i bogaciej odtwarzali życie i budujących nową rzeczywistość ludzi. Gdy wymagamy od naszych pisarzy wysokiego poziomu

rzemiosła, głębokiej znajomości warsztatu pisarskiego, to walka ta nie oznacza odstępstwa od boju toczącego się o ideowość literatury — lecz przeciwnie: stanowi dalszy jego etap".

W opublikowanej we wrześniu rozprawie Révai'a pt. Uwagi na temat pewnej powieści, czytamy:

„Gdy Partia na II Kongresie i na Kongresie Pisarzy wypowiedziała walkę schematyzmowi w literaturze, zdawała sobie sprawę, że to hasło można wykorzystać również dla celów wrogich państwu i partii. Nie należy dziwić się, że tak się stało. Jeszcze nie doprowadziliśmy do końca walki ze schematyzmem, a już zjawia się, lub na nowo ukazuje, inne niebezpieczeństwo. Tym wszystkim, którzy chcieliby zatrzymać się w jakimś punkcie środkowym pomiędzy sympatią dla socjalizmu a współczuciem dla wroga, tym wszystkim, którzy tylko z zastrzeżeniami gotowi są przyłączyć się do obozu socjalistycznego postępu, tym wszystkim, którzy przyznają, że chcieliby, aby wilk był syty i owca cała, wszystkim nowym i starym zwolennikom literatury, jako sztuki samej dla siebie — Déry daje okazję do skupienia się w jednym szeregu".

„O wartości Odpowiedzi — pisał w węgierskiej Gazecie Literackiej jeszcze przed ukazaniem się pracy Révai'a w lipcu br. Miklos Szabolcsi — i o miejscu, jakie zajmuje ona w naszej literaturze, padło już dużo słów w dyskusji. Nie ulega wątpliwości, że dotychczasowe dwa tomy Tibora Déry — to wielkie pisarskie osiągnięcie i mimo błędów stanowi pozycję naszej nowej literatury. Wprawdzie tymczasem jeszcze przesadą wydaje się podnoszenie tego dzieła do rangi literatury światowej, niemniej pewne jest, że nasza literatura po wyzwoleniu niewielu podobnymi dziełami może się poszczycić. Lecz czy naprawdę Odpowiedź ma być „miarą", wzorem dla całej naszej nowej literatury i czy to jest już prawdziwe dzieło realizmu socjalistycznego, jak utrzymują towarzysze Mészaros i Keszi, czy też zmierza w kierunku realizmu socjalistycznego, jak to określił Péter Nagy?"

Odpowiedź na rozważania Miklosa Szabolcsi dała rozprawa Révai'a, która ukazała się w Przeglądzie Społecznym. Na wstępie swojej pracy Révai podkreśla monumentalność pisarskiego celu Déry'ego odtworzenia dwu dziesiątków lat rozwoju węgierskiego społeczeństwa, począwszy od połowy lat dwudziestych aż do roku 1948, gdy węgierska klasa robotnicza już w pełni władzy upaństwowiła wszystkie przedsiębiorstwa zatrudniające ponad stu robotników. „Déry'emu chodzi przecież o pokazanie przy pomocy środków pisarskich okresu historycznego, bezpośrednio poprzedzającego zwycięstwo ludu węgierskiego".

„Gdy dwa lata temu ukazał się pierwszy tom cyklu powieściowego, opinia była prawie jednogłośna: początek całkowicie spełnił oczekiwania. Dziesiątki tysięcy czytelników pokochało bohatera powieści, dziecko robotnicze Balinta Köpe. Następny tom wywołał już zupełnie inne echo. Wokół powieści toczą się namiętne dyskusje. Pisarze i krytycy, osądzając książkę, niemalże rozpadli się na dwa obozy. W ideologicznej walce toczącej się wokół drugiego tomu Odpowiedzi, jaskrawo wystąpiły powstałe w naszym życiu literackim po Kongresie Związku Pisarzy rozbieżności sądów na temat sytuacji w węgierskiej literaturze i jej kierunku rozwoju. Dlatego znaczenie tej dyskusji jest zasadnicze".

Révai w dalszym ciągu swojej pracy stwierdza, że drugi tom Odpowiedzi oznacza bezwzględnie cofnięcie się w stosunku do pierwszego. Jednocześ-

nie podkreśla, że nie o obniżenie strony artystycznej chodzi. „Drugi tom O d p o w i e d z i wykazuje walory tego rodzaju — czytamy — na podstawie których mamy prawo zaliczyć Déry'ego do najwybitniejszych pisarzy węgierskich w ogóle. Déry potrafi opowiadać, a to jest już wiele. Potrafi ukazywać rzeczywistych, żyjących ludzi. Potrafi tworzyć takie sytuacje, które wydobywają pełnię indywidualności z przedstawionych przez niego postaci, umie otoczyć je atmosferą życia, rzeczywistości. Bohaterom swoim pozwala mówić ich własnym językiem, i działać zgodnie z ich indywidualnymi właściwościami. Stara się docierać do sedna sytuacji i charakterów, nie zadawala się zewnętrzną stroną zagadnień. A ponieważ poprzez losy jednostek dąży do ukazania problemów rozwoju społeczeństwa i pokazując życie ludzi stara się odtworzyć okres historyczny, w którym żyją — życie, które ukazuje, nigdy nie jest szare, nigdy nudne. Potrafi bohaterów zbliżyć do czytelnika, który razem z nimi przeżywa zagadnienia ich nurtujące..."

„...Lecz wszystkie te doskonale zarysowane postacie i sytuacje jeszcze bardziej uwidaczniają zasadnicze braki książki i popełnione przez Déry'ego błędy w odtwarzaniu rzeczywistości".

„Pierwszym kardynalnym błędem drugiego tomu O d p o w i e d z i jest kompletne skrzywienie obrazu węgierskiego ruchu robotniczego w latach trzydziestych. Nie żądamy od Déry'ego, aby dał nam w drugim tomie swej powieści encyklopedię węgierskiego ruchu robotniczego, historyczne opracowanie wydarzeń począwszy od 1930 roku... Jeżeli jednak w założeniu jego powieści leży intencja ukazania obrazu społeczeństwa, to nie tylko wolno, lecz należy żądać od niego, aby na tle reżimu Horthy'ego dał przy pomocy środków artystycznych wierny, prawdziwy obraz ówczesnej sytuacji węgierskiej klasy robotniczej — głównych sił, działających w ruchu robotniczym i zasadniczych perspektyw rozwojowych. Obraz społeczeństwa na Węgrzech na początku lat trzydziestych nie może być prawdziwy, jeżeli nie pokazana jest w nim z odpowiednią siłą i wiernością historyczną rewolucyjna partia węgierskiej klasy robotniczej — tj. jeżeli nie pokazane są zarówno te czynniki, które tworzyły ówczesną jej sytuację, jak również te, które się rozwijają, kształtują przyszłość. Chodzi więc przede wszystkim o przedstawienie walczącej w podziemiu partii komunistycznej, jej wysiłków i bohaterstwa, w obustronnym oddziaływaniu na życie całego węgierskiego społeczeństwa.

Oczywiście, biorąc rzecz samą w sobie, można sobie wyobrazić taki obraz społeczeństwa, w którym polityczny, ideologiczny i moralny kryzys klas panujących jest wysunięty na plan pierwszy w powieści, a rewolucyjny ruch robotniczy występuje wówczas jako tło tego kryzysu, przyczyna i podstawa. Niejeden dramat lub powieść Gorkiego daje przykład, że posługując się tą metodą można również pokazać nieuchronność upadku starego świata i zwycięstwo nowego świata socjalizmu. Lecz powieść Déry'ego stawia sobie za cel jednoczesne pokazanie przebijających się ku zwycięstwu warstw dołowych społeczeństwa i rozkład życia warstw górnych — słowem: życie wyzyskujących i wyzyskiwanych we wzajemnym oddziaływaniu, jedności i pełni. Wobec takiego zamierzenia autora mamy więc prawo żądać od niego, aby (nie naukową metodą opisu historycznego, lecz przy użyciu środków artystycznych) pokazał nie jako tło, lecz na pierwszym planie, zgodnie z prawdą, walkę i rozwój węgierskiej partii komunistycznej.

Déry jednak w ten sposób przedstawia życie robotników, że partia robotnicza pojawia się wyłącznie na peryferiach, w mniej lub bardziej bladych zarysach. Odtwarzając węgierski ruch robotniczy na początku lat trzydziestych Déry umieścił na pierwszym planie niemal wyłącznie takie postacie, w których instynkt proletariacki i żywiołowe poczucie solidarności robotniczej były wprawdzie rozwinięte — przy zupełnym braku jednak rewolucyjnej świadomości klasowej, w najlepszym razie istniejącej tylko w minimalnym stopniu. Komuniści oderwani są od codziennego życia robotników — byt tych robotników toczy się bez udziału partii. Czy można nazwać przypadkiem, że najbardziej pod względem artystycznym udane typy robotników w drugim tomie to nie komuniści? Nie, to nie jest przypadek.

Albo, czy można nazwać przypadkiem, że partia komunistyczna, że robotnicy nie mają żadnego wpływu na rozwój głównego bohatera Balinta Köpe? Balint w tym tomie przechodzi okres dojrzewania fizycznego i duchowego, w zasadniczych zarysach kształtuje się już jego osobowość — lecz zarówno duchowe jak moralne dojrzewanie dokonuje się bez wpływu komunizmu. Komuniści w tym tomie występują albo tylko epizodycznie — jeśli zaś nawet inaczej, to w każdym razie rola ich w powieści nie jest rolą partyjnych działaczy, pochłonięci są jedynie sprawami osobistymi, które nie mają nic wspólnego z partią komunistyczną..."

„...Pewni krytycy podczas dyskusji często i z naciskiem wysuwali ten „argument", jakoby Déry nie mógł przedstawić ruchu komunistycznego lat trzydziestych inaczej, niż to było w rzeczywistości. Lecz ówczesny ruch komunistyczny na Węgrzech nie był taki, jakim go Déry ukazuje. Obok sekciarskich schorzeń rozwijały się już siły im przeciwstawne i już wtedy rozpoczynała się owocna walka przeciwko lekkomyślności w konspiracji i szpiclowskiemu niebezpieczeństwu..." Według tychże krytyków pisarz ma prawo o tyle uwzględnić rolę partii komunistycznej w powieści, o ile wymaga tego rozwój głównego bohatera, Balinta. Tak więc chcą uprawomocnić plan Déry'ego, aby wspaniałego, daleko ponad przeciętność wyrastającego chłopaka wprowadzić do partii dopiero w 1945 r. (Jasne, że podług tych krytyków zjawiskiem typowym jest fakt, że wybitny młody proletariusz w okresie walki ze starym światem nie należy do oddziału przodującego). Ta cała argumentacja jest z gruntu fałszywa i zakłamana. Nikt nie odmawia pisarzowi prawa do odtwarzania ruchu robotniczego danego okresu nie w oderwaniu od rozwoju głównego bohatera powieści, lecz w ramach tego rozwoju. Dojrzewanie Pawła Korczagina i Stiepana Kolczugina również w ten sposób przedstawiali Ostrowski i Grosman. Lecz rozwój dwóch wspaniałych synów proletariatu rosyjskiego, rozwój niezwykłych cech indywidualności prowadzi ich drogą wynikającą z samej natury rzeczy do organicznego scalenia z rewolucyjną partią robotniczą, tak że ich własny pochód naprzód i pochód ruchu stanowi od pewnego określonego momentu już jeden i ten sam proces.

U Déry'ego natomiast obserwujemy przeciwieństwo tego. Déry pragnie aż do 1945 roku zachować Balinta, ochronić go przed wychowaniem i wpływami partii komunistycznej. To można różnie określić, ale nie mianem typowości, chociażby nawet sto razy było prawdą, że w okresie podziemia spośród chłopców robotniczych setki lub tysiące szły do szeregów partii, a dopiero wyzwolenie przyniosło zaciąg dziesiątków tysięcy. Ci esteci i krytycy, którzy nieustannie podkreślają teorię, że typowość nie oznacza przeciętności, nagle zapominają

o własnych zasadach, gdy jest mowa o przedstawieniu komunistów, przodujących postaci robotniczych.

Rezultatem tego wszystkiego jest w drugim tomie powieści wykrzywiony, zafałszowany obraz życia klasy robotniczej — pomimo doskonałego rysunku pojedynczych postaci i sytuacji".

II

W kręgu intensywnej, toczącej się przez parę miesięcy dyskusji na temat drugiego tomu książki Déry'ego, oprócz głównego bohatera znalazły się również inne postacie, mające pod względem ideologicznym szczególnie ważką rolę do spełnienia i które tak jak główny bohater, zdaniem krytyki zostały źle ustawione w stosunku do związanych z nim zagadnień walki klasowej. Braki te polegają przede wszystkim na skrzywieniu zasady typowości, na wypaczonej konstrukcji społecznie określonych postaci. Révai, poruszając w następnych częściach swojej rozprawy problem miłości komunistki Julii Nagy, zwraca uwagę na rozdźwięk między jej indywidualnymi przeżyciami a przesłankami charakterologicznymi, jakie narzuca jej koncepcja autora, czyniąca z niej reprezentatkę komunistycznych sił walczącego podziemia.

„Następny zasadniczy błąd drugiego tomu powieści — to obraz miłości pomiędzy Julią Nagy, biedną studentką komunistką, i Zéno Farkasem, uczonym, profesorem uniwersytetu, przeciwstawiającym się reżimowi Horthy'ego, lecz jednocześnie skłóconym z całym światem i z samym sobą. Wskazywaliśmy już na to, że Julia Nagy jest tak pokazana, jakby każdym drgnieniem serca, każdą myślą złączona była z partią komunistyczną — pisarz jednakże bynajmniej nie umieszcza jej w pierwszych szeregach i bynajmniej nie pracą dla partii charakteryzuje jej postać. Duchową sylwetkę Julii określają wcale nie myśli człowieka żyjącego dla partii, lecz miłosna namiętność w stosunku do przedstawiciela burżuazji. Namiętność ta pochłania Julię tak bardzo, że doprowadza ją do wzięcia na siebie odpowiedzialności za zerwanie z partią. Wszystko to, samo w sobie, jest zakłamane i rzuca fałszywe światło na człowieka-komunistę, którego Déry pokazuje nie na tle normalnego życia, pracy, bojowej działalności, lecz na tle uczuciowych powikłań i wypaczeń.

Julia Nagy, według autora komunistka w każdym calu, tylko zupełnie na uboczu zajmuje się nielegalną pracą dla partii, a zlecone jej zadanie partyjne zorganizowania strajku pracowników tekstylnych jest dla niej, a raczej dla jej twórcy, Déry'ego, bynajmniej nie pierwszoplanowym zadaniem. Jej dusza i mózg przepełnione są własnymi, prywatnymi sprawami i miłosnymi problemami — sprowadzenia na właściwą drogę przy pomocy wychowawczych środków miłości genialnego, lecz błądzącego Zeno Farkasa. Zasadnicza kwestia teraz to nie pytanie, czy miłosny stosunek dwudziestoletniej komunistki do czterdziestoparoletniego, cynicznego i sceptycznego uczonego mieszczańskiego można odczuć jako typowy i ogólnie charakterystyczny, lecz pytanie, czy duchowe zagłębienie się w takim miłosnym problemie jest typowe dla komunisty, działacza partyjnego, nawt jeżeli tym działaczem jest piękna, młoda dziewczyna. Kto na to pytanie odpowie twierdząco, ten nie wie, z jakiej gliny ulepiony jest walczący w podziemiu działacz partyjny. Kto tak przedstawia te sprawy, ten oskarża bojowników konspiracji o to, że ich główną troską nie są problemy walki przeciwko wrogowi klasowemu, aby coraz bardziej przybliżać chwilę zwycięstwa, lecz rozwiązywanie problemów życia człowieka

obok pracy partyjnej, niezależnie od partii, w odwróceniu od partii. Oczywiście, podziemni pracownicy partii byli takimi samymi żyjącymi, z krwi i kości prawdziwymi ludźmi jak zwykli śmiertelnicy. Mieli swoje miłosne problemy, byli tacy, którzy nie potrafili ich rozwiązać lub źle je rozwiązywali, lecz u prawdziwych działaczy partyjnych problemy życia osobistego nie prowadzą do tragicznych rozszczepień duchowych, do zewnętrznego lub wewnętrznego odwrócenia się od ruchu rewolucyjnego. Jeżeli zaś doprowadziły do tego, to pisarzowi realizmu socjalistycznego wolno pokazywać takich ludzi tylko w epizodach, na tle drugorzędnych problemów, nie zaś w roli postaci centralnych, zajmujących się centralnymi zagadnieniami — jeśli nie chce fałszować rzeczywistości"...

„...Chciejmy to dobrze zrozumieć: nie o tym mowa, że komunista może, że ma prawo również w komuniście się zakochać. Zakochać się może i w nie-komuniście również, lecz u prawdziwego komunisty te dwa uczucia: oddanie się partii i miłość nie mogą biec obok siebie — komunista może pokochać tylko takiego człowieka, który ideowo, w sposobie myślenia jest mu pokrewny i jeżeli nie dziś, to jutro, nie tylko w miłości, ale i w walce o nowy świat stanie się jego towarzyszem. Uczucia Julii do Zeno Farkasa są zupełnie inne. Nadzieja, że uda jej się wychować profesora na komunistę, jest od razu zupełnie nieokreślona, od razu raczej tylko łudzeniem samej siebie..."

„...Możliwe, że Déry spotkał się w ruchu komunistycznym z takimi wypadkami, lecz te chore, nie nadające się do uogólniania przejawy nie są ani typowe, ani charakterystyczne w sensie społecznym... Jeżeli więc Julia Nagy kocha cynicznego przedstawiciela klasy burżuazyjnej, moralnie i duchowo załamanego profesora uniwersytetu, to sama ta miłość już dowodzi, że czuje się obca partii, że nie umiała złączyć się w jedno z klasą robotniczą. Lecz w takim razie Déry powinien krytycznie odnieść się do postaci dziewczyny, pokazując luki w jej stosunku do partii, zanim jeszcze się zaczęła jej miłość do profesora. Déry nie mówi tego, miłość do Farkasa spada jak z nieba i na dziewczynę, i na czytelnika: miłość ta nie wypływa ze słabości dziewczyny, lecz — według Déry'ego — z pozytywnych właściwości ludzkich.

Julia Nagy każe sobie wierzyć, że jej miłość do Zeno Farkasa nie musi prowadzić do złamania wierności wobec partii. Dziewczyna pragnie w miłości tej pozostać wierna partii, pragnie pozyskać dla partii genialnego chemika. Czym pragnie pozyskać? Miłością, tym, że się oddaje profesorowi, tym, że uszczęśliwia go swoim uczuciem? Każdy poważny czytelnik właśnie w tym miejscu musi się oburzyć. Pomiędzy światopoglądem dziewczyny i światopoglądem profesora zieje nieprzebyta przepaść, przepaść pomiędzy ideologią komunistyczną i burżuazyjną. Czy można sobie wyobrazić, że ponad taką przepaścią można przerzucić pomost miłosnego porozumienia, pomost stosunku erotycznego między mężczyzną i kobietą? Jak można przypuszczać, że jakaś komunistka miłością a nie ideą będzie chciała pozyskać dla partii wartościowego mężczyznę? Zasadniczy błąd pisarski Déry'ego polega właśnie na tym, że nakreślając sylwetkę dziewczyny czyni z niej zbyt dobrą komunistkę, aby mogło się wydawać wiarygodnym, że ona na serio traktuje możliwość pozyskania Farkasa nie ideologią, lecz miłością.

Prawda, że dziewczyna nie tylko sypia z profesorem, lecz dyskutuje z nim również. Lecz to są dyskusje abstrakcyjne, nie zdolne przekonać ani nas, ani profesora, dziewczyna właściwie tylko

ocha i robi ceregiele, bo światopogląd wój w rezultacie zataja przed profe-orem. Sama rezygnuje więc z realnych odków przekonywania. Pozostaje za-em jedyny sposób uczynienia z profe-ora komunisty, a mianowicie: pokój ypialny. Prawda, że Julia Nagy, w czytowym punkcie swojej walki mi-snej o pozyskanie Farkasa, sama do-hodzi do stwierdzenia, że się omyliła, e nie można miłosnymi pieszczotami ddzielić profesora od jego klasy, lecz późne zrozumienie rzeczy nie zada-ala czytelnika, który już na początku j miłości oczekuje od dziewczyny — ając do tego pełne prawo — że jako omunistka, działaczka partyjna, nie opełni tak elementarnego błędu. Fakt, jednak popełnia, dowodzi, że to nie ziewczyna wyraża w ten sposób sąd omunisty o miłości, lecz sam pisarz ypowiada swoje zdanie. To sąd Dé-'ego, a nie Julii Nagy, że w miłości iędzy mężczyzną a kobietą zasadni-ym i pierwszoplanowym elementem st pociąg seksualny, zaś bliskość świa-poglądów, pokrewieństwo dążeń i ta-sama moralność w ogóle nie są po-zebne.

To mechaniczne oddzielenie miłości świata myśli i moralnych przeko-ń, obrazowanie miłości w formie irra-onalnego pociągu płciowego — jest ęciem typowym dla dekadencko-bur-azyjnej literatury. Rację ma Peter res, że jeżeli socjalistyczny pisarz opi-je taką miłość, to obowiązany jest traktować ją krytycznie. Czytelnik a w końcu takie uczucie, że szkoda lii Nagy, że Déry jej własną postać łacza przemocą w taką sytuację, w rej ona sama, zgodnie z prawami oso-wości, nigdy by się nie znalazła:

„...Wbrew powyższym tłumaczeniom łość dziewczyny w powieści przed-wiona jest jako uczucie pozytywne. ry akceptuje miłosną walkę Julii o Zeno Farkasa. Dyskusja Branyika, konspiracyjnego działacza partyjnego, z Julią Nagy absolutnie nie wyraża tego, że pisarz również potępia ten stosunek. Branyik w istocie powołuje się na interesy partii, na względy związane z pracą partyjną, gdy usiłuje nakłonić Julię do zerwania z profesorem. Odpowiedź jego jednak na wyznania Julii nie nadaje się do tego, aby ją zawrócić na słuszną drogę. Z powieści nie wynika, że Déry przyznaje Branyikowi rację, lecz że przyznaje raczej Julii, która w miejsce partii wybrała miłość — rozstaje się z partią, nie z Farkasem.

A sam Zeno Farkas? Déry twierdzi, że w jego postaci chciał przedstawić rozszczepienie wewnętrzne niezdolnej do życia, dogorywającej burżuazji, „upadek i agonię burżuazji". Lecz powieść wyjaśnia lepiej sens tej sprawy niż Déry. Czy to prawda, że Zeno Farkas — to figura typowa, wyrażająca upadek burżuazji? Nie, nie prawda..."

„...Déry sam nie zdaje sobie sprawy, jaki typ socjalny reprezentuje właściwie Farkas. Rozczarowanego do własnej klasy, oderwanego od konającej burżuazji wybitnego inteligenta, czy naprawdę przedstawiciela mieszczańskiego rozkładu, którego pijaństwo, pogarda dla człowieka, cynizm, wyuzdanie seksualne są niczym innym, jak przejawami przedśmiertnego tańca burżuazji, klasy skazanej na zagładę.

Z drugiego tomu wynika, że Déry tę drugą możliwość wybrał dla swego bohatera. Lecz jeśli Farkas wyraża agonię burżuazji, to autor powinien w inny sposób potraktować jego postać, niż uczynił to w pierwszym tomie. Tam bowiem Déry odnosi się do profesora ze zrozumieniem, sympatią, współczuciem, w którym czytelnik śladem autora widzi buntującego się inteligenta, przyszłego sympatyka klasy robotniczej i potencjalnego jej sprzymie-

rzeńca. W drugim tomie profesor zamiast drogi zbliżenia do klasy robotniczej wybiera drogę przedśmiertnego tańca burżuazji — autor jednakże nie zmienia w stosunku do niego ani swojej sympatii, ani współczucia, ani zrozumienia. Kto może twierdzić, że Déry pokazuje w drugim tomie Farkasa jako reprezentanta wrogiej klasy, z nienawiścią należną wrogowi i nieubłaganą siłą demaskatorską? Czy w ogóle Tibor Déry demaskuje Zeno Farkasa? Nie...

„...Nie — Tibor Déry nie demaskuje wroga i nawet w bezwzględnie negatywnych postaciach również odkrywa pozytywne rysy ludzkie. Bynajmniej nie życzymy sobie, żeby sylwetki wrogów odtwarzane były wszystkie jednakowo, na jedno kopyto. Jeżeli ktoś, to przede wszystkim Gorki umiał rysować wrogów postępu społecznego i przedstawicieli rosyjskiej burżuazji jako pełnokrwistych ludzi a nie figury z papieru. Lecz Gorki przedstawicieli dogorywającej burżuazji konsekwentnie i bezlitośnie demaskuje. Pokazuje je jako pełne sił, napęczniałe życiem postacie, lecz nie okazuje im najmniejszej sympatii, przeciwnie, bez żadnego oszczędzania odsłania ich egoizm, każe nienawidzieć ich dzikość, przeciwstawiania ich dążeniom ludu. U Déry'ego nie widzimy absolutnie tego demaskowania..."

„...Tę całą scenę, na której żyją, poruszają się, działają postacie powieści, pisarz musi obserwować ze stanowiska klasy robotniczej, ze stanowiska postępowego światopoglądu. Oczywiście, konieczne i słuszne jest, żeby pisarz pozwolił mówić wrogowi jego własnymi słowami i postępować zgodnie z prawami jego własnej natury, to znaczy, aby w pewnym sensie pokazywał go „od wewnątrz". Lecz to odtwarzanie „od wewnątrz" nie może być ani na chwilę pozbawione spojrzenia „z zewnątrz", a więc oderwane od demaskatorskiej krytyki z punktu widzenia klasy robotniczej. Obrazowanie wroga „od zewnątrz" może być tylko fragmentem krytycznego demaskowania „od zewnątrz". Déry narusza to prawo literatury realizmu socjalistycznego. Kocha stworzone przez siebie postacie robotników, z ciepłem i troskliwością rysuje Julię Nagy, lecz nie mniej sympatyzuje z Zeno Farkasem, którego przedstawia z takim samym współczuciem i troską o najdrobniejsze szczegóły. Zło polega na tym, że Déry na swój sposób potrafi jednocześnie współczuć z przedstawicielami społecznego postępu i przedstawicielami rozkładu i upadku. Pod tym względem nie jest osamotniony w węgierskiej literaturze..."

Wkrótce po ukazaniu się pracy Révai'a, na łamach Gazety Literackiej pisał Béla Illés:

„...Nie tylko braki powieści Déry, lecz również te skrzywienia naszego życia literackiego stworzyły konieczność, aby Józef Révai w swym studium wytyczył na nowo węgierskiej literaturze prawidłową drogę — jedyną, jaką iść może — tę drogę, którą wskazał już na Kongresie Partii i na Kongresie Pisarzy.

Ta droga uczy, że literatura nasza musi na dwóch frontach walczyć: przeciwko tym, którzy chcieliby zatrzymać się gdzieś w połowie drogi, i w ten sposób zatarasować drogę prowadzącą do socjalizmu — i przeciwko tym, którzy mają nadzieję, że głoszenie zasad socjalistycznych da im prawo do tego, żeby źle, schematycznie pisali i hamowali rozwój tych pisarzy, którzy w toku poznawania życia, pod wrażeniem wielkich osiągnięć socjalistycznej budowy, coraz bardziej zbliżali się do stawiania sobie socjalistycznych celów, coraz bardziej utożsamiali się z budującym socjalizm, broniącym pokoju ludem."

Zofia Rzeplińska

Paul Eluard nie żyje

Ze śmiercią Paula Eluarda odszedł eden z najszlachetniejszych, jeden z ajwiększych synów francuskiego ludu. mię jego, najświetniejsze imię we rancuskiej kulturze współczesnej, nie znaczało wyłącznie literackich treści. aul Eluard, jeden z największych poeów francuskich symbolizował ducha ej Francji, która nie ugięła się pod fazystowską przemocą, Francji walczęej o wolność. Po wojnie w okresie po ziś dzień trwającej walki ludu franuskiego z imperialistyczną polityką erroru burżuazji Paul Eluard był wyazicielem ukochania człowieka i wiay w zwycięstwo ludzkiej sprawy wolości.

Kto miał szczęście poznać go, słyszeć o z bliska, pamięta: skupiony, mówił łosem cichym, zmęczonym, jakby doywającym się z bardzo odległych źróeł wzruszenia. Widoczny był wysiłek, jakim pokonywał zażenowanie, gdy ystępował publicznie. I rzecz zadziiająca: tego poetę, którego poezja nie odlegała sztuce efektów deklamatorkich, tego człowieka, który nie potrał pozyskiwać sobie ludzi łatwym geem, otaczały tłumy, gdzie się tylko ojawił. Na wentach publicznych, orgazowanych przez Narodowy Komitet isarzy, poetyckich książek Eluarda rzedawano dwukrotnie więcej niż zieł najpopularniejszego powieściopirza.

Bo Eluard właśnie swoją twórczością etycką wyrażał w sposób najbardziej ysty, nieskażony łatwizną efektu — mięt ności, pragnienia i nadzieje swogo narodu. Był sumieniem Francji, j sercem.

Poezja Eluarda jest niemal nieprzeumaczalna. Żaden przekład nie odda go żaru wewnątrznego, tego blasku, óry od niej bije. Dlatego jakże często wobec przekładu stajemy zawiedzeni. Poezja ta jest najwyższym współcześnie szczytem francuskiej kultury. Tkwi w języku narodowym, w tradycji francuskiej sztuki. Czystość wyobraźniowa tej poezji, jej nieskazitelność pojęciowa tłumaczy to wysokie, nie porównalne z żadnym współczesnym francuskim dziełem poetyckim miejsce w życiu duchowym Francji.

Paul Eluard do swojej dzisiejszej poezji, do tej poezji, w której bije serce ludu Francji, szedł trudną drogą. Powiedzieć trzeba, że nie ma bodaj współcześnie poety, którego rozwój byłby tak zadziwiający, tak nieoczekiwany. A przede wszystkim powiedzieć trzeba, że nie ma współcześnie poety, który by tak wiele zawdzięczał tej ideologii, którą wyraża Partia Komunistyczna.

Paul Eluard urodzony w 1895 roku twórczość poetycką rozpoczął w kręgu oddziaływania tych prądów literackich, które się narodziły z pesymizmu i rozdarcia ideowego Pierwszej Wojny Światowej. Młoda literatura tego czasu to literatura buntu, lecz bunt ten ogranicza się do negacji. Jest to bunt bezideowy. Prozaicy i poeci, a przede wszystkim poeci na manowcach bezideowości burżuazyjnej szukają po omacku drogi wyjścia ze swojej klasy. Nie mając świadomości celu pragną po prostu obalić, zniszczyć te wszystkie wartości kultury, które ich uformowały. Z tej potrzeby buntu rodzą się nihilistyczne prądy: dadaizm, nadrealizm. Poeci niszczą w swoich utworach sens i logikę zdania oraz obrazu poetyckiego. Uciekają od świata rzeczywistego, od konfliktów ludzkich, politycznych i społecznych swego czasu. Sen, marzenie senne, podświadomość — oto teren ich rojeń i ich bezideowego buntu. Między

sobą a społeczeństwem kopią przepaść niezrozumienia i skandalu.

Dla Eluarda poezja nawet w tym okresie żarliwego nihilizmu nie była tylko narzędziem negacji i środkiem skandalizowania mieszczańskiego środowiska. Eluard nawet wówczas gdy był nadrealistą, usiłował wyrażać sprawy ludzkie. Jego liryka miłosna z tego okresu mimo całego powikłania i nieuniknionej wskutek tego sztuczności była, z trudem, ale była czytelna. Czytelna dla niewielu rzecz prosta. Eluard był wówczas cenionym poetą, ale poetą dla wybranych, poetą wyrafinowanym.

Druga Wojna Światowa przeobraziła poetę i jego poezję. Nie wojna sama jako organizacja zbrodni i okrucieństwa. Przeobraziła go tragedia ludu francuskiego. Przeobraziła go walka tego ludu o wolność. Paul Eluard staje na wezwanie Ruchu Oporu. Wyzwanie rzucone wrogowi faszystowskiemu przez Maurice'a Thoreza w imieniu Komunistycznej Partii Francji zastaje go już w szeregach Partii i Frontu Narodowego. Swój dotychczasowy ślepy bunt przeciwko burżuazji i burżuazyjnej kulturze Eluard wypełnia treścią wielkiej, porywającej ideologii. Partia Komunistyczna dała mu świadomość, dała mu cel życia i sztuki. Program ideologiczny Partii Komunistycznej przeobraził jego poezję wlewając w nią ludzkie i narodowe treści.

Eluard swoją poezją wyraża sprawy powszechne. Wyraża cierpienie, walkę i nadzieję ludu. Do jego dotychczas zamkniętej poezji wdzierają się sprawy życia i śmierci, szczęścia i cierpienia, wiary i nadziei milionów ludzi. Język jego poezji już nie jest wyszukany i niezrozumiały. Eluard swoją żarliwością ideową pokonuje oddalenie od ludu, od jego mowy. Mówi o powszechnych sprawach, o sprawach, które obchodzą miliony, mówi prosto, tak prosto, jak tylko serce umie mówić do serca. Osiąga taką prostotę, jaka jest udziałem największych i najżarliwszych. „Partia — jak sam powiedział — wróciła mi życie i ojczyznę."

Oręża walki — poezji swojej Eluard nie wypuścił już z ręki. Do chwili śmierci był wiernym synem Francji.

Ze śmiercią Eluarda straciliśmy we Francji największego przyjaciela Polski i ludu polskiego. Jeszcze przed wojną— wdzięcznie to pamiętamy — wraz z postępowymi intelektualistami francuskimi protestował przeciw zamordowaniu przez rząd sanacyjny bohaterów polskiej klasy robotniczej: Kniewskiego, Hibnera i Rutkowskiego. Po wojnie kilkakrotnie kraj nasz odwiedził. Dzięki niemu do skarbca kultury francuskiej weszły utrwalone w poematach jego wzruszenia śmiercią generała Świerczewskiego i ruinami Warszawy. Eluard widział nasz czas teraźniejszy, czas wysiłku i walki o jutro. Swoim wzruszeniem widział też nasz czas przyszły, widział nasze nadzieje.

W tej ciężkiej dla ludu francuskiego chwili, w chwili gdy stracił wielkiego poetę i wielkiego szlachetnego człowieka bądźmy bardziej niż kiedykolwiek z nim i nadzieją naszą, tą nadzieją, którą dzielił z nami Paul Eluard, my z jego ludem się podzielmy.

Zbigniew Bieńkowski

KSIĄŻKI NADESŁANE

ROZA

odebski Cyprian — Grenadier-filozof. Powieść prawdziwa wyjęta z dziennika podróży roku 1799. Opracował, wstępem i komentarzem opatrzył Kubikowski Zbigniew. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wrocław, 1952. Str. 78, 1 mapa i 1 ilustracja.

DEZJA I DRAMAT

ezjod — Prace i dnie. Przełożył, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Steffen Wiktor. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wrocław, 1952 Str. XXXVII, 3 nlb., 44 i 2 nlb. (Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 71).

emcewicz J. U. — Powrót posła. Komedia w trzech aktach. Opracował Maciejewski Janusz. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wrocław, 1952. Str. 108 i 4 nlb.

STORIA I HISTORIA LITERATURY

lera Józef — Poezja Jakuba Jasińskiego. Zarys monograficzny. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wrocław, 1952. Str. 157 i 3 nlb.

ace polonistyczne. Seria X (1952). Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wrosław, 1952. Str. 184.

skarbca kultury. Biuletyn informacyjny Zakładu Narodowego im. Ossolińskich pod red. Kiernickiego Edwarda. Zeszyt 2 (3). Materiały do III tomu inwentarza rękopisów Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, opracowane przez Górkiewicza Mariana i Dician Amelię. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wrocław, 1952. Str. 120.

tkiewski Stefan — Spór o Mickiewicza. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wrocław, 1952. Str. 276 i 4 nlb.

WIATA

rębska Natalia — Dobro i szczęście dziecka naszym celem. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 39 i 1 nlb.

LSKA LUDOWA (Zagadnienia polityczne i gospodarcze).

ar Stefan — Odpowiedź wrogom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. (Jak obrońcy kapitalizmu walczą przeciwko podstawowym zdobyczom chłopskim). Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Warszawa, 1952. Str. 38 i 2 nlb.

rotyński Henryk — Polska Ludowa a Kościół Katolicki. „Czytelnik". Warszawa, 1952. Str. 44 i 4 nlb.

wyrośli w wojsku — Ministerstwo Obrony Narodowej. Warszawa, 1952. Str. 78 i 2 nlb.

Ozga-Michalski Józef — Z dziejów kartki wyborczej. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Warszawa, 1952. Str. 31 i 1 nlb.

Mirek O. — Program rozkwitu i potęgi naszej Ojczyzny. Ministerstwo Obrony Narodowej. Warszawa, 1952. Str. 48.

Tepicht Jerzy — Wczoraj, dziś i jutro wsi polskiej. „Książka i Wiedza". Warszawa, 1952. Str. 141 i 3 nlb.

Woroszylski Wiktor — Przewodnicy wielkiego jutra. Dziesięć listów do przyjaciela. „Książka i Wiedza". Warszawa, 1952. Str. 50 i 2 nlb.

Zagadnienia ekonomiki rolnej. Prace Instytutu Ekonomiki Rolnej. 1/1952. „Książka i Wiedza". Warszawa, 1952. Str. 94 i 2 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Bołdyrew Sergiusz — Igła 2. Z ros. tłum. Broniewska Wanda. Okładka i ilustr. Walentynowicza Mariana. Ministerstwo Obrony Narodowej. Warszawa, 1952. Str. 149 i 3 nlb.

Jefremow I. — Księżycowa skała. Z jęz. ros. tłum. Kowalewska M., „Nasza Księgarnia". Warszawa, 1952. Str. 101 i 3 nlb.

Linkow Lew — Warta na „Wielkim Wrębie". Z jęz. ros. tłum. Radziwiłł Krzysztof. „Nasza Księgarnia". Warszawa, 1952. Str. 188 i 4 nlb.

Łoziński Władysław — Nowe opowiadania Imć Pana Wita Narwoja Rotmistrza Konnej Gwardii Koronnej. „Nasza Księgarnia". Warszawa, 1952. Str. 146 i 2 nlb.

Marek Jerzy — Stary dom. Z jęz. czesk. tłum. Ostrowski Stanisław. „Czytelnik". Warszawa, 1952. Str. 101 i 3 nlb.

Meissner Janusz — Skrzydła nad Arktykiem. Ministerstwo Obrony Narodowej. Warszawa, 1952. Str. 187 i 1 nlb.

Paustowski Konstanty — Kolchida. Z jęz. ros. przełożył Jaworski K. A. „Książka i Wiedza". Warszawa, 1952. Str. 128 i 4 nlb.

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE, LISTY, WSPOMNIENIA

Squires Richard — Droga wojny. Notatki angielskiego oficera. Ministerstwo Obrony Narodowej. Warszawa, 1952. Str. 165 i 3 nlb.

REPORTAŻE

Chylińska Kamila — Nowi ludzie za Odrą. Ministerstwo Obrony Narodowej. Warszawa, 1952. Str. 177 i 3 nlb.

SPIS TREŚCI

Str.

Zbigniew Szymański: Towarzyszom z 361 pułku piechoty Armii Radzieckiej; Miasto i człowiek 3
Kazimierz Andrzej Jaworski: Pochwała pracy drukarskiej; Na moście 5
Jan Huszcza: Pieśń o drzewach; Bukowy lesie...; Ten wieczór dla sanek... 7
Adam Franciszek Kirło-Nowaczyk: Rano na wsi spółdzielczej; Liryk jesienny 9
Stanisław Zieliński: Rodacy 11
Mirosław Żuławski: Rzeka Czerwona 64
W. Wieliczko: Wielki Wołgo-Don 107
Jan Kott: Warszawa w nieznanych wierszach polskiego Oświecenia . . 121
Józef Epifani Minasowicz: Na herb miasta Warszawy; Akcyza na kawę 123
Autor nieznany: Do przyjaciela 124
Kajetan Skrzetuski: Mokotów 126
Autor nieznany: Myśl w wielki post z okoliczności ustałych balów księcia Marcina 129
Autor nieznany: Spowiedź wzajemna 131
Autor nieznany: Wielkanoc 131
Autor nieznany: Do pewnego pana 132

WŚRÓD KSIĄŻEK: Lech Budrecki — Jan Śpiewak „Wiersze"; Samuel Sandler — Stanisław Czernik „Poezja chłopów polskich"; Andrzej Wasilewski — Jerzy Putrament „Wrzesień"; Włodzimierz Maciąg — Franciszek Fenikowski „Zakręt pięciu gwizdków"; Barbara Rafałowska — B. Brajnina „Konstantin Fiedin"; Adolf Sowiński — Gotfryd Keller „Ludzie z Seldwili" 135

TEATR: Józef Maśliński: Polonez Fredry 171

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Julian Stawiński, George Bidwell, Zofia Rzeplińska, Zbigniew Bieńkowski 188

KSIĄŻKI NADESŁANE 223

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Cena zeszytu zł 5.—. Prenumerata kwartalna zł 15.—, półroczna — zł 30.—.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

Od dnia 16. V. 1952 r. indywidualne zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat do PPK „Ruch" kierować nie należy. Prenumerata zbiorowa, tzw. zakładowa, pozostaje jak dotychczas, tzn. zamówienia i wpłaty kierowane są bezpośrednio do PPK „Ruch".